BLIZZARD LEGENDS

WORLD OF WARCRAFT

NARODZINY HORDY

CHRISTIE GOLDEN

Zwę się Thrall.

Słowo to oznacza „niewolnika” w języku ludzi, a historia, która kryje się za tym imieniem, jest bardzo długa i lepiej zostawić ją na inną okazję. Z łaski duchów i dzięki krwi bohaterów, która płynie w moich żyłach, zostałem wodzem wojennym mego ludu, orków, i przywódcą sprzymierzonych ras znanych jako Horda. Jak do tego doszło – to także zupełnie inna historia. Ta, którą chcę powierzyć pergaminowi teraz, zanim ci, co jej doświadczyli, odejdą, by żyć ze szlachetnymi przodkami, to historia mego ojca i tych, którzy w niego wierzyli, i tych, którzy go zdradzili, a zarazem, wierzcie mi, zdradzili cały nasz lud.

Kim byśmy się stali, gdyby nie doszło do tych wydarzeń, tego nawet mądry szaman Drek’Thar nie potrafi powiedzieć. Ścieżki Losu są rozmaite i jest ich wiele, i żadna istota nie powinna próbować podążać tą zwodniczo przyjemną „gdyby tylko”. Co się stało, się stało. Mój lud musi teraz dźwigać zarówno wstyd, jak i chwałę płynące z naszych wyborów.

Ta historia nie opowiada o Hordzie, jaką znacie dzisiaj, związku sprzymierzonych luźno orków, taurenów, opuszczonych, trolli i krwawych elfów, ale o samych jej początkach, o pierwszej Hordzie. Jej narodzinom, jak przyjściu na świat każdego niemowlęcia, towarzyszyły ból i krew, a jej pierwszy krzyk oznaczał śmierć dla wrogów…

WORLD OF WARCRAFT®

NARODZINY HORDY

CHRISTIE GOLDEN

przełożyła

DOMINIKA REPECZKO

insignis

Tytuł oryginału
World of Warcraft. Rise of the Horde

Copyright © 2017 Blizzard Entertainment, Inc.

Warcraft, World of Warcraft i Blizzard Entertainment są znakami handlowymi i/lub zarejestrowanymi znakami handlowymi Blizzard Entertainment, Inc. w Stanach Zjednoczonych i/lub w innych krajach. Wszelkie pozostałe znaki handlowe w niniejszym dziele należą do ich poszczególnych właścicieli.

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Imiona, nazwiska, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora i jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami, instytucjami, przedsiębiorstwami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu bez zgody posiadacza praw. Niniejsza publikacja nie może być rozpowszechniana w jakiejkolwiek oprawie lub okładce innej niż ta, w której została opublikowana, oraz bez podobnego zastrzeżenia nałożonego na kolejnego nabywcę.

Przekład
Dominika Repeczko | ragana.com.pl

Redakcja i korekta
Dominika Pycińska oraz Pracownia 12 a

Konwersja
Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2017. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65743-01-5

Insignis Media
ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
twitter.com/insignis_media (@insignis_media)
instagram.com/insignis_media (@insignis_media)
Snapchat: insignis_media

Tę książkę z wdzięcznością dedykuję Chrisowi Metzenowi za jego niesłabnące poparcie i niegasnący entuzjazm dla tego projektu.

Jak również cudownym graczom RP w WoW’ie, z którymi miałam zaszczyt grać, w tym (ale nie tylko) Aronowi i Erice Jolly Meersom, Lecaey Voleman, szczególnie zaś Seanowi Richowi, który wciągnął mnie w Roleplaying.

Rada Cienia rządzi!

Prolog

Moc, jaką emanował obcy, wibrowała, zachwycając barwami. Unosiła się wokół niego niczym płaszcz, ujmowała mu skronie świetlistą koroną. Jego głos rozbrzmiewał w uszach i zarazem w umyśle, rozchodził się po ciele wraz z krwią niczym słodka pieśń, dawno zapomniana i teraz nagle obudzona w pamięci.

Co zaś oferował, było niezwykle kuszące, ekscytujące, sprawiało, że serce aż bolało od pragnienia. A jednak, jednak… było coś…

Kiedy odszedł, przywódcy eredarów zwrócili się ku sobie i rozprawiali ściszonymi głosami, bowiem słowa przeznaczone były tylko dla ich umysłów.

– Nieznaczna cena za to, co nam oferował – powiedział pierwszy, wielki zarówno w świecie fizyczności, jak i metafizycznym, w jednym i drugim emanował siłą.

– Taka potęga… – mruknął drugi w zadumie. Ten był elegancki, piękny, o świetlistej i wspaniałej esencji. – I mówił prawdę. To, co nam pokazał, nadejdzie. Nikt nie mógłby kłamać w tej materii.

Trzeci milczał. Słowa drugiego były prawdziwe. Sposób, w jaki owa przepotężna istota zademonstrowała prawdę tego, co oferowała, nie pozwalał na żadne zafałszowania. A jednak ten byt, ten… Sargeras… cóż, było w nim coś, czego Velen nie potrafił zaakceptować.

Pozostali dwaj przywódcy byli zarazem przyjaciółmi Velena. Szczególnie Kil’jaeden, najpotężniejszy i najbardziej stanowczy z tej trójki. Byli przyjaciółmi od lat, które mijały niezauważone przez istoty będące poza zasięgiem upływającego czasu. Fakt, że Kil’jaeden był skłonny zaakceptować

ofertę, miał dla Velena daleko większe znaczenie niż opinia Archimonde'a, która, choć zwykle solidna, mogła czasem ulec niejakiej zmianie, gdy odwoływano się do jego próżności.

Velen powrócił myślami do obrazu, który pokazał im Sargeras. Do światów, jakie mieliby podbić, a co istotniejsze – odkryć i zbadać, eredarowie nad wszystko bowiem byli ciekawi. Dla istot tak potężnych wiedza była tym, czym pożywienie i napój dla istot pomniejszych, i Sargeras, kusząc, dał im na mgnienie dojrzeć to, co mogli otrzymać, jeśli tylko…

Jeśli tylko przysięgną mu lojalność.

Jeśli tylko przysięgną lojalność w imieniu swego ludu.

– Jak zawsze nasz Velen jest tym ostrożnym – powiedział Archimonde.

Słowa te mogłyby być przyjęte jako komplement, ale Velen odczytał w nich protekcjonalność. Wiedział, czego pragnął Archimonde, i wiedział też, że dwaj przyjaciele dostrzegli w jego wahaniu jedynie przeszkodę na drodze pragnień Archimonde'a, nic poza tym. Uśmiechnął się.

– Tak, ja jestem ten ostrożny i zdarzało się, że moja ostrożność ocaliła nas tak jak stanowczość Kil'jaedena i twoja instynktowna porywczość, Archimondzie.

Obaj roześmieli się i przez chwilę Velena ogrzewało ciepło ich uczuć. A potem zamilkli i wyczuł wtedy, że oni podjęli już decyzję. Poczuł, jak serce mu się kurczy, gdy odchodzili, miał tylko nadzieję, że to on podjął tę właściwą.

Ich trzech zawsze pracowało razem, a różne osobliwości równoważyły się wzajemnie. Rezultatem były pokój i harmonia, w jakich żył ich lud. Velen wiedział jednak, że i Kil'jaeden, i Archimonde pragnęli najlepszego nie tylko dla siebie, ale i dla tych, którym przewodzili. Velen podzielał owe chęci i dotychczas zawsze udawało im się osiągnąć porozumienie.

Zmarszczył brwi w zadumie. Dlaczego ten pewny siebie, charyzmatyczny Sargeras tak go zaniepokoił? Tamci wyraźnie skłonni byli przyjąć ofertę. Sargeras powiedział im, że eredarowie okazali się dokładnie tym, czego szukał. Ludem silnym, pełnym łaski i dumy, który będzie mu służyć i wesprze cel, jakim było zjednoczenie wszystkich światów wszędzie. Wzmocni ich, powiedział, zmieni, uczyni lepszymi, obdaruje darami, jakich

wszechświat dotąd nie widział, albowiem, zaiste, wcześniej wszechświat nie zetknął się z mocą, jaką władał Sargeras, i z wyjątkowością eredarów.

A to, co im powiedział, miało w istocie nadejść.

A jednak, jednak…

Velen udał się do świątyni, gdzie zachodził często, gdy nękały go kłopoty. Byli tam i inni, siedzieli wokół filaru dźwigającego cenny kryształ ata'mal. Był to starożytny artefakt, tak stary, że eredarowie nie pamiętali, skąd pochodził, tak samo jak nie pamiętali własnych początków. Legenda głosiła, że był to dar dawno temu im powierzony. Kryształ pozwalał eredarom rozwijać możliwości umysłowe i poszerzać wiedzę o tajemnicach wszechświata. Dawniej używano go też do uzdrawiania, zaklinania i przywoływania wizji, i właśnie do tego ostatniego celu Velen miał zamiar wykorzystać kryształ tego wieczora. Z szacunkiem podszedł do artefaktu i położył na nim dłoń. Ciepło trójkątnego kryształu przywodziło na myśl niewielkie zwierzątko skulone w dłoni Velena i przyniosło mu spokój. Odetchnął głęboko, pozwalając, by znajoma moc przeniknęła go na wylot, po czym opuścił rękę i wrócił do kręgu.

Zamknął oczy i otworzył wszelkie inne zmysły; całą swą istotę, która mogła odebrać wizję, ciało, umysł, magiczną intuicję. To, co zobaczył, początkowo jedynie potwierdzało obietnice złożone przez Sargerasa. Zobaczył siebie stającego z Archimonde'em i Kil'jaedenem, władcami nie tylko własnego szlachetnego i dumnego ludu, ale niezliczonych światów. Moc iskrzyła wokół nich, moc, która, jak Velen doskonale wiedział, mogła być nieskończenie upajająca. Lśniące miasta należały do nich wraz ze swymi mieszkańcami, padającymi na twarz przed wielką trójcą z okrzykami wyrażającymi uwielbienie i lojalność. Technologia, o jakiej nigdy nie marzył, teraz czekała tylko, by zgłębił jej sekrety. Ogromne księgi w obcych językach były dlań tłumaczone, odsłaniając magię dotąd niepomyślaną, nieopowiedzianą.

Wizja była wspaniała i serce Velena rosło.

Spojrzał w bok na Kil'jaedena, a jego stary przyjaciel się uśmiechnął. Archimonde położył Velenowi dłoń na ramieniu przyjacielskim gestem.

I wtedy Velen spojrzał w dół, na siebie.

I krzyknął przerażony.

Jego ciało stało się gargantuiczne, ale wynaturzone, wypaczone. Gładka błękitna skóra była czarnobrązowa i poznaczona gruzłami niczym drzewo kiedyś szlachetne, ale teraz okaleczone chorobą. Owszem, biło zeń światło, ale nie czyste światło potężnej, pozytywnej energii, lecz chorobliwie zielone. Gorączkowo odwrócił się, by obejrzeć swych przyjaciół, swych towarzyszy, którzy wraz z nim przewodzili eredarom.

Oni również się zmienili. Oni również nie zachowali ani krzty z tego, czym byli kiedyś, stali się natomiast…

Man’ari.

To słowo w języku eredarów oznaczało coś straszliwe niewłaściwego, zmienionego i nienaturalnego, splugawionego i teraz przeszyło ono umysł Velena z siłą lśniącego miecza. Krzyknął raz jeszcze, nogi się pod nim ugięły. Odwrócił spojrzenie od udręczonego ciała, szukając pokoju, dobrobytu i wiedzy, które Sargeras mu obiecał. Jednakże widział tylko potworności. Tam gdzie wcześniej był adorujący go tłum, teraz Velen zobaczył jedynie okaleczone zwłoki albo ciała takie jak jego, jak Kil’jaedena, jak Archimonde’a, wynaturzone, straszliwie potwory. Między trupami i zniekształconymi pełzały istoty, jakich Velen nigdy nie widział. Dziwaczne psy z mackami strzelającymi z ich grzbietów. Maleńkie, pokrzywione postacie, które tańczyły, pełzały i śmiały się wśród jatki. Istoty zwodniczo piękne rozpościerały swe skrzydła i przyglądały się temu, co się dokonało, z zadowoleniem i dumą. Gdzie stąpnęły swymi kopytami, tam umierała ziemia. Nie tylko trawa, ale sama gleba, wszystko to, co dawało życie, nagle zostawało wyssane do cna.

To zatem planował Sargeras uczynić z eredarami. To było owo wzmocnienie, o którym mówił z taką pasją. Jeśli lud Velena sprzymierzy się z Sargerasem, staną się tymi potwornościami… tymi man’ari. I Velen jakimś sposobem pojął, że to, co widział, nie było jedynie incydentem. To nie był jeden tylko świat, który zginie. Nie. I tuzin to było mało – sto i tysiąc.

Jeśli poprze Sargerasa, wszystko ulegnie zniszczeniu. Ten legion man’ari będzie parł naprzód, wspierany przez Kil’jaedena i Archimonde’a i – niechaj wszystko, co dobre i czyste, ma go w opiece – Velena. Nie ustaną, póki

wszelkie istnienie nie zostanie wypalone, poczerniałe jak ten spłachetek ziemi, który Velen widział w swej wizji. Czy Sargeras był szalony? Albo, gorzej jeszcze, czy rozumiał wszystko i nadal tego pragnął?

Krew i płynny ogień zalewały otoczenie Velena i jego samego, padały szkarłatnym deszczem, paląc go, ochlapując, póki nie padł na ziemię w szlochu.

Wizja miłosiernie zgasła i Velen zamrugał. Drżał. Był sam w świątyni, a kryształ lśnił pokrzepiająco, za co Velen był wdzięczny.

To się jeszcze nie stało. Jeszcze nie.

To, co powiedział im Sargeras, było w rzeczy samej prawdą. Eredarowie zostaną przekształceni, a ich trzej przywódcy otrzymają moc, wiedzę, władzę… niemalże boską.

I stracą wszystko, co było im drogie – zdradzą tych, których przysięgali chronić – by to osiągnąć.

Velen przetarł twarz, z ulgą upewniając się, że wilgoć na jego policzkach to tylko pot i łzy, a nie ogień i krew z jego wizji. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Czy była jeszcze szansa, by to zatrzymać, by ograniczyć zniszczenie, które przyniesie ów legion?

Odpowiedź przypłynęła doń, tak orzeźwiająca, tak słodka jak łyk czystej wody na pustyni. Tak.

*

Pojawili się natychmiast, odpowiadając na emocje zawarte w wezwaniu, które posłał im myślą. Wystarczył ułamek chwili, by dotknąć ich umysłów, pozwolić, by zobaczyli to, co on zobaczył; poczuli to, co on poczuł. Przez krótką chwilę wiedział, że podzielają jego odczucia, i w jego piersi wezbrała nadzieja. Wciąż jeszcze była szansa…

Archimonde zmarszczył czoło.

– To nie była wizja przyszłości, którą moglibyśmy w jakiś sposób zweryfikować. To tylko twoje przeczucie.

Velen patrzył na swego starego przyjaciela, a potem odwrócił się do Kil’jeadena. Ten nie był tak próżny jak Archimonde. Był stanowczy i mądry…

– Archimonde ma rację – rzekł Kil’jaeden gładko. – Nie ma mowy o żadnej prawdzie, mówimy o obrazie, który wziął się jedynie z twego umysłu.

Velen patrzył nań, czując przeszywający ból. Łagodnie i ze smutkiem przerwał więź myśli. Teraz to, co było w jego umyśle i sercu, miało tam zostać. Nigdy już nie podzieli się tym z dwójką przyjaciół, którzy dotąd byli niczym przedłużenie jego własnej duszy.

Kil’jaeden potraktował wycofanie się Velena jak kapitulację, zgodnie zresztą z intencją tego drugiego, po czym uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Nie chcę rezygnować z czegoś, co wiem, że jest dobre i pozytywne, na rzecz czegoś, co, obawiam się, może być nieprzyjemne – powiedział. – Ty, jak sądzę, także nie.

Velen nie mógł ryzykować kłamstwa. Tylko spuścił wzrok i westchnął. Dotychczas Kil’jaeden i Archimonde umieliby bez wysiłku przejrzeć tak marną grę, ale teraz niewiele uwagi poświęcali Velenowi. Obaj myśleli o nieograniczonej potędze, którą im zaoferowano. Za późno było ich przekonać. Te dwie wielkie niegdyś istoty stały się zabawkami w rękach Sargerasa. Już wstąpili na ścieżkę, by stać się man’ari. I Velen nagle zastygł z przerażającą pewnością, że gdyby zorientowali się, że on nie kroczy z nimi, zwróciliby się przeciw niemu, a miałoby to śmiertelne skutki. Musiał przeżyć, choćby tylko po to, by dokonać wszystkiego, co tylko pozostawało w jego mocy, i ocalić swój lud przed potępieniem i zniszczeniem.

Skinął zatem głową, milcząc, i zostało postanowione, że trzej eredarowie sprzymierzą się z wielkim Sargerasem. Archimonde i Kil’jaeden oddalili się szybko, by poczynić niezbędne przygotowania przed powitaniem ich nowego pana.

Velen głęboko ubolewał nad swą bezsilnością. Chciał ocalić cały swój lud, jak przysięgał, ale zdawałą sobie sprawę, że to niemożliwe. Większość ufała Archimonde’owi i Kil’jaedenowi i wiedział, że pójdą za nimi ku swej zagładzie. Ale byli i tacy, którzy gotowi byli porzucić wszystko na jedno słowo Velena. I musieliby to uczynić. Ich dom, świat Argus, wkrótce miał zostać zniszczony, pochłonięty przez szaleństwo demonicznego legionu. Ci, którzy chcieli to przetrwać, będą musieli uciekać.

Ale… uciekać dokąd?

Velen wpatrywał się w kryształ ata'mal, coraz bardziej pogrążając się w rozpaczy. Sargeras przybywał. Nie było takiego miejsca w tym świecie, gdzie można by się ukryć przed tą istotą. Jak zatem miałby mu uciec?

Podniósł wzrok na kryształ. Obraz był rozmyty. Niewątpliwie to łzy sprawiły, że wydawał się migotać i pulsować. Velen zamrugał. Nie… widziane przez łzy światło nie płatało mu figli. Kryształ płonął i uniósł się powoli ze swego piedestału, by popłynąć w powietrzu, póki nie znalazł się przez oszołomionym Velenem.

– *Dotknij* – odezwał się w jego głowie cichy głos. Drżąc cały, zdumiony Velen wyciągnął mocną niebieską rękę. Oczekiwał, że poczuje znajome ciepło uśpionego dotąd pryzmatu.

Energia popłynęła przezeń z taką mocą, że aż ze świstem wciągnął powietrze – energia niemal tak samo potężna jak inna, mroczna siła, która przepełniała jego ciało w niedawnej wizji. Lecz ta energia była tak czysta, jak tamta zepsuta; ta pochodziła od światła, podczas gdy tamta zrodzona była z mroku, i Velen nagle poczuł, jak wypełniają go nadzieja i siła.

Dziwna poświata wokół kryształu ata'mal urosła, rozciągnęła się i poczęła przybierać jakiś kształt. Velen mrugał, oślepiony blaskiem, ale za nic nie chciał odwrócić spojrzenia.

– *Nie jesteś sam, Velenie z eredarów* – szepnął doń głos. Był kojący i słodki niczym dźwięk płynącej wody, szum letniego wiatru.

Blask przygasł trochę i oto przed Velenem unosiła się istota, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Zdawał się stworzona z żywego światła. Jej wnętrze miało ciepłą złocistą barwę, ale na krańcach blask przybrał kolor kojącego fioletu. Dziwne, jakby metaliczne glify wirowały wokół jej centrum, zarazem uspokajająco i hipnotyzująco w tym spiralnym tańcu kolorów i światła. Istota przemawiała do Velena wewnątrz jego umysłu, a jemu wydawało się, że głos jej jest czystym światłem.

– *My również wyczuliśmy nadejście potworności, które staną się udziałem tego i innych światów. Dążymy do utrzymania równowagi, zaś to, co planuje Sargeras, wszystko rozerwie na strzępy. Nastąpią chaos i zniszczenie, a co dobre, prawdziwie i święte, zostanie stracone na zawsze.*

– *Kto… co…?* – Velen nie mógł nawet sformułować pytania, tak oszołomiła go chwała tego bytu.

– *My jesteśmy naaru* – powiedziała świetlista istota. – *Możesz nazywać mnie K’ure*.

Wargi Velena uformowały słowa. Wyszeptał je, smakując słodycz, jakby wymówienie ich dało mu odrobinę samej ich esencji.

– Naaru… K’ure…

– *Tu wszystko się zaczyna* – mówił dalej K’ure. – *Nie możemy tego powstrzymać, bowiem przyjaciele twoi mają wolną wolę. Ale ty szukałeś zbolałym sercem sposobu, by ocalić, co tylko możesz. I dlatego też my uczynimy, co tylko możemy. Ocalimy tych z was, których serca odrzucą potworności oferowane przez Sargerasa.*

– Co mam robić?

Łzy znów wypełniły oczy Velena, ale tym razem były to łzy ulgi i radości

– Zbierz tych, którzy wysłuchają twojej mądrości. W najdłuższy dzień roku idźcie na najwyższą górę w tej krainie i zabierzcie ze sobą kryształ ata’mal. Dawno, dawno temu go wam daliśmy i za jego pomocą znów was odnajdziemy. Przybędziemy i zabierzemy was.

Przez chwilę mgnienie wątpliwości niczym cień płomienia rozgorzało w sercu Velena. Nigdy nie słyszał o tych istotach światła, o tych Naaru, i teraz ten byt, ten K’ure, prosił Velena, by ten ukradł najświętszy artefakt swego ludu. Twierdził nawet, jakoby to oni właśnie dali ów artefakt eredarom! Może Kil’jaeden i Archimonde mieli rację. Może wizja Velena była niczym więcej jak manifestacją jego strachu.

Ale nawet gdy te niedobre myśli pędziły mu przez głowę, wiedział, że to jedynie ostatki tęsknoty złamanego serca za tym, co było, zanim wszystko pozmieniało się tak straszliwie… Zanim zjawił się Sargeras.

Wiedział, co musi zrobić, i schylił głowę przed wspaniałym, tańczącym bytem zrodzonym ze światła.

*

Pierwszym i najbardziej zaufanym sojusznikiem, którego wezwał Velen, był Talgath, stary przyjaciel. Niejednokrotnie już pomagał Velenowi

w przeszłości. Cały plan opierał się właśnie na nim, bowiem to on mógł, nieobserwowany, dotrzeć tam, gdzie Velen nie był w stanie. Początkowo Talgath był sceptyczny, ale gdy Velen połączył ich umysły i pokazał mu mroczną wizję, jaką mu zesłano, Talgath zgodził się szybko. Velen nie wspomniał o Naaru i pomocy oferowanej przez K'ure, jako że sam nie wiedział, jaką formę owa pomoc przyjmie. Zapewnił jedynie Talgatha, że istniał sposób, by uciec przed tym przeznaczeniem, o ile tylko ten mu zaufa.

Najdłuższy dzień w roku się zbliżał. I podczas gdy Archimonde i Kil'jaeden obsesyjnie wręcz szykowali się na spotkanie z Sargerasem, Velen z całą dyskrecją, na jaką tylko mógł sobie pozwolić, wysyłał pasma myśli do tych, którym ufał. Inni, zgromadzeni przez Talgatha, przybywali do Velena, aby bronić siebie i swego ludu. Wtedy Velen skupił się na splataniu najsubtelniejszej z sieci magii wokół dwóch zdrajców, których do niedawana jeszcze uważał za drogich przyjaciół, by ich uwagi nie przyciągnęły gorączkowe działania przeprowadzane za ich plecami.

Z zaskakującą szybkością, a jednak wciąż męcząco powoli, tworzono magiczną sieć. Gdy nadszedł wreszcie wiadomy dzień i eredarowie, którzy zdecydowali się podążać za Velenem, zebrali się na szczycie najwyższej góry ich starożytnego świata, Velen zrozumiał, jak niewielu ich było. Setki zaledwie, tylko ci, którym Velen mógł zaufać, nie mógł bowiem ryzykować kontaktu z nikim, kto mógłby zwrócić się przeciwko niemu.

Velen zabrał kryształ ata'mal zaledwie chwilę wcześniej. Ostatnie dni spędził na przygotowywaniu fałszywego artefaktu, żeby nikt nie podniósł alarmu, odkrywszy pusty postument. Wyrzeźbił zastępstwo z prostego kryształu górskiego z największą starannością, prostym zaklęciem dodał mu blasku. Nie mógł go jednak ożywić. Ktokolwiek dotknąłby kryształu palcami, odkryłby oszustwo w mgnieniu oka.

Prawdziwy kryształ ata'mal Velen trzymał przy piersi, patrząc, jak jego lud wspina się na górę.

Ich mocne nogi i kopyta bez trudu pokonywały zbocze. Wielu dotarło już na szczyt i teraz spoglądało na Velena z oczekiwaniem. W ich wzroku widział nieme pytania. Jak – zastanawiali się – stąd uciekną?

W rzeczy samej, jak? – myślał Velen. Na moment ogarnęła go panika, ale

potem przypomniał sobie świetlistą istotę, która złączyła z nim myśli. Przybędą. Wiedział to.

Tymczasem jednak z każdą mijającą chwilą bardziej ryzykowali, że zostaną dostrzeżeni. A tak wielu nie dotarło jeszcze na miejsce spotkania, między nimi i Talgath.

Restalaan, inny stary i zaufany przyjaciel, uśmiechnął się do Velena.

– Niedługo się zjawią – powiedział pokrzepiająco.

Velen skinął głową. Restalaan z pewnością się nie mylił. Nic nie wskazywało na to, że jego dawni przyjaciele, a obecni wrogowie, zorientowali się, że istnieje tak bezczelnie śmiały zamysł. Za bardzo byli pochłonięci planami na przyszłość.

A jednak, jednak…

Ten sam instynkt, który ostrzegł go, by nie ufać Sargerasowi, teraz nie dawał mu spokoju. Coś było nie w porządku. Uświadomił sobie, że krąży w kółko.

I wtedy się zjawili.

Talgath i kilku innych wspinało się w górę zbocza, uśmiechali się i machali do pozostałych. Velen odetchnął z ulgą. Ruszył im na spotkanie, a wtedy kryształ przesłał potężną falę energii przez ciało eredara. Błękitne palce Velena zacisnęły się na artefakcie, podczas gdy jego umysł otworzył się na ostrzeżenie. Siła mentalna zaatakowała Velena tak mocno, że aż ugięły się pod nim kolana.

Sargeras już zaczął. Począł tworzyć swój odrażający legion. Eredarowie, którzy byli na tyle niemądrzy bądź ufni, by posłuchać Kli'jaedena i Archimonde'a, zostali pochwyceni i stawali się man'ari, których Velen widział w swojej wizji. Tysiące man'ari każdego kształtu, najrozmaitszych możliwości, czaiło się na granicy zmysłów Velena. Byli ukryci jakimś sposobem. Gdyby nie trzymał kryształu ata'mal, nigdy by ich nie wyczuł, póki nie byłoby o wiele za późno.

Już mogło być za późno.

Zwrócił zszokowane spojrzenie ku Talgathowi nagle świadomy skażenia, jakie emanowało ze starego przyjaciela, tak jak i z niezliczonych potworów – Legionu – które ukrywały się tuż za granicą pola widzenia. Modlitwa,

wyrwana z głębi jego zrozpaczonej duszy, wypchnęła z jego umysłu inne myśli. *K'ure! Ratuj nas!*

Man'ari sunęli pod górę, wyczuli, że zostali wykryci, i pędzili ku eredarom niczym głodne drapieżniki do swych ofiar. Jednak Velen wiedział, że śmierć będzie lepsza od losu, jaki te wynaturzone istoty zgotowałyby jemu i tym, którzy za nim podążyli. Sam nie wiedząc dlaczego, Velen chwycił kryształ ata'mal i wyrzucając ramię, podniósł go ku niebu.

I jakby nieba się nad nim otworzyły. Pojawiła się kolumna czystego światła. Światłość popłynęła bezpośrednio do kryształowego pryzmatu i przed oczyma zdumionego Velena rozszczepiła się na kilka promieni o różnych odcieniach. Eredara przeszył ból, gdy kryształ w jego dłoni się rozpadł. Ostre fragmenty pocięły mu palce. Gwałtownie wciągnął powietrze i instynktownie wypuścił odłamki z ręki, po czym patrzył oczarowany, jak uniosły się w powietrze, jak każdy z nich zmienił się w idealną kulę i przybrał jeden z siedmiu kolorów. Siedem kryształów, czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, indygo i fioletowy – wystrzeliły do góry i pomknęły, by utworzyć enklawę światła wokół przerażonych eredarów na szczycie góry.

I w tej chwili Talgath pomknął ku Velenowi, a w spojrzeniu miał czystą nienawiść. Uderzył w krąg różnokolorowych świateł i odbił się od niego jak od ściany. Velen odwrócił się błyskawicznie i zobaczył warczących, śliniących się man'ari, którzy atakowali szponami mur uczyniony tylko ze światła, chroniący Velena i jego towarzyszy.

Niski, dudniący pomruk pomknął po nerwach Velena. Był bardziej wrażeniem niż dźwiękiem. Podniósł wzrok i tego dnia cudów zobaczy coś, co przyćmiło nawet siedem kamieni światła. Najpierw wyglądało to niczym opadająca gwiazda, tak jasna, że ledwie mógł na nią patrzeć. Gdy się zbliżyła, zrozumiał, że bynajmniej nie ma do czynienia z czymś tak ulotnym jak gwiazda na nocnym niebie, ale z solidną i mocną konstrukcją, po środku tak delikatny i okrągły jak kule, ozdobione sterczącymi trójkątami kryształy. Velen szlochał otwarcie, a wtedy jego umysłu dotknęła myśl.

Jestem, jak obiecałem. Przygotuj się, by porzucić ten świat, proroku Velenie.

Velen uniósł ramiona niczym dziecię, które błaga kochającego rodzica, by ten wziął je w objęcia. Kula nad nim zapulsowała i Velen poczuł, że coś delikatnie unosi go w powietrze. Jego towarzyszy też niosło ku… okrętowi? Bo tym chyba była owa konstrukcja, aczkolwiek wibrowała też życiem, jakiego Velen jeszcze nie pojmował. Pogrążony w cichej radości usłyszał wrzaski, przekleństwa i ryki man'ari, którym wymknęły się ofiary. Podstawa statku otworzyła się i kilka sekund później Velen stanął na czymś twardym. Uklęknął na podłodze, o ile można było tak to nazwać, i patrzył, jak reszta jego towarzyszy leci do bezpiecznego schronienia. Kiedy ostatni już znalazł się na pokładzie, Velen spodziewał się, że drzwi zostaną zamknięte, i odleci ten statek z metalu niebędącego metalem czy ciała niebędącego ciałem i z esencji samego K'ure, jak podejrzewał eredar.

Ale zamiast tego w jego umyśle szepnęła obca myśl.

Kryształy, gdzie był jeden, jest siedem. Odzyskaj je, bowiem będą ci potrzebne.

Velen pochylił się nad otworem i wyciągnął ręce. Siedem kamieni z szokującą prędkością pomknęło do jego rąk, uderzając w dłonie tak mocno, że aż zachłysnął się powietrzem. Zgarnął je do siebie, ignorując niesamowity żar, jakim emanowały, i rzucił się w tył. W tej samej chwili drzwi zniknęły, jakby nigdy ich tam nie było. Velen ściskał wszystkie siedem kryształów i jego umysł rozciągnął się tak bardzo, że ocierał o granice szaleństwa, a eredar zamarł w nieskończonej chwili między nadzieją a rozpaczą.

Udało im się? Uciekli?

*

Ze swej pozycji na czele armii Kil'jaeden miał niezmącony widok na zbocze góry i mrowiących się tam niewolników. Przez jeden wspaniały moment zasmakował zwycięstwa niemal tak słodkiego jak głód umieszczony w jego umyśle przez Sargerasa. Talgath dobrze wykonał powierzone mu zadanie. Przez przypadek jedynie Velen trzymał kryształ w chwili ataku, gdyby było inaczej, jego ciało już leżałoby na ziemi rozszarpane na strzępy.

Ale Velen trzymał kryształ ata'mal i został ostrzeżony. Coś się wydarzyło, dziwne światła pomknęły, chroniąc zdrajcę i coś, co po niego przybyło.

A teraz Kil’jaeden patrzył, jak ten zdumiewający okręt zalśnił i… zniknął!

Uciekli! Przeklęty, potępiony Velen uciekł!

Man’ari, których rozkosz Kil’jaeden czuł sekundę wcześniej, teraz byli zmieszani i pełni rozczarowania. Dotknął ich umysłów. Nic nie wiedzieli. Czym była ta rzecz, która wyrwała Velena z rąk Kil’jaedena? Teraz Kil’jaedena przeszył dreszcz strachu. Jego pan nie będzie zadowolony z takiego rozwoju sytuacji.

– Co teraz? – spytał Archimonde.

Kil’jaeden obrócił się, by spojrzeć na swego sojusznika.

– Znajdziemy ich – warknął. – Znajdziemy i zniszczymy. Nawet jeśli miałoby to nam zająć tysiąc lat.

Rozdział pierwszy

Zwę się Thrall.
Słowo to oznacza „niewolnika” w języku ludzi, a historia, która kryje się za tym imieniem, jest bardzo długa i lepiej zostawić ją na inną okazję. Z łaski duchów i dzięki krwi bohaterów, która płynie w moich żyłach, zostałem wodzem wojennym mego ludu, orków, i przywódcą sprzymierzonych ras znanych jako Horda. Jak do tego doszło – to także zupełnie inna historia. Ta, którą chcę powierzyć pergaminowi teraz, zanim ci, co jej doświadczyli, odejdą, by żyć ze szlachetnymi przodkami, to historia mego ojca i tych, którzy w niego wierzyli, i tych, którzy go zdradzili, a zarazem, wierzcie mi, zdradzili cały nasz lud.

Kim byśmy się stali, gdyby nie doszło do tych wydarzeń, nawet mądry szaman Drek’Thar nie potrafi powiedzieć. Ścieżki Losu są rozmaite i jest ich wiele, i żadna istota nie powinna próbować podążać tą zwodniczo przyjemną „gdyby tylko”. Co się stało, się stało. Mój lud musi teraz dźwigać zarówno wstyd, jak i chwałę płynącą z naszych wyborów.

Ta historia nie opowiada o Hordzie, jaką znacie dzisiaj, związku sprzymierzonych luźno orków, taurenów, opuszczonych, trolli i krwawych elfów, ale o samych jej początkach, o pierwszej Hordzie. Jej narodzinom, tak jak przyjściu na świat każdego niemowlęcia, towarzyszyły ból i krew, a jej pierwszy krzyk oznaczał śmierć dla wrogów.

Początek tej historii, okrutnej i ponurej, był spokojny i miał miejsce wśród wzgórz i dolin żyznego świata nazywanego Draeanorem…

Dźwięk bębnów bijących w rytmie uderzeń serca kołysał młodych orków do

snu, ale Durotan z Klanu Mroźnego Wilka nie spał. Leżał wraz z innymi na klepisku w namiocie przeznaczonym na sypialnie dzieci. Sowita wyściółka z trawy i gruba skóra racicznika chroniły go przed chłodem ziemi zmarzniętej na kość. A i tak rytm bębnów wibrował w gruncie i w ciele Durotana, a uszy orka pieścił ten odwieczny dźwięk. Jakże Durotan pragnął wyjść i do nich dołączyć.

Miał przed sobą jeszcze jedno lato, zanim będzie mu wolno wziąć udział w Om'riggor, rytuale inicjacji. Do tego wyczekiwanego ze wszech miar momentu musiał pogodzić się z tym, że odsuwano go, wysyłano do wspólnego namiotu, gdzie spał z innymi dziećmi, podczas gdy dorośli siedzieli wokół ognia i rozmawiali o sprawach tajemniczych i niewątpliwie wielce istotnych.

Westchnął i przewrócił się na posłaniu z futra. To nie było w porządku.

Orkowie nie walczyli między sobą, ale nie byli jakoś szczególnie towarzyscy. Każdy klan trzymał się osobno, kultywował własne tradycje, przestrzegał swoich zasad dotyczących strojów, opowieści i szamanów. Mówili tyloma dialektami, że niektórzy orkowie nie mogli się porozumieć. Czasem wydawali się sobie nawzajem tak obcy jak inna rozumna rasa, która dzieliła z nimi plon pól, lasów i rzek – tajemniczy draenei. Jedynie dwa razy do roku, wiosną i jesienią, wszystkie klany zbierały się tak jak teraz – by uczcić równonoc.

Święto rozpoczęło się oficjalnie poprzedniego wieczora o wschodzie księżyca, ale orkowie zbierali się już od kilku dni. Obchody Kosh'harg odbywały się na uświęconym gruncie nazywanym Nagrandem, Ziemią Wiatrów, który leżał w łagodnym cieniu Góry Duchów, Oshu'gun, od samego początku czasów. Wprawdzie podczas święta zdarzały się wyzwania i walki, ale tak naprawdę był to czas bez waśni i przemocy. Kiedy głowy stawały się zbyt gorące, co zdarzało się przy tak licznych zgromadzeniach, szamani namawiali do pokojowego rozwiązania nieporozumień albo zwaśnione strony musiały opuścić święte miejsce.

Ziemia była tu bogata, żyzna i pogrążona w spokoju. Durotan czasem zastanawiał się, czy ów spokój brał się od samych orków, czy raczej orkowie łagodnieli pod wpływem tego miejsca. Często zajmowały go takie kwestie,

ale nigdy się nimi nie dzielił, bowiem nie słyszał, by ktokolwiek poruszał takie dziwne tematy.

Durotan westchnął cicho. Głowę miał pełną kłębiących się myśli, serce waliło mu w piersi, odpowiadając na rytm bębnów. Miniona noc była wspaniała i poruszyła duszę Durotana. Zza linii drzew wyłoniła się Bladolica Pani, była w swej malejącej fazie, ale wciąż na tyle jasna, by zalać potokiem światła białe kobierce śniegu. Na ten widok z tysięcy gardeł zebranych orków, starszyzny, wojowników w sile wieku, nawet dzieci w silnych ramionach matek, dobył się okrzyk radości. Wilki będące zarówno towarzyszami, jak i wierzchowcami orków dołączyły się do wrzawy, wyjąc przejmująco. Ten dźwięk wibrował we krwi Durotana, a rytm bębnów zmienił się w głębokie, pierwotne pozdrowienie dla białej sfery, która rządziła nocnym niebem. Durotan rozglądał się, chłonąc spojrzeniem owo morze potężnych istot, wznoszących swe brązowe ręce ku srebrzystemu światłu Bladolicej Pani, skupionych na jednym. Gdyby jakiś ogr byłby na tyle nierozsądny, by ich zaatakować, poległby w ułamku chwili rozniesiony broniami tego morza zdeterminowanych wojowników.

A potem przyszedł czas na ucztę. Mięso dziesiątek zwierząt ubitych wcześniej, zanim jeszcze nadeszły chłody, zostało ususzone i uwędzone w ramach przygotowań do tego święta. Rozpalono ogniska, a ich ciepłe światło zlało się z magicznym białym blaskiem Pani, a bębny nie milkły ani na chwilę.

Durotan jak innym dzieciom – prychnął pogardliwie na myśl o tym, że zalicza się go do tej grupy – pozwolono pozostać, póki nie zjadł swojej porcji i póki szamani nie odeszli. Po zakończeniu uczty rozpoczynającej święto szamani ze wszystkich klanów wspinali się na Oshu’gun, która czuwała nad ich świętowaniem, i wchodzili do jaskiń, by tam radzić się duchów i przodków.

Oshu’gun była imponująca nawet z daleka. W przeciwieństwie do innych gór, których linie były poszarpane i nierównie, Oshu’gun wyrastała z gruntu z precyzją gigantycznego grotu. Przypominała wielki kryształ wbity w ziemię. Jej linie były doskonałe i pięknie lśniła w promieniach słońca i księżyca. Wedle niektórych legend spadła z nieba przed setkami lat, a tak

się różniła od swych sióstr, że Durotan doszedł do wniosku, że opowieści te mogły być prawdziwe.

Ale choć Oshu'gun była niezwykle interesująca, Durotan uważał za nieco niesprawiedliwe, że szamani muszą zostawać tam na czas całego święta Kosh'harg. Biedni szamani – myślał – omija ich cała zabawa. Ale, jak był przekonany, tak samo omijała dzieci.

W ciągu dnia odbywały się polowania i gry, opowiadano historie bohaterów i przodków. Każdy klan miał własne opowieści, więc poza tymi znanymi Durotanowi jeszcze z wczesnego dzieciństwa zawsze miał okazję posłuchać o nowych, ekscytujących przygodach.

Durotan naprawdę lubił ich słuchać, uważał je za niezwykle intersujące, ale i tak aż płonął z ciekawości, by dowiedzieć się, o czym rozmawiają dorośli po tym, jak dzieci zostały odesłane do namiotu, gdy brzuchy wypełniło dobre jedzenie, gdy już wypalono fajki i uraczono się rozmaitymi napitkami.

Nie mógł tego znieść. Usiadł jak najciszej, nasłuchując, czy przypadkiem ktoś jeszcze się nie obudził. Niczego nie usłyszał, a po długiej chwili wstał i powolutku ruszył do wyjścia.

Długo skradał się w ciemnościach namiotu. Dzieci w najróżniejszym wieku spały z rozrzuconymi na boki kończynami i jeden niewłaściwy ruch mógłby któreś obudzić. Jego serce łomotało podnieceniem i własną śmiałością, gdy ostrożnie stąpał między niewyraźnymi zarysami kształtów, stawiając duże stopy z ostrożnością długonogich ptaków bagiennych.

Wydawało mu się, że minęła wieczność, zanim wreszcie dotarł do klapy namiotu. Stał, próbując uspokoić oddech. Wyciągnął rękę…

I dotknął dużego ciała o gładkiej skórze, które znajdowało się tuż obok. Gwałtownie cofnął dłoń, tłumiąc syknięcie.

– Co robisz? – szepnął.

– Co ty robisz? – odpowiedział ten drugi.

Durotan nagle uśmiechnął się szeroko, uświadamiając sobie, jak niemądrze obaj brzmią.

– To samo co ty – powiedział, nie podnosząc głosu, ponieważ wokół nich wszyscy inni spali. – Możemy albo o tym rozmawiać, albo to zrobić.

Widział zarys sylwetki w ciemności i na tej podstawie mógł powiedzieć, że

ten drugi ork był sporym młodzikiem w wieku zbliżonym do Durotana. Nie rozpoznawał jego zapachu ani głosu, więc tamten nie należał do Klanu Mroźnych Wilków. To dopiero było wyzwanie – zrobić coś tak zakazanego, jak opuszczenie namiotu bez pozwolenia, a do tego jeszcze w towarzystwie orka z innego klanu.

Tamten się zawahał, najpewniej identyczna myśl przeszła mu przez głowę.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Zróbmy to.

Durotan wyciągnął rękę, namacał w ciemności klapę namiotu i podwinął ostrożnie. Dwóch młodzików wyszło prosto w mroźną noc.

Durotan teraz popatrzył na towarzysza. Tamten był bardziej umięśniony i wyższy. Durotan był najwyższy spośród rówieśników w klanie, nie miał więc okazji przyzwyczaić się do tego, by towarzysze zabaw patrzyli nań z góry. Poczuł się troszkę zaniepokojony. Jego kompan w nieposłuszeństwie też odwrócił się, by popatrzeć na Durotana, i teraz młody Mroźny Wilk poczuł się taksowany spojrzeniem. Obcy skinął głową, najwyraźniej zadowolony z tego, co zobaczył.

Nie ryzykowali porozumiewania się na głos. Durotan pokazał gestem wysokie drzewo blisko namiotu i obaj ruszyli ku niemu po cichu. Przez chwilę, zapewne znacznie krócej niż im się wydawało, znajdowali się na otwartej przestrzeni, narażeni na to, że zobaczy ich każdy z dorosłych, kto akurat w tej chwili zdecyduje się odwrócić głowę. Ale nikt ich nie zauważył. Blask księżyca odbity od krystalicznie białego śniegu był tak potężny, że Durotan czuł się odsłonięty, jakby stał w promieniach słońca. A skrzypienie tego śniegu pod ich stopami musiało być głośne jak, nie przymierzając, ryk rozzłoszczonego ogra. Wreszcie dotarli do drzewa i schowali się za pniem. Gdy Durotan wreszcie odważył się odetchnąć, z ust wypłynął mu obłoczek mgły. Jego towarzysz odwrócił się doń i uśmiechnął szeroko.

– Jestem Orgrim z rodu Telkara Doomhammera z Klanu Czarnej Skały – szepnął z dumą.

Durotan był pod wrażeniem. Wprawdzie ród Doomhammera nie władał żadnym klanem, ale był powszechnie znany i szanowany.

– Jestem Durotan z rodu Garada z Klanu Mroźnego Wilka.

I teraz Orgrim musiał przyswoić sobie fakt, że siedzi z przyszłym wodzem

innego klanu. Skinął głową z aprobatą.

Przez chwilę siedzieli tylko, pławiąc się w chwale własnej śmiałości. Ale Durotan poczuł chłód i wilgoć przesączające się przez jego płaszcz z grubego futra i wstał. Ponownie wskazał na zgromadzenie orków i Orgrim w milczeniu skinął głową. Wyjrzeli zza drzewa i nadstawili uszu. Teraz z pewnością usłyszą owe tajemnice, których tak byli spragnieni. Głosy popłynęły ku nim ponad trzaskaniem drewna płonącego w ognisku, ponad niecichnącym rytmem bębnów.

– Szamani byli bardzo zajęci tej zimy z powodu gorączki – powiedział ojciec Durotana, Garad. Pogładził wielkiego białego basiora, który drzemał w cieple ogniska. Bestia o białym futrze, charakterystycznym dla mroźnego wilka, zamruczała zadowolona. – Ledwie jedno z młodych wyzdrowiało, natychmiast następne było chore.

– Ja też wypatruję już wiosny – odezwał się inny, po czym wstał i dorzucił do ogniska kolejne polano. – Zima była ciężka dla zwierzyny. Kiedy szykowaliśmy się na święto, ciężko nam było znaleźć raciczniki.

– Klaga robi z ich kości wspaniałą zupę, ale nie chce nam powiedzieć, jakich ziół do niej dodaje – wtrącił trzeci, łypiąc gniewnie na kobietę, która karmiła niemowlę.

Tamta, zapewne wspomniana Klaga, tylko się zaśmiała.

– Przepis dostanie tylko to maleństwo, jak już odpowiednio podrośnie – odpowiedziała z szerokim uśmiechem.

Durotan słuchał tego z otwartymi ustami. Spojrzał na Orgrima i przekonał się, że tamten ma taki sam wyraz twarzy – zdumienie zmieszane z niesmakiem. To było takie ważne, tak okryte tajemnicą, że dzieciom nie wolno było wychodzić z namiotu, by tego nie usłyszały? Dyskusja o gorączce i zupie?

W blasku księżyca Durotan doskonale widział twarz Orgrima, jego brwi zmarszczone z namysłem.

– Ty i ja zdołamy wymyślić coś bardziej interesującego, Durotanie – burknął niskim głosem.

Durotan uśmiechnął się szeroko i skinął głową. Nie miał co do tego wątpliwości.

*

Świętowanie trwało jeszcze dwa dni. Dwóch młodych orków wymykało się razem zarówno w dzień, jak i nocą, nieustannie rzucając sobie nawzajem wyzwania. Ścigali się, wspinali, siłowali, sprawdzali, który z nich ma pewniejszy krok. I jeden zwyciężał drugiego, zupełnie jakby się umówili wygrywać na zmianę.

Kiedy ostatniego dnia Orgrim domagał się głośno kolejnej próby, która miała ostatecznie wyłonić zwycięzcę, coś w duszy Durotana kazało mu odpowiedzieć inaczej.

– Zaprzestańmy tych pospolitych prób – nawet gdy wypowiedział te słowa, nie mógł zrozumieć, skąd się wzięły. – Zróbmy coś całkiem nowego w całej historii naszego ludu.

Orgrim pochylił się, a jego jasnoszare oczy zabłysły.

– Co proponujesz?

– Zostańmy przyjaciółmi, ty i ja.

Potężna szczęka Orgrima opadła.

– Ale… nie należymy do tego samego klanu! – wykrzyknął takim tonem, jakby Durotan zaproponował przyjaźń między wielkim czarnym wilkiem a łagodnym talbukiem.

– Nie jesteśmy wrogami – Durotan machnął dłonią lekceważąco. – Rozejrzyj się. Klany zbierają się razem dwa razy do roku i nikomu to nie szkodzi.

– Ale… mój ojciec powtarza, że udaje się utrzymać pokój właśnie dlatego, że schodzimy się tak rzadko! – nie ustępował Orgrim, marszcząc mocno brwi z przejęcia.

– No dobrze – rozczarowanie nadało słowom Durotana goryczy. – Myślałem, że wykażesz się większą niż inni odwagą, Orgrimie z rodu Doomhammera, ale nie jesteś lepszy niż oni, a bojaźliwy, nieśmiały i niezdolny, by sięgnąć wzrokiem poza to, co było zawsze, ku temu, co jest możliwe.

Słowa te popłynęły prosto z serca Durotana, ale nawet gdyby je obmyślał i przygotowywał tygodniami, nie mógłby dobrać ich lepiej. Brązowa twarz Orgrima pociemniała, młodzik szeroko otworzył oczy.

– Nie jestem tchórzem – warknął. – Nie cofam się przed żadnym wyzwaniem, nadęty Mroźny Wilku!

Skoczył na Durotana i zwalił mniejszego orka z nóg. Obaj zaczęli okładać się pięściami, aż trzeba było sprowadzić szamanów, by opatrzyli im rany i pouczyli o niestosowności walk na świętej ziemi.

– Furiat jeden – rugał Durotana najważniejszy z szamanów jego klanu, wiekowa kobieta, którą wszyscy nazywali Matką Kashur. – Nie jesteś jeszcze zbyt duży, żeby ci nie spuścić batów jak niegrzecznemu dziecku, młody Durotanie!

Szaman zajmujący się ranami Orgrima mamrotał podobnie nieprzyjemne słowa. Ale Durotan, nawet z rozkrwawionym nosem, gdy patrzył, jak szaman leczy paskudną ranę na brązowym torsie Orgrima, nie przestawał uśmiechać się od ucha do ucha. Orgrim podchwycił jego spojrzenie i też się uśmiechnął.

Próba się rozpoczęła, ostateczne wyzwanie, o wiele ważniejsze niż wszystkie wyścigi czy dźwiganie kamieni, i żaden z nich nie chciał przyznać się do porażki… nie chciał powiedzieć, że przyjaźń między młodymi orkami z różnych klanów była czymś złym. Durotan miał przeczucie, że ta próba ulegnie zakończeniu dopiero wtedy, gdy jeden z nich umrze. A może nawet i wtedy nie…

Rozdział drugi

Pamiętam, kiedym po raz pierwszy spotkał taurena. Pamiętam głęboki głos Carine'a Bloodhoofa, zwanego Krwawym Kopytem. Pamiętam, jak siedzieliśmy w namiocie, który można było rozebrać i postawić ponownie ze zdumiewającą prędkością, i czułem się dziwnie u siebie. Paliliśmy fajki, dzieliliśmy strawę i napitek, czuliśmy rytm bębnów w kościach i rozmawialiśmy. Początkowo taureni wydawali mi się zwierzęcy, ale byli mądrzy, mieli poczucie humoru i zanim jeszcze pierwsza runda negocjacji dobiegła końca, zrozumiałem, że orkowie zyskali rzadkiego sojusznika w tych na wpół bawołach.

W trakcie naszej rozmowy zapadła noc, cicha i łagodna, tak bardzo pasująca do tej pięknej krainy. Wyszliśmy z namiotu i spojrzeliśmy w gwiazdy, zbyt liczne, by ktokolwiek zdołał je porachować. Słodki wiatr pieścił nasze twarze. Zwróciłem się do Drek'Thara, by prosić o jego mądrość, i ku swemu zdumieniu zobaczyłem płynące po jego twarzy łzy, które lśniły w blasku księżyca.

– Tacy kiedyś byliśmy, mój wodzu – rzekł łamiącym się głosem. Podniósł ramiona i odchylił głowę w tył, wzywając wiatr, by go utulił, by osuszył łzy na silnej zielonej twarzy. – Bliscy ziemi. Bliscy duchom. Silni na polowaniu, łagodni przy młodych, wiedzieliśmy, że nasze miejsce w świecie jest właściwe. Rozumieliśmy równowagę brania i dawania. Jedyna magia, jaką parają się taureni, to dobra, czysta magia ziemi i ta kraina to odzwierciedla, tak jak kiedyś Draenor odzwierciedlał naszą z nim więź.

Pomyślałem o prośbie taurenów, by pomóc im walczyć ze złym, plugawym centaurem.

– Tak… współczuję im. Dobrze będzie im pomóc – powiedziałem.

Drek’Thar roześmiał się, zwracając ku mnie swe niewidzące oczy. Widział mnie lepiej niż ktokolwiek, kto zachował swój wzrok.

– Mój młody Thrallu – powiedział, wciąż się śmiejąc – nadal nie rozumiesz. To oni pomogą nam.

Durotan biegł tak szybko, jak tylko niosły go silne młode nogi. Oddech mu przyspieszył, a pot zrosił poczerwieniałą twarz, ale ork zmusił się do dalszego biegu. Nadeszło już lato, więc jego duże, szerokie stopy były bose. Czuł miękkość trawy, gdy biegł, od czasu do czasu trafiał stopą na rozkwitły fioletem kwiat dassan. Zapach rozgniecionych płatków rośliny hodowanej tradycyjnie z uwagi na jej właściwości lecznicze unosił się w górę niczym błogosławieństwo, skłaniając Durotana, by biegł jeszcze dalej, jeszcze szybciej.

Znajdował się na skraju puszczy Terokkar i parł naprzód w chłodne zielone głębie. Musiał uważać na poskręcane korzenie pięknych drzew, żeby się nie potknąć, więc zwolnił nieco. W zielonym sercu tego lasu unosiły się łagodnie zielone światła, a spokój, jakim emanował, pozostawał w wyraźnej sprzeczności z pragnieniem triumfu, które przepełniało Durotana. Przyspieszył, przesadzając porośnięte mchem przewrócone pnie, nurkował pod zwieszającymi się gałęziami z gracją talbuka. Jego czarne włosy, długie i gęste, sięgające aż do pasa, powiewały teraz za nim. Każdy oddech palił, nogi krzyczały bólem, ale Durotan tylko zacisnął zęby i nie zwracał uwagi na błagania swego ciała. Był Mroźnym Wilkiem, najpewniej kolejnym przywódcą klanu i żaden ork z Czarnej Skały nie zdoła…

Durotan usłyszał za plecami okrzyk wojenny i serce w nim zamarło. Głos Orgrima dopiero nabierał tej głębi, którą charakteryzował się ryk dorosłego, ale już brzmiał imponująco. Durotan nakazywał swoim nogom ruszać się szybciej, ale miał wrażenie, że są tak ciężkie i niezdolne do ruchu, jakby były wykute z kamienia. Kątem oka z przerażeniem dostrzegł Orgrima, który pojawił się w polu widzenia Mroźnego Wilka, by w ostatnim zrywie przemknąć obok niego.

Ork z klanu Czarnej Skały wyciągnął rękę i uderzył w pień drzewa na

polance, które miało być celem ich wyścigu, zanim zrobił to Durotan. Orgrim podbiegł jeszcze kawałek, jak gdyby jego potężne nogi raz puszczone w ruch nie mogły się zatrzymać. Nogi Durotana nie miały z tym najmniejszych kłopotów i przyszły wódz Klanu Mroźnego Wilka padł na twarz, i ledwie zdołał wyciągnąć ramiona, by złagodzić upadek. Leżał z nosem zanurzonym w chłodnym, słodko pachnącym mchu, dysząc przy tym ciężko, i wiedział, że powinien wstać, wiedział, że powinien raz jeszcze wyzwać Orgrima, ale był zbyt zmęczony. Mógł już tylko dochodzić do siebie w leśnym poszyciu.

Słyszał, jak Orgrim uwalił się obok niego, jak przetoczył się na plecy i roześmiał głośno. Durotan mu zawtórował. Ptaszki i niewielkie zwierzątka zamieszkujące Terokkar ucichły, gdy tych dwóch dawało wyraz swej radości. Zapewne im – uznał Durotan, odsłaniając swe wciąż jeszcze rosnące kły po samą nasadę – dźwięki te przypominały straszliwe okrzyki wojenne poprzedzające polowanie.

– Ha! – stęknął Orgrim i usiadł, wymierzając Durotanowi przyjacielskiego kuksańca. – Nie trzeba wiele, by pokonać takiego młodzika jak ty, Durotanie.

– Masz tyle mięśni, że twój mózg umiera z głodu – odciął się Durotan. – Umiejętności są tak samo ważne jak siła. Ale skąd Klan Czarnej Skały miałby to wiedzieć.

W ich przekomarzaniu się nie było złośliwości. Początkowo oba klany niepokoiła nieco przyjaźń dwóch młokosów, ale Durotan powtarzał uparcie, że tylko dlatego, że nikt czegoś dotąd nie robił, nie oznaczało to, że nie można było tego zrobić, co zaimponowało i zarazem rozbawiło obu wodzów. Niecodziennej przyjaźni pomógł też fakt, że zarówno Mroźne Wilki, jak i Czarne Skały były tradycyjnie klanami o dość utemperowanym charakterze. Gdyby Durotan zechciał zaprzyjaźnić się z kimś z Klanu Wojennej Pieśni albo na przykład z Przeżuwaczy Kości, którzy znani byli ze swej wyjątkowej dumy i nieufności wobec innych, niewielki płomyk przyjaźni zgasłby szybko. I tak starszyzna obserwowała dwóch młodych orków i czekała, aż owa nowość zblednie i się rozwieje, a obaj chłopcy powrócą na swoje miejsca i będą przestrzegać znanego porządku, który trwał od… odkąd tylko sięgali pamięcią.

Rozczarowali się.

Mrozy późnej zimy ustąpiły wiośnie, a potem rozkwitło lato, a przyjaźń trwała. Durotan zdawał sobie sprawę, że są z Orgrimem obserwowani, ale póki nikt się nie wtrącał, to mu to nie przeszkadzało.

Teraz zamknął oczy i położył na mchu otwarte dłonie z szeroko rozpostartymi palcami. Szaman mówił, że wszystko wokół miało w sobie życie, moc, ducha. Byli głęboko związani z duchami żywiołów – ziemią, powietrzem, ogniem, wodą a Duchem Dziczy i twierdzili, że potrafią wyczuć siłę życiową w ziemi i nawet w pozornie martwym kamieniu, Durotan wyczuwał jedynie chłód i lekką wilgoć mchu i gleby pod palcami.

Ziemia zadrżała. Otworzył gwałtownie oczy.

Usiadł błyskawicznie, sięgając po nabitą kolcami wekierę, którą zawsze nosił przy sobie. Orgrim wolał ciężki młot z drewna i metalu, tradycyjną broń Czarnych Skał, a zarazem uproszczoną wersję legendarnego młota Doomhammera, zwanego Zgładzicielem, który kiedyś miał trafić do jego rąk. Chłopcy wymienili spojrzenia. Nie musieli mówić, by się porozumieć. Czy drżenie ziemi spowodował gigantyczny racicznik o kudłatej sierści, z której powstawały wspaniałe okrycia, i czerwonym mięsie, które było w stanie nasycić cały klan, czy może coś bardziej niebezpiecznego?

Co tak naprawdę żyło w lesie Terokkar? Byli tu wcześniej raz zaledwie…

Obaj chłopcy podnieśli się jednocześnie, niewielkie ciemne oczy spoglądały czujnie ku złowieszczym enklawom mroku między blisko rosnącymi drzewami. Szukali źródła owego drżenia.

BUM. Ziemia zadygotała ponownie. Serce Durotana przyspieszyło. Jeśli to było cielę racicznika, może zdołaliby je pokonać we dwóch i podzielić zdobycz między oba klany. Zerknął na Orgrima i przekonał się, że oczy tamtego błyszczą w podnieceniu.

BUM.

BUM.

TRZASK.

Młodzi orkowie gwałtownie nabrali powietrza i cofnęli się nieco, gdy dźwięk rozległ się blisko nich. Zaledwie kilka jardów przed nimi drzewo pękło, rozsiewając drzazgi. Źródło hałasu, które jakby od niechcenia zwaliło wiekowe drzewo, teraz znalazło się w polu ich widzenia.

Istota był ogromna, zbrojna w maczugę tak dużą jak oni dwaj i z pewnością nie była raciczniki em.

Zobaczyła ich.

Otworzyła usta i zaryczała coś niezrozumiale, ale Durotan nie zamierzał nawet marnować czasu, by przekonywać się, co powiedziała.

Chłopcy myśleli to samo, odwrócili się jednocześnie i rzucili do ucieczki.

Teraz Durotan szczerze żałował, że wcześniej postanowili się ścigać, bowiem wciąż jeszcze czuł w nogach skutki tego biegu. Na szczęście usłuchały go natychmiast, widać chęć przetrwania dodała mu energii.

Jak udało im się wejść tak głęboko na terytorium ogra? I gdzie był gronn? Durotan wyobraził sobie jednego z ogrzych panów przedzierającego się przez drzewa, wysokiego, odrażającego, zbudowanego bardziej z ziemi niż z ciała, jak jedynym przekrwionym okiem łypie w kierunku dwóch niedorostków i posyła za nimi ogra, którego właśnie ujrzeli.

Durotan i Orgrim nie przeszli jeszcze inicjacji i nie pozwalano im brać udziału w polowaniach z innymi wojownikami klanu na ogry czy gronnów, co zdarzało się dużo rzadziej. Pozwalano im uczestniczyć w polowaniach, które uważano za mniej niebezpieczne, na przykład na talbuki albo inne niegroźne ofiary, jednak Durotan nie mógł się doczekać dnia, kiedy będą mogli zmierzyć się z tymi przerażającymi stworzeniami i pokonać je ku chwale klanu.

Teraz nie był już taki pewien swych pragnień. Ziemia drżała pod ich stopami, a wrzaski ogra stały się znacznie wyraźniejsze.

– Zmiażdżyć małe orki! Ja gnieść! – ryk który nastąpił po tych słowach, niemal puścił Durotanowi krew z uszu.

Stwór doganiał chłopców. Mimo rozkazów, jakie wysyłał ogarnięty paniką umysł do ciała Durotana, nakazując mu biec szybciej, szybciej, młody Wilk nie był w stanie zwiększyć odległości dzielącej go od tego potwornego giganta, którego cień był tak wielki, że niemal całkiem przesłonił światło i tak przytłumione konarami drzew.

Las rzedł, w miarę jak biegli, i wokół nich zrobiło się jaśniej. Zbliżali się już do jego krańca. Durotan wypadł spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń łąki, znów poczuł trawę pod stopami. Orgrim go wyprzedzał, ale niewiele.

Durotan poczuł, że ogarnia go rozpacz, ale zaraz po niej przyszła fala czarnej furii.

Nie byli jeszcze dorośli! Nie poszli na pierwsze prawdziwe polowanie, nie tańczyli przy ogniu z kobietami, nie skąpali się we krwi płynącej z pierwszego stworzenia zabitego w pojedynkę. Tylu rzeczy jeszcze nie spróbowali. Zginąć chwalebną śmiercią w bitwie to jedno, ale ten ohydny stwór miał nad nimi taką przewagę, że ich śmierć będzie raczej śmieszna niż godna szacunku.

Wiedząc, że może go to kosztować cenne sekundy, ale nie mogąc opanować impulsu, Durotan odwrócił głowę, by skląć ogra, zanim ten rozpłaszczy swe ofiary maczugą na podobieństwo podpłomyka.

To, co zobaczył, sprawiło, że szczęka mu opadła.

Ci, którzy przyszli im na ratunek, nie wydali nawet dźwięku. Poruszali się niczym bezdźwięczna fala błękitu bieli i srebra, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Durotan usłyszał znajomy jęk cięciw, świst tnących powietrze strzał i ułamek chwili później ryki ogra już nie pełne gniewu, ale bólu. Dziesiątki strzał, maleńkich zdałoby się, sterczało z bladego ciała i zdołało zatrzymać ogra w jego śmiertelnym pościgu. Stwór wrzasnął i próbował strzepnąć irytujące przedmioty ze skóry.

Rozległ się dźwięczny głos. Mimo że Durotan nie wiedział, co to za język, natychmiast rozpoznał słowa mocy, gdy tylko je usłyszał. Poczuł mrowienie na skórze. Nagle niebo pełne było błyskawic. Ale były to błyskawice różne od tych przywoływanych przez szamanów. Błękitnobiałosrebrna energia iskrzyła wokół ogra, wirując i zamykając się wokół potwora niczym sieć. Bestia zaryczała raz jeszcze i padła. Ziemia zadygotała.

Draenei o ciałach pokrytych jakimś metalem, który odbijał chłodne barwy magicznej energii tak mocno, że niemal oślepił Durotana, zsiedli z wierzchowców i dopadli powalonego ogra. Błysnęły ostrza, zabrzmiały kolejne słowa mocy i Durotan musiał zamknąć oczy, inaczej blask doprowadziłby go do szaleństwa.

Wreszcie zapadła cisza. Durotan uniósł powieki i zobaczył martwego ogra. Stwór gapił się na niego nieruchomymi oczami, jęzor wysunął mu się z rozchylonych ust, a całe ciało pokrywały krwawe rany i czarne ślady

spalenizny,

Cisza była tak dojmująca, że młody Wilk słyszał własny urywany oddech i sapanie Orgrima. Chłopcy popatrzyli na siebie, obaj tak samo oszołomieni tym, co właśnie rozegrało się na ich oczach.

Obaj widzieli już wcześniej draenei, ale jedynie z daleka. Draenei od czasu do czasu odwiedzali oba klany, by wymienić swe starannie wykonane narzędzia i broń, ozdobnie rzeźbione kamienie, na grube futra leśnych zwierząt, jaskrawe tkane koce i materiały do obróbki, które orkowie wydobywali z ziemi i skał. Zawsze budzili zainteresowanie klanów, ale wymiana trwała zaledwie kilka godzin. Niebieskoskórzy draenei o cichych głosach, niesamowicie uderzający, jakoś nie zachęcali do nawiązywania bliższych kontaktów, a żaden z wodzów nie zaprosił ich nigdy do ogniska i nie ugościł. Stosunki między rasami były raczej przyjazne, ale bardzo powściągliwe i obie strony wydawały się z tego zadowolone.

Teraz przywódca grupy, która pojawiła się tak niespodziewanie, zmierzał ku Durotanowi. Siedząc na ziemi, Durotan miał okazję zobaczyć to, czego nie dostrzegał nigdy wcześniej, spoglądając na draenei z daleka.

Ich nogi nie były proste, nie stanowiły równej linii od bioder do ziemi. Wyginały się do tyłu… jak u talbuków i kończyły się rozdwojonymi niebieskimi kopytami, do tego od kopyta w górę okrywał je metal. I… tak, niewątpliwie, gruby bezwłosy ogon uderzał lekko na boki. Teraz właściciel kopyt i ogona pochylił się i wyciągnął mocną niebieską dłoń. Durotan zamrugał, przez ułamek chwili jeszcze patrzył na zaskakujący kształt stóp draenei i gadzi ogon, po czym wstał bez pomocy. Spojrzał w twarz widoczną poniżej krawędzi metalu, który ujmował głowę obcego, zupełnie jakby wyrosła mu na niej dziwaczna zbroja. Czarne włosy i broda spływały na kolorowy tabard, a pałające oczy miały barwę zimowego jeziora.

– Zraniłeś się? – zapytał draenei w chropawym wspólnym języku. Wyraźnie miał problemy, by wymówić gardłowe sylaby orkowej mowy.

– Tylko moja duma został zraniona – Durotan usłyszał, jak Orgrim mruczy w dialekcie swego klanu. On sam też czuł nieprzyjemne ukłucie. Draenei najwyraźniej ocalili ich obu i Durotan był wdzięczny, ale przecież widzieli dwóch dumnych orków umykających przed niebezpieczeństwem. Owszem,

niebezpieczeństwo było naprawdę poważne – jeden cios gigantycznej maczugi zmiażdżyłby obu chłopców na placek – ale jednak.

Draenei nie usłyszał słów Orgrima albo ich nie zrozumiał, albo też postanowił je zignorować. Durotan zobaczył, jak błękitne wargi wyginają się w uśmiechu. Draenei zerknął w górę i ku swojemu przerażeniu Durotan uświadomił sobie, że słońce chyli się nad horyzontem.

– Wy dwaj zawędrowaliście daleko od domu, a słońce kładzie się na spoczynek – powiedział ich niebieski wybawiciel. – Z jakiego klanu pochodzicie?

– Ja jestem Durotan z Klanu Mroźnego Wilka, a to Orgrim z Klanu Czarnej Skały.

Draenei wydawał się szczerze zaskoczony,

– Dwa różne klany? Jeden z was rzucił wyzwanie drugiemu? Walczyliście, że tak bardzo oddaliliście się od swych siedzib?

Durotan i Orgrim wymienili spojrzenia,

– Tak… i nie – odparł ten pierwszy. – Jesteśmy przyjaciółmi.

Draenei otworzył szeroko oczy.

– Przyjaciele… z dwóch różnych klanów?

Orgrim skinął głową.

– Tak – dodał nieco obronnym tonem. – To nie jest częścią naszej tradycji, ale nie jest zabronione.

Draenei przytaknął w milczeniu, ale nadal wyglądał na zaskoczonego. Przez chwilę przyglądał się obu orkom, po czym odwrócił się do swych dwóch towarzyszy i mruknął coś w swoim języku. Durotan uznał mowę draenei za wyjątkowo melodyjną, niczym dźwięk strumienia wijącego się wokół kamieni albo śpiew ptaka. Dwaj draenei wysłuchali z uwagą i kiwnęli potakująco głowami. Jeden odczepił bukłak od pasa, napił się i ruszył biegiem ze zręcznością dorównującą talbukom ku południowemu zachodowi, gdzie znajdowały się ziemie Mroźnych Wilków. Drugi pomknął na wschód, do siedziby Czarnej Skały.

Ten zaś, który rozmawiał z orkami, znowu się do nich odwrócił.

– Zawiadomią wasze rodziny, że jesteście cali i zdrowi. Jutro wrócicie do swych domów, a tymczasem z radością oferuję wam gościnę wśród nas.

Nazywam się Restalaan. Jestem dowódcą straży Telmoru, miasta, z którym oba wasze klany handlują regularnie. Z przykrością przyznaję, że nie pamiętam żadnego z was, ale młodzi orkowie zdają się nieco nieufni względem nas, gdy odwiedzamy wasze ziemie.

– Nie boję się nikogo i niczego – zjeżył się Orgrim.

Restalaan uśmiechnął się lekko.

– Uciekałeś przed ogrem… – Brązowa twarz Orgrima pociemniała, a jego oczy błysnęły gniewnie, Durotan lekko opuścił głowę. Tak jak się obawiał, Restalaan i inni byli świadkami ich wstydu i teraz obaj z Orgrimem staną się przedmiotem kpin. – A to – mówił spokojnie Restalaan, jakby nie zauważył efektu swych poprzednich słów – to jest mądrość. Gdybyście nie uciekli, jutro musielibyśmy posłać waszym rodzinom dwa trupy zamiast dwóch zdrowych i silnych młodych orków. Strach nie jest powodem do wstydu, Orgrimie i Durotanie. Tylko to, gdy strach powstrzymuje was przed zrobieniem tego, co zrobić należy. A w tym przypadku ucieczka była definitywnie tym, co należało zrobić.

Durotan wysunął buntowniczo podbródek.

– Pewnego dnia będziemy silni i urośniemy dostatecznie, a wtedy ogry będą nas się bały.

Restalaan zwrócił ku niemu oczy lśniące w łagodnym obliczu i ku zdumieniu Durotana przytaknął.

– Zgadzam się z tobą całkowicie. Orkowie to potężni myśliwi.

Orgrim zmrużył oczy, szukając w twarzy draenei kpiny, ale jej nie zobaczył,

– Chodźcie – powiedział Restalaan. – Las Terokkar obfituje nocą w niebezpieczeństwa, którym nawet strażnicy Telmoru niechętnie stawiają czoła. Pójdźmy.

*

Durotan był wyczerpany, ale zmusił się, by biec w równym tempie. Nie zamierzał okryć się wstydem dwukrotnie tego samego dnia. Biegli już jakiś czas, gdy słońce zapadło się za horyzont wśród niesamowitej feerii szkarłatu, złota, a na końcu fioletów. Raz po raz popatrywał w górę, starał się nie być

niegrzeczny, ale przepełniała go ciekawość za każdym razem, gdy patrzył na tych obcych oddalonych odeń o kilka jardów zaledwie. Czekał też na oznaki świadczące, że zbliżają się do miasta, szlaki wydeptane licznymi stopami, kopce ogniste oświetlające drogę, cienie na ciemniejącym niebie. Niczego jednak nie widział. I gdy biegli dalej, poczuł nagle zimne ukłucie strachu.

A co, jeśli draenei wcale nie zamierzali pomóc jemu i Orgrimowi? Co, jeśli zamierzali ich pojmać? Zażądać wykupu od klanów? Albo gorzej jeszcze – zamierzali złożyć w ofierze jakiemuś mrocznemu bogowi albo…

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Restalaan. Zsiadł z wierzchowca i ukląkłszy, począł rozgarniać liście i sosnowe igły. Orgrim i Durotan wymienili skonsternowane spojrzenia. Wciąż byli w środku lasu. Nigdzie nie widzieli miasta ani dróg. Zebrali się w sobie. Tamtych było więcej, ale żaden z chłopców nie zamierzał poddać się bez walki.

Wciąż klęcząc na kobiercu z igieł, Restalaan odsłonił piękny kryształ, dotąd schowany wśród poszycia. Durotan gapił się oczarowany pięknem tego przedmiotu. Zmieściłby się w jego dłoni i pragnął go dotknąć, poczuć jego gładkość, dziwne pulsowanie w zetknięciu ze skórą. Sam nie wiedział skąd, ale pewien był, że kamień emanował spokojem, jakiego młody ork nigdy jeszcze nie doświadczył. Restalaan wymówił ciąg sylab, które wypaliły się w umyśle Durotana.

– *Kehla men samir, solay lamaa kahl*.

Las począł się marszczyć, migotać, jakby był odbiciem uchwyconym w nieruchomej tafli jeziora, do którego nagle ktoś wrzucił kamień. Mimowolnie Durotan głośno wciągnął powietrze. Migotanie przybrało na sile i nagle nie było już lasu, drzew, tylko szeroka wybrukowana droga prowadząca skrajem gór do miejsca, jakiego Durotan nigdy nie byłby w stanie sobie wyobrazić.

– Jesteśmy w samym sercu ziem zamieszkanych przez ogry, choć tak nie było, gdy wzniesiono miasto dawno temu – powiedział Restalaan, wstając. – Jeśli ogry nas nie widzą, nie mogą nas atakować.

Durotan wreszcie odzyskał zdolność mowy,

– Ale… jak?

– Prosta iluzja, nic więcej. Sztuczka… światła.

Było coś w sposobie, w jakim to powiedział, że Durotan aż poczuł mrowienie na skórze. Na widok miny młodego orka Restalaan zdecydował się na dalsze wyjaśnienia.

– Nie zawsze możemy ufać oczom. Myślimy, że to, co widzimy, jest rzeczywiste, że światło zawsze odsłania nam każdą rzecz w ten sam sposób. Ale światłem i cieniem można manipulować, kierować, o ile ktoś je rozumie. Wymawiając tamte słowa i dotykając kryształu, zmieniłem sposób, w jaki światło pada na skały, drzewa, krajobraz. I tak twoje oczy dostrzegają coś zupełnie innego niż to, co widziałeś przed chwilą albo wydawało ci się, że widzisz.

Durotan miał świadomość, że nadal niemądrze się gapi. Restalaan zaśmiał się lekko.

– Chodźcie, moi nowi przyjaciele. Pójdźcie za mną, gdzie nie trafił jeszcze nikt z waszego ludu. Przejdźcie się drogami mego domu.

Rozdział trzeci

Drek'Thar nigdy nie widział miast draenei, gdy trwał pokój. Zobaczył je dopiero, gdy… Chyba jednak nadmiernie wybiegam w przyszłość. Ale powiedział mi, że ojciec mój kroczył ich lśniącymi drogami, jadł ich jedzenie, spał w ich domach i rozmawiał z nimi. Zobaczył fragmenty świata tak różnego od naszego, że nawet dzisiaj ciężko to objąć umysłem. Nawet ziemie kaldorei nie są mi tak obce jak to, czego nauczyłem się o draenei. Drek'Thar powiedział, że Durotanowi brakło słów, aby opisać, co widział. Może dziś, gdyby mieszkał w krainie, która nosi jego imię, i zobaczywszy to, co ja widziałem, znalazłby te słowa.

Żal ma gorzki smak…

Durotan nie mógł się ruszyć.

Zupełnie jakby niesamowita sieć lśniącej energii oplotła go, jak oplotła ogra, i nie umiał się jej oprzeć. Patrzył z rozchylonymi ustami, próbując jakoś zrozumieć to, co przekazywały mu oczy.

Miasto draenei było przepiękne! Wplecione w zbocze góry, jakby z niego wytrysnęło, przed oczyma Durotana rozciągało się w nieopisanie pięknej unii kamienia i metalu, natury i kunszcie budowniczym. Nie do końca rozumiał, co widzi, ale wiedział, że było to doskonale harmonijne, a w miarę jak rozwiewała się kryjąca je iluzja, miasto ujawniało swą refleksyjną wspaniałość. Wszystko, co widział Durotan, prowadziło jego spojrzenie w górę. Masywne schody, szerokie i śmiałe na dole, zwężające się ku szczytowi, gdzie znajdowały się sferyczne siedziby. Jedna przypomniała Durotanowi skorupę ślimaka, inna grzyba. Połączenie było uderzające.

Skąpane w barwach zachodzącego słońca schody zyskiwały miękkie krawędzie, a domy zdawały się jeszcze bardziej zapraszające.

Obrócił się, by zobaczyć podobny zachwyt na twarzy Orgrima, dostrzegł też lekki uśmiech wyginający błękitne wargi Restalaana.

– Jesteście tu serdecznie witanymi gośćmi, Durotanie i Orgrimie – powiedział draenei.

Te słowa przełamały oczarowanie obu orków i Durotan poruszył się niezgrabnie. Kamienne drogi wygładzone były przez czas, a może ręce draenei, nie umiał tego rozstrzygnąć. Gdy przeszli dalej, Durotan zobaczył, że miasto ciągnie się w górę zbocza. Wzór składający się z szerokich, śmiałych stopni wiodących do struktur o miękkich, zakrzywionych liniach i tu się powtarzał. Długie drogi wybrukowane białym kamieniem jakoś nie nosiły śladów zabrudzeń, choć przynajmniej dziesięć pokoleń orków żyło i umarło od czasu, gdy zjawili się draenei. Zamiast wykorzystywać skóry i rogi zwierząt ubitych w trakcie polowań, draenei najwyraźniej korzystali z darów ziemi. Wszędzie widać było lśniące kamienie i ten intrygujący jasnobrązowy metal, jakiego Durotan nigdy jeszcze nie widział. Orkowie znali metale, umieli sprawić, by im służyły. Durotan sam pomagał w polowaniach, używając toporu i miecza. Ale to…

– Z czegóż zrobione jest wasze miasto? – spytał Orgrim. Było to pierwsze zdanie, jakie wypowiedział od chwili, gdy rozpoczęli swą dziwną podróż w towarzystwie draenei.

– Z wielu rzeczy – odparł Restalaan uprzejmie.

Minęli właśnie bramę i mieszkańcy miasta obrzucali ich zaintrygowanymi spojrzeniami, w których jednak nie było cienia wrogości.

– Jesteśmy podróżnymi, nowymi przybyszami w waszym świecie.

– Nowymi? – powtórzył Durotan. – Minęło dwie setki wiosen od czasu, gdy twój lud tu przybył. Nie byliśmy tacy, jacy jesteśmy teraz.

– To prawda – zgodził się gładko Restalaan. – Przyglądaliśmy się, jak orkowie rosną w siłę, talenty i zdobywają nowe umiejętności. Zaimponowaliście nam.

Durotan wiedział, że słowa te miały być komplementem, ale zakłuły go nieprzyjemnie. A może… może draenei wierzą, że są w jakiś sposób lepsi od

orków? Myśl ta przemknęła mu przez głowę, ulotna niczym dotknięcie skrzydeł motyla. Rozglądał się wokoło, odkąd się tu zjawili, i ku jego zawstydzeniu musiał przyznać, że żadne z orkowych domostw nie było tak ozdobne, tak skomplikowane. Ale też… orkowie nie byli draenei. Nie potrzebowali ani nie wybrali takiego życia, jakie wiedli draenei.

– Odpowiadając na twoje pytanie, Orgrimie, gdy przybyliśmy tutaj, zużyliśmy wszystko, co ze sobą zabraliśmy. Wiem, że twój lud buduje łodzie, by przemierzać jeziora i rzeki. My przybyliśmy tu łodzią, która mogła przemierzyć niebo… Ta nasza łódź zrobiona była z metalu i… innych surowców, a kiedy zrozumieliśmy, że to miejsce stanie się naszym nowym domem, rozebraliśmy łódź na części i wykorzystaliśmy je przy budowie miasta.

Zatem stąd wziął się ten niesamowity, zgaszony, poskręcany metal, który zdawał się przypominać zarazem miedź i skórę. Durotanowi oddech uwiązł w gardle. Za nim Orgrim popatrzył gniewnie spod zmarszczonych brwi.

– Kłamiesz! Metal nie może latać!

Za takie zuchwalstwo ork warknąłby i zdzielił Orgrima przez łeb, i to nielekko. Ale draenei tylko się zaśmiał.

– Niektórzy mogliby tak myśleć. Ale mogliby też uznać, że niemożliwe jest wezwać żywioły, by walczyć z ogrem.

– To co innego. – Orgrim pociągnął nosem. – To jest magia.

– I tamto też, pewnego rodzaju – odparł Restalaan.

Skinieniem dłoni przywołał jednego ze swoich i powiedział doń coś we własnym języku. Ów draenei kiwnął głową i odszedł spiesznie.

– Chciałbym, żebyście kogoś poznali, o ile nie jest zbyt zajęty – powiedział Restalaan i zamilkł.

Durotan chciał mu zadać tysiące pytań, ale się nie ośmielił, miał bowiem przeczucie, że tylko by się ośmieszył. Orgrim najwyraźniej zaakceptował wyjaśnienie dotyczące magii. Teraz obaj młodzi orkowie niemal wykręcali sobie szyje, próbując wszystko obejrzeć.

Mijali licznych mieszkańców miasta, zobaczyli nawet młodą draenei, która wydawała się w tym samym wieku co oni. Była delikatna, ale wysoka i gdy Durotan pochwycił jej spojrzenie, wyglądała na spłoszoną. Ale zaraz łagodny

uśmiech wygiął jej wargi i pochyliła głowę nieśmiało.

Durotan uśmiechnął się w odpowiedzi, za nim dotarło doń, że to robi.

– W naszej osadzie widać wiele dzieci. Gdzie są dzieci draenei? – spytał spontanicznie.

– Nie mamy ich zbyt wielu – odparł Restalaan. – Nasz lud żyje bardzo długo i dlatego rzadko mamy dzieci.

– Jak długo żyjecie? – zainteresował się Orgrim.

– Bardzo – odpowiedział lakonicznie Restalaan. – Wystarczy powiedzieć, że pamiętam, jak tu przybyliśmy.

Orgrim otwarcie gapił się na ich przewodnika. Durotan miał ochotę trącić przyjaciela łokciem, ale ten szedł zbyt daleko. I nagle młody Wilk uświadomił sobie, że draenei, którą przed chwilą minęli, pewnie wcale nie była w ich wieku. Naraz posłaniec, którego Restalaan wysłał przodem, powrócił i powiedział coś szybko. Restalaan wydawał się zadowolony z tych słów i z uśmiechem obrócił się do obu orków.

– Ten, który sprowadził nas do tego świata, nasz prorok, Velen, zatrzymał się tu na kilka dni. Pomyślałem, że może chciałby się z wami zobaczyć. Nieczęsto miewamy gości. – Restalaan uśmiechnął się szerzej. – Z przyjemnością chcę wam przekazać, że Velen nie tylko zgodził się z wami spotkać, ale zaprosił was, byście zostali z nim tego wieczoru. Zjecie z nim obiad i przenocujecie w domu magistra. To wielki zaszczyt.

Obaj chłopcy byli oszołomieni. Obiad w towarzystwie proroka? Przywódcy dreanei?

Durotan zaczynał dochodzić do wniosku, że byłoby lepiej, gdyby ogr zgniótł go swoją maczugą.

*

Posłusznie szli za Restalaanem, który prowadził ich krętymi, stromymi ulicami przez podnóże góry do wielkiego budynku, jaki wybudowano najwyżej. Mocne i idealnie kwadratowe stopnie zdawały się wznosić w nieskończoność i oddech Durotana przyspieszył. Młody Wilk dotarł na szczyt schodów i począł z zainteresowaniem przyglądać się konstrukcji przypominającej ślimaczą skorupę.

– Spójrzcie za siebie – zasugerował Restalaan.

Obaj młodzi orkowie posłuchali i Durotanowi dech uwiązł w gardle. Poniżej niczym klejnot na łące rozpościerało się miasto draenei. Ostatnie promienie zachodzącego słońca nadały siedzibie draenei płomiennych barw, a w kolejnych chwilach miasto pogrążało się w odcieniach fioletu i szarości. W domach zapłonęły światła, przywodząc Durotanowi na myśl gwiazdy osiadające na ziemi.

– Nie chcę się przechwalać, ale jestem dumny z mego ludu i naszego miasta – powiedział Restalaan. – Bardzo ciężko tu pracowaliśmy. Kochamy Draenor. Nigdy nie sądziłem, że będę miał okazje podzielić się tym z orkiem. Zaiste, przeznaczenie prowadzi nas dziwnymi drogami.

Gdy powiedział te słowa, głęboki, jakby przedwieczny smutek naznaczył te silne, niebieskie rysy. Restalaan otrząsnął się z przygnębienia i uśmiechnął.

– Chodźcie do środka, zajmiemy się wami.

Przekroczyli próg domu magistra w milczeniu, bowiem szok niemalże odebrał im zdolność mowy. Chłonęli wszystkie widoki i zapachy tego obcego miejsca.

Zaprowadzono ich do pomieszczeń, które niewątpliwie były wspaniale ozdobione i piękne, ale też sprawiły, że chłopcy poczuli się jak w zamknięciu. Łagodne krzywe ścian, tak atrakcyjne z zewnątrz i od środka, były piękne, ale zdawały się raczej ich ograniczać, niż otaczać. Owoce w misach czekały, aż ktoś je zje, przygotowano im dziwne stroje, a na środku stały ogromne pojemniki z wodą tak gorącą, że aż parowała.

– Woda jest zbyt gorąca, by ją pić, jest jej też za dużo na napar z liści – stwierdził Durotan.

– To na kąpiel – odparł draenei.

– Kąpiel?!

– By zmyć brud z ciał – wyjaśnił Restalaan.

Orgrim obrzucił go uważnym spojrzeniem, ale draenei najwyraźniej nie żartował.

– My się nie kąpiemy – warknął Orgrim gardłowo.

– Latem pływamy w rzece – powiedział Durotan. – Może to chodzi o to samo.

– Nie musicie robić niczego, co sprawi, że poczujecie się niezręcznie – zapewnił ich Restalaan. – Kąpiel, jedzenie i ubrania są tu tylko dla waszej wygody i przyjemności. Prorok Velen spodziewa się was za godzinę. Wtedy po was przyjdę. Czy potrzeba wam jeszcze czegoś?

Zaprzeczyli w milczeniu. Restalaan skinął głową i zamknął za sobą drzwi. Durotan natychmiast odwrócił się w stronę Orgrima.

– Myślisz, że jesteśmy w niebezpieczeństwie?

Orgrim powiódł taksującym spojrzeniem po dziwnych materiałach i kadziach z gorącą wodą.

– Nie – stwierdził. – Ale… czuję się jak w jaskini. Wolałbym być w namiocie.

– Ja także. – Durotan podszedł do ściany i ostrożnie dotknął jej zakrzywionej miękko powierzchni. Była chłodna i gładka. Uświadomił sobie nieoczekiwanie, że spodziewał się, iż okaże się ciepła… i w jakiś sposób żywa.

Obrócił się i wskazał przyjacielowi gorącą wodę.

– Chcesz spróbować?

– Nie – odrzekł Orgrim i obaj wybuchnęli śmiechem.

W końcu ochlapali twarze i odkryli, że gorąca woda jest przyjemniejsza, niż przypuszczali. Zjedli owoce, zaspokoili pragnienie i uznali, że kamizelki z tkaniny mogą zastąpić ich sztywne od potu tuniki, ale nie zdjęli skórzanych bryczesów.

Czas mijał szybciej, niż im się wydawało, bowiem gdy akurat pochłonęło ich wyzwanie i próba siły, polegającą na zginaniu metalowych nóg krzesła, rozległo się ciche pukanie do drzwi. Obaj podskoczyli jak przyłapani na czymś niecnym. Orgrimowi udało się nieco nagiąć nogę mebla i teraz krzesło stało nieco krzywo.

– Prorok jest gotów się z wami zobaczyć – powiedział Restalaan.

*

On jest Starszym – pomyślał Durotan natychmiast, gdy jego spojrzenie napotkało wzrok proroka Velena.

Spotkanie z innym draenei w twarzą w twarz było wystarczająco

zadziwiające. W wypadku Velena było to zupełnie odmienne doznanie.

Prorok draenei był o głowę wyższy od wszystkich strażników, jakich Durotan dotąd widział. Ale nie dorównywał im pod względem budowy. Ciało osłonięte miękką, powiewającą szatą w kolorze jasnego brązu wydawało się słabiej umięśnione. Ale jego skóra! Miała ciepłą barwę alabastru. Oczy, głęboko osadzone, o mądrym spojrzeniu, lśniły jaskrawym błękitem, otoczone były głębokimi zmarszczkami, które pozwalały przypuszczać, że draenei był nie tylko Starszym, ale wręcz Starożytnym. Srebrne włosy nie spływały na plecy jak u pozostałych draenei, a ozdobnie splecione, odsłaniały bladą czaszkę, za to broda niczym srebrna fala sięgała piersi.

Nie Starszy. Ani nawet Starożytny – pomyślał Durotan, gdy to płonące błękitem spojrzenie zatrzymało się na nim i zdawało przewiercać na wylot. Niemal… poza czasem.

Durotan przypomniał sobie słowa Restalaana, że on sam liczył sobie ponad dwieście wiosen.

Velen był znacznie starszy.

– Witajcie – odezwał się Velen, miękkim łagodnym głosem. Wstał i skłonił przed nimi głowę, wprawiając w taniec srebrne warkocze. – Jestem Velen. Cieszę się, że moi bracia was znaleźli, aczkolwiek nie wątpię, że za kilka lat sami bez trudu poradzicie sobie z ogrem, a nawet z gronnem.

I znów Durotan nie umiał wyjaśnić, skąd ta pewność, ale wiedział, że nie był to pusty komplement. Orgrim także to wyczuł, bowiem wyprostował się jeszcze bardziej i spojrzał draenei prosto w oczy.

Velen gestem zaprosił ich, by usiedli, co uczynili bez wahania. Durotan czuł się dziwnie, siedząc przy ogromnym stole na bogato rzeźbionych krzesłach. Gdy przyniesiono jedzenie, rozluźnił się. Comber z talbuka, pieczone białopióry, wielkie bochenki chleba i półmiski z górami warzyw – to było jedzenie, które znał, które rozumiał. A jednak spodziewał się czegoś całkowicie innego. Dlaczego? Może ich budowle i sposób życia różniły się skrajnie od orczych, ale tak jak orkowie draenei musieli żywić się tym, co mogła im dać ziemia. Jedzenie draenei było nieco odmiennie przygotowane: orkowie przyrządzali mięso, gotując je w wodzie albo opiekając nad płomieniem, o ile w ogóle je przyrządzali. Bardzo często mięso spożywali

surowe. Jednak jedzenie to jedzenie, a to podane przez draenei było przepyszne.

Velen był wspaniałym gospodarzem. Pytał i zdawał się szczerze zainteresowany odpowiedziami. Ile lat muszą mieć chłopcy, by mogli polować na ogry lub by wybrać partnerkę? Jakie było ich ulubione jadło? Ulubiona broń? Orgrim rozluźnił się bardziej nawet niż Durotan i zaczął opowiadać o swym męstwie. Trzeba mu było oddać, że nie musiał przesadzać.

– Kiedyś odziedziczę Doomhammera – oznajmił Orgrim z dumą. – To honorowa broń, przekazywana z ojca na najstarszego syna.

– I będziesz nim władał wyśmienicie, Orgrimie – stwierdził Velen. – Ale tuszę, że wiele lat minie, zanim przyjmiesz imię Doomhammera.

Fakt, że jego ojciec będzie musiał umrzeć, zanim on stanie się Orgrimem Doomhammerem, najwyraźniej umknął na chwilę młodemu orkowi, który teraz natychmiast spoważniał. Velen uśmiechnął się z odrobiną smutku, jego oblicze przecięły delikatne pęknięcia niczym najdelikatniejsza z sieci pajęczych.

– Opisz mi, proszę, ten młot, to musi być potężna broń.

Orgrim znów się rozjaśnił.

– Jest przeogromny! Potężny obuch jest z czarnego kamienia, a stylisko wykonane ze starannie obrobionego drewna. W ciągu tych wszystkich lat stylisko wymieniano, ale od obucha nie odprysł nawet kawałek. Mówią nań Zgładziciel, bo kiedy właściciel niesie go do bitwy, oznacza to zagładę jego wrogów.

– Rozumiem. – Velen nie przestawał się uśmiechać.

Orgrim rozgrzewał się w swej opowieści o mocarnej broni.

– Ale nie tylko to o nim mówią. Jest jeszcze przepowiednia, że ostatni z linii Doomhammerów użyje go, by najpierw nieść wybawienie, a potem zagładę orczemu ludowi. Wtedy młot trafi w inne ręce, nienależące do Klanu Czarnej Skały, i znów się odmieni. Od tej chwili będzie niósł sprawiedliwość.

– To potężna przepowiednia – stwierdził Velen.

Nie dodał nic więcej, ale Durotana i tak przeszedł dreszcz. Ten draenei

nazywany był „prorokiem” przez swoich pobratymców. Czyżby wiedział, że przepowiednia dotycząca Doomhammera się spełni? Czy Durotan ośmieli się go o to zapytać?

Orgrim nie przestawał mówić, opisywał każdy szczegół ukochanej broni. Durotan, który widział broń na własne oczy, przestał słuchać Orgrima i skupił się na Velenie. Dlaczego ów obcy był tak nimi zainteresowany?

Durotan był wrażliwym młodzikiem, miał tego świadomość. Podsłuchał strzępki rozmowy rodziców, którzy martwili się tą wrażliwością, i Matki Kashur, która ich zrugała i kazała martwić się o rzeczy ważne, a „chłopca zostawić jego przeznaczeniu”. Durotan uważał, że jest w stanie rozpoznać udawane zainteresowanie, nawet u draenei. Ale olśniewające niebieskie oczy Velena błyszczały jasno, spojrzenie miał skupione, jego dobra, choć brzydka twarz pozostawała otwarta, a pytania ze wszech miar szczere. Chciał słuchać o orkach. A im dłużej słuchał, tym smutniejszy się wydawał.

Chciałbym, żeby Matka Kashur mogła tu być zamiast mnie – pomyślał nieoczekiwanie Durotan. – Doceniłaby tę możliwość, bardziej niż ja i Orgrim jesteśmy w stanie.

Orgrim zakończył opisywanie Doomhammera.

– Możesz opowiedzieć nam o swym ludzie, Proroku? – spytał Durotan. – Tak niewiele o was wiemy. Przez kilka ostatnich godzin dowiedziałem się chyba więcej niż mój lud przez sto lat.

Velen zwrócił na niego spojrzenie płonących niebieskich oczu. Młody Wilk miał ochotę ukryć się przed tym spojrzeniem, nie ze strachu, ale dlatego że nigdy wcześniej nie czuł się tak… widziany.

– Draenei nigdy nie próbowali niczego zataić, młody Durotanie. Ale… możesz być pierwszym, który kiedykolwiek o to pytał. Czego chciałbyś się dowiedzieć?

Wszystkiego, chciał powiedzieć Durotan, ale sprecyzował pytanie:

– Orkowie nigdy nie spotkali draenei przed dwiema setkami wiosen. Restalaan powiedział, że przybyliście tu w łodzi, która przemierzyła niebo. Opowiedz mi coś więcej o tym.

Velen upił nieco napoju, który zdaniem Durotana smakował jak lato, i się uśmiechnął.

– Zacznijmy od tego, że draenei nie jest prawdziwą nazwą naszego ludu. To słowo oznacza „wygnani”.

Durotan otworzył usta ze zdziwienia,

– Nie zgadzaliśmy się z innymi w naszym świecie. Nie chcieliśmy sprzedać naszego ludu w niewolę i za to zostaliśmy wygnani. Wiele czasu upłynęło nam na szukaniu miejsca zdatnego, by w nim zamieszkać, miejsca, które moglibyśmy nazwać naszym. Pokochaliśmy ten świat i daliśmy mu imię Draenor.

Durotan skinął głową. Słyszał już to słowo. Podobało mu się, jak spływało z warg, jak leżało na języku, gdy je wymawiał. No i orkowie nie mieli innej nazwy dla tego miejsca jak tylko świat.

– To nasza nazwa, nie jesteśmy tak zadufani w sobie, by uważać, że orkowie też będą go używać. Ale tak nazwaliśmy ten świat i kochamy Draenor głęboko. To piękny świat, a my widzieliśmy ich wiele.

Orgrim gwałtownie nabrał powietrza.

– Widzieliście inne światy?

– W rzeczy samej. I spotkaliśmy wiele ludów.

– Takich jak orkowie?

Velen uśmiechnął się łagodnie.

– Nie ma drugich takich – odparł, a w głosie jego pobrzmiewał szacunek. – Jesteście jedynymi, jakich spotkaliśmy w trakcie naszych podróży.

Durotan i Orgrim wymienili się spojrzeniami i nieco wyżej unieśli głowy.

– Ale tak, podróżowaliśmy przez jakiś czas, zanim trafiliśmy na to miejsce. I oto jesteśmy i tu pozostaniemy.

Durotan aż się palił do kolejnych pytań: jak długo podróżowali, jaki był ich ojczysty świat, dlaczego go opuścili? Ale w pozbawionej wieku twarzy Velena było coś takiego, że Durotan zrozumiał – nawet jeśli przywódca draenei zachęcił go do zadawania pytań, to na te nie odpowie.

Postanowił więc zapytać o naturę ich broni i magii.

– Nasza magia pochodzi z ziemi – zaczął. – Od szamana i przodków.

– Nasza pochodzi z innego źródła – odpowiedział Velen. – Nie sądzę, byście zrozumieli, nawet gdybym spróbował wyjaśnić.

– Nie jesteśmy głupi – obruszył się gwałtownie Orgrim.

– Wybaczcie, nie zamierzałem tego sugerować – wycofał się natychmiast Velen i były to szczere przeprosiny pełne wdzięku. Po raz kolejny Durotan był pod wrażeniem. – Twój lud jest mądry, wy dwaj też jesteście nader bystrzy, co widać od razu. Ale… nie wiem, czy w waszym języku istnieją właściwe słowa. Nie mam wątpliwości, że wszystko byście zrozumieli, gdybyśmy mieli dość czasu i odpowiedni zasób słownictwa.

Nawet udzielając tych wyjaśnień, wyraźnie szukał właściwych słów. Durotan pomyślał o magii, mogącej ukryć całe miasto o osobliwym metalu, który jakimś sposobem został połączony z klejnotami ziemi i twardym kamieniem, i zrozumiał, że Velen ma rację. Nie było takiego orka, który zdołałby pojąć to wszystko w jeden wieczór, aczkolwiek był przekonany, że Matka Kashur posiadała odpowiednie podstawy, i po raz kolejny zastanawiał się, dlaczego obie rasy nie starały się poznać lepiej.

Rozmowa zeszła na tematy bardziej zwyczajne. Młodzi orkowie dowiedzieli się, że w głębi puszczy Terokkar znajdowało się miejsce święte dla draenei, nazywane Auchindoun. Tam składali swych zmarłych na ostatni spoczynek, zakopywali ich w ziemi – w przeciwieństwie do orków, którzy wznosili stosy pogrzebowe. Durotan uznał zwyczaj draenei za dziwaczny, ale trzymał język za zębami. Telmor był najbliżej położony tego miasta umarłych i Velen przybył dopełnić smutnego obowiązku złożenia na spoczynek kilku draenei; zginęli oni, walcząc z tym samym ogrem, który niemal dopadł Orgrima i Durotana.

Velen wyjaśnił im, że na co dzień mieszka w przepięknym miejscu nazywanym Świątynią Karaboru. Były też inne miasta draenei, a największe z nich, Shattrath, znajdowało się na północy.

Ale posiłek dobiegł wreszcie końca. Velen westchnął, spojrzał na pusty talerz, ale Durotan był pewien, że Prorok nawet nie widział naczynia.

– Wybaczcie mi – powiedział draenei, wstając od stołu. – To był długi dzień, a muszę pogrążyć się w medytacji, zanim zasnę. To był zaszczyt was poznać, Durotanie z Klanu Mroźnego Wilka i Orgrimie z Klanu Czarnej Skały. Ufam, że będziecie dziś spać mocno, bezpieczni wśród ścian, gdzie dotąd nie zawitał jeszcze nikt z waszego ludu.

Obaj orkowie wstali i skłonili się gospodarzowi. Velen uśmiechnął się, ale

była w tym uśmiechu odrobina owego dziwnego smutku, który już wcześniej dostrzegł Durotan w przywódcy draenei.

– Spotkamy się jeszcze, moi młodzi przyjaciele. Dobranoc.

Obaj chłopcy też odeszli od stołu chwilę później. Odprowadzono ich do przeznaczonych im pomieszczeń i istotnie zasnęli mocnym, dobrym snem. Durotan śnił o starym orku siedzącym w milczeniu u jego boku i rano zastanawiał się, co to mogło znaczyć.

*

– Przyprowadź go – rzekł stary ork do Matki Kashur.

Matka Kashur, najstarsza z szamanów Klanu Mroźnego Wilka, spała głęboko. Z uwagi na swą zaszczytną pozycję wśród członków klanu jej namiot ustępował rozmiarami i wyposażeniem jedynie domostwu Garada, wodza Mroźnych Wilków. Grube futra raciczników nie dopuszczały chłodu z ziemi do jej starych kości, a lojalna i kochająca wnuczka dbała o wszystkie potrzeby szamanki, gotowała, sprzątała, a w zimowe dni podtrzymywała ogień dla matki klanu.

Do obowiązków Matki Kashur natomiast należało słuchanie wiatru, wody, ognia i trawy oraz picie co wieczór gorzkiego naparu z ziół, który otwierał jej umysł na wizyty przodków. Zbierała dla swego klanu informacje, tak jak inni zbierali owoce czy drewno na opał, i w równym stopniu żywiła klan.

Stary ork nie był fizycznie obecny, a jednak była przekonana o jego prawdziwości. Pojawił się w jej śnie i to Kashur wystarczało. W świecie snu była młoda i pełna życia, jej czerwonawa skóra aż błyszczała zdrowiem, a sylwetkę miała smukłą i umięśnioną. Stary ork był w takim wieku, w jakim umarł, w wieku, w którym dysponował największą mądrością. Zwał się Tal’kraa, ale teraz nazywała go po prostu Dziadkiem, choć dzieliło ich wiele pokoleń.

– Otrzymałaś wiadomość – powiedział Dziadek młodej Kashur ze snu.

Skinęła głową, a jej czarne włosy rozsypały się od tego ruchu.

– On i chłopak Czarnych Skał są z draenei – odparła. – Będą tam bezpieczni. Czuję to.

Tym razem dziadek Tal’kraa skinął głową, aż zakołysały się mu podbródki.

Kły miał pożółkłe od upływu czasu, a jeden złamany w jakiejś dawno już zapomnianej bitwie.

– Tak, są bezpieczni. Sprowadź go.

Powtórzył te słowa i Kashur nagle zwątpiła w ich znaczenie.

– Przybędzie do góry za kilka miesięcy, kiedy drzewa zrzucą liście i zapadną w sen. Zatem tak, przyprowadzę go.

Ale Tal'kraa jeszcze gwałtowniej potrząsnął głową i zmrużył brązowe oczy z irytacją. Kashur zdusiła uśmiech. Ze wszystkich duchów, które zaszczycały ją odwiedzinami, Dziadek był najmniej cierpliwy.

– Nie, nie, nie – zawarczał. – Przyprowadź go do nas. Sprowadź go do jaskini Oshu'gun. Tam mu się przyjrzę.

Kashur gwałtownie nabrała powietrza.

– Ty… chcesz, żebym zabrała go, by spotkał przodków?

– Czyż nie to właśnie powiedziałem? Niemądra dziewucha! Co się stało z szamanami w tych czasach?

Zawsze tak narzekał, więc Kashur niewiele sobie z tego robiła. Zresztą była zbyt ogłuszona wagą jego słów. Czasem przodkowie chcieli zobaczyć któreś dziecię, zdarzało się to rzadko, ale zdarzało. Zazwyczaj oznaczało to, że dziecku przeznaczona jest droga szamana. Nie spodziewała się, że taka przyszłość czeka Durotana. Szamani rzadko kiedy przewodzili klanom. Za bardzo ciągnięci byli w różnych kierunkach, by odnosić sukcesy jako przywódcy. Aby słuchać i szanować duchy, a zarazem przewodzić plemieniu, okazywało się zbyt trudne. Ktoś, kto zdołałby robić i jedno, i drugie, byłby zaiste wyjątkowym orkiem.

Kiedy Kashur nie odpowiedziała, Dziadek ryknął głucho i uderzył kosturem w ziemię. Kashur aż podskoczyła.

– Przyprowadzę go w dzień jego inicjacji – zapewniła przodka.

– Nareszcie zrozumiałaś. – Pogroził jej kosturem. – A jak mnie zawiedziesz, to ci tym kijem nabiję rozumu do głowy.

Nie zdołał całkiem skryć uśmiechu i Kashur też się uśmiechnęła, podczas gdy jej wersja ze snu zamknęła oczy. Mimo swego temperamentu i ciągłego narzekania Tal'kraa był mądry i dobry i szczerze ją kochał. Żałowała, że nie dane jej było spotkać go, gdy żył jeszcze, ale zmarł niemal sto lat temu.

Powieki Kashur zatrzepotały, westchnęła, gdy duch jej powrócił do prawdziwego ciała… tak starego jak ciało Dziadka w chwili jego śmierci. Stopy i dłonie wykrzywił ból stawów, mięśnie osłabły, włosy zbielały. W głębi serca wiedziała, że wkrótce nadejdzie chwila, gdy opuści to ciało, tę skorupę po raz ostatni i zamieszka z przodkami w świętej górze. Drek'Thar, jej uczeń, stanie się doradcą Garada i reszty klanu. Pokładała w nim nadzieję i tak naprawdę wypatrywała już tego dnia, gdy stanie się czystą energią ducha.

Aczkolwiek – dumała, patrząc, jak pierwsze płomienie słońca muskają ziemię, i słuchając ptasiej pieśni, która pieściła jej uszy – będzie jej brakowało niektórych rzeczy nierozerwalnie związanych z życiem jak śpiew ptaków, ciepła strawa i kochający dotyk dłoni wnuczki.

„Przyprowadź go" – powiedział Dziadek.

Zatem tak właśnie zrobi.

Rozdział czwarty

Zeszłej nocy, gdy księżyc w pełni świecił nad naszymi głowami, a gwiazdy mrugały jakby z aprobatą, młody ork został wprowadzony w dorosłość. Po raz pierwszy miałem okazję uczestniczyć w tym rytuale, Om'riggor. W młodości byłem odcięty od tradycji i rytuałów mego ludu. Prawdę powiedziawszy, wszyscy orkowie byli, i to stanowczo zbyt długo. A gdy postawiłem stopę na ścieżce mego przeznaczenia, natychmiast uwikłałem się w walkę. Wojna mnie pochłonęła. Ironia losu, potrzeba obrony mego ludu przed Płonącym Legionem, chęć stworzenia miejsca, gdzie nasze tradycje mogłyby rozkwitnąć raz jeszcze, oddaliły mnie bardzo od tych właśnie kwestii.

Ale teraz Durotar i Orgrimmar zostały już założone. Teraz panuje pokój, nawet jeśli nieco niepewny. Teraz szamani wracają do dawnych obyczajów, a młodzi orkowie dorastają do inicjacji i jeśli duchy pozwolą, nie zaznają nigdy popielnego smaku wojny.

Zeszłej nocy brałem udział w odwiecznym rytuale, którego odmówiono całemu pokoleniu.

Zeszłej nocy serce moje wypełniło się radością i zaznałem poczucia więzi, za jakim od zawsze tęskniłem.

Serce Durotana waliło mu w piersi niczym młot, gdy patrzył na talbuka. To była potężna bestia, godna zwierzyna, o rogach ostrych i niebezpiecznych, niebędących jedynie ozdobą. Durotan raz, jak nie więcej, widział już wojownika przeszytego takimi rogami niczym włócznią.

A on miał powalić to zwierzę jedynie za pomocą broni, bez zbroi.

Oczywiście słyszał szepty.

– Wszystko jedno jaki dorosły talbuk wystarczy do rytuału – wyszeptał ktoś do ucha Durotanowi, gdy ten czekał w namiocie z zawiązanymi oczyma. – Wszystkie są zajadle waleczne, ale o tej porze roku samce zrzuciły poroże.

– Możesz mieć przy sobie tylko jedną broń, Durotanie, synu Garada – szeptał ktoś inny – ale możesz ukryć w dziczy zbroję, nikt nie będzie o tym wiedział.

Na koniec padła najbardziej niehonorowa ze wszystkich sugestii:

– Szaman sprawdzi, czy odniosłeś sukces, smakując krew na twojej twarzy. Krew dawno martwego talbuka smakuje tak samo jak ta świeżo zabitego.

Ale Durotan zignorował wszelkie pokusy. Może byli jacyś orkowie, którzy im ulegli, ale on z pewnością się do nich nie zaliczał. Zamierzał odnaleźć samicę, bo te miały rogi o tej porze roku, korzystać z jednej tylko dozwolonej broni, a krew na jego twarzy będzie należała do bestii, którą sam zabił, i będzie jeszcze parować w chłodnym powietrzu.

Teraz stał w śniegu, który niespodziewanie zupełnie spadł wcześnie w tym roku, topór ciążył mu w dłoni i Durotan zadrżał. Ale wola jego była niezłomna.

Szedł śladem stada talbuków od dwóch dni, żywiąc się tylko tym, co znalazł po drodze. O zmierzchu malującym śnieg głęboką barwą lawendy Durotan rozpalał niewielkie ognisko, a nocował, korzystając z takiego schronienia, na jakie się natknął. Orgrim już przeszedł inicjację. Durotan zazdrościł przyjacielowi, że ten urodził się latem. Wtedy jeszcze był przekonany, że wczesną jesienią rytuał też nie nastręczy mu trudności, ale w tym roku zima postanowiła przyjść wcześnie i pogoda nie sprzyjała polowaniu.

Durotan miał wrażenie, że stado talbuków sobie z niego kpi. Wciąż natrafiał na tropy i ekskrementy, znajdował miejsca, gdzie talbuki odgarnęły śnieg, by pożywić się wyschniętą trawą, albo objadły korę z pni. Jednak same zwierzęta nieustannie mu umykały. Późnym popołudniem trzeciego dnia przodkowie postanowili jednak nagrodzić jego determinację. Nadciągał już zmierzch i Durotan z przygnębieniem pomyślał, że czas poszukać schronienia na zakończenie kolejnego bezowocnego dnia. I wtedy uświadomił sobie, że

niewielkie kulki odchodów nie były zmrożone, lecz świeże.

Talbuki musiały być blisko.

Puścił się biegiem, śnieg skrzypiał mu pod nogami, ale Durotana rozgrzewało nowe ciepło. Podążał za tropem zwierząt, tak jak go uczono, wspiął się na niewielkie wzniesienie…

I zobaczył stado wspaniałych stworzeń.

Natychmiast skrył się za wielkim głazem, po czym wyjrzał zza niego ostrożnie. Talbuki wciąż miały ciemnobrązową okrywę, wyraźnie widoczną na tle śniegu, nie zdążyły jeszcze zmienić futra. Było ich dwa tuziny, może więcej nawet, głównie samice. Udało mu się znaleźć stado, co było sukcesem, ale teraz miał inny problem. Jakim sposobem ma dostać tylko jedno zwierzę? Talbuki jako nieliczne broniły innych członków stada. Jeśli zaatakowało się jednego, reszta przychodziła mu na ratunek.

Zazwyczaj myśliwym towarzyszył szaman, żeby odwrócić uwagę zwierząt, ale Durotan był sam i nagle poczuł się wyjątkowo bezbronny.

Zmarszczył gniewnie brwi i wziął się w garść. Szukał tych stworzeń przez niemal trzy dni i wreszcie je znalazł. Noc zastanie go przy jedzeniu świeżego mięsa albo zobaczy jego sztywniejące na śniegu zwłoki.

Przez chwilę obserwował zwierzęta, świadom, że cienie się wydłużają. Nie chciał jednak spieszyć się nadmiernie i popełnić błędu, który mógł okazać się śmiertelny w skutkach. Talbuki prowadziły dzienny tryb życia i teraz pracowicie rozgrzebywały śnieg, by zwinąć się do snu w płytkich jamach. Durotan wiedział, że takie były ich obyczaje, ale teraz z przerażeniem niemal obserwował, jak układają się ciasno jeden przy drugim. Jakże miał oddzielić jednego od reszty stada?

Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Jedna z samic, młoda, zdrowa i silna po łagodnym lecie, które spędziła, pasąc się słodką trawą i jagodami, najwyraźniej była w zadziornym nastroju. Tupała i podrzucała głową, zdobną we wspaniałe rogi, niemalże tańczyła wokół swoich pobratymców. Nie miała chyba ochoty dołączyć do stada, ale wzorem nielicznych osobników wolała spać po zewnętrznej stronie zbiorowiska ciasno poukładanych futrzanych ciał.

Durotan zaczął się uśmiechać – co za wspaniały dar ze strony duchów! To

była dobra wróżba. Najżywsza, najzdrowsza łania w stadzie, która nie musiała bezmyślnie podążać za resztą, ale sama wybierała swoją drogę. Tym razem ów wybór miał przynieść jej śmierć, ale jednocześnie zaszczyt Durotanowi oraz prawo do tego, by inni orkowie traktowali go jak dorosłego. Duchy rozumiały równowagę takich kwestii. Przynajmniej tak mówiono Durotanowi.

Durotan czekał. Zmierzch nadszedł i odszedł, znikając za szczytami gór. Razem ze słońcem zniknęły też resztki ciepła. Durotan czekał z cierpliwością drapieżnika. Wreszcie nawet najbardziej niespokojny z talbuków ułożył się na podwiniętych nogach razem z resztą swych braci i sióstr.

W końcu Durotan drgnął. Kończyny miał zesztywniałe i niemal wywrócił się przy pierwszym ruchu. Powolutku wypełzł ze swej kryjówki za głazem i zszedł w dół zbocza, nie odrywając spojrzenia od drzemiącej samicy. Rogaty łeb opadł, oddychała regularnie. Durotan widział niewielkie obłoczki pary przy jej nozdrzach.

Powoli, stawiając stopy, jak mógł najostrożniej, zbliżał się do swej zwierzyny. Nie czuł zimna, a gorączkę oczekiwania, potężne skupienie, które tłumiło wszelkie uczucia niewygody. Podchodził coraz bliżej i bliżej, a łania nadal spała.

Podniósł topór. I opuścił ostrze.

Otworzyła oczy.

Próbowała wstać, ale zabójczy cios już jej dosięgnął. Durotan czuł rodzący się w gardle krzyk bitewny, który słyszał tyle razy na polowaniach z ust ojca, ale się powstrzymał. Nie pomoże mu to zgładzić talbuka, prędzej sam straci życie, gdy w obronie łani zaatakuje go całe stado. Wcześniej Durotan starannie naostrzył topór i teraz broń bez najmniejszego trudu zagłębiła się w karku talbuka i przecięła tętnicę. Krew trysnęła. Ciepła i lepka, obryzgała Durotana, na co ten uśmiechnął się dziko. Namaszczenie krwią pierwszego samodzielnie zabitego zwierzęcia było częścią rytuału. Łania zrobiła to zamiast Durotana. Kolejna dobra wróżba.

Mimo iż próbował ze wszystkich sił zachowywać się cicho, stado poczęło się budzić. Odwrócił się błyskawicznie, oddychając ciężko, i pozwolił, by krzyk bitewny wyrwał się z jego piersi, gdzie tkwił uwięziony od dłuższej

chwili. Durotan podniósł topór, blask ostrza stłumiony został szkarłatem krwi i ryknął raz jeszcze.

Talbuki zawahały się. Durotan słyszał, że gdy zabiło się upatrzoną ofiarę od razu, reszta stada rzucała się raczej do ucieczki, nie do ataku. Wiedzione jakimś prymitywnym instynktem zwierzęta wiedziały, że nie zdołają pomóc padłej siostrze czy bratu. Miał nadzieję, że była to prawda. Może i zdołałby pokonać dwa lub trzy rozeźlone talbuki, ale koniec końców, skończyłby pod kopytami, gdyby całe stado ruszyło do ataku.

Talbuki zaczęły się cofać, wszystkie jednocześnie, po czym nagle odwróciły się i rzuciły do ucieczki. Patrzył, jak wbiegają galopem na wzniesienie i znikają po drugiej stronie. Ich tropy na śniegu były jedynym śladem ich wcześniejszej obecności.

Durotan opuścił topór, dysząc z wyczerpania. Podniósł go potem raz jeszcze i krzyknął triumfalnie. Dziś wieczór napełni brzuch, duch talbuka wejdzie do jego snów, a jutro młody Wilk powróci do swoich jako dorosły gotów do służby na rzecz klanu.

Gotów, by pewnego dnia stać się wodzem.

*

– Dlaczego nie pojedziemy wierzchem? – marudził Durotan, łypiąc spode łba niczym rozgniewane dziecko.

– Bo nie tak się to robi – odpowiedziała krótko Matka Kashur i zirytowana uderzyła młodzika otwartą dłonią.

Durotan był młody i silny, długa droga do jaskiń w świętej górze przodków była dlań niczym. Tymczasem Kashur naprawdę byłaby wdzięczna za możliwość odbycia wędrówki na grzbiecie swego czarnego wilka Snołapego, ale odwieczna tradycja była bardzo prezycyzyjna w tej kwestii – tak długo, jak długo będzie mogła iść, musi iść. Durotan skłonił głowę, przyjmując jej słowa do wiadomości, i podjęli wędrówkę.

Pomijając ów smutny fakt, że każda wycieczka na górę wyczerpywała ją bardziej niż poprzednia, Matka Kashur czuła podekscytowanie, które pomagało jej zwalczyć ból i zmęczenie. Ku tej ostatniej części rytuału inicjacji prowadziła niejedne młode orczę, chłopców i dziewczęta, albowiem

każde było oceniane. Ale nigdy dotąd nie proszono jej, by przyprowadziła jedno z nich przed oblicza przodków. Nie była jeszcze tak stara, by nie czuć ciekawości.

Młodym nogom trzeba było kilku godzin, starym kościom niemal dnia, by dotrzeć na miejsce. Kiedy Kashur i Durotan znaleźli się u celu, zapadł wieczór. Stara szamanka popatrzyła na znajome zbocze i uśmiechnęła się. W przeciwieństwie do innych gór, których kształt zależał jedynie od przypadku, szczyt Oshu'gun stanowił niemalże idealny trójkąt. Lśnił niczym kryształ, a jego płaszczyzny odbijały promienie słońca. Pod żadnym względem góra nie przypominała otoczenia. Przed wiekami spadła z nieba i przyciągnęła duchy. Właśnie dlatego orkowie osiedlili się w jej świętym cieniu. Bez względu na to, jakie waśnie, jakie różnice ich dzieliły, jako żywe istoty przy tej górze byli jednością. Kashur wiedziała, że przybędzie tu raz jeszcze, ale nie jako człapiąca z trudem staruszka. W tym zniszczonym naczyniu odwiedzała górę po raz ostatni, następnym razem, gdy znajdzie się na Oshu'gun, będzie duchem unoszącym się w powietrzu niczym ptak, a jej serce będzie czyste, lekkie i całkiem nowe.

– Coś się stało, Matko? – spytał Durotan z troską.

Zamrugała, budząc się ze swego zamyślenia.

– Zupełnie nic – zapewniła go zgodnie z prawdą.

Gdy dotarli do podnóża góry, cienie przepłoszyły już ostatnie blaski światła. Pielgrzymi rozłożyli się zatem na nocleg z zamiarem podjęcia wspinaczki rankiem następnego dnia. Durotan zasnął otulony skórą łani talbuka, którą ubił, a Matka Kashur przyglądała mu się z czułością, gdy tak leżał pogrążony w głębokim śnie niewinnej istoty. Wiedziała, że ona nie będzie miała żadnych snów. Jej umysł musiał być pusty, by mogły wypełnić go wizje.

*

Wspinaczka była długa i uciążliwa, o wiele trudniejsza niż typowa wycieczka w góry, i Kashur cieszyła się, że ma swój kostur oraz silne ramię Durotana. Jednakże dzisiaj stopy Kashur były jakby pewniejsze, płuca pracowały lepiej. Miała wrażenie, że przodkowie pomagają jej wejść na górę, wspierając jej

ciało swoją siłą.

Zatrzymali się u wejścia do świętej jaskini, idealnego owalu w gładkiej ścianie góry, i jak zawsze Kashur odniosła wrażenie, że zstępuje do samego łona ziemi. Durotan starał się wyglądać na odważnego, ale osiągnął tyle, że wydawał się nieco zdenerwowany. Matka Kashur uśmiechnęła się do niego. Powinien być zdenerwowany. Miał wejść do świętego miejsca na prośbę jednego ze swych dawno zmarłych przodków. Nawet ona czuła się poruszona.

Zapaliła wiązkę wysuszonych traw, które pachniały słodko, i okadziła młodego Wilka, by go oczyścić. Potem naznaczyła go krwią, jaką jego ojciec utoczył sobie na tę właśnie okazję i przechowywał w niewielkim bukłaczku. Szamanka położyła pomarszczoną dłoń na jego gładkim czole, wymamrotała błogosławieństwo i skinęła głową.

– Wiesz dobrze, że z tych, którzy nie kroczą ścieżką szamana, bardzo niewielu zostało wezwanych przed oblicze przodków – powiedziała ponuro. Durotan przytaknął, wpatrując się w nią szeroko otwartymi brązowymi oczyma. – Nie wiem, co się stanie. Może nic. Ale jeśli jednak coś, pamiętaj, by zachowywać się godnie i okazać szacunek naszym ukochanym zmarłym.

Durotan z wysiłkiem przełknął ślinę i ponownie przytaknął. Po czym odetchnął głęboko i wyprostował swoje wciąż jeszcze chłopięce ciało, uniósł głowę i Kashur zobaczyła w nim na chwilę przyszłego wodza klanu.

Weszli razem do środka. Matka Kashur ruszyła przodem, by zapalić pochodnie na ścianach. Pomarańczowy blask wyłowił z ciemności krętą ścieżkę prowadzącą w dół, wygładzoną niezliczonymi stopami orków. Tu i ówdzie wycięto w skale stopień, by zapewnić pielgrzymom pewniejszy krok. Tunel ten zawsze pozostawał chłodny, aczkolwiek cieplejszy niż zimowe powietrze na zewnątrz. Kashur przesunęła dłonią po ścianie, wspominając, jak przyszła tu po raz pierwszy, przed wieloma laty, z twarzą naznaczoną krwią matki, z oczyma otwartymi szeroko i łomocącym w piersi sercem.

Wreszcie przestali schodzić w dół, skończył się łagodny stok i dalej ścieżka prowadziła prosto. Tu nie było już pochodni na ścianach i Durotan popatrzył na szamankę zdezorientowany.

– Nie będziemy potrzebowali ognia, by stanąć przed przodkami – powiedziała i weszli dalej w ciemność.

Durotan nie był przestraszony, ale nieco skonsternowany, gdy zostawili za sobą poczucie bezpieczeństwa płynące z obecności światła.

Teraz szli w nieprzeniknionej ciemności. Kashur wyciągnęła rękę i złapała dłoń Durotana, by go poprowadzić. Jego mocne grube paluchy zamknęły się delikatnie na jej ręce.

Nawet teraz, gdy można by się spodziewać, że z ogarniającej go niepewności uchwyci mnie mocno, pamięta, jak bolą mnie dłonie – pomyślała. – Następny wódz Mroźnych Wilków będzie miał wrażliwe serce.

Szli dalej w milczeniu. I nagle delikatnie, niczym pierwszy szept brzasku po długiej, długiej nocy, otoczyło ich światło. Kashur widziała sylwetkę orka, który stał obok niej, młodzika jeszcze, ale już rosłego i silnego. Przyglądała mu się cały czas, bowiem ona już wiedziała, jakie cuda czekają ich w jaskini przodków, ale Durotan nie i ciekawa była jego reakcji.

Otworzył szeroko oczy, gwałtownie wciągając powietrze. Blask emanował ze stawu pośrodku jaskini, otulając wszystko łagodnym białym światłem. Wszystko było tu gładkie i lśniące, i o miękkich liniach. Nie dostrzegł żadnej szorstkiej powierzchni, żadnego ostrego kąta. Kashur poczuła znajome uczucie głębokiego spokoju, które wypełniło ją bez reszty. Pozwoliła, by Durotan napatrzył się do syta w milczeniu. Jaskinia była wielka, większa nawet niż teren przeznaczony dla bębnów i tancerzy w trakcie święta Kosh’harg, wychodziły z niej tunele, których szamanka nigdy nie ośmieliła się zbadać. Jaskinia musiała być tak wielka, by pomieścić duchy wszystkich orków, którzy pomarli. Kashur podeszła do wody, a Durotan ruszył za nią, obserwując każdy jej ruch. Szamanka ostrożnie zdjęła niesione bukłaki i modląc się cicho, otworzyła je po kolei i opróżniła, wylewając wodę do stawu.

– Pytałeś o bukłaki, gdy wyruszaliśmy – zwróciła się cicho do Durotana. – Woda tutaj nie płynie z żadnego źródła, dawno temu poczęliśmy składać duchom w ofierze błogosławioną wodę. Za każdym razem gdy tu przychodzimy, składamy też daninę świętemu jezioru. I nie wiem, jakim sposobem woda nigdy stąd nie odpływa, nie wycieka, nie znika. Taka jest

moc Duchów Góry.

Gdy opróżniła już wszystkie bukłaki, usiadła z cichym jęknięciem i zapatrzyła się w świetliste głębiny. Durotan uczynił to samo. Wiedziała, pod jakim kątem zobaczy swoje odbicie, i upewniła się, że oboje przyjęli właściwą pozycję. Początkowo widziała jedynie swoją twarz i twarz Durotana. Odbici w białych raczej niż mrocznych wodach oboje wyglądali niczym duchy.

I nagle dołączyła do nich trzecia postać. Wydało się, jakby Dziadek Tal'kraa stanął zaraz przy Kashur. Jego odbicie było równie czyste i wyraźne. Ich spojrzenia się spotkały i Kashur uśmiechnęła się.

Szamanka przekręciła lekko głowę, by spojrzeć na Durotana, ale ten wpatrywał się w wodę, jakby miał tam dostrzec odpowiedź. Kashur posmutniała, ale zaraz skarciła się w duchu. Skoro Durotan nie miał pójść w życiu szamańską ścieżką, to nic tego nie zmieni. Jego przeznaczenie niewątpliwie będzie godne, będzie przewodził klanowi zgodnie ze swym urodzeniem.

– Moja po wielokroć prawnuczko – powiedział Dziadek łagodniej niż kiedykolwiek. –Przyprowadziłaś go, jak prosiłem.

Choć był jedynie bezcielesnym duchem, opierał się ciężko na kosturze, obchodząc Durotana dokoła, podczas gdy ten nie przestawał wpatrywać się w wodę. Kashur przyglądała się im obu uważnie. Durotan zadrżał i się rozejrzał, pewnie zastanawiał się, skąd ten nagły powiew chłodu. Kashur uśmiechnęła się do siebie. Nie widział ducha swego przodka, ale jakimś sposobem wiedział, że Tal'kraa do nich dołączył.

– Nie widzisz go – stwierdziła z odrobiną smutku.

Durotan poderwał głowę, rozdymając nozdrza. Jednym ruchem poderwał się na nogi. W niesamowitym świetle jego kły zdawały się niebieskie, a skóra zielonkawa.

– Nie, Matko. Nie widzę. Ale… przodek tu jest?

– W rzeczy samej, jest – odparła Kashur. Skupiła się na duchu. – Przyprowadziłam go, jak prosiłeś. I jak go znajdujesz?

Durotan z trudem przełknął ślinę, ale stał wyprostowany, gdy przodek obchodził go dookoła.

– Wyczułem… coś – rzekł Tal’kraa. – Sądziłem, że będzie szamanem, ale skoro nie może mnie zobaczyć teraz, to nigdy nie zobaczy. Ale choć nie będzie widział duchów ani przyzywał żywiołów, czeka go wielkie przeznaczenie. Będzie bardzo ważny dla losów Klanu Mroźnego Wilka… dla całego naszego ludu.

– Będzie… bohaterem? – spytała Kashur zdławionym głosem.

Wszyscy orkowie dążyli do tego, by żyć zgodnie z kodeksem odwagi i honoru, ale imiona niewielu z nich zapisywały się w pamięci kolejnych pokoleń. Usłyszawszy szamankę, Durotan gwałtownie wciągnął powietrze i Kashur widziała malujące się na jego twarzy pragnienie.

– Nie potrafię powiedzieć. – Tal’kraa zmarszczył lekko brwi. – Ucz go dobrze, Kashur, albowiem jedno jest pewnie: z jego rodu narodzi się zbawienie.

W geście czułości, jakiego Kashur dotąd nie widziała w wykonaniu Dziadka, powiódł swym niematerialnym palcem po policzku Durotana. Młody ork gwałtownie otworzył oczy i Kashur widziała, że młodzik zwalcza instynktowną potrzebę cofnięcia się, ale nie uchylił się przed tą pieszczotą ducha.

I nagle, niczym mgła w gorący dzień, Tal’kraa odszedł. Kashur zachwiała się – zawsze zapominała, jak wiele sił dawała jej energia płynąca od duchów. Durotan przystąpił do niej szybko i podtrzymał za ramię. Była wdzięczna, że użyczył jej swej młodzieńczej siły.

– Matko, nic wam nie jest? – spytał.

Uchwyciła się jego ręki i skinęła głową. Bardziej obchodziło go jej samopoczucie niż to, co powiedział czy czego nie powiedział przodek. Gdy tylko usłyszała słowa Tal’kraa, zdecydowała się nie wspominać o tym Durotanowi. Był rozsądnym młodzieńcem o wielkim sercu, ale taka przepowiednia mogła zepsuć nawet najszlachetniejsze orcze serce.

„Z jego rodu narodzi się zbawienie”.

– Nic mi nie jest – zapewniła Durotana. – Ale te kości nie są już młode, a energia duchów ma ogromną moc.

– Szkoda, że nie mogłem go zobaczyć – powiedział Durotan z niejakim żalem. – Ale… ale wiem, że go czułem.

– Owszem, a to więcej niż większość orków ma zaszczyt.

– Matko… powiedz mi, co mówił przodek. Że… że będę bohaterem?

Starał się zachowywać spokojnie i dojrzale, ale w jego głosie pobrzmiewała błagalna nuta. Kashur nie mogła go za to winić. Chciał tylko przetrwać w najchlubniejszych wspomnieniach, żyć w opowieściach o swych przygodach. Nie byłby orkiem, gdyby tego nie pragnął.

– Dziadek Tal’kraa nie był pewny – oświadczyła bez ogródek. Skinął głową, dobrze ukrywając rozczarowanie. Właściwie tyle tylko chciała mu powiedzieć, ale coś skłoniło ją, by dodać jeszcze: – Masz przeznaczenie do wypełnienia, Durotanie, synu Garada. Nie zachowuj się głupio, gdy przyjdzie ci walczyć, nie zgiń, zanim wypełnisz to przeznaczenie.

Roześmiał się.

– Głupiec nie służy swemu klanowi, a to chcę robić.

– W takim razie, przyszły wodzu – odpowiedziała mu Kashur, też się śmiejąc – lepiej weź się do szukania partnerki.

I roześmiała się na całe gardło, bowiem po raz pierwszy od chwili, gdy rozpoczęli wspólną wędrówkę, Durotan sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi.

Rozdział piąty

Po głębszym zastanowieniu Drek'Thar powiedział mi, że ta chwila naszej historii przypadła na idealny dzień wczesnego lata. My, orkowie, mieliśmy wszystko, czego było nam trzeba: żyzny, bogaty świat, przodków, by nas przez ów świat prowadzili, żywioły, by nas wspomagały, gdy uznały, że tego wsparcia potrzebujemy. Jedzenia było w bród, nasi wrogowie walczyli zajadle, ale nie byli niepokonani. Zostaliśmy pobłogosławieni po wielokroć. Nawet jeśli draenei nie byli naszymi sprzymierzeńcami, nie pozostawali też wrogami. Dzielili się swą wiedzą i zdobyczami, zawsze gdy ich prosiliśmy – to my, orkowie, zawsze trzymaliśmy dystans. I to my, orkowie, niemądrze pozwoliliśmy się wypaczyć, by służyć cudzym celom.

Nienawiść jest potężna. Nienawiść może być wieczna. Nienawiścią można manipulować.

I nienawiść można wzbudzić.

We wszechobecnej ciemności bezwieczny i poza czasem żył Kil'jaeden. Moc płynęła przezeń i pulsowała w nim, lepsza niż przepływ krwi, bardziej odżywcza niż mięso czy napitek, uderzała do głowy, a zarazem w tej samej chwili napełniała spokojem. Nie był wszechmogący, jeszcze nie, w przeciwnym razie światy padałyby przed nim za sprawą raczej jego myśli niż walki zniszczenia, i zasadniczo był z tego zadowolony.

A jednak oni, wygnani, wciąż żyli. Wyczuwał ich poprzez minione stulecia, minione dla tych, dla których upływ czasu miał jakieś znaczenie. Przyczaili się, Velen i reszta głupców. Zbyt tchórzliwych, by stanąć twarzą w twarz z Kil'jaedenem czy Archimonde'em, który był mu przyjacielem

i sojusznikiem w trakcie… zmian… jak był i wtedy, gdy obaj zaliczali się do prostych istot.

Kil’jaeden, Archimonde czy pozostali nie myśleli już o sobie jako o eredarach. Velen nazwałby ich man’ari, ale oni sami tytułowali się Płonącym Legionem, Armią Sargerasa. Wybrańcami.

Wyciągnął szkarłatną rękę, smukłą i elegancką, o długich szponach w nicość, która była wszystkim, i poczuł, jak ona marszczy się lekko pod jego dotknięciem. Gdy tylko wróg uciekł, wysłano zwiadowców, którzy jak dotąd wracali, niezmiennie meldując porażkę. Archimonde chciał, by zgładzono ich za brak jakichkolwiek rezultatów, ale Kil’jaeden się nie zgodził. Przepełnieni strachem słudzy uciekali, mieli ku temu powód. Jednak ci, którzy węszyli nagrodę i łaskę ich pana, zostawali. Zatem Kil’jaeden dawał odczuć sługom swe niezadowolenie, ale też zazwyczaj dawał im drugą szansę. Albo nawet i trzecią, jeśli wierzył, że zrobią wszystko, co w ich mocy, a nie tylko będą liczyć na jego dobrą wolę.

Archimonde nie podzielał też obsesji, która zajmowała Kil’jaedena.

– Jest w bród światów, które można podbić i pożreć w służbie naszego pana Sargerasa! – huczał. Czerń wokół nich płonęła, gdy przeszywał ją jego głos. – Niech głupiec idzie, gdzie chce. Wyczujemy, gdyby użył swych talentów na poziomie, który stanowiłby jakiekolwiek zagrożenie. Niechaj gnije w jakimś świecie, pozbawiony wszystkiego, co było dlań ważne.

Kil’jaeden powoli odwrócił masywną głowę, by spojrzeć na drugiego władcę demonów.

– Nie chodzi o to, by pozbawić go mocy – syknął wściekle Kil’jaeden. – Chodzi o to, by go zniszczyć, a razem z nim tych wszystkich, którzy byli na tyle głupi, by pójść za nim. Chodzi o to, by zmiażdżyć go za jego brak wiary. Za jego upór. Za to, że nie chciał myśleć o tym, co dla wszystkich najlepsze.

Wielka dłoń zacisnęła się w pięść, a długie szpony zagłębiły w ciało. Rana broczyła płynnym ogniem, który zgasł, gdy zetknął się z tym, co tu zastępowało powietrze. Została jedynie długa czarna szrama. Całe ciało Kil’jaedena pokryte było takimi bliznami, był z nich dumny.

Archimonde był potężny, elegancki, gładki w obejściu i inteligentny. Brakowało mu jednak tej płonącej żywo żądzy całkowitego zniszczenia,

którą piastował w sobie Kil’jaeden. Ten zaś wyjaśniał jej wagę po tysiąckroć i teraz tylko westchnął i wycofał się z dalszej dyskusji. Kłócili się o to od stuleci i zapewne będą się kłócić przez kolejne… albo do chwili gdy Kil’jaeden zdoła zniszczyć istotę, która kiedyś była jego najbliższym przyjacielem.

Być może w tym leżało sedno sprawy – uświadomił sobie w nagłym przebłysku Kil’jaeden. Archimonde nigdy nie żywił do Velena szczególnych uczuć. Ale Kil’jaeden kochał Velena jak brata, bardziej nawet, kochał go niemal tak bardzo jak inny aspekt siebie samego.

I wtedy…

Wielka dłoń zacisnęła się ponownie i plugawy ogień wylał się z ciała zamiast krwi.

Nie.

Nie wystarczy mu myśleć o Velenie siedzącym w jakimś zapomnianym świecie, hołubiącym zranioną dumę, żyjącym w jaskini z darów ziemi. Kiedyś Kil’jaeden powiedziałby, że pragnie krwi. Ale krew, potężna na swój sposób, nie mogła przynieść mu już satysfakcji. Teraz chciał samej esencji wstydu, absolutnego upokorzenia. Smak tego upokorzenia będzie o wiele słodszy niż żelazisty posmak życia płynący z żył Velena i głupców, którzy poszli za nim.

Archimonde przechylił głowę. Kil’jaeden znał tę pozę – to jeden ze sług Archimonde’a przemawiał do niego. Archimonde miał własne plany i własne intrygi, wszystkie oczywiście w służbie ich mrocznego pana, zmierzające ku ostatecznemu podbojowi. Bez słowa wyprostował się na całą swą imponującą wysokość i odszedł, a ruchy miał płynne i szybkie, zupełnie niepasujące do jego olbrzymich rozmiarów.

W tej samej chwili Kil’jaeden poczuł coś jakby skrobanie wewnątrz głowy. Rozpoznał je natychmiast – to Talgath, jego prawa ręka i przyboczny od wieków, szukał kontaktu. A jego myśl emanowała ostrożną nadzieją.

„Cóż to, przyjacielu? Mów!” – rozkazał mu Kil’jaeden w myślach.

A ten odparł: „Mój panie, nie chcę wzbudzać płonnych nadziei… ale być może ich odnalazłem”.

Przytłumiona rozkosz narosła w piersi Kil’jaedena. Jak istota, którą ścigał,

Talgath był tym ostrożnym ze sług. Swą rangą niewiele ustępował Kil’jaedenowi i przez stulecia dowiódł swej lojalności. Nie poważyłby się na to bardzo powściągliwe stwierdzenie, gdyby nie miał ku temu podstaw.

„Gdzie? I na jakiej podstawie tak sądzisz?”

„Jest taki świat, prymitywny i nieważny. Ale wyczułem w nim charakterystyczny dla nich rodzaj magii. Możliwe, że przybyli tam i dawno odeszli. Niestety takie sytuacje miały już miejsce w przeszłości”.

Kil’jaeden skinął głową, choć Talgath nie mógł tego zobaczyć. Niektóre aspekty przeszłości wciąż tu są – pomyślał, uśmiechając się na myśl o tym drobnym ruchu, który oznaczał zgodę niemalże u wszystkich myślących istot, jakie Kil’jaeden napotkał na swojej drodze.

„Słusznie mówisz – przyznał rację Talgathowi. Wielokrotnie siły Kil’jaedena przybywały do jakiegoś świata zwabione słodkim aromatem magii eredarów tylko po to, by odkryć, że jakimś sposobem Velen i jego przeklęci poplecznicy wyczuli nadejście Legionu i zniknęli. – Ale nie tracę nadziei. Znajdę ich i zmienię tak, by służyli moim celom, i mam na to całą wieczność”.

Przyszło mu do głowy, że dotąd jego siły spadały na świat, gdzie miał być ponoć Velen, tylko po to, by odkryć, że umknął. Dla uleczenia zranionej dumy Kil’jaeden niszczył świat, ale rzeź prymitywnych ras, choć przyjemna, nie syciła jego demonicznego pragnienia całkowitej i ostatecznej zemsty.

Tym razem tak nie postąpi. Nie pośle Talgatha na czele Płonącego Legionu. Velen był kiedyś najsilniejszym z nich, najmądrzejszym, najbardziej zestrojonym z magią i nauką. Kil’jaeden nie wyobrażał sobie, by dawny przyjaciel w jakiejkolwiek sytuacji przestał się strzec, nie po tak krótkim czasie, stosunkowo krótkim, oczywiście. Nie, Velen będzie nieustannie zachowywał czujność gotów uciekać w obliczu oczywistego zagrożenia.

Ale co z zagrożeniem mniej oczywistym?

„Talgacie… chcę, byś zbadał dla mnie ten świat”.

„Panie…?” – Talgath wyraził wątpliwość spokojnie, opanowanym tonem, ale słychać w nim było zaskoczenie.

„Spadaliśmy już na światy wielkimi siłami i nie uzyskaliśmy niczego. Może tym razem trzeba wysłać jednego. Jednego, ale takiego, któremu

można ufać bezgranicznie. – Kil’jaeden wyczuł niepokój i dumę walczące o pierwszeństwo w myślach Talgatha. – Jest więcej sposobów, by zniszczyć wroga, niż tylko orężem. I czasami te inne sposoby okazują się lepsze”.

„Czy… życzysz sobie, panie, bym znalazł taki sposób?”

„Dokładnie tak. Odwiedź ten świat sam. Dowiedz się o nim wszystkiego. Zbadaj. Powiedz mi, czy wygnani naprawdę tam są, a jeśli są, to w jakim zastaniesz ich stanie. Powiedz, z czego żyją, czy są tłuści i nieruchawi jak poskromione bydło domowe, czy jednak smukli i czujni jak zwierzęta umykające przed drapieżnikami. Powiedz mi, jaki jest ich świat, czy żyją tam inne ludy, jakie stworzenia, jakie następują pory roku. Zbadaj wszystko, Talgacie. Ale nie rób niczego bez mojego rozkazu”.

„Oczywiście, mój panie, wyruszę natychmiast” – odparł Talgath nadal zdziwiony, ale jak zawsze posłuszny i inteligentny. Talgath niejednokrotnie przysłużył się władcom man’ari w przeszłości. Teraz uczyni to po raz kolejny.

Twarz Kil’jaedena, choć niewiele przypominała jego oblicze sprzed czasów, gdy związał swój los z wielkim Sargerasem, wciąż jednak była zdolna wykrzywić się w namiastce uśmiechu.

*

Durotan jak wszyscy jego pobratymcy był gotów rozpocząć trening z bronią, mając lat sześć. Był już wtedy całkiem rosły i jego ciało zaczynało nabierać mięśni, a posługiwanie się bronią leżało w naturze jego ludu. Gdy miał lat dwanaście, chodził na polowanie z grupami myśliwych. A teraz, po inicjacji, mógł brać udział w polowaniu na ogry i ich wynaturzonych, ohydnych władców: gronnów.

Tego roku, gdy nadszedł czas Kosh'harg, Durotan dołączył do dorosłych w kręgu, po tym jak odesłano dzieci spać do namiotu. I, jak zdążyli już z Orgrimem przekonać się przed laty, bycie dorosłym i zasiadanie w kręgu wokół ognia nie było szczególnie ciekawe.

Jednakże znalazł coś, co uznał za godne uwagi, gdy obserwował zgromadzonych przy ogniu orków o brązowych oczach – możliwość rozmowy z tymi, których imiona znał od lat, a którzy niewiele zamienili z nim słów z powodu jego młodego wieku. Matka Kashur, oczywiście, należała do jego klanu. Wiedział, że cieszy się poważaniem wśród szamanów innych klanów, i był z tego dumny. Zauważył ją pierwszej nocy skuloną przy ogniu, okutaną w koce. Wydawała się zaskakująco drobna, sama skóra i kości. Wiedział, choć skąd, nie umiałby wyjaśnić, że to ostatnie święto Kosh'harg dla szamanki, i myśl ta zasmuciła go bardziej, niżby się spodziewał.

Obok niej, młodszy od Kashur, aczkolwiek nadal starszy od rodziców Durotana, siedział uczeń szamanki, Drek'Thar. Durotan niewiele z nim rozmawiał, ale ostry język i bystry wzrok szamana budziły szacunek. Jutro szamani odejdą, udadzą się na spotkanie z przodkami w jaskiniach świętej góry. Durotan zadrżał lekko na wspomnienie swojej wizyty w świętym miejscu i chłodnego powiewu na skórze, który przypominał przeciąg, nie był jednak niczym zwyczajnym.

Po drugiej stronie dostrzegł Groma Hellscreama, młodego, nie do końca zrównoważonego wodza Klanu Wojennej Pieśni. Był starszy od Durotana i Orgrima o kilka lat zaledwie i niedawno objął przywództwo swego klanu. Krążyły pogłoski, jakoby poprzedni wódz zmarł w niejasnych

okolicznościach, ale Klan Wojennej Pieśni nie podważał przywództwa Groma. Durotan nie był zdziwiony. Hellscream był może młody, ale robił straszliwe wrażenie. Migotliwe, tańczące światło ognia sprawiało, że wydawał się jeszcze bardziej przerażający. Gęste czarne włosy opadały mu do połowy pleców. Gdy został wodzem, wytatuował sobie żuchwę na czarno. Nosił też naszyjnik z kości – Durotan wiedział, jakie jest znaczenie tej ozdoby. Młodzi wojownicy Wojennych Pieśni zakładali naszyjniki zrobione z kości swej pierwszej ofiary z wypisanymi na nich osobistymi runami.

Obok Groma siedział ogromny Blackhand, Czarnoręki z Klanu Czarnej Skały. A przy nim jadł w milczeniu wódz Klanu Strzaskanej Dłoni, Kargath Bladefist, zwany Klingorękim. Zamiast dłoni miał wrażone w nadgarstek ostrze bojowej kosy. I nawet teraz, gdy Durotan był już dorosły, połyskiwanie ostrza w płomieniach ogniska budziło w nim pewien niepokój. Dalej siedział wódz Klanu Krwawiącego Oczodołu, Kilrogg Deadeye, Martwooki. Nie było to imię rodowe, sam takie przybrał. Jego jedno oko nieustannie rozglądało się po zgromadzonych orkach, drugie tkwiło nieruchomo w oczodole. Tak jak Grom był wodzem młodym, tak Kilrogg był stary, Durotan jednak nie miał wątpliwości, że mimo posiwiałych włosów Kilrogg daleki jest od śmierci czy zrezygnowania z funkcji wodza.

Durotan, czując się nieswojo, przeniósł uwagę na innych uczestników święta.

Po lewej Drek’Thara siedział słynny Ner’zhul z Klanu Cienistego Księżyca. Od kiedy Durotan sięgał pamięcią, Ner’zhul przewodził szamanom. Raz Durotanowi pozwolono wziąć udział w łowach, w których uczestniczył też Ner’zhul, i mistrzostwo, z jakim szaman korzystał ze swych umiejętności, wstrząsnęło Durotanem. Inni stękali, wysilali się, mozolili, by sięgnąć do żywiołów, może i kierowali nimi z mocą, ale bez wdzięku. Ner’zhul pozostawał spokojny i wyciszony. Ziemia dygotała pod jego stopami, gdy prosił, błyskawice spływały z nieba, by uderzyć tam, gdzie wskazał. Ogień, powietrze, woda, ziemia i ulotny Duch Dziczy – wszystkie zwały go swym przyjacielem i towarzyszem. Durotan nie widział oczywiście, jak Ner’zhul rozmawia z przodkami, nikt poza szamanem nie mógł zobaczyć czegoś takiego, ale dla Durotana pozostawało oczywiste, że gdyby Ner’zhul nie

cieszył się przychylnością przodków, nie mógłby władać takimi siłami.

Jednak ucznia Ner’zhula Durotan nie lubił. Orgrim, który siedział obok swego przyjaciela, podążył wzrokiem za spojrzeniem Mroźnego Wilka i pochylił się w jego stronę.

– Moim zdaniem Gul’dan przysłużyłby się lepiej swojemu klanowi, gdyby użyli go jako przynęty.

Durotan odwrócił się, kryjąc uśmiech. Nie wiedział, jak doświadczonym szamanem był Gul’dan, z pewnością jakieś zdolności mieć musiał, bowiem w przeciwnym razie Ner’zhul by go nie uczył ani nie wyznaczył swoim zastępcą. Ale sam Gul’dan nie robił najlepszego wrażenia. Był niższy niż większość orków, delikatniejszy, z krótką, sterczącą brodą nie uosabiał orczego wojownika. Ale Durotan doszedł do wniosku, że Gul’dan nie musiał być wojownikiem, żeby mieć znaczenie dla swego klanu.

– Patrzcie na tę, to jest urodzona wojowniczka.

Durotan spojrzał w kierunku, w którym patrzył jego przyjaciel, i jego źrenice rozszerzyły się lekko. Orgrim niewątpliwie miał rację. Stała tam, wysoka i prosta, mięśnie zafalowały pod gładką brązową skórą, gdy sięgnęła po kawałek talbuka, który piekł się nad ogniem. Wydała się Durotanowi absolutnym ucieleśnieniem wszystkiego, co orkowie cenili. Poruszała się z tą dziką, niebezpieczną zręcznością czarnego wilka, kły miała niewielkie, ale morderczo zaostrzone, czarne włosy zaczesane do tyłu i splecione w warkocz, praktyczny, ale i pełen uroku.

– Kto… kto to jest? – mruknął Durotan, czując ogarniające go przygnębienie. Ta wspaniała kobieta niewątpliwie należała do innego klanu. Zauważyłby przecież taką piękność, silną, gibką, zgrabną, gdyby była w jego klanie.

Orgrim ryknął śmiechem i zdzielił Durotana w plecy. Zarówno tubalny śmiech, jak i uderzenie sprawiły, że kilka głów obróciło się w ich stronę, w tym głowa pięknej kobiety. Orgrim zniżył głos do szeptu, a jego słowa sprawiły, że w Durotanie serce urosło.

– Ty mało spostrzegawczy psie! Ona jest Mroźnym Wilkiem! Sam bym ją chwycił, gdyby była z mojego klanu.

Mroźnym Wilkiem? Jakim cudem Durotan nie zauważył takiego skarbu we

własnym klanie? Odwrócił się od Orgrima uśmiechniętego od ucha do ucha, by teraz jeszcze popatrzeć na piękną kobietę. Ona patrzyła wprost na niego. Ich oczy się spotkały.

– Draka!

Drgnęła i odwróciła się. Durotan zamrugał, jakby otrząsał się ze snu.

– Draka – powiedział cicho, nic dziwnego, że jej nie poznał. – Nie, Orgrimie. Ona nie jest urodzoną wojowniczką. Została nią uczyniona.

Draka urodziła się chora, o skórze bladej, kolorem przypominającej raczej sierść łani niż zdrową korę drzewa jak u większości orków. Durotan pamiętał, jak za jego dziecięcych lat dorośli rozmawiali o Drace szeptem, jakby była już w drodze, by dołączyć do przodków. Rodzice mówili o niej ze smutkiem, zastanawiając się, cóż takiego uczynił ich ród, że przodkowie przeklęli ich tak kruchym dzieckiem.

I jakoś tak niedługo po tym, uświadomił sobie Durotan, rodzina Draki przeniosła się na obrzeże osady. Nie widywał jej za wiele, zajęty własnymi sprawami.

Draka odcięła kilka kawałków mięsa i zaniosła swojej rodzinie. Durotan zauważył dwoje młodych, siedzących ze starszymi orkami, najpewniej rodzicami. Dzieci wyglądały na silne i zdrowe. Draka musiała poczuć jego spojrzenie, bowiem odwróciła głowę i popatrzyła mu w oczy. Rozdęła nozdrza i usiadła prosto, jakby milcząco wyzywając Durotana, by spróbował tylko spoglądać na nią z litością i współczuciem, zamiast z podziwem i szacunkiem.

Nie, ona nie potrzebowała litości. Za sprawą łaski duchów, uzdrowicielskich mocy szamana i siły woli, która płonęła w jej brązowych oczach, zostawiła za sobą dziecięcą kruchość, by rozwinąć się i stać się… tym ideałem orczej kobiecości.

Powietrze wyrwało mu się z płuc ze świstem, gdy Orgrim dał mu kuksańca w bok. Durotan łypnął na niego wrogo.

– Przestań się gapić z otwartymi ustami, bo mam ochotę ci coś tam wsadzić, żebyś je zamknął – burknął Orgrim.

Durotan uświadomił sobie, że w istocie wpatruje się w Drakę z otwartymi ustami i niejeden ork to zauważył. Dostrzegł rozbawione spojrzenia. Skupił

się na uczcie i już nie spojrzał na Drakę ani razu tej nocy.

Ale śnił o niej. A kiedy się obudził, wiedział, że Draka będzie należała do niego. Miał przecież w przyszłości przewodzić najdumniejszemu z klanów.

Jaka kobieta mogłaby mu powiedzieć: „Nie”?

*

– Nie – powiedziała Draka.

Durotan osłupiał. Podszedł do niej następnego ranka i poprosił, by udała się z nim na polowanie. We dwoje. Znaczenie tego zaproszenia było oczywiste: mężczyzna polował sam na sam z kobietą w ramach rytuału zalotów. A ona dała mu kosza.

To było tak niespodziewane, że nie wiedział, jak zareagować. Przyglądała mu się niemal z pogardą, krzywy uśmieszek odsłonił jej doskonałe kły.

– Dlaczego nie? – wykrztusił wreszcie Durotan.

– Jeszcze do tego nie dorosłam – odparła, ale słowa te brzmiały bardziej jak wymówka niż prawdziwy powód.

Ale Durotan nie dał się zbyć tak łatwo.

– Chciałem, by to polowanie było częścią zalotów, to prawda – powiedział szczerze. – Ale skoro nie jesteś we właściwym wieku, uszanuję to. Nadal jednak chciałbym, byś mi towarzyszyła. Niech będzie to polowanie dwojga dumnych wojowników, nic poza tym.

Teraz przyszła jej kolej na całkowite zaskoczenie. Durotan domyślił się, że spodziewała się, iż będzie on albo naciskał, albo odejdzie w gniewie.

– Ja…

Zamilkła, patrząc nań szeroko otwartymi oczami. I nagle uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Pójdę z tobą na polowanie, Durotanie, synu Garada, przywódcy Klanu Mroźnego Wilka.

*

Durotan uznał, że nigdy dotąd nie był równie szczęśliwy. To polowanie znacznie różniło się od przeciętnego. Biegli ramię w ramię długimi susami.

Te wszystkie wyzwania, wszystkie próby, którym poddawali się nawzajem z Orgrimem, dały Durotanowi siłę i wytrzymałość i przez moment obawiał

się nawet, że biegnie zbyt szybko. Ale Draka, choć urodziła się taka krucha, teraz miała dość sił, by za nim nadążyć. Nie mówili zbyt wiele, bo i nie było o czym. Wyruszyli na polowanie, znajdą zwierzynę, zabiją i przyniosą klanowi. Cisza była łatwa i oboje czuli się z nią dobrze.

Zwolnił, gdy wybiegli na otwarty teren, i uważnie patrzył na ziemię pod nogami. Brak śniegu utrudniał nieco tropienie, ale Durotan wiedział, czego szukać: zdeptanej trawy, połamanych gałązek, zagłębień w glebie.

– Raciczniki – oznajmił.

Podniósł się i spojrzał w kierunku, gdzie się oddaliły. Draka wciąż kucała, jej palce delikatnie przesuwały się nad liśćmi.

– Jeden jest ranny – oznajmiła

Durotan spojrzał na nią.

– Nie widziałem krwi.

Pokręciła głową.

– Nie chodzi o krew, ale o wzór śladów. – Wskazała na miejsce, które zwróciło jej uwagę.

Nie zobaczył tam niczego, co świadczyłoby o tym, że szło tędy ranne stworzenie. Teraz on pokręcił głową zdziwiony.

– Nie, nie ten ślad… następny i jeszcze następny.

Przesunęła się do przodu, ostrożnie stawiając stopy. I nagle Durotan zobaczył to co ona. Odcisk jednego kopyta był płytszy niż trzy pozostałe.

Zwierzę utykało.

Popatrzył na nią z podziwem, a policzki Draki pociemniały lekko.

– Łatwo to zobaczyć – powiedziała. – Sam byś też to dostrzegł.

– Nie – przyznał uczciwie. – Nie dostrzegłbym. Zobaczyłem ślady, ale nie obejrzałem ich dokładnie. Ty znalazłaś na to czas. Pewnego dnia będziesz doskonałym myśliwym.

Wyprostowała się i spojrzała na niego dumnie. Durotan poczuł, jak ogarnia go dziwne ciepło, niosące siłę, a zarazem słabość. Nie modlił się często, ale teraz patrzył na stojącą przed nim Drakę i żarliwie poprosił duchy: „Niechaj ta kobieta spojrzy na mnie łaskawym okiem”.

Ruszyli tropem niczym wilki śladem zapachu. Durotan już nie prowadził, Draka dorównywała mu umiejętnościami. Właściwie uzupełniali się

wzajemnie. On miał bystre oko, ona potrafiła spojrzeć uważniej na każde znalezisko. Zastanawiał się, jak by to było walczyć u jej boku. Wpatrywali się w grunt pod nogami, skręcili gwałtownie. Durotan rozmyślał, jak by to było…

Wielki czarny wilk stał, warcząc, nad tym samym zwierzęciem, które tropili. Odwrócił się błyskawicznie. Przez niekończący się ułamek chwili troje drapieżników przyglądało się sobie nawzajem. Zanim jednak bestia choćby spięła się do skoku, Durotan zaatakował.

Topór zdawał się nic nie ważyć, gdy ork uniósł go i z mocą opuścił. Ostrze wgryzło się głęboko w tułów zwierzęcia, ale wilk niemal natychmiast zemścił się i żółtawe kły zatonęły w ramieniu Durotana. Ból, straszliwy i rozpalony do białości, przeszył orka. Durotan wyrwał ramię ze szczęk zwierzęcia. Uniósł topór, tym razem już z wysiłkiem, bowiem ramię broczyło obficie szkarłatem. Wilk odwrócił się. Całą uwagę skupił na Durotanie, spojrzenie żółtych ślepi zatonęło w źrenicach wojownika. Szczęki rozwarły się do ryku. Durotana owiał dech cuchnący zepsutym mięsem.

Zanim wielkie szczęki sięgnęły twarzy orka, rozległ się bojowy okrzyk. Kątem oka Durotan dostrzegł trzepot ruchu. Draka skoczyła na wilka z bogato zdobioną włócznią w dłoni. Bestia szarpnęła głową, gdy grot przebił jej ciało. Durotan podniósł topór i zamachnął się, jak mógł najmocniej, czuł, że ostrze zagłębia się w ciele wilka głęboko, jeszcze głębiej, czuł, jak wgryza się w ziemię tak mocno, że zwierzę nie będzie w stanie się uwolnić.

Cofnął się, dysząc ciężko. Draka stała przy nim. Czuł jej ciepło, jej energię, jej pasję myśliwego dorównującą temu, co przepełniało Durotana. Razem patrzyli na zgładzoną bestię. Zostali zaskoczeni przez zwierzę tak potężne, że zwykle trzeba było kilku doświadczonych wojowników, by pozbawić je życia. A jednak oboje wyszli z tego starcia żywi. Czworonogi przeciwnik leżał martwy w kałuży krwi rozrąbany toporem Durotana. Włócznia Draki sterczała z wilczego serca. Durotan uświadomił sobie, że nigdy nie będzie w stanie powiedzieć, które z nich zadało śmiertelny cios, i ta myśl uszczęśliwiła go niebotycznie.

Usiadł z impetem.

Draka w jednej chwili znalazła się u jego boku, oczyściła rozerwane ramię

z krwi i mruknęła coś pod nosem, gdy z rany wylało się więcej szkarłatu. Opatrzyła go leczącymi balsamami i obwiązała ramię ciasno, a potem kazała mu napić się wody, do której dorzuciła jakieś gorzkie zioła. Po kilku chwilach przestało mu się kręcić w głowie.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Skinęła głową, nie patrząc nań nawet. I nagle w kąciku jej ust zaigrał uśmieszek.

– Co cię tak bawi? Że nie zdołałem ustać na nogach?

Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał, i podniosła na niego oczy zaskoczona tym tonem.

– Wcale nie. Dzielnie walczyłeś, Durotanie. Wielu upuściłoby swój topór z tak pokiereszowanym ramieniem.

Poczuł się zaskakująco ucieszony jej komplementem, który zresztą wypowiedziany został niczym stwierdzenie faktu, a nie pochlebstwo.

– W takim razie… co cię tak rozbawiło?

Uśmiechnęła się szeroko, patrząc mu prosto w oczy.

– Wiem coś, czego ty nie wiesz. Ale… po tym… chyba ci powiem.

Uświadomił sobie, że też się uśmiecha,

– Jestem zaszczycony.

– Powiedziałam ci wczoraj, że nie jestem w wieku do zalotów.

– Prawda.

– No to… kiedy to powiedziałam, wiedziałam, że wkrótce ten wiek osiągnę.

– Rozumiem – powiedział, choć nie rozumiał, niezupełnie. – Zatem… kiedy osiągniesz właściwy wiek?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Dzisiaj – oznajmiła po prostu.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem bez słowa przyciągnął do siebie i pocałował.

*

Talgath obserwował orków od jakiegoś czasu. Teraz wycofał się, bowiem uznawał ich zwierzęcą naturę za obelżywą. Wolał być man’ari. Poza

żeńskimi istotami o skórzastych skrzydłach i długich ogonach man’ari zaspokajali swe żądze okrucieństwem i przemocą, a nie kopulowaniem. Talgath uważał, że tak jest o wiele lepiej. Tak naprawdę zabiłby tych dwoje na miejscu, gdyby nie wyraźne rozkazy jego pana. Gdyby tamta para nie wróciła do swego klanu, zaczęłyby się pytania i choć orkowie byli dlań równie nieistotni co muchy, to nawet muchy mogą stać się irytujące. Kil’jaeden kazał mu obserwować i zdać raport, nic więcej.

I tak właśnie Talgath zamierzał uczynić.

*

Zemsta – dumał Kil’jaeden – niczym owoc na drzewie, najsłodsza jest w pełni dojrzała. W ciągu minionych lat Kil’jaeden niejednokrotnie doświadczał momentów zwątpienia, niepewności, czy kiedykolwiek zdoła odszukać zbiegłych eredarów. Ale im więcej szczegółów zdradzał mu Talgath, tym bardziej zadowolony i pewny siebie stawał się Kil’jaeden.

Talgath wypełnił swoje zadanie doskonale. Znalazł żałosne niby-miasta, które wzniósł potężny niegdyś Velen z garstką swych popleczników. Zaobserwował, jak zbiegowie żyją, jak polują niczym stworzenia zwące się orkami, jak własnymi rękoma sieją ziarno w glebę. Patrzył, jak handlują ze zwalistymi stworzeniami, które ledwie posiadły umiejętność wysławiania się, i jak traktują te stwory z uprzejmością, co było komiczne. Talgath znalazł jakieś odległe echa wielkości w ich budowlach i ograniczoną technologię, ale to wszystko. Teraz czuł, że jego pan będzie zadowolony, dowiadując się, jak nisko upadł jego dawny przyjaciel.

Draenei – tak się teraz nazywali. Wygnani. A świat nazwali Draenorem.

Kil’jaeden wyczuł, że Talgath był wstrząśnięty, gdy jego pan okazał się bardziej zainteresowany orkami niż samym Velenem. Jak byli zorganizowani? Jakie mieli zwyczaje? Kim byli ich przywódcy i jak ich wybierano? Co było ważnego dla ich społeczności, a co dla poszczególnych osobników?

A skoro zadaniem Talgatha było zdać raport, a nie oceniać, odpowiedział swemu panu, jak umiał najlepiej. I kiedy Kil’jaeden dowiedział się już wszystkiego, łącznie z imionami tych dwóch stworów, które poddały się rui,

po tym jak wspólnie zabiły, wtedy nareszcie poczuł się usatysfakcjonowany, przynajmniej na chwilę.

Wreszcie, po tak długim oczekiwaniu, dopełni zemsty. Velen i jego towarzysze zostaną ukarani. Ale kara nie będzie szybka, nie wymierzona przez armię eredarów o nieopisanych możliwościach, którzy roznieśliby zdrajców na miazgę. To byłoby miłosierdzie, a Kil’jaeden chciał śmierci draenei, o tak. Ale chciał, by najpierw zostali złamani. Upokorzeni. Zmiażdżeni całkowicie i bez reszty niczym robactwo pod ciężkim butem.

I teraz wiedział dokładnie, jak tego dokonać.

Rozdział szósty

To była gorzka lekcja, okupiona krwią, śmiercią i udręką. Jak na ironię jednak to, co nas wówczas nieomal zniszczyło, później stało się naszym wybawieniem – poczucie jedności. Każdy z klanów był bezgranicznie lojalny, bezwzględnie oddany swym członkom, ale nikomu innemu. To, w imię czego się zjednoczyliśmy, przeciwko czemu stanęliśmy razem, było potwornym błędem – i wciąż za to pokutujemy. Pokolenia po mojej śmierci wciąż będą płaciły za ten błąd. Mimo to samo zjednoczenie było czymś wspaniałym. I to właśnie tę lekcję chciałbym wynieść z popiołów. To ona spowodowała, że rozmawiałem z przywódcami tak wielu pozornie odmiennych klanów, abyśmy razem mogli osiągnąć cel, z którego wszyscy bylibyśmy dumni.

Jedność. Harmonia. To lekcja wyciągnięta z przeszłości. Lekcja, którą dobrze pojąłem.

Ner’zhul z zadowoleniem spojrzał na ciemniejące niebo. Tego wieczoru zachód słońca był wspaniały. Przodkowie muszą być zadowoleni – pomyślał z odrobiną dumy.

Kolejny Kosh’harg dobiegł końca. Wydawało mu się, że święta te przychodzą w coraz krótszych odstępach, a każdemu towarzyszyło zarówno jakieś wydarzenie budzące radość, jak i takie, które powszechnie opłakiwano.

Stara przyjaciółka Ner’zhula, Kashur – dobrze wiedział, że członkowie jej klanu, Mroźne Wilki, z szacunkiem nazywali ją Matką – odeszła do przodków. Z tego, co usłyszał, umarła godnie. Nalegała, by wziąć udział w łowach, czego nie robiła od lat. Mroźne Wilki polowali na raciczniki i wiekowa Matka znalazła się w pierwszej linii szarżujących wojowników.

Została stratowana na śmierć, zanim ktokolwiek mógł zareagować i ją ocalić. Ner’zhul wiedział, że choć klan opłakiwał ją szczerze, to zarazem z dumą rozpamiętywał jej życie i to, jak zdecydowała się z nim pożegnać. Tak postępowali orkowie. Ner’zhul zastanawiał się, czy ją zobaczy, po czym zbeształ się za samą myśl. Zobaczy, jeśli ona uzna za stosowne mu się ukazać. Dla szamanów śmierć nie była rozległą pustynią smutku i żałoby jak dla innych orków, bowiem posiadali oni przywilej przebywania w obecności ukochanych zmarłych, czerpania z ich wiedzy, odczuwania ich oddania i przywiązania.

Klan Mroźnego Wilka doświadczył tragedii po dwakroć, między jednym a drugim Kosh’harg stracili swego wodza, Garada. Pewnego, zdawałoby się, pięknego dnia Mroźne Wilki natknęły się pechowo nie na jednego, ale na trzech ogrów i ich potwornego władcę. Odrażające stwory nie grzeszyły mądrością, ale walczyły zajadle, natomiast gronn był przebiegłym przeciwnikiem. Orkowie zwyciężyli, jednakże wielkim kosztem. Pomimo wysiłków uzdrowicieli tego mrocznego dnia Garad i kilku innych zmarło w wyniku odniesionych ran.

Jednak smutek spowodowany utratą wodza i to takiego, którego sam Ner’zhul znał i szanował, rozjaśniała nieco radość płynąca z tego, że nowy wódz, z krwi Garada, stanął na czele klanu. Kashur chwaliła młodego Durotana i z tego, co Ner’zhul widział, młodzik będzie dobrym wodzem. Co więcej, kiedy szaman przyglądał się rytuałowi mianowania Durotana, zauważył atrakcyjną kobietę o niezłomnym spojrzeniu, która obserwowała obrządki z zainteresowaniem o wiele większym niż pozostali członkowie klanu. Ner’zhul był pewien, że przed następnym świętem Kosh’harg piękna Draka zostanie partnerką młodego wodza.

Westchnął, zamyślony, rozkoszując się cudownym widokiem zachodu słońca. Lata mijały, przynosząc błogosławieństwa, żądając swych ofiar.

Ner’zhul wrócił do niewielkiej chatki, którą dawniej dzielił z partnerką, od lat już przebywającą z przodkami. Rulkan odwiedzała go od czasu do czasu, nie przekazując jednak żadnych mądrości, lecz jedynie wypełniając jego serce czułością i otwierając go ponownie na potrzeby jego ludu za każdym razem, gdy ich dusze się zetknęły. Brakowało mu jej chrapliwego śmiechu

i ciepła jej ciała w łożu, ale i tak był zadowolony. Być może, rozmyślał, Rulkan objawi się mu w wizji tej nocy.

Cicho zanucił zaklęcie nad przygotowaną miksturą, po czym powoli ją wypił. Oczywiście wiedział, że to nie ona powoduje widzenia. Jedynie wola przodków mogła zesłać wizję, nic innego, i czasami przychodziły one w najbardziej niespodziewanych momentach. Ale w ciągu minionych lat nauczył się, że niektóre zioła otwierają umysł podczas snu, zatem jeśli przodkowie zechcieli zesłać jakąś wizję, łatwiej było zapamiętać ją po przebudzeniu.

Ner'zhul zamknął oczy i otworzył je niemal natychmiast. Wiedział jednak, że śpi głęboko.

Stali na szczycie góry, on i jego ukochana Rulkan. Na początku Ner'zhul myślał, że razem obserwują zachód, pojął jednak, że słońce się budziło, zamiast układać do snu. Niebo było olśniewające i gdy na nie patrzył, nie czuł się spokojny i pokrzepiony, ale poruszony i pobudzony. Patrzył na szkarłat, fiolet i pomarańcz, mocne, niemal ostre, i serce w nim rosło.

Rulkan zwróciła się ku niemu z uśmiechem i po raz pierwszy, odkąd wydała ostatnie tchnienie, przemówiła do niego.

– Ner'zhulu, mój ukochany, to jest nowy początek.

Gwałtownie nabrał powietrza, zadrżał, ogarnięty miłością do niej, porwany falą kipiącego podniecenia, spotęgowanego przez jaskrawe kolory nieba. Nowy początek?

– Dobrze wiodłeś nasz lud – powiedziała. – Lecz nadszedł czas, abyśmy poszerzyli dawne ścieżki i poprowadzili je dalej dla dobra wszystkich.

Coś zrodziło się w głębi jego umysłu, zmąciło jego świadomość. Rulkan nie była szamanką ani wodzem. Była jedynie sobą, co w zupełności wystarczało Ner'zhulowi. Jednak w całym swoim życiu nigdy nie pełniła żadnej przewodniej funkcji, zatem ten autorytarny ton był zaskakujący i do niej nie pasował. Poirytowany brakiem własnej wiary Ner'zhul uciszył tę myśl. Nie był duchem. Był żywym orkiem i choć w swej opinii rozumiał zachowania duchów lepiej niż inni, wiedział także, że nie pojmie do końca dróg, jakimi chadzali przodkowie, dopóki sam do nich nie dołączy. Czemu Rulkan nie miałaby mówić w imieniu przodków?

– Słucham – zadeklarował.

– Wiedziałam, że posłuchasz – uśmiechnęła się. – Mroczne i niebezpieczne czasy czekają nasz lud. Dotychczas zbieraliśmy się razem jedynie z okazji święta Kosh'harg, poza tym wiodąc życie w odosobnieniu. Jeżeli chcemy przetrwać jako rasa, to musi się skończyć.

Rulkan spojrzała na wschodzące słońce. Twarz miała zamyśloną i smutną. Ner'zhula bolało, że nie może ukochanej objąć, ująć ciężaru trosk z jej barków, tak jak robił to dawno temu, kiedy jeszcze żyła. Teraz jednak wiedział, że nie może jej dotknąć ani zmusić do mówienia, siedział więc w ciszy, chłonąc jej piękno i łaknąc znajomego głosu.

– Zaraza skalała ten świat – powiedziała cicho Rulkan. – Musi zostać zniszczona.

– Powiedz, a zrobię, co trzeba – przysiągł żarliwie Ner'zhul. – Zawsze szanuję rady przodków.

Odwróciła się ku niemu, szukając spojrzeniem jego oczu w jaśniejącym świetle poranka.

– Kiedy zostanie zniszczona, nasz lud będzie stał dumnie i głowy nosił wysoko… nawet wyżej niż teraz. Moc i siła będą nasze. Ten świat będzie nasz. I ty… ty, Ner'zhulu, ty ich poprowadzisz.

Powiedziała to w taki sposób, że szamanowi serce skoczyło w piersi. Już był potężny. Szanowany, być może nawet czczony, przez swój własny klan, Cienisty Księżyc. Przewodził wszystkim orkom, nawet jeśli nie miał stosownego tytułu. Lecz teraz zapragnął więcej. Ale wraz z żądzą poczuł też strach, mroczny i złowieszczy, coś, z czym musiał się zmierzyć.

– Czym jest to niebezpieczeństwo, które musi zostać zniszczone, zanim orkowie przejmą, co się im słusznie należy?

Powiedziała mu.

*

– Co to znaczy? – zapytał Durotan.

Jadł śniadanie z dwiema najbardziej zaufanymi mu osobami: Draką, jego wybranką, którą poślubi podczas pełnej ceremonii w następną pełnię, i Drek'Tharem, przewodzącym teraz szamanom klanu.

Durotan, jak wszyscy, opłakiwał Matkę Kashur. W głębi duszy wiedział, że chciała odejść tego dnia i umrzeć godnie. Wszystkim będzie jej brakowało, ale Drek'Thar dowiódł już swojej wartości jako następca. Walcząc z własnym smutkiem, sprostał zarówno zadaniu pierwszego uzdrowiciela łowów, jak i wszelkim innym. Kashur byłaby dumna. Teraz trójka siedziała w namiocie Durotana, namiocie wodza klanu, od czasu gdy Garad poległ w walce z gronnem i jego ogrami.

Pytanie Durotana odnosiło się do listu, który niedawno został mu dostarczony przez wysokiego, smukłego kuriera na wysokim, smukłym wilku. Jedząc owsianą zupę sporządzoną z krwi i zboża, ponownie spojrzał na treść listu.

Szaman Ner'zhul pozdrawia Durotana, wodza Klanu Mroźnego Wilka.

Przodkowie zesłali mi wizję, która dotyczy wszystkich nas, orków, nie tylko członków poszczególnych klanów. Dwunastego dnia tego księżyca spotkam się zarówno z wodzami wszystkich klanów, jak i szamanami. Macie stawić się u stóp świętej góry. Otrzymacie jedzenie i napitek. Jeśli się nie stawisz, uznam, że nie dbasz o przyszłość naszego ludu, i tak też cię potraktuję. Wybacz mi szorstkość, lecz jest to sprawa najwyższej wagi. Przekaż odpowiedź posłańcowi.

Durotan kazał poczekać posłańcowi, póki sam nie omówi poruszonej w liście kwestii. Tamten sprawiał wrażenie mocno wytrąconego z równowagi, ale zgodził się na żądanie wodza Mroźnych Wilków. Być może pomógł go przekonać aromatyczny zapach zupy ulatniający się z kotła.

– Nie wiem nic poza tym, że najwyraźniej dla Ner'zhula jest to sprawa najwyższej wagi – przyznał Drek'Thar. – Nic podobnego nie wydarzyło się poza świętem Kosh'harg. Wtedy szamani zawsze się spotykają w obecności przodków, którzy zechcą się objawić. Nigdy w innych okolicznościach. Nie słyszałem także, by kiedykolwiek wezwano na spotkanie wodzów. Znam jednak Ner'zhula całe życie. To mądry ork i wielki szaman. Gdyby duchy chciały przekazać nam wieść o czymś, co zagraża nam wszystkim, przemówiłyby właśnie przez niego.

Draka warknęła.

– Wzywa cię, jakbyś był jego zwierzęciem, posłusznym na każde zawołanie – mruknęła. – Nie podoba mi się to, śmierdzi arogancją.

– Nie mówię, że nie masz racji – rzekł Durotan.

Zjeżył się na ton listu i początkowo chciał odmówić. Lecz przeczytał go raz jeszcze, zignorował wyniosłe słowa, skupiając się na intencjach autora. Coś z pewnością niepokoiło orka, którego wszyscy szanowali, a to niewątpliwie było warte kilkudniowej podróży.

Draka przyglądała się mu spod przymrużonych powiek. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– A jednak pójdę – oznajmił. – Razem ze wszystkimi moimi szamanami.

Draka zmarszczyła brwi z namysłem.

– W takim razie idę z tobą…

– Będzie lepiej, jeżeli…

– Jestem Draka, córka Kelkara, syna Rhakisha. Jestem twoją wybranką, a wkrótce zostanę twoją życiową partnerką. Nie zabronisz mi sobie towarzyszyć – warknęła.

Durotan odrzucił głowę ze śmiechem – ten pokaz hartu ducha Draki wypełnił mu serce ciepłem. Zaiste, dobrze wybrał. W kimś, kto urodził się słaby, zrodziła się siła i ogień. Klan Mroźnego Wilka będzie kwitł, gdy wódz będzie miał ją u boku.

– Zawołaj posłańca, o ile już skończył jeść – rzekł Durotan wciąż z nutą rozbawienia w głosie. – Powiedz mu, że przybędziemy na to dziwne spotkanie Ner’zhula, ale lepiej, żeby okazało się warte podróży.

Wódz Mroźnych Wilków i szamani klanu dotarli na miejsce jako jedni z pierwszych. Ner’zhul powitał ich osobiście, Durotan tylko spojrzał na twarz szamana i od razu zrozumiał, że przyjście tu było właściwą decyzją. Ner’zhul nie był młody, ale teraz wydawało się, że od czasu ostatniego Kosh’harg zestarzał się o całe lata. Sprawiał wrażenie o wiele szczuplejszego, wycieńczonego niemal, jakby nie jadł przez jakiś czas. W oczach miał udrękę. Chwycił szerokie ramiona Durotana drżącymi rękoma. Jego podziękowanie za przybycie było szczerze.

To nie był arogancki wybieg, by udowodnić potęgę swoich wpływów, ale

działanie płynące z prawdziwego poczucia zagrożenia. Wódz Mroźnych Wilków pochylił głowę, po czym odszedł do swych towarzyszy, którzy zdążyli już rozbić obóz.

Przez następne parę godzin, podczas gdy słońce zmierzało ku horyzontowi, Durotan obserwował niekończący się potok orków przybywający na łąki u stóp świętej góry, jak gdyby miał się tam rozpocząć kolejny Kosh'harg. Widział barwne sztandary klanowe łopocące na wietrze i uśmiechnął się mimowolnie, gdy na jednym z nich dostrzegł znak Czarnej Skały, klanu Orgrima. Odkąd obydwaj weszli w dorosłość, mieli dla siebie znacznie mniej czasu. Orgrim był obecny podczas rytuału, który uczynił Durotana wodzem klanu, ale od tamtej chwili nie mieli okazji się spotkać. Durotan ucieszył się, ale też nie zdziwił, widząc sylwetkę Orgrima maszerującego za zwalistym Blackhandem. A więc stary przyjaciel został zastępcą Czarnorękiego.

Draka podążyła wzrokiem za spojrzeniem swego przyszłego partnera i mruknęła z zadowoleniem. Lubili się z Orgrimem, co cieszyło Durotana. Doceniał to szczęście, że dwie osoby, które były w dlań ważne, mogły się ze sobą przyjaźnić.

Podczas gdy Blackhand rozmawiał z Ner'zhulem, Orgrim rzucił przyjacielowi spojrzenie i zmrużył porozumiewawczo oko. Durotan odpowiedział mu uśmiechem. Był zaniepokojony wyglądem szamana, ale przynajmniej to niezwykłe zebranie pozwoliło mu na spotkanie z przyjacielem. Nagle Blackhand obrócił się, prychnął i gestem nakazał Orgrimowi pójść za sobą. Uśmiech Durotana zgasł, gdy ten uświadomił sobie, że jeśli Blackhand będzie wymagał obecności Orgrima u swego boku, to nawet ta przyjemność zostanie mu odebrana.

Draka, która znała go lepiej niż ktokolwiek, uścisnęła jego dłoń. Nic nie powiedziała, nie było trzeba. Durotan spojrzał na nią i uśmiechnął się.

*

Wiadomość przyniósł im ten sam wysoki i smukły posłaniec – Ner'zhul przeprowadzi zebranie następnego dnia, bowiem liczne klany przybędą jeszcze w nocy. Obozowisko Mroźnych Wilków było mniejsze od większości, za to bardziej harmonijne. Zabrali ze sobą namioty i futra,

a posłaniec dopilnował, by dostarczono im mięsa, ryb i owoców. Nad ogniem obracał się teraz udziec talbuka, a jego kusząca woń pobudzała apetyty, choć orkowie zdążyli się już pożywić surową rybą. Było ich jedenaścioro: Durotan, Draka, Drek'Thar i ośmiu pozostałych szamanów. Niektórzy wydawali się Durotanowi bardzo młodzi, ale podczas gdy umiejętności szamanów rosły z czasem, to od chwili gdy przodkowie ukazali się im w wizji, wszyscy cieszyli się równym szacunkiem i poważaniem.

Na granicy kręgu światła zamajaczył jakiś cień. Durotan wstał i wyprostował się na swą imponującą wysokość na wypadek, gdyby gość nadużył trunków i przychodził w niecnych zamiarach. Wiatr się zmienił i Durotan roześmiał się, pochwyciwszy zapach Orgrima.

– Witaj, przyjacielu! – zawołał i obaj uściskali się serdecznie.

Choć Durotan był już wysoki, Orgrim wciąż przewyższał go wzrostem, tak jak to było za czasów ich młodości. Teraz gdy Durotan spoglądał na przyjaciela, w duchu dziwił się, że kiedykolwiek zdołał go w czymkolwiek prześcignąć.

Orgrim mruknął i klepnął Durotana w ramię.

– Twoja grupka jest niewielka, ale pachnie lepiej niż wszystkie pozostałe – powiedział, zerkając z upodobaniem na mięso nad ogniem.

– Zatem częstuj się talbukiem i na chwilę porzuć obowiązki – zaproponowała Draka.

– Chciałbym – westchnął Orgrim – ale brak mi czasu. Gdyby wódz Mroźnych Wilków przeszedł się ze mną, byłbym zaszczycony.

– Chodźmy – odparł po prostu Durotan.

Zostawili obozowisko za sobą i szli kawałek w milczeniu, póki ogniska nie stały się jedynie iskierkami migoczącymi w ciemności, a dwóch przyjaciół zyskało pewność, że znaleźli się dostatecznie daleko, daleko od wszelakich niepożądanych oczu czy uszu. Orgrim stał, nadal bez słowa, a Durotan czekał z cierpliwością myśliwego.

– Blackhand nie chciał się tu pojawić – zaczął wreszcie Orgrim. – Uznał, że to poniżające, bo Ner'zhul przywołał nas jak jakieś zwierzęta.

– Draka i ja myśleliśmy podobnie, ale cieszę się, że jednak przybyliśmy. Widziałeś twarz Ner'zhula. Jedno spojrzenie wystarczyło mi, by wiedzieć, że

dobrze zrobiliśmy, odpowiadając na jego wezwanie.

Orgrim parsknął szyderczo.

– Mnie również, ale kiedy opuszczałem nasz obóz, Blackhand nie przestał wściekać się na szamana. On nie widzi tego, co dostrzegamy my dwaj.

Krytykowanie innego wodza nie leżało w gestii Durotana, ale też nie było tajemnicą, co orkowie myśleli na temat Czarnorękiego. Blackhand był potężnym orkiem, w swych najlepszych latach, większym i silniejszym niż jakikolwiek ork, którego Durotan miał okazję spotkać. I nie można było go nazwać głupcem. Ale coś w nim tkwiło takiego, że Durotan mimowolnie się jeżył. Teraz postanowił trzymać język za zębami.

– Nawet w tych ciemnościach widzę, jak się wysilasz, by zachować milczenie – powiedział cicho Orgrim. – Nie musisz mówić głośno, żebym wiedział, co chcesz powiedzieć. On jest moim wodzem, przysięgałem mu lojalność i nie złamię tej przysięgi. Ale nawet ja mam swoje obawy.

To stwierdzenie zaskoczyło Durotana.

– Masz?

Orgrim przytaknął.

– Jestem rozdarty, Durotanie, rozdarty między lojalnością a tym, co mówią mi umysł i serce. Obyś nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji, przyjacielu. Jestem jego przybocznym, więc czasem mogę na niego wpłynąć, ale w niewielkim stopniu. To on jest wodzem, on ma władzę. Ja mogę mieć tylko nadzieję, że jutro posłucha innych, a nie będzie trzymał się swej urażonej dumy.

Durotan szczerze podzielał tę nadzieję. Jeśli sprawy miały się tak źle, jak sugerowała to mina Ner’zhula, to ostatnie, czego było im trzeba, to by przywódca jednego z najpotężniejszych klanów zachowywał się jak rozpuszczone dziecko.

Durotan zawadził spojrzeniem o ciemny kształt przytroczony na palcach przyjaciela.

– Nosisz Doomhammera – stwierdził ze smutkiem i dumą zarazem. – Nie wiedziałem, że twój ojciec odszedł.

– Poległ dzielnie i godnie – oparł Orgrim. – Pamiętasz ten dzień, gdy natknęliśmy się na ogra i draenei nas uratowali?

– Nie mógłbym go zapomnieć – oznajmił Durotan.

– Ich prorok mówił o dniu, w których wezmę ten młot do ręki – mówił Orgrim. – Taki byłem podekscytowany na myśl o tym, że będę nim władał w trakcie łowów. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, naprawdę zrozumiałem, że dzień, w którym go otrzymam, będzie dniem śmierci mego ojca.

Odpiął młot i uniósł w dłoni. Niczym utalentowany tancerz – pomyślał Durotan – oto równowaga między siłą a zręcznością. Księżyc oświetlił silne ciało Orgrima, gdy ten poruszał się, pochylał, skakał i machał. Wreszcie, oddychając ciężko, umieścił młot na grzbiecie.

– To wspaniała broń – powiedział cicho. – Jest w niej moc. Broń z przepowiedni. Duma mego rodu. A jednak roztrzaskałbym ją w tysiąc kawałków, jeśli mógłbym tak sprowadzić ojca z powrotem.

I z tymi słowy Orgrim odszedł ku migoczącym światłom ognisk. Durotan nie poszedł za nim. Siedział przez chwilę, wpatrując się w gwiazdy, głęboko w duszy czuł, że świat, który zobaczy o poranku, będzie zupełnie różny od tego, który znał całe życie.

Rozdział siódmy

Wiem dobrze, że my, orkowie, straciliśmy więcej, niż zyskaliśmy. Do tamtego dnia nasza cywilizacja była czysta, niewinna, nieskażona. Byliśmy jak dzieci od zawsze otoczone miłością, bezpieczeństwem, zawsze chronione. Ale dzieci muszą dorosnąć, a nami łatwo było manipulować.

Istnieje przestrzeń dla zaufania; nikt nie mógłby zarzucić, że tego nie wiem. Ale musimy być również ostrożni. Piękne lico może zwieść, a nawet ci, w których wierzyliśmy całą duszą, mogą oszukać.

To właśnie nad utraconą niewinnością rozpaczam, kiedy wracam myślami do tamtych dni. A zarazem to właśnie nasza niewinność doprowadziła do naszego upadku.

Długi szereg poważnych twarzy zwrócił się ku zebranym przywódcom orczych klanów. Durotan obejmował opiekuńczym ramieniem talię Draki, choć sam nie wiedział, przed czym chciał ją chronić. Jego wzrok napotkał spojrzenie Drek'Thara, a oczy rozszerzyły mu się na widok tego, co ujrzał w obliczu doradcy i przyjaciela, a co zmroziło mu krew w żyłach. Żałował, że nie ma w pobliżu Orgrima. Należeli do różnych klanów, mieli inne obyczaje, ale czy tego chciał, czy nie, nikomu bardziej nie ufał. Niestety Orgrim stał oczywiście u boku swojego wodza, Blackhanda, który spoglądał po zebranych szamanach z kiepsko skrywaną irytacją.

– Zbyt dawno nie był na polowaniu – mruknęła Draka, wskazując Blackhanda skinieniem głowy. – Rwie się do walki.

– I może dostanie, czego chce – westchnął Durotan. – Spójrz na ich miny.

– Nigdy nie widziałam Drek'Thara w takim stanie, nawet nad

zmiażdżonym ciałem Matki Kashur – przyznała.

Durotan tylko skinął głową potakująco i powrócił do obserwacji.

Na środek, pomiędzy zgromadzonych, wystąpił Ner’zhul. Tłum rozstąpił się, robiąc mu miejsce. Ner’zhul zaczął chodzić w kręgu zgodnie z ruchem słońca, mamrocząc przy tym cicho. Nagle zatrzymał się, unosząc ręce. Ogień buchnął przed nim, płomień strzelił w niebo tak imponująco, że wywołał pomruk uznania nawet wśród tych, którzy nieraz widzieli podobny pokaz. Słup ognia unosił się ponad nimi długą chwilę, a potem przygasł, stając się tradycyjnym ogniskiem, choć magicznym.

– Nadciąga mrok w niejednym znaczeniu, usiądźmy zatem przy ogniu – nakazał. – Niechaj klany zajmą miejsce przy swych szamanach, ja zaś udzielę każdemu głosu, gdy nadejdzie jego czas.

– Może mamy też przynieść ubitą zwierzynę – rozległ się zawzięty, rozzłoszczony głos, – i położyć się potulnie u twych stóp?

Durotan znał ten głos. Wielokroć słyszał go za młodu w czasie święta Kosh’harg, wielokroć jego właściciel wydawał swe mrożące krew w żyłach okrzyki podczas polowań. Charakterystyczny, nie było wątpliwości, do kogo należy, nie na darmo przezywali jego właściciela Piekłoryczem. Odwrócił się w stronę Groma Hellscreama, młodego przywódcy Klanu Wojennej Pieśni, z nadzieją, że ten wybuch nie opóźni nadmiernie tego, co Ner’zhul ma im do przekazania.

Hellscream stał przed swymi towarzyszami z klanu, szczuplejszy niż większość orków, ale mimo to wysoki i potężny. Barwami klanowymi Wojennej Pieśni były czerń i czerwień, a choć Hellscream nie miał zbroi, zwykłe skórzane odzienie w owych mocnych kolorach robiło równie wielkie wrażenie. Hellscream stał ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i patrzył gniewnie na Ner’zhula.

Szaman westchnął ciężko.

– Wiem, wielu z was czuje, że to ujma na honorze. Pozwólcie jednak, że przemówię, a będziecie zadowoleni, że przybyliście. I dzieci waszych dzieci również będą z tego zadowolone.

Hellscream warknął, jego oczy zaiskrzyły, ale zmilczał. Postał jeszcze przez moment, a potem wzruszywszy ramionami, jakby chciał podkreślić, że

robi to z własnego wyboru, usiadł. Pozostałe Wojenne Pieśni poszły za jego przykładem.

Ner’zhul odczekał, aż wszelkie rozmowy i szepty ucichną, i dopiero wtedy zaczął mówić.

– Miałem wizję. Zesłał mi ją jeden z przodków, któremu ufam ponad miarę. Odkrył on przede mną zagrożenie, czające się niczym jadowity skorpion pod kwitnącymi krzewami. Inni szamani mogą o tym zaświadczyć i zaświadczą, kiedy oddam im głos. Smuci mnie wielce i gniewa, że byliśmy tak naiwni.

Durotan słuchał słów szamana z bijącym sercem. Kim był ich tajemniczy wróg? Jak przeciwnik tak groźny mógł ujść dotąd ich uwadze?

Ner’zhul z westchnieniem spuścił wzrok, ale szybko się otrząsnął.

– Wróg, o którym mówię – rzekł ciężko – to draenei.

Wybuchła wrzawa.

Durotan gapił się na niego w niedowierzaniu. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Orgrima, i spojrzał w szeroko rozwarte szare oczy przyjaciela, przepełnione takim samym zaskoczeniem i szokiem, które sam odczuwał. Draenei? To niemożliwe. Gronny, owszem, mogły przypadkiem zdobyć jakąś tajemną wiedzę i wykorzystać ją przeciw znienawidzonym orkom, ale draenei? Nie…

Nie byli nawet wojownikami w pojęciu orków. Polowali, to prawda, ale potrzebowali mięsa tak samo jak orkowie – do przeżycia. Mogli mierzyć się z gronnem, raz czy dwa brali udział w polowaniu. Myśli Durotana wróciły do dnia, gdy dwóch młodych orków uciekało przed ogrem, którego kroki wstrząsały ziemią, i nagle jakby znikąd pojawiły się wysokie niebieskie postaci, niosące ocalenie młodzikom.

Czy to możliwe, żeby narażali życie, ratując dwóch chłopców, i jednocześnie byli tak dogłębnie źli, jak sądził Ner’zhul? To nie miało sensu. Nic w tym wszystkim nie miało sensu.

Ner’zhul bezskutecznie domagał się spokoju. Blackhand zerwał się na równe nogi, wystąpiły mu żyły na szyi, a Orgrim robił, co mógł, żeby uspokoić swego wodza. Nagle w zgiełk wdarł się przenikliwy dźwięk, który ogłuszał i zatrzymywał serce w piersi. Grom Hellscream również stał, z odrzuconą w tył głową, wypięta piersią i szczękami rozwartymi tak

szeroko, jakby na podobieństwo węża mającego pochłonąć ogromną ofiarę.

Nic nie mogło się równać z okrzykiem bitewnym Hellscreama. Zaległa cisza.

Grom otworzył oczy i uśmiechnął się do Ner’zhula, który zdawał się zupełnie zbity z tropu, że przed chwilą jeszcze antagonista stał się w jednej chwili jego sprzymierzeńcem.

– Niech szaman mówi – rzekł Hellscream. Cisza, która zapadła po jego wrzasku, była tak głucha, że jego słowa słyszeli wszyscy, mimo iż wymówił je spokojnym tonem. – Chcę usłyszeć o tym nowym starym wrogu.

Ner’zhul uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Wiem, że to zaskakujące. Ja również jestem wstrząśnięty. Jednakże przodkowie nie kłamią. Ten pozornie dobrotliwy lud całymi latami czekał na odpowiednią chwilę, by nas zaatakować. Żyje bezpiecznie w swych budynkach wzniesionych z materiałów, które przechodzą nasze pojęcie, i tam gromadzi sekretną wiedzę. Wiedzę, która mogłaby nam pomóc.

– Ale dlaczego? – wyrwało się Durotanowi mimowolnie. Oczy zebranych zwróciły się na niego, ale nie wycofał się ze swojego pytania. – Czemu mieliby nas atakować? Skoro posiadają tak wielką wiedzę, czego chcą od nas? I jak mielibyśmy ich pokonać, jeśli to prawda?

– Tego nie wiem – przyznał Ner’zhul wyraźnie skonsternowany. – Wiem tylko, że przodkowie są zatroskani.

– Mamy przewagę liczebną – warknął Blackhand.

– Nie aż tak wielką – odparł Durotan. – I nie w obliczu ich wielkiej wiedzy. Przybyli na statkach, które podróżują pomiędzy światami. Myślisz, Blackhandzie, że ruszą na nas ze strzałami i toporami?

Blackhand ściągnął krzaczaste brwi i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć.

– To trwa od wielu dziesięcioleci – wszedł mu w słowo Ner’zhul, tłumiąc kłótnię w zalążku. – Wrze jak zupa na wolnym ogniu. Rozwiązanie i ewentualne zwycięstwo nie przyjdzie w ciągu jednej nocy. Nie proszę, żebyście z miejsca ruszyli na wojnę, zachęcam jedynie do ostrożności. Przygotujcie się. Omówcie z szamanami właściwą drogę postępowania. Otwórzcie umysły i serca na zjednoczenie, które zapewni nam triumf. –

Rozłożył ręce w błagalnym geście. – Stanowimy odrębne klany, to prawda, i każdy ma własne obyczaje i historię. Nie namawiam was, byście odrzucili swe zaszczytne dziedzictwo, ale jedynie byście otworzyli się na przymierze, które zjednoczy silne klany, przemieniając je w niepowstrzymaną potęgę. Wszyscy jesteśmy orkami! Czarna Skała, Wojenna Pieśń, Władcy Gromu, Smocze Paszcze… nie widzicie, jak niewiele znaczą te rozróżnienia? Jesteśmy tacy sami! Koniec końców, każdy z nas pragnie bezpieczeństwa dla swoich dzieci, udanych łowów, kochającej towarzyszki i zaszczytnego miejsca pośród przodków. Więcej nas łączy, niźli dzieli.

Durotan, który akurat tu był tego samego zdania, zerknął na swego przyjaciela. Orgrim stał za swym wodzem, wysoki, postawny, poważny. Jednak kiedy poczuł na sobie wzrok Durotana, spojrzał na niego i skinął głową.

Byli tacy, co potępiali tę niecodzienną przyjaźń pomiędzy dwoma młodzieńcami żądnymi przygód i, co Durotan musiał przyznać, skłonnymi do wpadania w tarapaty. Jednakże Durotan nie byłby tym, kim był dzisiaj, gdyby nie czerpał z niezłomnej siły Orgrima, i domyślał się, że przyjaciel czuje podobnie.

Ale draenei…

– Czy mogę prosić o głos?

Durotan odwrócił się, zaskoczony. Głos należał do Drek’Thara. Pytanie wydawało się skierowane nie tylko do jego wodza, ale również do szamana, ich wspólnego mentora. Ner’zhul spojrzał na Durotana, który skinął przyzwalająco.

– Wodzu – zaczął Drek’Thar niespodziewanie drżącym głosem. – Wodzu, to, co mówi Ner’zhul, to prawda. Potwierdziła to Matka Kashur.

Inny szaman Klanu Mroźnego Wilka przytaknął. Duran wpatrywał się w nich zdumiony. Matka Kashur? Jeśli Durotan ufał komuś bez reszty, to właśnie starej, mądrej orczycy. Jego myśli podryfowały ku chwili, kiedy stał w pieczarze, czując na twarzy chłodny powiew, wsłuchany, obserwujący każdym włóknem ciała, jak Matka Kashur przemawia do kogoś, kogo nie widział, choć czuł, że tam jest.

– Matka Kashur potwierdziła, że naszym wrogiem są draenei? – upewnił

się, nie dowierzając własnym uszom.

Drek’Thar przytaknął.

– Czas, by wodzowie wysłuchali swoich szamanów, tak jak uczynił to Durotan – ogłosił Ner’zhul. – Spotkamy się ponownie o zmierzchu, wtedy wodzowie przekażą mi swoje decyzje. Znacie swych szamanów, ufacie im. Zapytajcie, co widzieli.

Zgromadzenie zaczęło się przerzedzać. Powoli, wymieniając niepewne spojrzenia, Klan Mroźnego Wilka skierował się ku swemu obozowisku. Gdy tylko wszyscy usiedli w kręgu, zwrócili oczy na Drek’Thara, który zaczął spokojnie, rozważnie przemawiać.

– Draenei nie są naszymi przyjaciółmi – rzekł. – Wiem, wodzu, że ty i Doomhammer Czarna Skała spędziliście wśród nich jedną noc. Wiem, że dobrze o nich mówisz. I wiem, że wydaje się, iż ocalili wam życie. Pozwól jednak, że zapytam… Czy nigdy nic nie uderzyło cię w tej historii?

Durotan przypomniał sobie ścigającego ich ogra, ryczącego wściekle, wymachującego maczugą. Poczuł się nieswojo na myśl o tym, jak dziwnie szybko draenei przybyli jemu i Orgrimowi na ratunek. I że po wszystkim nie mogli wrócić od razu do domu, bo zmierzchało. Ściągnął brwi. Niewdzięczna była to myśl, jednak…

– Widzę, jak marszczysz brew, wodzu. Rozumiem więc, że twa młodzieńcza wiara w nich zaczyna się chwiać?

Durotan nic nie odrzekł, nie spojrzał też na głównego szamana swego klanu. Tkwił ze wzrokiem wbitym w ziemię, niezadowolony z tego, co czuje, nie był jednak w stanie odpędzić wątpliwości, które wkradały mu się do serca niczym lodowate palce porannego przymrozku.

Odtwarzał w pamięci rozmowę z Rastalaanem. „Kiedyś nie byliśmy tacy jak teraz” – mówił wysokiemu błękitnemu draenei. „To prawda – zgodził się Restalaan. – Obserwowaliśmy, jak orkowie rosną w siłę, zdobywają umiejętności i moce. Wywarliście na nas duże wrażenie”.

I znów poczuł ukłucie, jakby komplement ten zawierał zmyślnie ukrytą obelgę. Jak gdyby draenei uważali się za lepszych… mimo słabości, dziwacznie niebieskiej skóry, długich gadzich ogonów i nóg o lśniących niebieskich kopytach, uformowanych jak u zwykłych talbuków zamiast

normalnych, jak u orków…

– Przemów, mój wodzu. Co sobie przypominasz?

Durotan chropawym, ciężkim głosem opowiedział o fortunnym przybyciu draenei i nucie arogancji u Restalaana.

– A Velen… ich prorok, wypytywał nas bardzo i nie były to grzecznościowe pogaduszki. Naprawdę chciał dowiedzieć się o orkach jak najwięcej.

– To jasne – odezwał się Drek'Thar. – Co za okazja! Knuli przeciwko nam, odkąd tu przybyli. A znalezienie dwóch, wybacz, Durotanie, młodych, naiwnych chłopców, którzy mogli udzielić im informacji? To dopiero wydarzenie.

Przodkowie by ich nie okłamywali, szczególnie w tak ważnej sprawie. Durotan nie miał co do tego wątpliwości. Teraz wydarzenie tamtego dnia i nocy jawiły mu się z całkiem innym świetle, nie ulegało wątpliwości, że zachowanie Velena było podejrzane. Ale… czy naprawdę Velen był takim mistrzem pozorów, że to wrażenie zaufania, które wzbudził w Orgrimie i Durotanie, było ułudą? Durotan zwiesił głowę.

– Jakaś cząstka mnie ma wątpliwości – przyznał cicho. – A jednak nie zaryzykuję przyszłości naszych ludzi, opierając się na czymś tak kruchym jak moja osobista niepewność. Ner'zhul nie wzywa do chwycenia za broń już jutro. Namawia nas, by ćwiczyć, obserwować, przygotować się i jednoczyć jako jeden lud. To uczynię dla dobra Mroźnych Wilków i dla dobra wszystkich orków. – Powiódł spojrzeniem po zatroskanych twarzach należących do tych, których tylko znał, i tych, jak Drek'Thara i Draki, których kochał. – Klan Mroźnego Wilka przygotuje się na wojnę.

Rozdział ósmy

Jakże łatwo skłonić umysł, by strach zastąpił nienawiścią – to naturalna, instynktowna reakcja na zagrożenie. Zamiast skupiać się na tym, co nas łączy, skupiamy się na tym, co nas dzieli. Ja mam zieloną skórę, ty różową. Ja kły, ty długie uszy. Ja nagą skórę, ty sierść. Ja oddycham powietrzem, ty nie. Gdybyśmy trzymali się tych kwestii, Płonący Legion nigdy nie zostałby pokonany, bo nigdy nie chciałbym sprzymierzyć się z Jainą Proudmoore ani walczyć ramię w ramię z elfami. Wówczas nasz lud nie przetrwałby i nie miałby szans na zawarcie przyjaźni z taurenami czy opuszczonymi.

To samo dotyczyło draenei. Mieliśmy czerwonobrązową skórę, a oni niebieską. Mieliśmy stopy, oni kopyta i ogon. My żyliśmy głównie na otwartych przestrzeniach, oni w zamkniętych pomieszczeniach. Byliśmy raczej krótkowieczni – nikt nie wiedział, ilu lat oni dożywają. Do tego zawsze traktowali nas uprzejmie i przyjaźnie. Handlowali z nami, dzielili się wiedzą i wszystkim, o co poprosiliśmy. Teraz jednak nie miało to znaczenia. Dowiedzieliśmy się od przodków i nagle przekonaliśmy na własne oczy, że byli od nas zupełnie różni.

Codziennie modlę się o to, bym mądrze przewodził swemu ludowi. A modlitwa ta niesie prośbę, by te trywialne różnice nigdy nie przysłoniły rozsądku.

Rozpoczęły się ćwiczenia. Prawie w każdym klanie tradycyjnie dzieci szkoliły się we władaniu bronią tuż po ceremonii ukończenia szóstego roku życia, ale jak dotąd, choć traktowano to szkolenie poważnie, to nie wywierano zbyt wielkiej presji na młodych uczniów. Broń przeznaczona była

do polowań na zwierzęta, a nie świadome istoty, które miały własny oręż, umiejętności i do tego przewagę technologiczną. Młodzi orkowie uczyli się w swoim tempie i zostawało im sporo czasu na zabawę i cieszenie się dzieciństwem.

Tak było kiedyś.

Wezwanie orków do zjednoczenia miało swój odzew. Posłańcy zajeżdżali zwierzęta, przenosząc wiadomości pomiędzy klanami. W pewnym momencie ktoś bystry wpadł na pomysł, by szkolić krwawe jastrzębie do przenoszenia listów. Wymagało to wysiłku i nie stało się z dnia na dzień, ale stopniowo Durotan przywykł do widoku szkarłatnych ptaków przyfruwających do Drek'Thara i innych członków klanu. Pochwalał ten pomysł – jeśli plany wojenne miały się powieść, potrzebny był każdy ork.

Choć włócznie, strzały, topory i inna tego rodzaju broń spełniały swoje zadanie w wypadku zwierząt z pól i lasów, do walki z draenei potrzebowali innego rodzaju oręża. Najważniejsza była ochrona, więc płatnerze i rymarze, skupiający się dotąd na skutecznej osłonie przeciw bezpośrednim atakom szponów i kłów, musieli teraz wytwarzać okrycia chroniące przed ranami kłutymi i ciętymi. Przedtem niewielu szkoliło się w płatnerstwie i kowalstwie, teraz rzemieślnicy mieli po kilkunastu czeladników jednocześnie. Dniami i nocami rozlegały się uderzenia młotów o kowadła i syk gorącego metalu hartowanego w beczkach z wodą. Orkowie całymi dniami machali kilofami, wydzierając ziemi niezbędne surowce do wykuwania broni i zbroi. Polowania, dotąd organizowane w razie potrzeby, stały się codzienną rutyną ze względu na konieczność gromadzenia suszonego i peklowanego pożywienia oraz zdobywania skór na pancerze.

Twarze młodziutkich orków ustawiających się w szeregu do treningu wydawały się Durotanowi, który był jednym z nauczycieli, bardzo dziecinne. Przypominał sobie czasy, gdy ojciec uczył go posługiwania się toporem i włócznią. Co pomyślałby na widok tych najmniejszych, uginających się pod ciężarem lśniących pancerzy i dzierżących w dłoniach broń, jaką orkowie dotychczas nie walczyli?

Draka, z którą połączył się podczas krótkiej, cichej ceremonii, żeby nie zabierać środków i czasu przeznaczonych na szkolenia, dotknęła jego

pleców. Zawsze wiedziała, o czym myśli.

– Lepiej byłoby, gdybyśmy żyli w czasach pokoju – zgodziła się. – Nawet najbardziej krwiożerczy znają tę prawdę. Ale jesteśmy tu i teraz, ukochany, i wiem, że nie będziesz się uchylał od tego zadania.

– Nie, nie będę. – Uśmiechnął się do niej smutno. – Jesteśmy wojownikami. Żyjemy dla polowań, wyzwań, rozlewu krwi i okrzyków zwycięstwa. Są mali, ale nie słabi. Nauczą się. Są Mroźnymi Wilkami. – Urwał na moment, a potem dodał: – Są orkami.

*

– Czas ucieka – rzekła Rulkan.

– Wiem, ale… nie posłałabyś przecież naszego ludu w bój bez przygotowania – odpowiedział Ner’zhul. – Na razie draenei mają nad nami ogromną przewagę.

Rulkan mruknęła niezadowolona, ale zaraz się uśmiechnęła. Ner’zhul przyjrzał jej się bacznie. Czy to jego wyobraźnia, czy też uśmiech ten zdawał się wymuszony?

– Przygotowujemy się tak szybko, jak się da – zapewnił pospiesznie, nie chcąc urazić ducha swej towarzyszki życia.

Rulkan milczała. Najwyraźniej nie zareagował dość szybko.

– Może mogłabyś nam pomóc? – ciągnął, zdając sobie sprawę, że bełkocze. – Może posiadasz wiedzę… wiedzę, która…

Rulkan zmarszczyła brwi i przekrzywiła głowę.

– Powiedziałam ci wszystko, co wiem – odparła. – Istnieją jednak inni… inne byty… o których żyjący nie wiedzą.

Ner’zhul niemal się zachwiał, słysząc te słowa.

– Są żywioły i duchy przodków – wykrztusił. – Jakie inne byty?

– Wciąż oddychasz, kochany. – Uśmiechnęła się. – Nie jesteś gotów na spotkanie z nimi. To one nam pomagają, abyśmy my mogli pomagać wam, bliskim, których zostawiliśmy, odchodząc.

– Proszę… – Ner’zhul zdał sobie sprawę, że brzmi to błagalnie, ale nie mógł nic na to poradzić. – Proszę! Potrzebujemy pomocy, jeśli mamy uchronić przyszłe pokolenia przed podstępnymi knowaniami draenei.

Nie wspomniał, że lubi znajdować się w centrum uwagi każdego orka z każdego klanu. Nie wspomniał, że jej wcześniejsze zapewnienia obiecujące mu moc i potęgę rozpaliły jego myśli i sprawiły, że zaczął pożądać tej władzy. Co więcej, zaszczepiła w nim taki lęk przed straszliwymi draenei, że ta jej nagła powściągliwość wytrąciła go z równowagi.

Rulkan spojrzała na niego taksująco.

– Może masz rację – ustąpiła. – Zobaczę, czy będą chciały z tobą rozmawiać. Jest jeden, którego darzę największym zaufaniem, którego troska o nasz lud jest głęboka i trwała. Zapytam go.

Skinął, absurdalnie ucieszony jej słowami, a potem zamrugał gwałtownie, wychodząc z transu. Usta rozciągnął mu uśmiech. Niedługo ujrzy tego tajemniczego ducha, tego dobroczyńcę.

Gul’dan uśmiechnął się, podając owoce i rybę, które miały zakończyć post jego nauczyciela.

– Kolejna wizja, mistrzu?

Pochylił głowę, podając Ner’zhulowi jedzenie i kubek parujących ziół. Idąc za radą Rulkan, szaman zaczął pić wywar z mieszanki pewnych ziół, zaparzonych z określoną mocą. Rulkan zapewniła go, że dzięki temu jego umysł i dusza pozostaną otwarte na wizje. Na początku napar wydał mu się niesmaczny, ale nie okazał tego. Teraz uświadomił sobie, że polubił nawet picie tynktury rankiem, po przebudzeniu, i jeszcze trzy razy w ciągu dnia. Przyjął kubek i napił się, skinąwszy potakująco głową w odpowiedzi na pytanie Gul’dana.

– Zaiste… I dowiedziałem się czegoś ważnego. Wiesz, Gul’danie, że jak długo istnieją orkowie, tak długo istnieją ich szamani. A szaman ma kontakt z żywiołami i przodkami.

– Tak… Oczywiście… – Na twarzy Gul’dana odbiła się konsternacja

Ner’zhul nie umiał powstrzymać uśmiechu, który odsłonił mu kły.

– To wszystko prawda, ale jest jeszcze coś więcej. Widzą to przodkowie, ale my, żyjący, nie. Rulkan wyznała, że pozostaje w kontakcie z tymi istotami. Posiadają one mądrość i wiedzę jeszcze większą niż duchy i udzielą nam pomocy. Rulkan wyjawiła mi, że jedna z nich otacza nas, orków, szczególną troską. Już niedługo… Niedługo byt ten mi się objawi!

Gul’danowi aż zaiskrzyły się oczy.

– I może… może również mnie, panie?

– Jesteś silny, Gul’danie – uśmiechnął się Ner’zhul. – Nie wybrałbym cię na mego ucznia, gdybyś nie był. Tak, myślę, że tak. Jeśli uzna cię za godnego, tak jak uznał mnie.

Gul’dan pochylił głowę.

– Niechaj tak się stanie – rzekł. – Służba tobie to dla mnie wielki zaszczyt. To czasy chwały dla orków. To błogosławieństwo, że dożyliśmy tej chwili i możemy być tego świadkami.

*

Klan Czarnej Skały pod dowództwem samego Blackhanda poprosił o zaszczyt pierwszego ataku. Nie obyło się bez sprzeciwów i narzekania, ale umiejętności myśliwskie Czarnych Skał były legendarne, a biorąc pod uwagę, że klan zamieszkiwał tereny nieopodal Telmoru, jednego z mniejszych, bardziej odosobnionych miast, logiczne było, że to oni zostaną wybrani. Zaopatrzono ich w najnowsze zbroje, miecze, strzały o metalowych grotach i inną broń, która miała pokonać draenei.

Orgrim z Doomhammerem przytroczonym na plecach, zakuty od stóp do głów w metal, który ograniczał go i dusił, jechał u boku wodza. Jego wilczy wierzchowiec zdawał się darzyć zbroję podobną niechęcią. Co raz odwracał swój masywny łeb i kłapał w stronę nogi Orgrima, jakby irytował go w jakiś uciążliwy owad. Wydawał się też bardziej męczyć, niosąc swojego jeźdźca przez łąkę, dysząc ciężej niż zwykle, z wywalonym na wierzch różowym ozorem.

Orgrim mruknął pod nosem. Wydawało się to takie proste – ruszyć na wojnę przeciw temu nowemu, podstępnemu wrogowi. Jednakże, kiedy wszyscy, włącznie z Orgrimem, wznosili wiwaty po ogłoszeniu decyzji, nikt nie zatrzymał się, żeby pomyśleć, jak trudne będą zwykłe przygotowania do wojny. Skoro wilki, oprócz samych orków o ciężkich kościach i twardych mięśniach, miały dźwigać jeszcze zbroje, należało wyhodować jeszcze większe zwierzęta.

Broń nie była dziewicza. Kilkakrotnie atakowali nią ogry, dochodząc do

wniosku, że choć istoty te, w przeciwieństwie do zwinnych, inteligentnych draenei, są ociężałe i głupie, potyczki z nimi lepiej przygotują ich do starć z ostatecznym wrogiem niż szlachtowanie talbuków. Na początku podczas tych napadów stracili kilku orków – ich ciała spalono na stosach pogrzebowych, by uczcić poniesioną przez poległych ofiarę. Broń zdawała się orkom dziwaczna, spowalniały ich pancerze, ale z każdym kolejnym wypadem wszystko przebiegało coraz sprawniej. Ostatnim razem mierzyli się nie tylko z dwoma ogrami naraz, ale również z ich panem, gronnem, który dorównywał ogrom krwiożerczością, zaś inteligencja czyniła zeń daleko trudniejszego i niebezpieczniejszego przeciwnika. Dwóch dzielnych wojowników Klanu Czarnej Skały poległo, zanim Orgrim z rozmachem zadał śmiertelny cios swym młotem z przepowiedni, ściągając zagładę na ryczącego gronna.

Blackhand stał obok zdyszany, spocony, z twarzą zbrukaną krwią własną i zabitego przeciwnika. Otarł czoło pancerną rękawicą i z pomrukiem zadowolenia oblizał krew.

– Dwa ogry i ich pan – mruknął, kładąc dłoń na ramieniu Orgrima. – Żałośni draenei nie mają szans przeciw naszej sile!

Stojąc tak w blasku słońca, spocony, oślepiony blaskiem promieni odbijających się od zbroi Orgrim zgadzał się z wodzem. W żyłach płonęła mu żądza krwi. Ufał Ner’zhulowi i szamanowi własnego klanu. Rozmawiał też z Durotanem i obaj uznali, że choć dawno temu draenei potraktowali ich naprawdę dobrze, to jednak było w tych niebieskoskórych istotach coś niepokojącego. Duchy nigdy wcześniej nie zwiodły ich na manowce, więc czemu miałyby to robić teraz?

Jednakże kiedy jechał u boku swego dowódcy na miejsce, gdzie widziano mały oddział łowców draenei, Orgrima dręczyły złe przeczucia. A co, jeśli draenei byli po prostu dziwni? Zaraz po przybyciu i im orkowie musieli wydawać się dziwni. Czy śmierć jest adekwatną karą za inność? Czy draenei kiedykolwiek ich zaatakowali? A nawet urazili czy dokuczyli w jakiś sposób?

Teraz osiemnastu zakutych w metal, uzbrojonych po zęby wojowników Czarnej Skały jechało, by zaszlachtować grupkę draenei, którzy nie

podejmowali żadnych wrogich działań, lecz jedynie łowili zwierzynę, by zapewnić pożywienie swojemu ludowi.

Przed oczyma Orgrima pojawiło się niespodziewane i nieproszone wspomnienie młodej draenei, która uśmiechała się do nich nieśmiało. Czy to jej ojciec lub matka zginą tego cudownego, słonecznego dnia?

– Wydajesz się zadumany, Orgrimie – chropawy głos Blackhanda gwałtownie wyrwał Orgrima z zamyślenia. – Jakie sprawy zaprzątają ci umysł, mój zastępco?

Twarzyczka sieroty – pomyślał Orgrim, ale nie powiedział tego głośno.

– Zastanawiałem się, jakiego koloru jest krew draenei – oświadczył szorstko.

Blackhand odrzucił do tyłu ogromną głowę i zaśmiał się serdecznie. Orgrim usłyszał krakanie i trzepot skrzydeł kruków spłoszonych hałaśliwym śmiechem dowódcy.

– Dopilnuję, by naznaczyć nią twoją twarz – obiecał rozweselony Blackhand.

Orgrim zacisnął szczęki i zmilczał. Przodkowie nie kłamią – powtarzał sobie ponuro w myślach. – Dzieci są zawsze niewinne, ale ich rodzice zasługują na śmierć, skoro knują podstęp, jak twierdzą duchy.

*

Podeszli ich z łatwością, nie starając się nawet ukryć. Zwiadowca mówił, że oddział łowiecki liczy jedenaście osób – sześciu mężczyzn i pięć kobiet – które wytropiły stado raiczników.

Ogromne kudłate bestie były silne i niełatwe do powalenia, ale brakowało im agresywności, z jaką reagowały rozwścieczone talbuki, więc myśliwi zdążyli już odseparować od stada jednego młodego byka. Zwierzę ryczało, zniżając łeb i grzebiąc kopytem w ziemię, kierując groźnie na napastników swój róg, ale jego los był przypieczętowany.

A raczej byłby, gdyby nie przybycie orków.

Blackhand zatrzymał swój oddział na szczycie wzniesienia. Orgrim czuł od ziomków zapach podniecenia zbliżającą się walką. Ich ciała drżały pod nowymi pancerzami, pięści zaciskały się i rozluźniały niecierpliwie, chcąc

zamknąć się na rękojeściach broni, do której dopiero co zaczęły przywykać. Blackhand uniósł opancerzoną pięść, wbijając wzrok w rozgrywającą się poniżej scenę, wyczekując odpowiedniego momentu, by spaść na przeciwników niczym jastrząb na myszoskoczka.

Wódz spojrzał przez ramię na stojących z tyłu szamanów. Ci również mieli na sobie zbroje, ale nie nosili broni – nie potrzebowali. Do ich zadań należało leczenie rannych braci i atakowanie wrogów potężną mocą żywiołów.

– Gotowi? – zapytał wódz.

Najstarszy z szamanów skinął potakująco. Jego oczy płonęły jasno, a usta wyginały się w uśmiechu. On również pragnął tego dnia przelać krew draenei.

Blackhand z pomrukiem opuścił pięść. Klan Czarnej Skały ruszył do ataku.

Bojowe okrzyki orków zaskoczyły niebieskoskórych. W pierwszej chwili na ich twarzach widać było jedynie szok. Niewątpliwie zastanawiali się, dlaczego tak duży, uzbrojony oddział jezdnych nadciąga im na pomoc w polowaniu. Dopiero gdy Blackhand, sunąc na swym potężnym wilku, opuścił dwuręczny miecz, jednym ruchem rozpłatując wpół przywódcę, draenei pojęli, że celem orków nie jest racicznik, ale oni.

Trzeba oddać im sprawiedliwość, że nie zastygli ze zgrozy, ale natychmiast zaczęli bronić się zajadle. Ich głosy tylko lekko drżały ze strachu, gdy wykrzykiwali coś w swym płynnym, obcym języku. Choć Orgrim nie rozróżniał słów – to Durotan miał głowę do takich rzeczy, nie on – dźwięki wydawały mu się znajome. Po tamtym dniu, gdy dawno temu draenei ocalili mu życie, wiedział, czego można się po nich spodziewać, i uprzedził braci. Szamani byli więc gotowi, kiedy niebo rozpękło się rażąc srebrzysto-błękitnymi błyskawicami. Powstrzymali dziwne światła za pomocą swoich piorunów. Buchnął oślepiający blask i Orgrim opuścił szybko wzrok, skupiając się na wojowniku draenei dzierżącym z dłoni rozjarzony, sypiący iskrami kij.

Z rykiem uniósł nad głowę Doomhammera, po czym opuścił go z rozmachem. Pancerz draenei nie wytrzymał tak potężnego ciosu, zmiął się niczym cynowa blaszana bransoletka. Ziemię zbryzgała krew i fragmenty mózgu.

Orgrim rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnego przeciwnika. Część Czarnych Skał została uwięziona w magicznej sieci stworzonej z ohydnego, nienaturalnego światła draenei. Byli dumnymi, silnymi wojownikami, a jednak krzyczeli z bólu, bowiem sieć wtapiała im się w skórę. Do nozdrzy Orgrima docierał gryzący smród palonego mięsa zmieszany z odorem krwi i strachu. Woń upajała.

Poczuł powiew na twarzy. Ruch powietrza rozegnał opar bitewny, napełniając jego płuca świeżą siłą. Orgrim upatrzył sobie następnego przeciwnika i pognał ku niemu, ku kobiecie, co prawda nieuzbrojonej, ale oplecionej pulsującą błękitną energią. Aż stęknął zaskoczony, kiedy jego Doomhammer zderzył się z osłoną z taką siłą, że wibracje broni przeszyły jego ramiona aż do kości. Jeden z szamanów odwrócił się, a jego moc uderzyła z trzaskiem błyskawicy w magiczne pole draenei. Orgrim krzyknął radośnie, widząc, jak dobre, naturalne światło zwalcza błękitną energię. Zamachnął się ponownie i tym razem Doomhammer z satysfakcjonującym łupnięciem roztrzaskał czaszkę błękitnoskórej.

Było prawie po wszystkim. Dwóch ostatnich draenei w jednej chwili zniknęło pod naporem opancerzonych brązowych postaci. Kilka okrzyków, jęków, wyraźny dźwięk ostrz zatapiających się w ciało i nastała cisza.

Racicznik umknął.

Orgrim dyszał, krew szumiała mu w uszach, wzburzona gorączką zabijania. Zawsze lubił polowania, ale to… Nigdy jeszcze nie doświadczył czegoś podobnego. Czasami zwierzyna broniła się, walczyła, ale starcie z przeciwnikiem takim jak draenei, inteligentnym, potężnym, posiadającym podobne umiejętności bojowe i broń zamiast szponów czy kłów, było dla niego nowością.

Odrzucił głowę i zaśmiał się na głos, zastanawiając się, czy to upojenie doznaniami.

Wokół rozlegały się jedynie radosne wiwaty i grzmiące salwy śmiechu zwycięskich orków. Blackhand podszedł do niego i uścisnął tak, jak to możliwe, będąc w zbrojach.

– Widziałem Doomhammera, ale poruszał się tak szybko, że był w mych oczach jedynie smugą – zahuczał radośnie wódz klanu. – Dobrze dzisiaj

walczyłeś, Orgrimie. Postąpiłem mądrze, wybierając cię na swego zastępcę.

Przestąpił przez kobietę maga, ostatnią ofiarę Orgrima, i zdjął rękawice. Czaszka leżącej była roztrzaskana, rozlała się niebieska krew.

Blackhand unurzał palce w posoce draenei i delikatnie wysmarował nią twarz Orgrima. Głęboko w duszy orka coś zagrało. Przypomniał sobie, jak uczynił to samo po swym pierwszym udanym polowaniu. Tamta krew była czerwona i gorąca. Przypomniał sobie, jak podobnie naznaczony krwią ojca, wchodził na szczyt świętej góry podczas rytuału Om'riggor. A teraz dowódca namazał go ponownie krwią istoty, która była ich wrogiem.

Kropla ciemnoniebieskiej cieczy spłynęła mu po policzku ku kącikowi ust. Orgrim wysunął język i posmakował wilgoci. Była słodka.

*

Krwawy jastrząb wylądował na ramieniu sokolnika, wbijając szpony głęboko w skórzaną osłonę. Ner'zhul krążył nerwowo, czekając, aż treser odczepi list i mu go poda. Pospiesznie przesunął wzrokiem po skrawku pergaminu.

To było takie proste. Takie łatwe. Ani jednej ofiary, choć oczywiście nie obyło się bez ran. Ich pierwszy wypad zakończył się miażdżącym zwycięstwem orków. Blackhand opisywał z pogardą, jak niespodziewanie spadli na oddział i roztrzaskali czerepy wojowników. Wszystko rozegrało się tak, jak obiecywała Rulkan. Teraz już z pewnością objawi się istota, z którą Rulkan zawarła przymierze. Orkowie pod dowództwem Ner'zhula tym niekwestionowanym zwycięstwem dowiedli przecież, że są tego godni.

Ponownie odczytał pismo. Wojownicy Klanu Czarnej Skały dowodzeni przez Blackhanda okazali się odpowiednimi orkami do pierwszego ataku na draenei. Silni, zaciekli, ale w przeciwieństwie do Wojennej Pieśni czy innych klanów wykazywali się całkowitym posłuchem wobec swego wodza.

Tego wieczoru Klan Cienistego Księżyca świętował zwycięstwo, ucztując, pijąc, bawiąc się i śpiewając, aż Ner'zhul, dotoczywszy się wreszcie do łóżka, zapadł w głęboki sen.

Wtedy pojawiła się istota.

Była świetlista, wspaniała, tak jasna, że nawet wzrokiem wizji nie mógł w pierwszej chwili znieść jego bezpośredniego widoku. Opadł na kolana,

drżąc z nabożnego zachwytu.

– Przybyłeś – szepnął, czując, jak oczy napełniają mu się łzami, a te toczą się po policzkach. – Wiedziałem, że przyjdziesz, jeśli sprostamy twym wymaganiom.

– Zaiste, sprostaliście, Ner’zhulu, szamanie, duchu opiekuńczy orków. – Głos zadudnił mu aż w kościach i Ner’zhul przymknął oczy, oszołomiony doznaniem. – Obserwowałem, z jaką wprawą kierujesz swymi ludźmi, jak skutecznie zjednoczyłeś rozproszone klany dla wspólnego, chwalebnego celu.

– Celu, dla którego ty byłeś inspiracją, o potężny – wymamrotał Ner’zhul. Zastanowił się przelotnie, dlaczego nie pojawiła mu się Rulkan, ale odegnał myśli o niej. Cień jego ukochanej towarzyszki nie mógł równać się z tym potężnym bytem. Ner’zhul pragnął spijać słowa z ust tej wspaniałej istoty. – Przybyłeś do nas i objawiłeś nam prawdę – podjął. – Uczyniliśmy to, co należało.

– Jestem z was zadowolony. Chwała i zwycięstwo nadal będą waszym udziałem, jeśli będziecie robić, co wam powiem.

– Oczywiście wypełnię twe polecenia, o potężny, ale… Jako twój pokorny sługa śmiem błagać cię o przysługę. – Ner’zhul zaryzykował spojrzenie na przybysza. Był gigantyczny, czerwony, promienisty. Miał szeroki tors, a zakończone kopytami nogi, były wygięte jak u talbuka…

… albo draenei…

Ner’zhul zamrugał. Milczenie, które zapadło po tym, jak wypowiedział ostatnie słowa, przedłużało się, przyprawiając go o lodowaty dreszcz. A potem głos znowu rozległ się w jego głowie, nadal łagodny i słodki jak miód.

– Proś, a ja zdecyduję, czy jesteś tego godzien.

Ner’zhulowi nagle zaschło w ustach, a słowa utknęły w krtani.

– O potężny – wydukał z trudem. – Czy posiadasz imię, którym moglibyśmy się do ciebie zwracać?

Śmiech zadrgał we krwi Ner’zhula.

– To uprzejmość, którą z chęcią ci wyświadczę. Owszem, posiadam imię. Możecie zwać mnie… Kil’jaeden.

Rozdział dziewiąty

Łatwo można zrozumieć, dlaczego tak wielu z mych pobratymców wolałaby pogrzebać tę historię. Pozwolić, by pochłonęło ją zapomnienie, by zatonęła w wodach upływającego czasu, by zamknęła się nad nią tafla najgłębszego jeziora, znieruchomiała i gładka, i żeby nikt nie wiedział, jaki wstyd spoczywa w głębinach. Ja także czuję ten wstyd, choć nie było mnie na świecie, gdyż wydarzenia te miały miejsce przed moim narodzeniem. Widzę ów wstyd na twarzy Drek'Thara, gdy drżącym głosem opowiada o swym udziale w tej historii. Widziałem, jak ów wstyd ciążył Orgrimowi Doomhammerowi. Grom Hellscream, przyjaciel, potem zdrajca i znów przyjaciel, był przezeń zdruzgotany.

Ale udawać, że te wydarzenia nie miały miejsca, oznaczałoby zapomnieć o ich straszliwych konsekwencjach. Uczyniłoby nas ofiarami, zamiast skłonić do przyznania, że czynnie braliśmy udział we własnej zagładzie. Sami wybraliśmy tę ścieżkę, my, orkowie. I kroczyliśmy nią, aż było za późno, by zawrócić. A uczyniwszy ten wybór raz, zyskawszy wiedzę, jaką posiadamy na końcu tej mrocznej i pełnej wstydu drogi, możemy zdecydować, by nie wkraczać na nią ponownie.

Zatem pragnę wysłuchać zeznań tych, którzy stawiali na tej drodze krok za krokiem, co niemalże przyczyniło się do unicestwienia naszej rasy. Chcę zrozumieć, dlaczego weszli na tę ścieżkę, co takiego się wydarzyło, że uznali tę drogę za właściwą, za słuszną, za logiczną.

Chcę wiedzieć, a wtedy, gdy zobaczę, że znów się przed nami rozpościera, rozpoznam ją.

Ludzie mają dwa powiedzenia, mądre ponad wszelkie wyobrażenie.

Pierwsze to: „Ci, którzy nie potrafią wyciągnąć nauki z historii, są skazani na jej powtórzenie”.

I drugie… „Poznaj swego wroga”.

Velen pogrążony był w głębokiej medytacji, kiedy Restalaan się doń zbliżył. Prorok siedział pośrodku dziedzińca w świątyni Karaboru, nie na wygodnych ławkach ustawionych wokół kwadratowego basenu, ale na twardym kamieniu. Kwitnące w ogrodzie krzewy przesycały powietrze aromatem, płynąca woda mruczała cichutko, wiatr poruszał liśćmi drzew i dodawały one swoją nutę do tej cichej melodii. Otoczenie tonęło w spokoju, ale uwaga Velena zwrócona była do wewnątrz.

Od dawien dawna draenei i naaru ufali sobie. Świetliste byty, które tak rzadko przyjmowały stałą formę, były najpierw opiekunami wygnanych eredarów, potem nauczycielami, aż wreszcie przyjaciółmi. Razem przemierzyli wiele światów i za każdym razem naaru, szczególnie ten, który kazał nazywać się K’ure, pomagali draenei uciec, gdy man’ari zdołali odkryć ich kryjówkę. I za każdym razem Kil’jaedenowi i jego potworom, które kiedyś były eredarami, mniej brakowało do ujęcia uciekinierów. Velen rozpaczał niezmiennie, gdy on i jego lud musieli opuszczać świat, by się ratować, wiedząc, że istoty, które zostawiają, zostaną tak samo zmienione jak eredarowie. Kil’jaeden zawsze był chętny zwiększyć liczebność Legionu, który tworzył na życzenie swego mrocznego mistrza i władcy Sargerasa, i nie przepuścił żadnej okazji, by rekrutować nowych żołnierzy.

K’ure, przepełniony smutkiem, tak jak przywódca draenei ubolewał wraz z przyjacielem. Ale z niewzruszoną logiką przemawiał wprost do umysłu Velena, powtarzając raz za razem, że Kil’jaeden, Archimonde i Sargeras zniszczyliby, jeśli nie ten, to inny świat w tym samym czasie. Wszystkie światy, wszystkie istoty, wszystkie rasy były przerażająco jednakie w oczach Sargerasa. Wszystkie miały zostać unicestwione w tym przerażającym spektaklu rzezi i zniszczenia. Śmierć Velena z rąk istot, które kiedyś były mu najdroższymi przyjaciółmi, nie ocali żadnego z nieświadomych i niewinnych mieszkańców tego czy innego świata, tymczasem żywy przywódca draenei kiedyś może tego dokonać.

– Jak?! – grzmiał gnany rozpaczliwą wściekłością Velen. – Jak to możliwe, że moje życie jest ważniejsze, cenniejsze niż ich?

– Plon przychodzi powoli – przyznał K'ure – ale nieustannie. Są i inni naaru, tacy jak ja, którzy sięgnęli do młodszych ras. Nadejdzie czas, gdy wszystkie te rasy będą gotowe, by zebrać się razem. I Sargeras w końcu upadnie, pokonany wolą tych, którzy wciąż wierzyć będą w to, co dobre, prawdziwe, niosące harmonię; co stanowi wieczną równowagę tego wszechświata.

Velen nie miał innego wyboru, jak uwierzyć temu bytowi, który stał mu się przyjacielem, albo odwrócić się od niego i stać się man'ari. Wybrał wiarę.

Teraz jednakże czuł zmieszanie. Orkowie poczęli atakować niewielkie grupy myśliwych draenei. Wydawało się, że nie ma podstaw tej wrogości i agresji, nikt ze wstrząśniętych strażników, z którymi Velen rozmawiał, nie zauważył niczego odbiegającego od normy. A jednak trzy grupy łowieckie zostały wybite do nogi. Restalaan, który prowadził śledztwo w kwestii tej rzezi, donosił, że myśliwi nie zostali po prostu zabici… zostali zarżnięci.

Velen przybył więc do świątyni wzniesionej w pierwszych latach pobytu draenei w tym świecie. Tu, otoczony czterema z siedmiu kryształów ata'mal powstałych przed tak wieloma laty, mógł słyszeć w umyśle słaby głos swego przyjaciela. Jednak K'ure nie miał dlań odpowiedzi.

Velen wiedział, że jeśli tym razem sprawy przybiorą niekorzystny obrót, to draenei nie zdołają uciec ze świata. K'ure umierał uwięziony w tym samym okręcie, który rozbił się tu przed dwoma setkami lat.

– Wielki Proroku – odezwał się Restalaan, a głos miał słaby i zmęczony. – Miał miejsce kolejny atak.

Powoli Velen otworzył swe wiekowe oczy i spojrzał na przyjaciela ze smutkiem.

– Wiem – rzekł. – Poczułem to.

Restalaan przegarnął grubymi palcami czarną grzywę.

– Co zrobimy? Każdy atak wydaje się bardziej okrutny od poprzedniego. Rany świadczą o tym, że najwyraźniej ulepszają swą broń.

Velen westchnął głęboko i potrząsnął głową. Białe warkocze zakołysały się łagodnie.

– Nie słyszę K’ure – powiedział cicho. – A przynajmniej nie tak wyraźnie jak kiedyś. Obawiam się, że jego czas nadejdzie niedługo.

Restalaan opuścił wzrok, na jego twarzy malował się ból. Naaru ewidentnie poświęcił się dla nich, wszyscy draenei to rozumieli. Bez względu na to, jak dziwną i tajemniczą był istotą, nauczyli się go kochać. Powolna śmierć trzymała go w swych szponach od dwóch stuleci. Velen sądził, że proces ten potrwa jednak dłużej, o ile taka istota mogła umrzeć w sposób, jaki on to rozumiał.

Wstał i ruszył, podjąwszy decyzję, jego brązowa szata zatrzepotała za nimi.

– Wciąż jednak pełen jest mądrości, którą może się z nami podzielić, jednak ja nie mogę jej już usłyszeć. Muszę do niego pójść. Być może, gdy będę blisko, zdołamy się porozumieć.

– Masz na myśli… Mówisz o wyprawie do statku, panie? – spytał Restalaan.

– Muszę iść. – Velen skinął głową.

– Wielki Proroku… Nie chcę kwestionować twej mądrości, ale…

– Ale i tak to uczynisz – roześmiał się Velen, w kącikach zdumiewających niebieskich oczu pojawiły się zmarszczki prawdziwego rozbawienia. – Mów zatem, mój przyjacielu, zawsze przywiązywałem wagę do twojego kwestionowania.

Restalaan westchnął.

– Orkowie uczynili ze statku swą świętą górę – powiedział.

– Wiem o tym – odparł Velen.

– Czy należy ich zatem prowokować, zapuszczając się do jej wnętrza? W każdych okolicznościach uznaliby to niewątpliwie za akt agresji, a szczególnie teraz. Zyskają kolejny powód, by nadal nas atakować.

Velen przytaknął.

– Myślałem o tym. Myślałem naprawdę długo i głęboko. Ale być może nadszedł czas, byśmy ujawnili, kim jesteśmy i czym jest ich święta góra. Oni wierzą, że ich przodkowie tam mieszkają i może się nie mylą w tej kwestii. A skoro K’ure nie zostało już wiele czasu, czy nie powinniśmy wykorzystać jego mocy i jego mądrości, póki jeszcze możemy? Jeśli ktokolwiek czy cokolwiek może zaprowadzić pokój między orkami a nami, ta istota,

potężniejsza, większa od każdego z nas, ma tę moc. To może być nasza jedyna nadzieja. K'ure mówił o znajdowaniu innych ras, innych istot, by dołączyły do naaru w ich walce o równowagę i harmonię. By stawiły czoła Sargerasowi i wszelkim przeklętym siłom, jakie powoła do życia. – Velen położył białą dłoń na obleczonym w pancerz ramieniu przyjaciela. – Jedno, co zostało mi ujawnione w trakcie mych medytacji, to pewność, że sprawy nie mogą pozostać w takim stanie jak dotychczas. Orkowie i draenei nie mogą żyć obok siebie, zachowując dystans, aczkolwiek uznając nawzajem swą obecność. Nie wrócimy już do tego, przyjacielu. Albo zapanuje między nami pokój, albo wybuchnie wojna. Orkowie staną się albo naszymi wrogami, albo sojusznikami. A ja nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym nie sprawdził każdej z dróg wiodących ku pokojowi. Rozumiesz teraz?

Restalaan wpatrywał się w twarz Proroka, ale wreszcie skinął głową niezadowolony.

– Tak. Rozumiem, jak sądzę. Ale nie podoba mi się to. Przynajmniej pozwól mi wysłać z tobą zbrojnych, bo pewien jestem, że orkowie zaatakują, zanim zechcą cię wysłuchać.

– Nie. Żadnej broni. Niczego, co mogłoby ich sprowokować. Serca mają honorowe. Byłem w stanie dostrzec przebłysk duszy tych dwóch młodzików, którzy byli naszymi gośćmi przed laty. Nie ma w nich nic złego ani tchórzliwego, tylko ostrożność, a teraz z jakiegoś powodu strach. Atakują myśliwych, a nie bezbronnych obywateli.

– Tak, grupy łowców, którzy są o wiele mniej liczni – odparował Restalaan.

– W każdym z miejsc ataku znajdowaliśmy krew, która nie należała do naszych – przypomniał mu Velen. – Orkowie zabrali ciała, by je spalić zgodnie ze swoimi rytuałami, ale gleba przesiąknięta była ich krwią. Poza tym my dysponujemy taką wiedzą, że garstka draenei jest w stanie bez wysiłku stawić czoła licznej grupie orków. Nie. Zaryzykuję. Nie zabiją mnie, jeśli uczciwie i z szacunkiem wyłożę swe intencje i gdy będą pewni, że nie mogę się przed nimi bronić.

– Chciałbym mieć twą pewność, mój Proroku – powiedział Restalaan z rezygnacją i pokłonił się nisko. – Zbiorę niewielką eskortę. Nie będzie uzbrojona.

*

Wielki Kil’jaeden odwiedzał Ner’zhula coraz częściej. Najpierw jedynie w snach, tak jak przodkowie. Przychodził nocą, gdy Ner’zhul spał głęboko, a ciało miał ciężkie od narkotyku, który otwierał mu umysł na głos Kil’jaedena, ten zaś wyszeptywał mu pochwały, gratulacje i plany dotyczące przyszłości orczej rasy.

Ner’zhul trwał w ekstazie. Każdy list przyniesiony przez jastrzębie z rożnych klanów czytany był z zapałem i rozkoszą.

„Natknęłyśmy się na dwóch zwiadowców – pisał wódz Klanu Strzaskanej Dłoni. –Pozbyliśmy się ich bez trudu, jako że mieliśmy znaczną przewagę liczebną”.

„Klan Krwawiącego Oczodołu z dumą donosi wielkiemu Ner’zhulowi, że posłuchaliśmy go we wszystkim – głosił inny list. – Połączyliśmy siły z Klanem Roześmianej Czaszki, co podwoiło liczebność naszych wojowników, których posłaliśmy do walki z kłamliwym wrogiem. Z tego, co nam wiadomo, Klan Władców Burzy szuka sojuszników. Jutro wyślemy do nich wiadomość”.

– Tak – uśmiechnął się Kil’jaeden. – Czy widzisz, jak słuszny cel ich jednoczy? Wcześniej te klany rzucałyby sobie wyzwanie, gdy tylko ich ścieżki by się skrzyżowały. Teraz dzielą się wiedzą, dzielą się zasobami, pracują jak jeden mąż, by pokonać wroga, który pragnął zniszczyć ich wszystkich.

Ner’zhul skinął głową, ale i poczuł nagłe ukłucie. Wspaniale było wreszcie zobaczyć tę piękną, przepotężną istotę, mimo że tak bardzo przypominała znienawidzonych draenei… Tyle że przestał widywać Rulkan. Odkrył, że za nią tęskni. Zastanawiał się, dlaczego już doń nie przychodziła.

– Rulkan… – zaczął z wahaniem.

– Rulkan wykonała swoje zadanie, przyprowadzając cię do mnie, Ner’zhulu – łagodził Kil’jaeden. – Wiesz, że ma się dobrze, że jest szczęśliwa, widziałeś ją. Nie potrzebujemy już jej pośrednictwa. Nie teraz, gdym przekonał się, że jesteś godzien być mym głosem wśród twego ludu.

I tak jak wcześniej, i tym razem serce Ner’zhula wypełniło się radością. Ale tym razem, mimo słów Kil’jaedena niosących radość i podniecenie, głęboko

w duszy czuł cierń smutku i wciąż chciał porozmawiać ze swą partnerką.

*

Ner’zhul pogrążony był w głębokiej zadumie, gdy Gul’dan przyniósł mu wiadomość. Uczeń pochylił się głęboko i podał swemu mistrzowi kawałek pergaminu sztywnego od błękitnych plam.

– Co to jest? – Ner’zhul wziął zwitek do ręki.

– Zabrane zostało draenei, który nadszedł z południa – odparł Gul’dan.

– To był jakiś oddział?

– Jeden posłaniec. Nie miał broni ani nawet wierzchowca. Ten głupiec szedł pieszo. – Gul’dan wykrzywił się zadowolony i zaśmiał.

Ner’zhul spojrzał na pergamin, uświadamiając sobie, że błękitne plamy to krew posłańca. Co opętało tego głupca, by wejść w pojedynkę i bez broni na teren Klanu Cienistego Księżyca?

Ostrożnie rozwinął pergamin, starając się go nie rozerwać, i począł czytać. Ledwie jego spojrzenie spoczęło na pierwszych słowach, pomieszczenie nagle wypełniło się blaskiem i obaj, szaman i jego uczeń, padli plackiem na ziemię.

– Przeczytaj głośno, wielki Ner’zhulu – rozległ się łagodny głos Kil’jaedena. – Podziel się treścią tej wiadomości ze mną i ze swym lojalnym uczniem.

– Tak, proszę, mistrzu – odezwał się Gul’dan skwapliwie.

Ner’zhul począł czytać, a wtedy po raz pierwszy, od czasu gdy rozmawiał ze swą ukochaną Rulkan, poczuł smak wątpliwości.

Prorok Velen z ludu draenei pozdrawia Ner’zhula, szamana Klanu Cienistego Księżyca.

Ostatnimi czasy wielu z naszych stało się celem ataków orków. Nie pojmuję, co jest tego przyczyną. Przez całe pokolenia twój i mój lud żyły w pokoju i wzajemnej tolerancji, co służyło im obu. Nigdy nie podnieśliśmy uzbrojonej ręki na żadnego z orków, a raz nawet ocaliliśmy dwóch młodych orków, którzy nierozważnie narazili się na wielkie niebezpieczeństwo.

– Ach – przerwał Gul’dan. – Pamiętam. Durotan, który jest teraz wodzem

Klanu Mroźnego Wilka, i Orgrim Doomhammer.

Ner’zhul potwierdził nieuważnym skinieniem, wyraźnie rozkojarzył się na chwilę, ale zaraz podjął lekturę.

Możemy jedynie przypuszczać, że doszło do straszliwego nieporozumienia i pragnę porozmawiać z tobą, aby więcej istnień, zarówno po stronie draenei, jak i orków, nie zostało utraconych w tak tragiczny sposób.

Jak rozumiem, góra, którą nazywacie Oshu’gun, jest święta dla twego ludu, tam bowiem mieszkają mądre duchy waszych przodków. Od dawna to miejsce ma głębokie znaczenie także dla draenei, aczkolwiek zawsze akceptowaliśmy waszą decyzję, by stało się waszym świętym miejscem. Jednakże teraz nadszedł czas, byśmy pojęli, że więcej nas łączy, niż dzieli. Wśród mego ludu zwą mnie prorokiem, bowiem czasami otrzymuję dar mądrości i przenikliwości. Pragnę przewodzić memu ludowi dobrze i w pokoju, przekonany jestem, że i tobie, i wodzom rozmaitych klanów przyświeca ten sam cel.

Spotkajmy się zatem w miejscu, które ma tak wielkie znaczenie dla obu naszych ras. Trzeciego dnia piątego miesiąca wraz z niewielką grupą wyruszę na pielgrzymkę, by wejść do serca góry. Nikt z nas nie będzie uzbrojony. Zapraszam wszystkich orków, którzy tylko zechcą do nas dołączyć, gdy wejdziemy do miejsca wielkiej magii i mocy i zapytamy istoty daleko od nas mądrzejsze, jak zamknąć przepaść, która utworzyła się między naszymi ludami.

Niechaj światło cię prowadzi i ci błogosławi.

Gul’dan pierwszy się odezwał. A raczej zaśmiał.

– Co za arogancja! Panie mój, Kil’jaedenie, oto okazja, której nie możemy odpuścić. Ich przywódca przychodzi tu niczym racicznik na rzeź, bezbronny i głupio pewien, że nic nie wiemy o jego wrogich zamiarach. I zamierza pogwałcić świętość Oshu’gun! Zginie, zanim postawi to plugawe błękitne kopyto u podnóży świętej góry!

– To, co mówisz, cieszy mnie, Gul’danie – zahuczał Kil’jaeden swym miękkim niczym woda głosem. – Ner’zhulu, uczeń twój mądrze mówi.

Ale Ner’zhulowi słowa uwięzły w gardle. Dwukrotnie otworzył usta, by

przemówić, aż wreszcie zdołał wychrypieć odpowiedź przy trzeciej próbie.

– Nie przeczę, że draenei są niebezpieczni – powiedział ostrożnie. – Ale… nie jesteśmy gronnami, by zabijać nieuzbrojonych przeciwników.

– Kurier został zgładzony – przypomniał mu Gul’dan. – Był bez broni, bez wierzchowca nawet.

– I żałuję, że tak się stało! – warknął Ner’zhul. – Powinien zostać pojmany, ale nie zabity! – Kil’jaeden milczał. Szkarłatny blask oblewał Ner’zhula, gdy ten próbował jakoś znaleźć rozwiązanie. – Nie dopuszczę, by skalał nasze święte miejsce – mówił dalej szaman. – O to się nie bój, Gul’danie. Ale nie zabiję go, zanim nie zyskam szansy, by z nim porozmawiać. Kto wie, może się czegoś dowiemy.

– Tak – poparł go Kil’jaeden, a głos miał głęboki i ciepły. – Kiedy ktoś cierpi, wyzna wszystko, co wie.

Te słowa zaskoczyły Ner’zhula, ale ukrył swe zdumienie. Ta wspaniała istota chce, by orkowie torturowali Velena? Jakaś jego część była podekscytowana tą możliwością, ale inną przepełniała odraza. Jeszcze nie. Jeszcze nie posunie się do czegoś takiego.

– Będziemy na niego czekali – zapewnił zarówno swego pana, jak i ucznia. – Nie umknie.

– Mistrzu – powiedział wolno Gul’dan – czy mogę coś zaproponować?

– Co takiego?

– Najbliżej góry mieszka Klan Mroźnego Wilka – przypomniał Gul’dan. – Niechaj on pojmie Velena i jego towarzyszy i sprowadzi do nas. Ich przywódca posmakował raz gościnności draenei. I choć nie sprzeciwiał się naszym wysiłkom, nie przypominam sobie, by przypuścili jakieś ataki na draenei. W ten sposób dwie pieczenie upieczemy przy jednym ogniu: pojmiemy przywódcę draenei i upewnimy się, że Durotan i jego klan są wobec nas lojalni.

Ner’zhul poczuł, jak dwie pary oczu wpijają się w jego źrenice; niewielkie, ciemne oczy jego ucznia i płonące ślepia jego pana, Kil’jaedena. Sugestia Gul’dana wydawała się mądra, dlaczego więc Ner’zhul nie pragnął jej poprzeć?

Mijały kolejne uderzenia serca, brew szamana zrosił pot. Wreszcie

Ner’zhul się odezwał i ucieszył się, słysząc, że głos jego brzmi mocno i pewnie.

– Zgoda. To dobry plan. Przynieś mi pióro i pergamin, powiadomię Durotana o jego obowiązku.

Rozdział dziesiąty

Nigdy nie byłem równie dumny z mego ojca jak wtedy, gdy Drek'Thar opowiedział mi o tych wydarzeniach. Doskonale wiem, jak trudno czasem podjąć właściwą decyzję. Miał wiele do stracenia i nic do zyskania, dokonując takich wyborów, jakich dokonał.

Nie, to nie tak.

Zachował swój honor. A honor jest bezcenny i za nic nie można go oddać.

List nie pozostawiał miejsca na dyskusję. Durotan patrzył na pergamin, a potem z głębokim westchnieniem podał go swej towarzyszce. Draka przeczytała list pospiesznie, a w jej gardle zrodziło się ciche i głębokie warkniecie.

– Ner'zhul jest tchórzem, zlecając to tobie – szepnęła, by nie usłyszał jej posłaniec czekający na zewnątrz. – Prośbę skierowano do niego, nie do ciebie.

– Przyrzekałem posłuszeństwo – odparł równie cicho. – Ner'zhul głosi wolę przodków.

Draka przechyliła głowę z namysłem. Zabłąkany promień słońca wpadł do namiotu przez szparę i obrysował jej twarz, mocną szczękę, wysokie kości policzkowe, wyostrzając rysy. Durotanowi zabrakło tchu, gdy patrzył na swą ukochaną. W całym tym chaosie, a nawet szaleństwie, które nieoczekiwanie zwaliło się na głowy jemu i całemu klanowi, był wdzięczny, że ma ją u swego boku. Dotknął brązowej twarzy delikatnie, powiódł palcem zakończonym ostrym pazurem po jej policzku i uśmiechnął się przelotnie.

– Mój kochany… Nie wiem, czy ufam Ner'zhulowi – powiedziała niemal

niedosłyszalnie.

Przytaknął milcząco.

– Ale oboje ufamy Drek’Tharowi, a on potwierdził słowa Ner’zhula. Draenei knują przeciwko nam. Ner’zhul mówi, że Velen nalega, by móc wejść do Oshu’gun.

Po raz kolejny wódz Mroźnych Wilków spojrzał na otrzymany od szamana list.

– Cieszę się, że Ner’zhul nie kazał mi zabić Velena. Być może jak już będziemy mieli go w swojej mocy, przekonamy go, by zawrócił ze swej drogi, by wyjaśnił, dlaczego tak im zależy, by nas skrzywdzić. Być może zdołamy wynegocjować pokój.

Ta myśl chwyciła go za serce i ścisnęła mocno. Bez względu na to, jak wspaniałe było życie z Draką, jak dumny był ze swego klanu, to żyłby o wiele szczęśliwszy, robiąc to, co robił jego ojciec – polując na dziką zwierzynę po lasach i łąkach, tańcząc przy księżycu w trakcie święta Kosh’harg, słuchając starych opowieści i grzejąc się w cieple miłości przodków. Nie powiedział tego swej partnerce, ale cieszył się w głębi ducha, że nie poczęli dziecka, bowiem nie był to łatwy czas dla młodych orcząt. Skradziono im dzieciństwo, złożono dorosłe obowiązki na barki wciąż zbyt wątłe, by to brzemię udźwignąć. Gdyby Draka powiła dziecko, Durotan nie zawahałby się i posłał je na szkolenie tak jak inne dzieci. Nie prosiłby innych rodziców o coś, czego sam nie byłby gotów uczynić, ale w głębi ducha cieszył się, że nie musiał podejmować tej decyzji.

Draka przyglądała mu się z wyjątkową uwagą, mrużąc lekko oczy. Zupełnie jakby mogła czytać w jego myślach.

– Spotkałeś Velena wcześniej – powiedziała. – Poprzyglądałam się, jak próbujesz pogodzić to, co pamiętasz z tego spotkania, z wiadomością, że draenei chcą nas zniszczyć. To nie było dla ciebie łatwe.

– Nadal nie jest – odparł. – Być może dobrze, że to mnie właśnie powierzono to zadanie. Velen pamięta tamten wieczór, jestem tego pewien. Może będzie chciał się ze mną układać, nawet jeśli nie zechce rozmawiać z Ner’zhulem. Żałuję, że nie czytałem tego listu, który wysłał Velen.

Draka podniosła się z westchnieniem.

– To by wiele nam wyjaśniło.

Durotan też się podniósł.

– Powiem posłańcowi, że jego szaman może spać w spokoju, nie uchylę się przed swoją powinnością.

Wychodząc, czuł na plecach pełen niepokoju wzrok swej partnerki.

*

Velen trzymał fioletowy kryształ blisko serca. Czerwony i żółty spoczywały u jego boków, gdy usiadł do medytacji, rzucając ciepły blask na jego alabastrową skórę. Cztery pozostałe kryształy zostały umieszczone w innych częściach terytorium draenei. Moce kryształów służyły ludowi Velena tam, gdzie były potrzebne, ale z fioletowym kryształem Prorok nigdy się nie rozstawał.

Jego moc otwierała umysł i duszę i stanowił sposób na niemalże bezpośrednie porozumienie z naaru. Medytując w obecności fioletowego kryształu, Velen zawsze czuł się silniejszy, czystszy, jego dusza zdawała się doskonalsza. I choć każdy z kryształów był dla Proroka cenny, każdy dysponował mocą, to fioletowy Velen cenił najbardziej.

Skupił się i wysilił, by usłyszeć szept K’ure, ale nadaremnie. Czuł ból w sercu. Pochylił głowę.

Otworzył oczy, gdy usłyszał dźwięki. Restalaan rozmawiał z jednym z akolitów, Velen przywołał go skinieniem dłoni.

– Jakie wieści, mój przyjacielu? – spytał, wskazując zapraszająco czajnik gorącej ziołowej herbaty.

Restalaan machnięciem ręki podziękował za zaproszenie.

– Dobre i złe, Proroku – powiedział. – Z głębokim żalem zawiadamiam cię, że posłaniec wysłany do wodza szamana Ner’zhula został zabity przez grupę orków.

Velen zamknął oczy. Fioletowy kryształ na chwilę stał się cieplejszy, jakby chciał pocieszyć Velena.

– Wyczułem jego śmierć – rzekł przygnębiony – ale miałem nadzieję, że to był wypadek. Jesteś pewien, że został zamordowany?

– Tak twierdzi Ner’zhul i bynajmniej nie przeprasza – w głosie Restalaana

wyraźnie było słychać, że incydent rozgniewał go i dotknął głęboko.

Klęczał przy Velenie tuż obok czerwonego kryształu. Spojrzenie niebieskich oczu Velena pomknęło ku kamieniowi, który zapulsował, odpowiadając na emocje Restalaana.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o teorię, że nie zaatakują bezbronnego – stwierdził Restalaan gorzko.

– Miałem tak wielkie nadzieje, że będzie inaczej – odparł Velen cicho. – Ale mówiłeś, że były i dobre wieści, by zrównoważyć te smutne.

– O ile można tak powiedzieć. – Skrzywił się Restalaan. – Ner'zhul zawiadamia, że grupa orków spotka się z nami u podstawy góry.

– On… nie przybędzie?

Restalaan opuścił wzrok i pokręcił przecząco głową.

– Nie, mój Proroku – rzekł cicho.

– Kogo wysyła w swym imieniu?

– Wiadomość tego nie precyzuje.

– Daj ją mnie. – Velen wyciągnął białą dłoń, a Restalaan złożył w niej pergamin.

Prorok rozwinął list i przeczytał pospiesznie.

Twój posłaniec nie żyje. Na szczęście ci, którzy go zgładzili, pomyśleli, by przeszukać ciało. Przeczytałem wiadomość i zgadzam się wysłać grupę orków, by z tobą porozmawiały. Niczego ci nie obiecuję: bezpieczeństwa, zawieszenia broni, niczego. Ale cię wysłuchamy.

Velen westchnął głęboko. Nie na taką odpowiedź czekał w głębi duszy. Co stało się z tymi orkami? Dlaczego nagle tak bardzo zależało im, by skrzywdzić draenei, którzy nigdy w żaden sposób im się nie sprzeciwili?

„Niczego nie obiecuję" – oznajmiał Ner'zhul zamaszystym pismem.

– Dobrze więc – powiedział Velen cicho. – Nic zatem nie jest pewne. – Uśmiechnął się do Restalaana. – Jak samo życie.

*

Dzień był niestosownie jasny i radosny, przynajmniej w ocenie Durotana, który mrużył oczy w promieniach letniego słońca. Przecież to oczywiste, że

w dniu, w którym dusza Durotana była ponura i nieszczęśliwa, pogoda powinna to odzwierciedlać. Niebo powinno być przynajmniej zachmurzone. A jeszcze bardziej odpowiedni byłby siąpiący, lodowaty deszcz. Ale słońce nie dbało o ciężkie serce orka ani o los całej rasy. Świeciło radośnie, jakby w każdym miejscu, które dotykało swymi promieniami, działo się wspaniale. Oshu'gun niemalże stała w płomieniach, taki był blask światła odbitego w jej powierzchni.

Durotan wybrał dobrą pozycję. Z miejsca, w którym ustawił swych wojowników, był w stanie dostrzec Velena i jego towarzyszy, zanim oni zobaczyli orków. Postanowił poczekać i pozwolić, by prorok draenei sam doń przyszedł. Na wszelki wypadek jednak tak rozmieścił swych wojowników, że gdyby draenei zdecydowali się na ucieczkę, to orkowie zamkną im wszelkie drogi odwrotu. I tak orkowie czekali cierpliwie w ten obraźliwie wręcz wspaniały dzień, uzbrojeni po zęby, z szamanami gotowymi do działania.

Bystrooka Draka, będąca zrazem wyjątkowo uzdolnioną wojowniczką, była dla Durotana nieocenionym zwiadowcą. Umieścił ją na jednym z posterunków, w pierwszej grupie wojowników. Gdy tylko Velen pojawił się w zasięgu wzroku, Draka miała zawiadomić swego partnera dzięki zaklęciu rzuconemu przez Drek'Thara.

Sam Drek'Thar stał u boku swego wodza. Był najpotężniejszym szamanem klanu, jego obowiązkiem było więc chronienie przywódcy. Obaj stali na skalistym występie, nad wejściem do lśniącego wnętrza świętej góry. Dziesiątki wojowników czekało w gotowości zbrojnych w strzały, topory i oszczepy. Inni spędzili cały dzień, przepychając wielkie głazy na ustalone wcześniej pozycje. Wystarczyło teraz jedno słowo Durotana, a jednym ruchem mogli posłać kamienną śmierć na wędrujących draenei.

Tego pięknego, słonecznego dnia śmierć czaiła się wszędzie na tej wspaniałej górze.

Wiatr zmierzwił lekko czarne włosy Durotana. Ptak zaszczebiotał. Drek'Thar patrzył na swego wodza z troską.

– Wodzu, robisz, co ci zrobić polecono – powiedział żarliwie. – Te istoty są naszymi wrogami.

Durotan skinął głową i żałował, że nie potrafi w to uwierzyć równie łatwo jak pozostali orkowie.

Wiatr musnął jego policzek teraz już mocniej i Durotan usłyszał niesione powiewem słowa. Wiadomość od Draki wysłana doń dzięki więzi, jaką Drek'Thar miał z żywiołami.

Idą. Jest ich pięciu. Żaden z nich nie nosi zbroi ani żadnej broni. Idą spokojnie.

Wiatr poniósł jej słowa gdzieś dalej i Durotan wiedział, że teraz usłyszeli je pozostali zgromadzeni na górze orkowie. Kiedy nadejdzie właściwy moment, Drek'Thar zaprzęgnie wiatr, by poniósł rozkazy wojownikom Durotana. Wódz Mroźnych Wilków wyprostował się i mocniej ujął topór.

– Są tutaj – stwierdził Drek'Thar ponuro.

Durotan podążył wzrokiem za spojrzeniem szamana.

Meldunek Draki okazał się bardzo dokładny, nie wyłączając opisu tego, jak wędrowali draenei. Pięciu draenei nie miało na sobie dziwnych zbroi, które Durotan widział, gdy walczyli z ogrem. Byli odziani jak do posiłku, w szaty o przepięknych barwach, które pochwycone wiatrem łopotały za nimi niczym sztandary. Na czele grupy szedł sam prorok Velen. Jego proste jasnobrązowe szaty kontrastowały ze strojami pozostałych draenei, żaden z jego towarzyszy nie miał też równie białej skóry. Durotan uśmiechnął się mimo całej tej przygnębiającej sytuacji. Draenei byli odziani tak barwnie, że tylko niewidomy ork nie zdołałby zobaczyć ich z wielkiej nawet odległości.

Ale jego uśmiech zaraz zgasł, gdy uświadomił sobie, co to znaczyło. Chcieli zostać zauważeni. Chcieli, by orkowie byli przekonani, że przybysze są bezbronni, a ich wyprawa była pielgrzymką, jak to określała Matka Kashur.

A może był to jedynie podstęp? Szaman nie potrzebował ostrza, by siać zniszczenie. Tak samo i draenei. Durotan doskonale pamiętał magiczną sieć i poczerniałe od niej, spalone ciało ogra. Sieci energii, zupełnie obcej orkom, która przybywała znikąd.

Nie, nawet nieuzbrojeni draenei nie byli bezbronni.

Już wcześniej wydał rozkazy swym wojownikom i wiedział, że zostaną wykonane. Zrozumieli, że nie wolno im wystrzelić ani nawet rzucić obelgi

bez wyraźnego rozkazu Durotana. Ale wiedzieli też, jak walczą draenei, więc w żadnym razie nie zostaną zaskoczeni. Durotan czuł woń napięcia płynącą od tych wojowników, którzy znaleźli się najbliżej niego, i zastanawiał się, czy draenei też to czują.

Patrzył, jak najdalej wysunięte oddziały opuszczają kryjówkę, by zewrzeć szereg za plecami draenei. Byli całkiem daleko od grupy przybyszy, więc Durotan miał nadzieję, że draenei nie zauważą tego manewru. Ale nawet jeśli go dostrzegli, nie dali tego po sobie poznać. Szli dalej równym, pewnym… spokojnym krokiem.

Durotan i Drek'Thar nie próbowali się nawet ukryć. Po kilku chwilach Velen podniósł głowę, by spojrzeć w górę, prosto w oczy Durotana. Mroźny Wilk nie odwrócił wzroku, ale stał nieruchomo, czekając, aż wróg się zbliży. Draenei doszli do podstawy góry, ale zanim zrobili kolejny krok, dziesiątki orków wyłoniło się z ukrycia, by ich otoczyć.

Velen nie wyglądał na zaskoczonego. Rozejrzał się, uśmiechnął lekko i znów spojrzał w oczy Durotana. Powoli wódz Mroźnych Wilków zszedł z występu, by stanąć twarzą w twarz z prorokiem draenei.

– Sporo czasu upłynęło od chwili, gdy tak staliśmy, Velenie – powiedział spokojnie, umyślnie pomijając tytuł przybysza.

– W rzeczy samej, sporo, Durotanie, synu Garada, wodzu Klanu Mroźnego Wilka – odpowiedział Velen tym miękkim głębokim głosem, który Durotan tak dobrze pamiętał. – Nadal przyjaźnisz się z Orgrimem?

– W rzeczy samej – odrzekł Durotan. – Teraz nosi on już Doomhammera i jest drugim po wodzu w swym klanie.

Smutek odmalował się na chwilę na twarzy draenei – smutek głęboki i niepodważalnie prawdziwy. I znów Durotan przypomniał sobie tę noc przed laty, kiedy ta istota siedziała z nimi przy stole i rozmawiała o życiu orków, o Doomhammerze i cenie, jaką przyjdzie Orgrimowi zapłacić za tę broń.

– Tuszę, że i jego ojciec, i twój odeszli z wielkim honorem – powiedział Velen.

– Nie przyszliśmy tu dzisiaj, by rozmawiać o przeszłości – oświadczył Durotan, mocniej niż zamierzał. Nie chciał wspominać tamtej nocy. – Jesteśmy tu, bowiem powiadomiłeś nas, że chcesz wtargnąć do najświętszego

z orczych miejsc.

Zacznijmy zatem – pomyślał – rozmowę bez ogródek.

Velen skinął głową, wciąż patrząc w oczy Mroźnego Wilka.

– Wysłałem wiadomość do Ner’zhula, nie do ciebie, Durotanie. On odrzucił moją prośbę o spotkanie. Zastanawiam się… czy dał ci poznać treść mojej wiadomości.

– Nie było potrzeby, bym ją znał – odparł Durotan. – Proszono, bym zjawił się tu w jego zastępstwie. I tak uczyniłem.

Zobaczył, że szerokie ramiona Proroka opadły lekko.

– Rozumiem – odparł draenei. – Nie powiedział ci, dlaczego chciałem tu przyjść.

– Nie muszę znać twego celu, draenei – rzekł Durotan.

– Ależ musisz, inaczej ta rozmowa skazana będzie na niepowodzenie – głos Velena był czysty i dźwięczny, nie było w nim nic starczego mimo lat, jakie dźwigał Prorok na swym karku.

Durotan uniósł brew. To, że Velen był mądrym starszym, widać było na pierwszy rzut oka, ale teraz po raz pierwszy Durotan dostrzegł ten przebłysk czystej siły woli, która utrzymała Velena przy życiu przez te wszystkie lata.

– To… ta góra święta jest dla twego ludu, ale także jest święta dla nas. – Velen postawił krok do przodu, nie przestając patrzeć w oczy Durotana. Wojownicy wokół przestępowali z nogi na nogę, ale poza tym się nie ruszyli. – Głęboko w górze tkwi istota, która od dawien dawna otaczała opieką draenei – mówił tymczasem Velen. – Jest starsza, niż są to w stanie pojąć nasze umysły. I potężniejsza. Ale nawet tak stara i tak potężna istota może umrzeć. I ta właśnie kona. Obdarzyła łaską, mądrością i pokojem zarówno mój, jak i twój lud. My…

– Bluźnierca!

Durotan drgnął gwałtownie. Gorzki krzyk nie wyrwał się z gardła jakiegoś wojownika o wybuchowym temperamencie, ale orka, który stał obok wodza. Drek’Thar aż dygotał cały z oburzenia, zwracając na Velena szeroko otwarte oczy. Żyły wystąpiły mu na szyi i groził draenei zaciśniętą pięścią. Durotan tak był zaskoczony tym wybuchem, że nie uciszył go tak szybko, jak powinien, i Drek’Thar krzyczał dalej.

– Oshu’gun należy do nas! Jest domem dla naszych ukochanych przodków, kołyską dla ich dusz, twoje ohydne kopyta nie postawią ni kroku na jej błogosławionych zboczach!

Velen też wydawał się zaskoczony tym wybuchem. Przeniósł uwagę na szamana i wyciągnął rękę w błagalnym geście.

– Wasze duchy mieszkają w tej górze, to prawda, nigdy bym nie zaprzeczył – zawołał. – Ale przyciąga je tu obecność tej istoty, która szuka…

To było najgorsze, co mógł powiedzieć. Drek’Thar ryknął z wściekłością i oburzeniem. Dołączyli do niego inni i zanim Durotan zrozumiał, co się dzieje, wojownicy ruszyli do przodu. Draka próbowała ich powstrzymać, ale równie dobrze mogłaby powstrzymywać przypływ.

Durotan obrócił się i uderzył Drek’Thara w twarz. Szaman odwrócił się ku niemu błyskawicznie z głuchym warkotem.

– Broń ich! – krzyknął Durotan. – Będziesz słuchał moich rozkazów! Musimy wziąć ich żywcem. Broń ich, przeklęty!

W oczach Drek’Thara zapłonęła furia, ale jedynie przez ułamek chwili. Szaman podniósł ramiona, zamknął powieki i nagle potężny krąg ognia otoczył pięcioro draenei. Zerwał się wiatr i chłoszcząc płomienie, uniósł je jeszcze wyżej, odpychając zarazem atakujących orków. Wojownicy cofnęli się, ale ku przerażeniu Durotana niektórzy z łuczników poczęli nakładać strzały na cięciwy.

– Stać! – ryknął, a wiatr porwał ten rozkaz i poniósł do uszu wojowników. – Zabiję każdego, kto wypuści strzałę!

Jego rozkaz i potężne umiejętności szamana, nawet jeśli użyte niechętnie, zapewniły draenei bezpieczeństwo. Durotan pomknął do więźniów, bowiem tym właśnie stali się przybysze. Drek’Thar deptał mu po piętach.

– Zgaś płomienie – rozkazał Durotan szamanowi.

W jednej chwili krąg ognia, który niemal opalił Durotanowi brwi, zniknął bez śladu. Wódz Mroźnych Wilków stanął twarzą w twarz z Velenem i poczuł wzbierającą w piersi potężną falę emocji, których określić nie potrafił, bowiem zdał sobie sprawę, że starszy przybyszów był równie spokojny i łagodny, jak wtedy gdy tylko rozmawiali.

– Velenie, ty i twoi towarzysze jesteście więźniami Klanu Mroźnego Wilka

– powiedział Durotan cicho tonem, w którym dźwięczały niebezpieczne nuty.

Velen uśmiechnął się słodko i smutno.

– Niczego innego się nie spodziewałem – odparł.

Zarówno on, jak i czterej jego towarzysze zachowali spokój, gdy Durotan rozkazał ich rozdziać i przeszukać. Ich wspaniałe szaty trafiły do najlepszych wojowników Durotana, draenei zostali ubrani w sztywne od potu tuniki. Durotanowi robiło się niedobrze, gdy jeńców opluwano, obrzucano obelgami i kpiono z nich bezlitośnie, nie zrobił jednak nic, by to powstrzymać. Tak długo jak więźniom nie czyniono fizycznej krzywdy – a Durotan pilnował, by do tego nie dopuścić – zamierzał pozwolić swym wojownikom na tę zabawę. Jadąca obok Draka gniewnie spoglądała na swych pobratymców.

– Mój miły… – szepnęła. – Nie możesz ich uciszyć?

Potrzasnął głową.

– Chcę zobaczyć, jak zareagują. I… wojownicy zatrzymali się, kiedy mieli zamiar zabijać. Nie zatrzymam ich języków.

Draka spojrzała nań badawczo, kiwnęła głową i cofnęła się. Wiedział, że tego nie pochwala, jemu też nie podobało się to, co widział. Ale stąpał po kruchym lodzie i miał tego świadomość.

– Mój wodzu! – zakrzyknął Rokkar, drugi po Durotanie. – Chodź, spójrz na to, co nam przynieśli.

Durotan podszedł i zajrzał do sakwy, którą trzymał Rokkar. Szeroko otworzył oczy. W środku ułożone w miękkiej tkaninie znajdowały się dwa przepiękne kamienie. Jeden czerwony, drugi żółty. Durotan całym sobą pragnął dotknąć któregoś z nich, ale się powstrzymał. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Velena.

– Dawno temu Restalaan pokazał nam podobny kryształ – zwrócił się do draenei. – Ten, który ochraniał miasto. Co te robią?

– Każdy ma własną moc. Są częścią naszego dziedzictwa. Zostały nam podarowane przez istotę, która mieszka w świętej górze.

Durotan warknął cicho.

– Lepiej zrobisz, nie powtarzając tego więcej – powiedział, po czym odwrócił się do Rokkara. – Nakarm więźniów, zwiąż im ręce i usadź na wilkach, niech szamani ich pilnują. Kamienie oddaj Drek’Tharowi.

Zabierzemy draenei i przekażemy ich Ner’zhulowi. Powinien znaleźć się dziś na moim miejscu.

Odwrócił się i odszedł, nie chcąc dłużej spoglądać w dziwne, lśniące oczy Velena ani widzieć dezaprobaty w oczach Draki.

*

Podczas długiej powrotnej jazdy Durotan zmagał się z własnymi emocjami. Z jednej strony podzielał urazę Drek’Thara. Oshu’gun była dla orków święta. Koncepcja, że jej wnętrze zamieszkiwało coś poza przodkami, a jak twierdził Velen, była to istota tak potężna, że zwabiła przodków, zraniła Durotana do żywego. Mógł tylko podejrzewać, co czuł szaman, słysząc te słowa. Wszystko zdawało się potwierdzać teorie Ner’zhula, że draenei są plagą wypuszczoną na ten świat i należy ich wyeliminować.

Durotanowi nie dawało jednak spokoju pytanie dlaczego. I zamierzał dziś wieczór poznać odpowiedź na to właśnie pytanie.

Ponieważ wszyscy jechali wierzchem, również jeńcy, podróżowali w szybkim tempie. Durotan wysłał przodem jeźdźców z dobrymi wieściami i cały klan oczekiwał powrotu wodza i wojowników. Po prawej stronie Durotana jechał Rokkar, który podzielał poglądy Mroźnych Wilków, po lewej zaś wyjątkowo cicha Draka. Durotan wiedział, że nie chce usłyszeć tego, co miała do powiedzenia jego partnerka. I bez tego był rozdarty.

Jeńców wepchnięto brutalnie do namiotu, a wokół ustawiono warty. Czterech doświadczonych wojowników i najbardziej zaufany szaman Drek’Thara stali dumnie wyprostowani, zadowoleni z obowiązku, jaki im powierzono, i okazanego zaufania. Z rozkazu Durotana Velen został oddzielony od swoich towarzyszy, wódz Mroźnych Wilków chciał porozmawiać z prorokiem draenei sam.

Gdy już opadło podniecenie wywołane ich powrotem, Durotan odetchnął głęboko. Nie spieszyło mu się do tej rozmowy, ale musiał ją przeprowadzić. Skinął strażnikom głową i wszedł do niewielkiego namiotu, w którym umieszczono Velena.

Ponieważ nakazał związanie Proroka, spodziewał się zobaczyć więźnia ze skrępowanymi rękami, ale ktokolwiek wykonywał jego rozkaz, zrobił to

z wyjątkową gorliwością.

Namiot dla więźnia wzniesiono wokół solidnego drzewa i Velen stał przywiązany do pnia. Ramiona wykręcono mu do tyłu pod dziwnym kątem, a sznur wokół nadgarstków zawiązano tak mocno, że nawet w przyćmionym świetle Durotan mógł zobaczyć, że białe dłonie draenei pociemniały. Sznur zawiązany wokół szyi, na szczęście znacznie luźniej, zmuszał Proroka do trzymania głowy wysoko, w przeciwnym razie ryzykował uduszenie. W usta wciśnięto mu brudną szmatę. Velen klęczał, kopyta też związano mu z tyłu.

Durotan zaklął i dobył sztyletu. Velen spoglądał na wodza bez cienia strachu w tych swoich głębokich niebieskich oczach. Jednak ork zauważył, że Prorok zdawał się zaskoczony, gdy Durotan przeciął więzy, a nie gardło jeńca. Velen nie odezwał się ani słowem, nie wydał dźwięku, tylko skrzywił się przelotnie z bólu, gdy do kończyn powróciło mu krążenie krwi.

– Kazałem im cię związać, a nie spętać jak talbuka – mruknął Durotan.

– Twoi wojownicy są najwyraźniej bardzo gorliwi.

Durotan podał mędrcowi bukłak i patrzył, jak tamten gasi pragnienie. Odziany w brudny strój, pijący dość łapczywie ciepławą wodę, ze śladami otarć od sznura Velen nie wyglądał na niebezpiecznego. Jak by się czuł, gdyby dowiedział się, że draenei w ten sposób potraktowali Matkę Kashur? Miał wrażenie, że wszystko tu jest nie w porządku. A jednak Matka Kashur osobiście zapewniła Drek’Thara, że draenei stanowili zagrożenie tak ogromne, że niemal niewyobrażalne.

Na ziemi stała miska zimnej owsianki. Durotan przesunął ją w stronę więźnia. Velen spojrzał na potrawę, ale nie zaczął jeść.

– Nie dorównuje uczcie, jaką podjąłeś mnie i Orgrima w Telmor – powiedział Durotan. – Ale jest pożywne.

Wargi Velena wygięły się w uśmiechu.

– To był pamiętny wieczór.

– Dostałeś wtedy od nas to, czego chciałeś? – zapytał Durotan. Był zły, ale nie na Velena. Był zły, że do tego doszło, że ten, który okazał mu jedynie gościnność i uprzejmość, był teraz jego jeńcem. I złość wyładował na Velenie.

– Nie rozumiem. Chcieliśmy jedynie okazać gościnność dwóm szukającym

przygód chłopcom.

Wódz Mroźnych Wilków poderwał się i kopnął miskę. Owsianka wylała się na ziemię.

– Spodziewasz się, że w to uwierzę?

Velen nie złapał przynęty.

– To prawda – odpowiedział spokojnie. – Twój wybór, w co uwierzysz.

Durotan opadł na kolana i zbliżył twarz do twarzy Velena.

– Dlaczego próbujecie nas zniszczyć? Cośmy wam uczynili?

– Mógłbym zapytać cię o to samo – powiedział Velen, a jego blada twarz pociemniała lekko. – Nigdy nie podnieśliśmy na was ręki, a teraz dwa tuziny draenei zginęło przez wasze ataki!

Prawda zawarta w tych słowach jeszcze bardziej rozzłościła Durotana.

– Przodkowie nas nie okłamują – warknął. – Ostrzeżono nas, że nie jesteście tym, czym się wydajecie, że jesteście naszymi wrogami. Po co przyniosłeś te kryształy, jeśli nie po to, by nas zaatakować?

– Uznaliśmy, że pomogą nam lepiej porozumieć się z istotą z góry – powiedział Velen szybko, jakby chciał wyrzucić je z siebie, zanim Durotan go uciszy. – Istota ta nie jest wrogiem orków, my też nie. Durotanie, jesteś inteligentny, mądry. Dostrzegłem to w tobie tamtej nocy przed wielu laty. Nie pójdziesz bezmyślnie za innymi niczym zwierzę na rzeź. Nie wiem, dlaczego wasi przywódcy kłamią, ale wiem, że kłamią. Zawsze pragnęliśmy pokojowych kontaktów z wami. Jesteś lepszy niż oni, synu Garada. Nie jesteś jak inni!

Durotan zmrużył ciemne oczy.

– Mylisz się, draenei – wypluł. – Jestem dumny, że jestem orkiem. Jestem dumny ze swojego dziedzictwa.

Velen wydawał się zrozpaczony.

– Źle mnie zrozumiałeś. Nie zamierzam obrażać twego ludu. Tylko…

– Tylko co? Tylko mówisz nam, że jedynym powodem, dla którego możemy widzieć naszych ukochanych zmarłych, jest twój… twój bóg uwięziony w górze?

– To nie jest bóg, tylko sprzymierzeniec, i będzie nim też dla twego ludu, jeśli na to pozwolisz.

Durotan zaklął i wstał. Począł chodzić wokół ścian namiotu, to zaciskając, to rozprostowując ręce. Wreszcie westchnął długo, głęboko, gniew wypalił się w nim do cna.

– Velenie, twoje słowa jedynie podsycają ogień naszej wściekłości – powiedział cicho. – Twoje twierdzenie jest butne, obelżywe. Tylko umocni tych, którzy już są gotowi wybić twój lud na jedno słowo naszych przodków w ich postanowieniu. Ja sam tego nie rozumiem, ale ty każesz mi wybierać między tymi, którym ufam, między tradycjami, w których zostałem wychowany, a twoim słowem. – Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy draenei. – Wybieram mój lud. Musisz to wiedzieć. Jeśli ty i ja spotkamy się kiedyś na polu bitwy, nie zawaham się.

Velen wyglądał jedynie na zaciekawionego.

– Ty… nie zaprowadzisz mnie zatem do Ner’zhula?

Durotan pokręcił głową.

– Nie. Skoro chciał cię dostać, powinien sam po ciebie przyjść. Wyznaczył mnie, bym się z tobą układał, i wywiązałem się z tego obowiązku tak, jak uznałem za stosowne.

– Miałeś mnie dostarczyć jemu jako więźnia.

– Miałem spotkać się z tobą i wysłuchać twych słów – poprawił Velena Durotan. – Gdybym pojmał cię w bitwie, wytrącił broń z twych dłoni, powalił cię na ziemię, wtedy tak, wtedy byłbyś jeńcem. Ale nie ma honoru w pętaniu rąk, które wróg do ciebie wyciąga. Znaleźliśmy się w impasie, ty i ja. Ty upierasz się, że nie żywisz żadnych wrogich uczuć względem orków. Moi przywódcy, duchy moich przodków twierdzą inaczej. – Po raz kolejny Durotan ukląkł przed draenei. – Nazywają cię Prorokiem. Czy zatem znasz przyszłość? Jeśli tak, powiedz mi w takim razie, co ty i ja możemy uczynić, by odwrócić to, co jak się obawiam, już zaczęło się dziać. Nie zabiję niewinnego, Velenie. Daj mi coś, cokolwiek, co mogę przekazać Ner’zhulowi, by udowodnić, że mówisz prawdę!

Uświadomił sobie, że błaga, ale nie przejął się tym faktem. Kochał swą partnerkę, swój klan, swój lud. Nienawidził tego, co bezsilnie obserwował – całe pokolenie nurkujące w dorosłość z sercami wypełnionymi jedynie nienawiścią. Jeśli błaganie tej dziwnej istoty pomoże, Durotan miał zamiar

błagać.

Dziwne niebieskie oczy spoglądały nań z niewypowiedzianym zrozumieniem i współczuciem. Velen wyciągnął swą białą dłoń i położył ją na ramieniu Durotana.

– Przyszłość nie jest księgą, którą można swobodnie czytać – powiedział cicho. – Nieustannie się zmienia niczym płynąca woda, niczym wir piasku. Czasem dane jest mi zrozumienie, ale nic poza tym. Czułem głęboko, że muszę przyjść tu nieuzbrojony, ale nic poza tym. I spójrz tylko, wyszedł mi na spotkanie nie największy z orczych szamanów, ale jeden z tych, którzy bezpiecznie nocowali pod mym dachem. Nie sądzę, by był to zbieg okoliczności, Durotanie. I jeśli można uczynić cokolwiek, by zmienić bieg wydarzeń, to muszą to zrobić orkowie, nie draenei. Mogę powiedzieć ci tylko to, co już powiedziałem. Można zmienić brzeg rzeki, ale to wy musicie to zrobić. Tylko tyle wiem i modlę się, aby okazało się, że wystarczy to, by ocalić mój lud.

Wyraz malujący się na tej niewyobrażalnie starej, dziwnie pomarszczonej twarzy, ton głosu draenei powiedziały Durotanowi to, czego nie powiedziały słowa – że Velen nie wierzył, że to wystarczy.

Durotan na chwilę przymknął powieki, a potem podsunął się od draenei.

– Zatrzymamy kamienie – oznajmił. – Jakąkolwiek mają moc, nasz szaman nauczy się ją wykorzystywać.

Velen ze smutkiem skinął głową.

– Tak podejrzewałem. Ale musiałem je zabrać. Musiałem wierzyć, że zdołamy jakoś się porozumieć.

Dlaczego – zastanawiał się Durotan – dlaczego czuł się w tej chwili bliższy temu, który był ponoć jego wrogiem, niż duchowemu przywódcy jego własnego ludu? Draka mogłaby to wiedzieć. Wiedziała od początku. Nic nie powiedziała, bowiem wiedziona mądrością przekraczającą granice jego pojmowania, wiedziała, że on musi dojść do tego samodzielnie. Ale dziś wieczorem z nią porozmawia, gdy będą sami w namiocie.

– Wstań – nakazał, ukrywając emocje za szorstkim tonem. – Ty i twoi towarzysze możecie odejść wolni. – Nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko. – I na tyle bezpieczni, na ile możecie być sami, w ciemnościach i bez broni.

Jeśli znajdziecie śmierć tej nocy, przechodząc przez nasze ziemie, nie stanie się to z mojej przyczyny.

– To by było dla ciebie dogodne – zgodził się Velen, prostując się. – Ale jakoś mam wrażenie, że nie tego pragniesz.

Durotan nie odpowiedział, wyszedł z namiotu i zwrócił się do strażników.

– Velen i jego czterej towarzysze mają zostać bezpiecznie odprowadzeni do granicy naszych ziem. Tam zaś uwolnieni, by mogli wrócić do swego miasta. Nic nie może im się stać, czy to zrozumiałe?

Strażnik wyglądał, jakby miał zamiar zaprotestować, ale inny mądrzejszy wojownik rzucił mu płomieniste spojrzenie.

– Zrozumiał, wodzu – mruknął ten pierwszy. Gdy obaj odeszli po pozostałych więźniów, Drek'Thar przypadł do Durotana.

– Co robisz?! Ner'zhul spodziewa się jeńców!

– Może ich sam sobie pojmać – warknął Durotan. – Ja tu dowodzę i to moja decyzja. Podważasz ją?

Drek'Thar rozejrzał się i odprowadził Durotana na bok, poza zasięg zbyt ciekawskich uszu.

– Podważam! – wysyczał. – Słyszałeś, co on powiedział. Że nasi przodkowie są… są jak ćmy, które zleciały się do pochodni, jaką jest ten ich bóg! To bezczelność! Ner'zhul ma rację. Trzeba ich zgładzić. Tak nam nakazano!

– Jeśli tak ma być, to będzie – odparł Durotan. – Ale nie tej nocy, Drek'Tharze, nie tej nocy.

*

Kiedy wraz z towarzyszami szedł w wilgotnej od rosy ciemności spowijającej łąki, zmierzając ku najbliższemu miastu i mając za plecami czarne sylwetki drzew puszczy Terokkar, szedł z ciężkim sercem.

Dwa kryształy ata'mal znalazły się w posiadaniu orków. Velen nie wątpił, że tak jak zapowiedział Durotan, orczy szamani szybko odkryją ich tajemnice. Jednak orkowie nie znaleźli jednego, bowiem ten nie życzył sobie zostać znaleziony. A w wypadku kryształów światło było posłuszne ich życzeniom, więc tym razem załamało się tak, by ten jeden pozostał ukryty

przed wzrokiem orków. Teraz Velen trzymał go blisko serca, czując ciepło sączące się w jego stare ciało.

Zaryzykował i przegrał. Nie do końca wprawdzie – sam fakt, że wraz z przyjaciółmi wracał żywy, był tego dowodem. Miał jednak nadzieję, że orkowie posłuchają, że będą mu towarzyszyć do serca ich świętej góry i zobaczą coś, co nie przekreślało ich wiary ani trochę, ale co stało się przyczyną ich narodzin.

Rokowania na przyszłość były ponure. Gdy wszedł do obozu, miał okazję się rozejrzeć. Orczęta ćwiczono tak ostro, że niemal padały z wyczerpania. Kuźnie nie przestawały pracować nawet o tak później porze. Mimo że go uwolniono, to wiedział, że wydarzenia tego dnia w żaden sposób nie zmienią tego, co już niosła ku nim przyszłość. Orkowie, nawet ci dowodzeni przez przenikliwego Durotana, który niełatwo popadał w złość, nie tyle zabezpieczali się, dopuszczając możliwość wybuchu wojny – ile byli jej pewni. Kiedy słońce wynurzy żółtą głowę, spojrzy na nieuniknione.

Kryształ na sercu pulsował, wyczuwając myśli Velena. Prorok obrócił się do swych towarzyszy i spojrzał na nich ze smutkiem.

– Orkowie nie zawrócą z tej ścieżki – powiedział ze smutkiem. – Zatem i my, jeśli mamy przeżyć, musimy wstąpić na drogę wojny.

*

Gdzieś daleko złamany, konający K’ure, spoczywający najspokojniej, jak mógł, na dnie świętego jeziora, krzyknął długo i rozdzierająco.

*

Velen zatrzymał się, usłyszawszy krzyk, rozpoznał głos i skłonił głowę.

*

Mroźne Wilki obróciły się na ten dźwięk ku doskonałemu trójkątowi góry Oshu’gun.

– Przodkowie są na nas źli! – krzyknął młody szaman. – Za to, że wypuściliśmy Velena!

Durotan potrząsnął głową. Powinien skarcić młodzika i jutro to uczyni, jeśli raz jeszcze posłyszy takie słowa. Ale dziś jego serce przepełniał smutek. Ze świętej góry nie dobiegł ich krzyk wściekłości. To był przejmujący głos nieskończonego smutku. Durotan wzdrygnął się, zastanawiając, dlaczegóż przodkowie czują tak wielki, tak głęboki żal.

Rozdział jedenasty

Ner’zhul… Gul’dan. Dwa najmroczniejsze imiona, plamy na historii mego ludu. A jednak Drek’Thar mówi, że kiedyś Ner’zhul był podziwiany, nawet kochany, i prawdziwie dbał o swój lud, którego był duchowym przywódcą. Ciężko uwierzyć w te słowa, wiedząc, czym stał się Ner’zhul, ale staram się. Staram się, bowiem chcę zrozumieć.

A jednak, choć staram się ze wszystkich sił… Nie rozumiem.

– Coo?!

Wrzask oburzenia, jaki wydał z siebie Ner’zhul, sprawił, że jego uczeń Gul’dan skrzywił się mimowolnie. Durotan nie mrugnął okiem.

– Uwolniłem proroka Velena – powiedział spokojnie.

– Otrzymałeś rozkaz, by pojmać jego i pozostałych! – głos Ner’zhula nabierał wyższych tonów z każdym wypowiedzianym słowem. To było takie proste, tak oczywiste. Co sobie Durotan myślał?! Odrzucić taką okazję niczym ogryzioną z mięsa kość! Ileż informacji zdołaliby wydobyć z Velena! Jaką też przewagę nad draenei dałby im ten więzień!

Ale te myśli zgasły, przytłoczone obawą o to, jak zareaguje Kil’jaeden. Co zrobi, gdy odkryje, że Velen nie został pojmany? Przepiękna istota była wyjątkowo zadowolona, kiedy Ner’zhul wyłożył jej swój plan. Zadowolony ze swej przebiegłości, przekonany, że zwycięstwo ma w ręku, Ner’zhul ośmielił się nawet oferować Velena Kil’jaedenowi jako dar. I co teraz? Nie umknęło szamanowi to, że czuł bardziej strach niż smutek, że zawiedzie ową wspaniałą istotę.

– Uczyniłeś mnie odpowiedzialnym za ich pojmanie, a ja ich pojmałem –

odparł wódź Mroźnych Wilków. – Ale nie ma honoru w pojmaniu tego, kto godzi się zostać pojmanym. Chcesz, byśmy byli silni jako lud, nie jako odrębne klany, a nie możemy tego osiągnąć, nie mając honorowego kodeksu, kodeksu, którego nie można pogwałcić, którego…

Durotan nadal mówił, głębokim, chrapliwym głosem, ale Ner'zhul już go nie słuchał. W tej jednej chwili, która zamroziła upływ czasu, Ner'zhul zrozumiał nagle, że Kil'jaeden może nie był wcale łagodnym i dobrotliwym duchem, jakim się mienił. Durotan, zatopiony we własnych słowach, wyjaśniający z uporem swą decyzję, nie zauważył, że szaman nie zwraca nań uwagi. Ale Ner'zhul czuł na sobie spojrzenie Gul'dana. I kolejna fala strachu wezbrała mu w piersi, że oto Gul'dan był świadkiem pierwszych wątpliwości swego nauczyciela.

Co należy uczynić? Jak najlepiej mogę służyć?

Dlaczego Rulkan już do mnie nie przychodzi?

Zamrugał, wyrywając się z własnych myśli, kiedy uświadomił sobie, że Durotan zamilkł. Rosły wódz wpatrywał się w szamana z napięciem, czekając na odpowiedź.

Jak najlepiej to rozwiązać? Durotan cieszył się poważaniem nawet wśród orków z innych klanów. Jeśli Ner'zhul go ukarze, wielu zacznie współczuć Klanowi Mroźnego Wilka. To może stworzyć rozdarcie w tkaninie, którą z takim wysiłkiem starał się spleść Ner'zhul, tkaninie zjednoczonego ludu orków… Hordzie. Z drugiej strony, jeśli daruje Durotanowi ten czyn, będzie to dojmującą obelgą dla tych wszystkich, którzy żywiołowo poparli Ner'zhula, gdy wcześniej mówił, że draenei muszą zginąć.

Nie mógł zdecydować. Wpatrywał się w Durotana, który zaczynał marszczyć lekko brew.

– Mój mistrz oniemiał z gniewu – rozległ się gładki głos Gul'dana. Zarówno Durotan, jak i Ner'zhul obrócili się, by spojrzeć na młodszego szamana. – Nie posłuchałeś bezpośredniego rozkazu od swego duchowego przywódcy. Wróć do swego obozu, Durotanie, synu Garada. Mój mistrz wyśle ci list zawiadamiający o swej decyzji.

Durotan wrócił spojrzeniem do Ner'zhula. Niechęć do Gul'dana malowała się wyraźnie na twarzy młodego wodza. Ner'zhul zebrał się w sobie, uniósł

dumnie głowę i tym razem, gdy zaczął szukać właściwych słów, znalazł je bez trudu.

– Odejdź, Durotanie. Nie jestem z ciebie zadowolony, a co gorsza, niezadowolona też będzie istota, która dotąd okazywała nam taką łaskę. Wkrótce się do ciebie odezwę.

Durotan skłonił się, ale nie odszedł.

– Jest coś, co ci przyniosłem – oznajmił.

Podał Ner’zhulowi niewielkie zawiniątko. Szaman wyciągnął drżącą dłoń, żywiąc przy tym rozpaczliwą nadzieję, że Durotan i Gul’dan przypiszą to drżenie wściekłości, a nie obawie.

– Zabraliśmy to jeńcom – mówił tymczasem Durotan. – Nasz szaman wierzy, że jest w nich moc, którą możemy wykorzystać przeciwko draenei.

Zawahał się, jakby jeszcze czekał na jakieś słowo ze strony szamana, gdy jednak zapadła nieprzyjemna cisza, skłonił się ponownie i odszedł. Mistrz i jego uczeń też milczeli długą chwilę.

– Mistrzu, wybacz mi, że się wtrąciłem. Widziałem, że jesteś tak wstrząśnięty, że nie możesz dobyć słowa, i obawiałem się, że młokos z Mroźnych Wilków uzna twój gniew za wahanie.

Ner’zhul rzucił mu badawcze spojrzenie. W słowach Gul’dana brzmiała szczerość. Szczerość malowała się też na jego twarzy. A jednak…

Kiedyś Ner’zhul zwierzyłby się uczniowi ze swych wątpliwości. Ufał mu, szkolił przez lata. Ale teraz, w tej chwili, choć zmagał się z niepewnością niczym z wichrem dmącym w twarz, Ner’zhul tylko jednego był pewien. Nie chciał, by Gul’dan dostrzegł w nim jakąkolwiek słabość.

– W rzeczy samej, gniew odebrał mi mowę – skłamał. – Honor jest niczym, jeśli szkodzi ludowi.

Zdał sobie sprawę, że ściska węzełek otrzymany od Durotana, na który Gul’dan spoglądał niemal pożądliwie.

– Co dał ci Durotan, by złagodzić twój gniew? – spytał młodszy z szamanów.

Ner’zhul spojrzał na ucznia z wyższością.

– Sam najpierw to zbadam, mój uczniu, a potem podzielę się wiedzą z Kil’jaedenem – powiedział chłodno. Czekał na reakcję i bał się ją zobaczyć.

Przez ułamek chwili, najkrótszy z możliwych, na twarzy Gul’dana odmalował się gniew. Ale zaraz młodszy ork pokłonił się głęboko.

– Oczywiście, mistrzu – rzekł ze skruchą. – Arogancją z mojej strony było oczekiwać… jestem tylko ciekaw, nic więcej, czy wódz Mroźnych Wilków przyniósł coś, co ma jakąkolwiek wartość.

Ner’zhul zmiękł nieco. Gul’dan od lat wiernie mu służył i zastąpi starszego szamana, gdy nadejdzie właściwy moment. Ner’zhul zaczynał bać się własnego cienia.

– Oczywiście – zwrócił się do ucznia łagodniejszym tonem – powiem ci, jeśli coś odkryję. W końcu jesteś mym uczniem i następcą, czyż nie?

Gul’dan pojaśniał.

– Służę ci pod każdym względem, mój mistrzu. – Już z bardziej zadowoloną miną skłonił się ponownie i zostawił Ner’zhula samego.

Ner’zhul usiadł ciężko na skórach, które służyły mu za posłanie, zawiniątko trzymał na kolanach. Pomodlił się do przodków, prosząc, by Durotan – skoro nie dostarczył przywódcy draenei – zdobył coś o znacznej wartości.

Odetchnął głęboko i rozwinął zawiniątko. Gwałtownie wciągnął powietrze. W miękkim futrze spoczywały dwa lśniące klejnoty.

Ner’zhul ostrożnie dotknął czerwonego i niemal zachłysnął się powietrzem.

Energia, podniecenie i poczucie władzy popłynęły przezeń z kamienia. Zapragnął pochwycić za broń, choć nie czynił tego od lat, i zamachnąć się do ciosu. Rozumiał w niewytłumaczalny sposób, że gdyby kryształ ten był w jego broni, zawsze trafiałaby ona w cel. Cóż to był za dar dla orków! Będzie musiał zobaczyć, jak zaprząc tę gorącą czerwoną wolę walki zamkniętą w kamieniu, by służyła jego celom.

Potrzebował całej siły woli, by wypuścić kryształ z dłoni. Odetchnął głęboko, uspokajając się, podczas gdy jego umysł się oczyścił.

Teraz przyszedł czas na żółty kryształ.

Ner’zhul zamknął dłoń na żółtym klejnocie. Tym razem wiedział już mniej więcej, czego się spodziewać. Znów poczuł ciepło, znów przepełniła go moc. Ale tym razem nie towarzyszyło tym doznaniom podniecenie ani chęć natychmiastowego działania. Jego umysł się rozjaśnił i Ner’zhul uświadomił sobie, że do tej chwili widział wszystko jak przez gęstą mgłę. Nie zdołałby

opisać tego, co czuł, ale wszystko wokół niego stało się czyste, jasne i precyzyjne. Po prawdzie postrzegał wszystko tak wyraźnie, że Ner’zhul odczuwał to otwarcie umysłu jako ból.

Upuścił klejnot na kolana. Olśniewająca jasność myśli, ostra niczym sztylet przenikliwość, osłabła.

Ner’zhul uśmiechnął się. Nawet jeśli nie mógł podarować Kil’jadenowi Velena, to ma te wspaniałe klejnoty, by ukoić niezadowolenie cudownej istoty.

*

Kil’jaeden wpadł w furię.

Ner’zhul drżał w obliczu tego gniewu, padł na ziemię i powtarzał tylko: „Wybacz mi…”, podczas gdy Kil’jaeden szalał. Szaman zacisnął powieki, szykując się na ból, jakiego nigdy jeszcze nie zaznał, gdy nagle wściekłość ucichła.

Ner’zhul ostrożnie zaryzykował zerknięcie na swego dobrodzieja. Kil’jaeden znów był opanowany, łagodny, skąpany w blasku.

– Jestem… rozczarowany – mruknął ten najwspanialszy, przestępując z jednej gigantycznej nogi zakończonej kopytem na drugą. – Ale wiem, że wódz Klanu Mroźnego Wilka jest za to odpowiedzialny. A ty nigdy, przenigdy więcej mu nie zaufasz.

Ulga, która ogarnęła Ner’zhula, była tak potężna, że szaman niemalże zasłabł.

– Oczywiście, że nie, panie. Nigdy więcej. I… znaleźliśmy dla ciebie te kryształy.

– Mnie one są nieprzydatne – powiedział Kil’jaeden, a Ner’zhul skulił się lekko. – Ale twój lud może uznać je za potrzebne w walce o ostateczne zmiażdżenie draenei. Albowiem o to walczysz, czyż nie?

Strach ścisnął serce Ner’zhula.

– Oczywiście, panie! Taka jest wola przodków!

Kil’jaeden spojrzał nań, a z jego olśniewających oczu strzelały płomienie.

– To moja wola – rzekł krótko, a Ner’zhul począł przytakiwać gorączkowo.

– Oczywiście, oczywiście, to twoja wola, a ja jestem ci nieskończenie

posłuszny.

Kil’jaeden zdał się usatysfakcjonowany tym zapewnieniem i odszedł, a Ner’zhul usiadł, ocierając twarz mokrą od potu wywołanego strachem.

Kątem oka dostrzegł coś białego. Gul’dan widział wszystko.

*

Już czas jakiś planowaliśmy atak, a zeszłej nocy, gdy Pani nie pojawiła się na niebie, spadliśmy wielką siłą na niewielkie śpiące miasteczko. Nikt nie uszedł z życiem, nawet tych kilkoro dzieci, które znaleźliśmy. Ich zapasy: jedzenie, zbroje, broń i jakieś dziwne przedmioty, których nie rozpoznaliśmy, cały ta zdobycz dzielona jest właśnie między dwa zjednoczone klany. Ich krew, gęsta i niebieska, schnie na naszych twarzach, gdy tańczymy, świętując zwycięstwo.

Wiadomość była dłuższa, ale Ner’zhul już nie czytał. Nie musiał. Szczegóły może i były różne, ale wszystkie listy traktowały właściwie o tym samym. Zwycięski atak, chwała zabijania, ekstaza płynąca z rozlaną krwią. Ner’zhul spojrzał na plik listów, które otrzymał tego ranka. Siedem.

Z każdym mijającym miesiącem, nawet w trakcie długiej i surowej zimy, orkowie zyskiwali coraz większą wprawę w zabijaniu draenei. Z każdym zwycięstwem uczyli się czegoś o przeciwniku. Kamienie, które Durotan dał Ner’zhulowi, w istocie były pomocne. Czerwony klejnot nazwali Sercem Gniewu i szybko przekonali się, że jeśli tylko dowódca drużyny miał go przy sobie w trakcie ataku, to nie tylko on walczył sprawniej i z większą energią, ale też każdy inny ork pod jego rozkazami. Kamień przekazywano po kolei każdemu z wodzów wraz z nowiem i był on pożądany przez wszystkich wojowników. Jednakże nikt nie ośmielił się zatrzymać go dla siebie.

Drugi kamień nazwano Gwiazdą Olśnienia. Ner’zhul odkrył, że gdy klejnot znajdował się w posiadaniu szamana czy szamanki, doświadczali oni nadzwyczajnego skupienia i jasności myśli. Podczas gdy Serce Gniewu budziło emocje, Gwiazda Olśnienia je koiła. Myśli biegły szybciej, stawały konkretniejsze, a skupienie trudniej było zakłócić. Rezultatem używania kamienia była potężna magia, niespotykanie posłuszna woli szamana… kolejny klucz do orczych sukcesów. A do tego wszystkiego orkowie używali magii draenei przeciwko niebieskoskórym, co stanowiło smakowitą ironię,

a do tego poprawiało znacznie morale oddziałów Hordy.

Ale nic z tego nie cieszyło Ner’zhula. Nagły przebłysk wątpliwości, którego doświadczył szaman w trakcie rozmowy z wodzem Mroźnych Wilków, wstrząsnął nim do głębi. Walczył z podejrzeniami w obawie, że Kil’jaeden zdoła jakoś odczytać te myśli, ale one wracały niczym larwy wyłażące z padliny. I prześladowały go dzień i noc. Kil’jaeden zbudowany był bardzo podobnie do tych draenei. Czy to możliwe, że jakimś sposobem byli tym samym? A on, Ner’zhul, został wykorzystany w swego rodzaju wojnie domowej?

Wreszcie pewnej nocy nie mógł dłużej znieść zwątpienia. Cicho ubrał się i obudził swego wilka Niebościgłego. Zwierz przeciągnął się i zamrugał ospale na widok swego pana.

– Chodź, przyjacielu – powiedział doń Ner’zhul ciepło, siadając na grzbiecie wielkiego drapieżnika.

Dotąd nigdy nie jeździł do świętej góry. Zawsze szedł, jak nakazywała tego tradycja. Ale musiał wrócić, zanim ktokolwiek zauważy jego zniknięcie, i był pewien, że waga jego misji zrównoważy ciężar obelgi uczynionej przodkom.

Wiosna już niemal pokonała zimę, zbliżał się czas święta Kosh’harg, ale teraz, gdy lodowaty wiatr kąsał uszy i nos Ner’zhula, szamanowi wydawało się, że zima trwa w najlepsze. Skulił się na grzbiecie swego wierzchowca, wdzięczny za ciepło bijące z ciała wilka, i jak mógł najlepiej osłonił się przed wiatrem i śniegiem.

Wilk biegł przez zaspy, nie ustając nawet na chwilę. I wreszcie Ner’zhul, podniósłszy oczy, zobaczył idealny trójkąt Góry Duchów i poczuł, jak ogromny ciężar spada mu z serca. Po raz pierwszy od miesięcy poczuł, że postępuje słusznie.

Niebościgłemu ciężko byłoby się wspinać, więc Ner’zhul nakazał mu zostać. Słysząc ten rozkaz, wilk położył się i skulił w śniegu. Szaman zaś, pewien, że wróci najpewniej za kilka godzin, zaczął wspinać się na górę. Od dawna nie czuł się tak ożywiony. Powinien był od razu zaczerpnąć ze źródła mądrości, jak czynili to szamani przed nim. Nie wiedział, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał.

Dotarł wreszcie do wejścia i zatrzymał się na chwilę w progu doskonałego

owalu. Choć śpieszno mu było na spotkanie z przodkami, wiedział, że nie może zlekceważyć rytuału. Zapalił kępkę wyschniętej trawy, pozwolił, by słodki zapach oczyścił i uspokoił jego myśli. Dopiero potem wszedł w głąb pieczary, mrucząc pod nosem zaklęcie, które zapalało pochodnie na szlaku. Ner’zhul kroczył tą ścieżką więcej razy, niż byłby w stanie spamiętać, i jego stopy poruszały się odruchowo. Gładka dróżka wiła się, schodząc w dół, i prowadziła Ner’zhula ku ciemności.

Wydawało mu się, że tym razem minęło więcej czasu, zanim dostrzegł nikły blask w tunelu. Ner’zhul wkroczył do jaskini i pomyślał, że światło emanujące ze świętego jeziora też jakby przygasło w porównaniu do tego, co widywał tu wcześniej. Ta myśl go zaniepokoiła.

Odetchnął głęboko i sam się zbeształ w myślach. Przynosił własne lęki z zewnątrz do tego świętego miejsca i tyle. Zbliżył się do brzegu, wyjął z torby bukłaki i wylał wodę. Cichy plusk był jedynym dźwiękiem, jaki przez chwilę rozchodził się w jaskini i zdawał się odbijać echem od jej ścian.

Dokonawszy ofiary, Ner’zhul usiadł nad brzegiem wody i czekał, wpatrując się w jej świetlistą głębinę.

Nic się nie stało. Nie panikował. Czasami przodkowie potrzebowali chwili, by odpowiedzieć.

Ale kiedy upłynęło więcej czasu, niepokój zaczął ogarniać Ner’zhula.

– Przodkowie… – odezwał się poruszony – ukochani zmarli… ja, Ner’zhul, szaman Klanu Cienistego Księżyca, przywódca waszych dzieci, przybyłem, by szukać… nie, by błagać o mądrość. Ja… utraciłem drogę do waszego światła. Czasy są mroczne i straszne, choć my stajemy się silniejsi i bardziej zjednoczeni jako lud. Podważam słuszność ścieżki, którą podążam, i u was szukam przewodnictwa. Proszę, jeśli kiedykolwiek troszczyliście się, dbaliście o tych, którzy kroczą waszym śladem, przyjdźcie do mnie, poradźcie mi, bym mógł ich dobrze prowadzić!

Głos mu drżał. Wiedział, że brzmi żałośnie, że wydaje się straszliwie zagubiony, i przez moment uparta duma sprawiła, że twarz mu pociemniała ze wstydu. Ale to uczucie minęło przegnane świadomością, że w istocie dbał o swój lud, że chciał uczynić to, co dla niego najlepsze, a w tej chwili nie umiał powiedzieć, co to takiego.

Blask w głębi wody przybrał na sile. Ner’zhul pochylił się szybko, wzrokiem przeszukiwał taflę, aż wreszcie zobaczył twarz i spoglądające nań oczy.

– Rulkan… – szepnął niemal bezgłośnie. Na chwilę łzy litościwie zmąciły jej obraz. Ner’zhul zamrugał i ból przeszył mu serce, bowiem zobaczył wyraz malujący się na jej niematerialnej twarzy.

Nienawiść.

Szarpnął się w tył, jak uderzony. Kolejne twarze pojawiały się w wodzie, dziesiątki twarzy i wszystkie spoglądały nań w ten sam sposób. Poczuł mdłości.

– Błagam! – krzyknął. – Obdarzcie mnie mądrością, żebym mógł odzyskać waszą łaskę!

Twarz Rulkan złagodniała nieco, a gdy się odezwała, w jej głosie słychać było echo współczucia.

– Nic nie możesz uczynić, nie teraz ani nawet za sto lat, by odzyskać naszą łaskę. Nie jesteś zbawcą naszego ludu, jesteś jego zdrajcą.

– Nie! – krzyknął. – Nie! Powiedziecie mi, co mam robić, i ja to uczynię. Nie jest jeszcze za późno, na pewno nie jest za późno!

– Nie jesteś wystarczająco silny – odpowiedział mu inny głos, głęboki i dudniący. – Gdybyś był, nigdy nie zaszedłbyś tak daleko tą ścieżką. Nie zgodziłbyś się z taką łatwością wykonać wolę tego, który nie ma krzty miłości dla naszego ludu.

– Ale… nie rozumiem – mamrotał Ner’zhul. – Rulkan, tyś do mnie przyszła! Słyszałem cię! Ty, Grekharze… tyś mi doradzał! Wyście chcieli, bym przyjął Kil’jaedena! Wielkiego przyjaciela wszystkich orków!

Rulkan nie odpowiedziała, bo i nie było takiej potrzeby. Nawet gdy słowa te sypały się z jego ust, rozumiał już, jak straszliwie został oszukany.

Przodkowie nigdy się przed nim nie objawili. To była jedynie sztuczka Kil’jaedena, kimkolwiek, czymkolwiek był. Mieli rację, że nie ufali teraz Ner’zhulowi. Szamanowi, który dał się tak łatwo zwieść, w żaden sposób nie można zaufać, że zdoła naprawić cokolwiek. Wszystko to było ogromną siecią kłamstw i manipulacji, a on, Ner’zhul, pierwszym głupim insektem, który dał się w nią nieodwracalnie pochwycić.

Niemal setka draenei straciła życie. Nie było odwrotu – nie mógł oczekiwać pomocy od przodków. Nie mógł zaufać już żadnej wizji, ale jedynie spodziewać się, że będą kłamliwe. A co najgorsze, poprowadził swój lud w ręce tego, kto mimo swej urody, swych słodkich słów nie miał wcale na względzie dobra orków.

Gdy spojrzał w nierzeczywiste oczy swej ukochanej ta odwróciła się od niego. Jedno po drugim odwracały się odeń oblicza przodków, dziesiątki ich, setki, niezliczoność.

Ner’zhul dygotał w przerażeniu tym, co uczynił. Nic nie mógł zrobić, by to naprawić. Nic, jak tylko kroczyć dalej tą ścieżką, stworzoną dlań rękami Kil’jaedena, i modlić się do przodków, którzy już go nie słuchali, że jakoś, nie wiedzieć jak, sprawy przybiorą korzystny obrót. Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

*

Kuląc się w ciemnościach za załomem tunelu, Gul’dan słuchał szlochu swego mistrza i uśmiechnął się.

Kil’jaeden będzie mu wdzięczny za te wieści.

Rozdział dwunasty

Wszyscy jesteśmy słabi w taki czy w inny sposób. Niezależnie od gatunku. Czasami nasza słabość jest zamaskowaną siłą. Czasami naszą zgubą. Czasem jednym i drugim. Mądry rozumie swą słabość i stara się wyciągnąć z niej nauczkę. Głupiec pozwala, by słabość nad nim zwyciężyła i go zniszczyła.

A czasami mądry okazuje się głupcem.

Gdy jechał na grzbiecie Niebościgłego, dłonie miał tak przemarznięte, że zaczynał wątpić, że kiedykolwiek je rozprostuje i wyplącze z wilczego futra. Zarazem cały czas pragnął, by ciemna noc go pochłonęła. Jak mógł wrócić do swego ludu, wiedząc, co mu uczynił? Z drugiej strony, jak mógł uciec i dokąd, by Kil'jaeden nie mógł go odszukać? Gorzko żałował, że nie ma tyle odwagi, by wziąć rytualny sztylet, który zawsze nosił przy sobie, i wrazić go sobie w serce. Zarazem wiedział, że nie może tego uczynić. Orkowie nie uważali samobójstwa za czyn honorowy. Taka reakcja na kłopoty byłaby tchórzostwem. Nie mógłby istnieć później jako duch, gdyby wybrał tę kuszącą drogę ucieczki przed potwornościami, jakie spowodował.

Mógł udawać, że niczego nie podejrzewa, może nawet delikatnie i ostrożnie stanąć na drodze Kil'jaedenowi. Mimo swej niezaprzeczalnej potęgi nie było żadnych dowodów na to, by tak zwany najwspanialszy posiadał umiejętność czytania w myślach.

Ta myśl nieco rozchmurzyła Ner'zhula. Tak… może uda się zmniejszyć zniszczenia, jakie ten intruz starał się wyrządzić jego współplemieńcom. W taki sposób mógł dalej mu służyć.

Wyczerpany, zarówno emocjonalnie jak i fizycznie, Ner'zhul chwiejnym

krokiem wszedł do swego namiotu na chwilę przed świtem. Chciał tylko rzucić się na skóry i spać, by choćby na chwilę zapomnieć, ile cierpienia i śmierci sprowadził na swój lud.

Ale natychmiast oślepiło go jasne światło i Ner’zhul osunął się na kolana.

– Zamierzasz mnie zatem zdradzić? – usłyszał.

Ner’zhul gwałtownie uniósł ręce, chcąc zasłonić się przed tym oślepiającym blaskiem. Żołądek mu się szarpnął i szaman był niemal pewien, że zaraz zwymiotuje ze strachu. Światło przygasło nieco i mógł opuścić dłonie. Obok Kil’jaedena stał jego uczeń i uśmiechał się nieprzyjemnie.

– Gul’danie – szepnął Ner’zhul, walcząc z mdłościami. – Cóżeś uczynił?

– Zawiadomiłem Kil’jaedena o szkodniku – odparł tamten spokojnie. – I on zdecyduje, co uczynić z tym, który chciał zwrócić się przeciw niemu.

Na ramionach Gul’dana wciąż leżał śnieg. Ner’zhul zrozumiał wreszcie, co się wydarzyło. Jego uczeń, spragniony władzy – jak to możliwe, że Ner’zhul tak długo zamykał oczy na coś tak widocznego – śledził swego mistrza. Słyszał słowa przodków. I opowiedział się po stronie Kil’jaedena, usłyszawszy to, co usłyszał Ner’zhul? Na chwilę jego własny strach i egoizm zginęły gdzieś zmiecione falą żalu nad orkiem, który upadł tak nisko.

– Ranisz mnie – rzekł Kil’jaeden. – Wybrałem ciebie, Ner’zhulu. Dałem ci swą moc. Pokazałem, co uczynić, by pozwolić twemu ludowi się rozwinąć i zapewnić mu wieczne pierwszeństwo w tym świecie.

– Oszukałeś mnie – odpowiedział Ner’zhul bez zastanowienia. – Zesłałeś mi fałszywe wizje. Skalałeś naszych przodków i wypaczyłeś wszystko, co reprezentują. Nie wiem, dlaczego to robisz, ale wiem, że nie dla dobra mego ludu.

– A jednak twój lud kwitnie. Zjednoczony po raz pierwszy od wieków.

– Pod sztandarem kłamstwa – odparował Ner’zhul. Był upojony buntem. Czuł się wspaniale. Może, jeśli dalej będzie się buntował, Kil’jaeden straci cierpliwości i zabije go na miejscu, a wtedy Ner’zhul nie będzie miał już żadnych problemów.

Ale Kil’jaeden nie zareagował śmiertelną furią, jak tego pragnął szaman. Tylko potrząsnął głową i westchnął głęboko jak rodzic rozczarowany niegrzecznym dzieckiem.

– Możesz jeszcze odzyskać mą łaskę, Ner’zhulu – powiedział. – Mam dla ciebie zadanie. Jeśli je wypełnisz, twój chwilowy brak wiary zostanie ci zapomniany.

Ner’zhul bezgłośnie poruszył wargami. Chciał wykrzyczeć swój bunt, ale słowa zamarły mu w gardle. Ta chwila już minęła, uświadomił sobie. Nie chciał umierać, tak jak żadne zdrowe na umyśle stworzenie tego nie pragnie. Zatem milczał.

– Martwi mnie to, co wydarzyło się z wodzem Klanu Mroźnego Wilka – kontynuował Kil’jaeden. – Między innymi dlatego, że nie on jeden mruczał niezadowolony z toku wydarzeń. Są i inni. Ten, który włada Doomhammerem, oraz kilku z Klanu Czerwonych Wędrowców i Wichrowego Ostrza. Byłoby inaczej, gdyby te głosy sprzeciwu należały do tych, którzy nie mają żadnych wpływów, ale jest inaczej. Mój plan nie może być zagrożony. Dlatego też zagwarantuję sobie ich posłuszeństwo. Przysięga lojalności to za mało. – Kil’jaeden z namysłem postukał w policzek opuszkiem długiego czerwonego palca. – Zbyt wielu wydaje się rozmiłowanych w tym, co znaczą honor i przysięga. Musimy… zapewnić sobie ich współpracę teraz i na zawsze.

Małe oczka Gul’dana rozbłysły.

– Co sugerujesz, o wielki?

Kil’jaeden uśmiechnął się do młodszego szamana. Już teraz Ner’zhul dostrzegał więź między nimi, widział, że Gul’dan wykazywał podobieństwo do Kil’jaedena, jakiego nigdy nie miał w sobie Ner’zhul. By przekonać starszego z szamanów do swego planu, Kil’jaeden musiał używać kuszących kłamstw i oszustw. Z Gul’danem mógł rozmawiać otwarcie.

– Jest na to sposób – teraz Kil’jaeden zwracał się do obu szamanów. – Sposób, by na zawsze ich do nas przywiązać. Na zawsze uczynić lojalnymi.

Ner’zhul był przekonany, że po tym, co unaocznili mu przodkowie, stał się całkiem odporny na rozmaite straszliwości, ale teraz uświadomił sobie, że był zdolny do przerażenia, jakiego nie odczuł dotąd, póki nie usłyszał słów Kil’jaedena. „Na zawsze związani. Na zawsze lojalni”.

Na zawsze niewolnikami.

Spojrzał w płonące oczy Kil’jaedena i nie znajdował słów. Skinienie głowy

by wystarczyło, wiedział o tym, ale nie był w stanie zdobyć się nawet na to. Tylko patrzył, osłupiały, skamieniały.

Kil’jaeden westchnął głęboko.

– Odrzucasz zatem szansę na odkupienie w mych oczach?

Gdy Ner’zhul usłyszał głos Kil’jaedena, miał wrażenie, że opadło zeń zaklęcie. Słowa, które utknęły mu w gardle, teraz wyrwały się zeń wartko i choć wiedział, że staną się przyczyną jego klęski, nawet nie próbował ich zdusić.

– Odmawiam stanowczo oddania mego ludu w wieczną niewolę! – krzyknął.

Kil’jaeden skinął swą wielką głową.

– To twój wybór. Wybrałeś zarazem konsekwencje. Wiedz, szamanie, że ten wybór niczego nie zmienił. Moje pragnienia i tak się ziszczą. Orkowie będą niewolnikami. Ale zamiast ich prowadzić i cieszyć się mą łaską, zostaniesz zmuszony być bezradnym obserwatorem. Myślę, że to będzie znacznie przyjemniejsze niż proste odebranie ci życia.

Ner’zhul otworzył usta, ale nie mógł mówić. Kil’jaeden zmrużył oczy i Ner’zhul nie mógł się nawet poruszyć. Nawet jego serce, dziko walące w piesi, było teraz posłuszne woli Kil’jaedena i szaman to wiedział.

Jak mógł być tak naiwnym głupcem? Jak mógł nie przejrzeć tych kłamstw?

Jak mógł wziąć iluzję zesłaną przez tego… tego potwora za ducha swej ukochanej? Łzy wezbrały w jego oczach i spłynęły po policzkach, tylko dlatego, że Kil’jaeden na to pozwolił, Ner’zhul wiedział to doskonale.

Kil’jaeden uśmiechnął się doń, po czym wolno, rozmyślnie przeniósł swą uwagę na Gul’dana. Mimo swego straszliwego położenia Ner’zhul odczuł cień przyjemności płynący ze świadomości, że on nigdy nie miał takiego wyrazu twarzy, jaki teraz widział u swego ucznia – szczenięcia rozpaczliwie spragnionego pochwał.

– Nie ma potrzeby zwodzić cię gładkimi kłamstwami, czyż nie, moje nowe narzędzie? – zwrócił się do Gul’dana Kil’jaeden, przemawiając tonem niemalże upodobania. – Nie razi cię prawda.

– W rzeczy samej, nie, panie. Żyję, by ci służyć.

Kil’jaeden się zaśmiał.

– Jeśli ja zrezygnuję z kłamstw, ty też musisz. Ty żyjesz dla władzy. Pragniesz jej. Pożądasz. A w ciągu ostatnich kilku miesięcy twoje umiejętność wzrosły na tyle, bym mógł je właściwie wykorzystać. Nasza relacja nie będzie opierała się na podziwie, uwielbieniu czy szacunku. Z jednej strony będzie opierała się na wygodzie, z drugiej na korzyści własnej. Co znaczy, że pewnie przetrwa.

Najróżniejsze emocje przemknęły przez twarz Gul’dana. Najwyraźniej nie wiedział, jak zareagować na te słowa, i Ner’zhul z przyjemnością obserwował zmieszanie swego byłego ucznia.

– Jaka… twoja wola – wykrztusił wreszcie Gul’dan. – Powiedz mi, co mam zrobić, a przysięgam, że to zrobię.

– Nie masz, jak sądzę wątpliwości, że moim życzeniem jest unicestwienie draenei. Dlaczego tego chcę, nie jest twoim zmartwieniem. Musisz wiedzieć jedynie, że takie jest moje życzenie. Orkowie radzą sobie dość dobrze, ale mogą lepiej. Powinni lepiej. Wojownik jest tak dobry jak jego broń, a ja, Gul’danie, zamierzam dać tobie i twemu ludowi broń, jakiej nie znacie. Zajmie to trochę czasu, musisz najpierw zostać wyszkolony, zanim będziesz w stanie uczyć innych. Jesteś gotów i chętny?

Gul’danowi zaświeciły się oczy.

– Rozpocznij nauczanie, przewspaniały, a przekonasz się, jak gorliwym jestem uczniem.

Kil’jaeden się roześmiał.

*

Durotan cały pokryty był krwią. Głównie własną. Co poszło nie tak?

Wszystko z pozoru toczyło się normalnie. Trafili na myśliwych, zaatakowali, czekali, aż szamani użyją swej mocy, by walczyć z draenei.

Ale oni tego nie zrobili. Zamiast tego Mroźny Wilk za Wilkiem padał pod ciosami lśniących ostrzy i błękitnobiałej magii draenei. W pewnej chwili, walcząc o życie, Durotan dostrzegł Drek’Thara, który bronił się desperacko jedynie za pomocą swego kostura.

Co się stało? Czemu szamani nie przyszli mu na pomoc? Co sobie myślał Drek’Thar? Walczył kosturem niewiele lepiej niż dziecko kijem! Dlaczego

nie korzysta z magii?

Draenei walczyli z furią, nie zamierzali przepuścić okazji, jaką dawała im niewytłumaczalna bierność szamanów. Walczyli zajadlej niż kiedykolwiek, przynajmniej z tego, co Durotan widział, oczy im lśniły, być może dlatego, że pierwszy raz czuli bliskie zwycięstwo. Trawa mokra była od krwi i Durotan się poślizgnął. Upadł, a jego przeciwnik wzniósł miecz.

A więc to jest ta chwila. Teraz zginie w chwalebnej bitwie. Z tym że ta bitwa bynajmniej nie zdawała się chwalebna. Instynktownie Durotan uniósł topór, by sparować cios przeciwnika, mimo że ramię miał głęboko zranione, tam gdzie schodziły się płyty zbroi. Ręka mu dygotała. Spojrzał w oczy tego, kto miał odebrać mu życie.

I rozpoznał Restalaana.

W tym samym momencie dowódca straży poznał Durotana i powstrzymał cios. Mroźny Wilk łapczywie zaczerpnął powietrza i spróbował zebrać w sobie choć trochę energii, by wstać i kontynuować walkę. Restalaan powiedział coś w swym melodyjnym języku i między jednym a drugim ciosem wszyscy draenei przestali walczyć.

Durotan zdołał się podnieść i uświadomił sobie, że tylko garstka jego wojowników uszła z życiem. Chwila bądź dwie dłużej i draenei wybiliby orków do nogi, po swojej stronie mając zaledwie dwóch czy trzech rannych.

Restalaan odwrócił się do Durotana. Na jego twarzy malowała się mieszanina odczuć: współczucie, odraza, żal i determinacja.

– Z uwagi na akt miłosierdzia i szacunku, jaki okazałeś naszemu prorokowi, Durotanie, synu Garada, ty i ci orkowie z twojego klanu, którzy wciąż żyją, zostaniecie oszczędzeni. Opatrzcie swych rannych i wracajcie do domu. Ale nie sądźcie, że raz jeszcze okażemy wam litość. Honorowi stało się zadość.

Durotan zachwiał się, jakby zbyt wiele wypił, krew płynęła z jego głębokich ran, ale zmusił się, by stać samą siłą woli, póki draenei nie zniknęli za horyzontem. Gdy tylko stracił ich z oczu, kolana się pod nim ugięły i klęknął. Kilka żeber miał złamanych albo choć pękniętych, każdy oddech przeszywał go bólem.

– Durotanie!

Głos należał do Draki. Ona też była paskudnie ranna, ale głos miała silny. Durotana zalała fala ulgi. Dzięki przodkom! – żyła.

Drek'Thar pospieszył ku Durotanowi i położył dłonie na jego sercu, mrucząc coś cicho. Ciepło popłynęło przez ciało Durotana i ból zelżał. Wódz odetchnął głęboko.

– Przynajmniej pozwalają mi leczyć – powiedział Drek'Thar tak cicho, że Durotan nie był pewien, że to usłyszał.

– Opatrz rany innym i wtedy porozmawiamy – rzekł.

Szaman skinął głową, unikając patrzenia w oczy swego wodza. Razem z innymi szamanami zaczął leczyć te rany, które mógł opatrywać balsamami i bandażami, te, których nie mógł zamknąć magią. Wódz asystował szamanowi.

Kiedy zrobił wszystko, co można było, wstał i rozejrzał się po polu bitwy. Aż piętnaście ciał leżało nieruchomo wśród traw, w tym Rokkar. Durotan potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Przyjdzie mu wrócić z noszami, by zabrać poległych na ich ziemię. Zbudują stos, by oddać ciała ogniowi, ich popioły rozsypią na wietrze, by pochłonęły je woda i ziemia. Ich duchy odejdą do Oshu'gun, a szamani będą rozmawiać z nimi w ważnych sprawach.

A może nie? Wydarzało się coś strasznego i najwyższy czas dowiedzieć się co.

Strata wzbudziła w nim nagły gniew. Mimo słów przodków coś w głębi duszy Durotana nieustannie szeptało, że ataki na draenei były olbrzymią pomyłką. Odwrócił się i z gardłowym warkotem pochwycił szamana, który właśnie gasił pragnienie wodą z bukłaka. Siłą postawił go na nogi.

– To była rzeź! – ryknął, potrząsając Drek'Tharem z wściekłością. – Piętnastu naszych braci leży martwych! Ziemia pije ich krew, a ja ani razu nie widziałem, by któryś z szamanów choć na chwilę użył swych umiejętności w walce!

Przez chwilę Drek'Thar nie mógł dobyć słowa. Na łące zapadła śmiertelna cisza, a pozostali przy życiu orkowie przyglądali się tej konfrontacji bez drgnienia.

– Żywioły… nie przybyły tym razem – powiedział wreszcie Drek'Thar

słabym głosem.

Durotan zmrużył oczy. Wciąż trzymał szamana za przód skórzanej kamizeli.

– Czy to prawda? Nie chciały nam pomóc w bitwie?

Szaman spoglądał na wodza wielkimi oczami, sprawiał wrażenie chorego i ogłuszonego. Skinął słabo głową. Drugi poparł go drżącym głosem.

– To prawda, wielki wodzu. Prosiłem każdego z nich po kolei. Powiedziały… że równowaga została zachwiana i nie pozwolą nam dłużej korzystać ze swych mocy.

Wściekły syk przełamał szok Durotana.

– To więcej niż znak! To jest krzyk bitewny, że to, co robimy, jest złe!

Powoli, próbując przyswoić sobie ogrom i znaczenie tego, co się stało, Durotan skinął głową. Gdyby nie litość Restalaana, on i każdy z jego drużyny leżeliby martwi na ziemi, a ich ciała stygłyby z każdą chwilą. Żywioły odmówiły pomocy. Potępiły to, do czego chcieli je wykorzystać szamani.

Durotan odetchnął głęboko i potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób wyrzucić z niej ponure myśli.

– Zabierzmy rannych do domu, jak zdołamy najszybciej. A potem… potem wyślemy listy. Jeśli to, czego się obawiam, okaże się prawdą, nie tylko szamani z Klanu Mroźnego Wilka, którzy zostali odrzuceni przez żywioły za to, co robimy draenei, będą musieli stanąć twarzą w twarz z Ner’zhulem.

Rozdział trzynasty

Jak to możliwe, że nie widzieliśmy? Łatwo jest winić za nasz upadek zniewalającego Kil'jaedena albo słabego Ner'zhula, albo spragnionego władzy Gul'dana. Ale oni poprosili, by każdy jeden ork udawał, że gorące jest zimne, słodkie – kwaśne i nawet, gdy wszystko w nas buntowało się przeciwko temu, co nam kazano robić, byliśmy posłuszni. Nie było mnie tam, nie mogę zatem powiedzieć, dlaczego tak się stało. Być może i ja posłuchałbym rozkazu niczym obity kundel. Być może strach był zbyt wielki albo szacunek dla przywódców zbyt głęboko zakorzeniony.

Być może.

Albo może i ja, na podobieństwo mego ojca i innych, zacząłbym dostrzegać nieprawidłowości.

Chciałbym w to wierzyć.

Blackhand spoglądał spod swych krzaczastych, zmarszczonych brwi. Zawsze wyglądał, jakby marszczył brwi, być może dlatego, że niemalże zawsze to robił.

– No, nie jestem pewien, Gul’danie – zadudnił. Jego olbrzymia dłoń powędrowała do rękojeści miecza i wielki ork począł niespokojnie przebierać po niej palcami.

Kiedy przed dwoma tygodniami Gul’dan poprosił o spotkanie z Czarnorękim i jego najbardziej obiecującymi szamanami, wódz Klanu Czarnej Skały się zgodził, nawet gdy Gul’dan nalegał, by nikomu nie mówić o tym, co będą robić. Blackhand zawsze wolał Gul’dana od Ner’zhula, aczkolwiek sam nie był pewien dlaczego. Kiedy Gul’dan usiadł z nim przy obfitym posiłku i wyjaśnił bieżącą sytuację, wódz Czarnych Skał ucieszył się, że posłuchał wezwania. Teraz wiedział już, dlaczego tak bardzo lubił szamana – były uczeń, teraz mistrz, był taki sam jak Blackhand. Nie dbał o ideały, tylko o sprawy praktyczne. A potęga, dobre jedzenie, godna zbroja i rozlew krwi były tym, czego obaj pragnęli.

Blackhand był wodzem Czarnych Skał. Nie mógł osiągnąć wyższej pozycji. Przynajmniej aż do teraz. Kiedy klany pozostawały niezwiązane i od siebie niezależne, największą chwałą było stanąć na czele jednego z nich. Ale teraz… teraz klany współpracowały. I teraz właśnie Blackhand dostrzegał błysk chciwości w małych oczkach Gul’dana. Niemalże czuł pragnienie emanujące z szamana – pragnienie, które podzielał.

– Ner’zhul jest szanowanym i cenionym doradcą – mówił Gul’dan, żując wyschnięty owoc, po czym pazurem wyciągnął jego kawałek spomiędzy zębów. – Posiadł wielką mądrość. Ale…. zostało postanowione, że lepiej, bym to ja od teraz przewodził orkom. – Blackhand uśmiechnął się okrutnie. Ner’zhula jakoś nie było widać. – A mądry przywódca otacza się zaufanymi sojusznikami – mówił Gul’dan. – Takimi, którzy są silni i posłuszni. Którzy wywiązują się ze swych zobowiązań. I którzy za swą lojalność są wielce szanowani i nagradzani.

Blackhand miał już obruszyć się na słowo „posłuszni”, ale uspokoił się, gdy Gul’dan wspomniał o „wielkim szacunku i wynagrodzeniu”. Zerknął na

ośmiu szamanów, których przywiódł ze sobą. Siedzieli skuleni przy drugim ognisku, w niejakim oddaleniu, gdzie zajmowali się nimi słudzy Gul’dana. Wszyscy wyglądali na wyjątkowo nieszczęśliwych, ale na szczęście znajdowali się poza zasięgiem słuchu.

– Poprosiłeś o szamanów. Zakładam, że wiesz, co się z nimi dzieje?

Gul’dan westchnął i sięgnął po udziec talbuka. Wgryzł się w mięso, a soki popłynęły mu po brodzie. Nieobecnym gestem wytarł twarz, przeżuł, przełknął i dopiero wtedy odpowiedział.

– Tak, słyszałem. Żywioły już ich nie słuchają.

Blackhand przyglądał się mu z uwagą.

– Niektórzy zaczynają przebąkiwać, że to dlatego, że to, co robimy, jest złe.

– Tak sądzisz?

Blackhand wzruszył masywnymi ramionami.

– Nie wiem, co myśleć. To wszystko jest dla mnie zupełnie nowe. Przodkowie mówią jedno, a żywioły nie przychodzą.

Blackhand żywił rosnące podejrzenia co do przodków, ale trzymał język za zębami. Wiedział, że wielu widziało w nim głupca. Wolał, by pozostali w przekonaniu, że był jedynie silnym ramieniem i potężnym mieczem. To mu dawało znaczną przewagę.

Gul’dan chyba go przejrzał i Blackhand zastanawiał się, czy nowy duchowy przywódca orczego ludu wyczuł, że wódz krył w sobie coś więcej, niż dawało się dojrzeć na pierwszy rzut oka.

– Jesteśmy dumna rasą – rzekł Gul’dan. – I ciężko czasem przyznać, że nie wiemy wszystkiego. Kil’jaeden i istoty, którym przewodzi… ach, Blackhandzie, jakież oni posiedli tajemnice! Jakąż mocą władają… Mocą, którą chcą się podzielić z nami!

Oczy Gul’dana aż lśniły podnieceniem. Bicie serca Blackhanda też przyspieszyło. Szaman pochylił się i dalej już mówił pełnym zachwytu szeptem.

– Przy nich jesteśmy niemądrzy jak dzieci. Nawet ty… nawet ja. Ale oni chcą nas uczyć. Podzielić się z nami tą potęgą, mocą, która nie jest uzależniona od kaprysu duchów powietrza, ziemi, ognia i wody. – Gul’dan machnął lekceważąco dłonią. – Taka moc jest kapryśna. Nie można na niej

polegać. Może opuścić cię w trakcie bitwy i zostawić bezradnym.

Blackhand ściągnął brwi jeszcze bardziej. Był świadkiem właśnie czegoś takiego – trzeba było całej siły jego wojowników, by zwyciężyć, gdy szamani poczęli krzyczeć przerażani, że żywioły już nie przychodzą na wołanie.

– Słucham – warknął cicho.

– Wyobraź sobie, co zdołałbyś osiągnąć, gdybyś wiódł szamanów zdolnych kontrolować źródło ich mocy, zamiast o nie błagać i zbierać okruchy. Wyobraź sobie, że ci szamani mają sługi zdolne walczyć po twojej stronie. Sługi zdolne, dajmy na to, skłonić twych wrogów do panicznej ucieczki. Wyssać z nich magię do cna, jak insekty wysysają krew. Rozproszyć, by ich uwaga nie była skupiona na bitwie.

Blackhand uniósł kosmatą brew.

– W takich okolicznościach wyobrażam sobie zwycięstwo za każdym niemal razem.

– Właśnie. – Gul’dan uśmiechnął się szeroko, kiwając głową.

– Ale skąd wiesz, że to prawda, że to nie jest żadna fałszywa obietnica wyszeptana do twego ucha?

Uśmiech Gul’dana stał się jeszcze szerszy.

– Ponieważ, mój przyjacielu… ja już tego doświadczyłem. I nauczę twych szamanów wszystkiego, co sam umiem.

– Imponujące – przyznał Blackhand.

– Ale to nie wszystko, co oferuję. Wojownicy… cóż, znam sposób, by uczynić ciebie i każdego, kto będzie walczył po twojej stronie, jeszcze potężniejszym, bardziej niezłomnym. Śmiertelnie groźnym. Wszystko to może być nasze, musimy tylko chcieć.

– Nasze?

– Nie mogę nieustannie marnować czasu na rozmowę z każdym wodzem każdego klanu, za każdym razem gdy coś im się nie podoba. – Gul’dan machnął dłonią ze zniecierpliwieniem. – Są tacy, którzy zgodzą się z tym, co ty i ja uważamy za najlepszą drogę postępowania… i są tacy, którzy się nie zgodzą.

– Mów dalej – rzekł Backhand.

Ale Gul’dan zamilkł. Przynajmniej początkowo. Siedział w ciszy, zbierając

myśli. Czarnoręki ujął patyk i poruszył nim żar ogniska. Wiedział, że większość orków, nawet tych w jego klanie, uważa go za w gorącej wodzie kąpanego, za porywczego – ale on doskonale znał wartość cierpliwości.

– Widzę dwie grupy przywódców orczego ludu. Jedna to zwykła rada, podejmująca decyzje w imieniu wszystkich klanów, jej przywódca zostaje wybierany, zaś wszelkie działania prowadzone otwarcie. Druga… to cień tej pierwszej. Ukryta. Objęta tajemnicą. Potężna – powiedział cicho szaman. – Ta… Rada Cienia, będzie składała się z orków, który podzielą naszą wizję; którzy będą gotowi na niezbędne poświęcenia, by tę wizję zrealizować.

Blackhand kiwnął głową.

– Taak… tak, rozumiem. Publiczne przywództwo… i poufne.

Wargi Gul’dana rozciągnęły się w powolnym uśmiechu. Wódz Czarnych Skał przyglądał się szamanowi przez chwilę.

– A do której grupy ja mam należeć? – spytał?

– Do obu, mój przyjacielu – odparł Gul’dan gładko. – Jesteś urodzonym przywódcą. Masz charyzmę, siłę i nawet twoi wrogowie wiedzą, że jesteś wyjątkowym strategiem. Bez trudu doprowadzimy do tego, byś został wybrany na przywódcę orków.

– Nie jestem kukiełką – warknął cicho Blackhand, z groźnym błyskiem w oku.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Gul’dan. – Dlatego też powiedziałem, że będziesz w obu grupach. Będziesz przywódcą nowej orczej rasy, tej… tej Hordy, jeśli się zgodzisz. I będziesz należał do Rady Cienia. Nie możemy razem działać, jeśli nie zaufamy sobie wzajemnie, czyż nie?

Blackhand zatopił spojrzenie w lśniących, bystrych ślepiach Gul’dana i uśmiechnął się. Ani trochę nie ufał szamanowi i jak podejrzewał, Gul’dan tak samo nie ufał jemu. Ale to nie miało znaczenia. Obaj pragnęli władzy. Blackhand wiedział, że brakło mu umiejętności i zdolności, by posiąść i używać potęgi, jakiej pożądał Gul’dan. Szaman zaś nie chciał tej, której pragnął Czarnoręki. Nie stanowili dla siebie konkurencji – byli sprzymierzeńcami. Co przynosiło korzyść jednemu, przyniesie i drugiemu, a nie go ograbi.

Blackhand pomyślał o swojej rodzinie, towarzyszce Urukal i dwóch

synach, Rendzie i Maimie, o córce Griseldzie. Oczywiście nie ubóstwiał żadnego z nich tak, jak słaby Durotan wielbił swą partnerkę, Drakę, ale byli mu bliscy. Chciał widzieć swą partnerkę przystrojoną klejnotami, synów i córkę powszechnie poważanych jako dzieci wielkiego Blackhanda.

Kątem oka pochwycił jakiś ruch. Obrócił się i zobaczył Ner'zhula. Kiedyś potężnego, teraz porzuconego. Stary ork wymykał się z namiotu.

– A co z nim? – spytał Blackhand.

Gul'dan wzruszył ramionami.

– A co ma być? On już nic teraz nie znaczy. Najwspanialszy życzy sobie pozostawić go chwilowo przy życiu. Zdaje się, że ma dlań przygotowane coś specjalnego. Będzie naszą kukiełką. Wciąż jest za bardzo kochany przez orków, by go przegnać. Ale nie martw się, nie stanowi dla nas zagrożenia.

– Szamani Klanu Czarnej Skały… mówisz, że nauczysz ich tej nowej magii? Magii, którą poznałeś? Będą niepokonani?

– Sam ich nauczę, a jeśli szybko przystosują się do używania nowej mocy, będą pierwszymi wśród mych czarnoksiężników.

Czarnoksiężnicy. Tak zatem nazywali się adepci nowej sztuki tajemnej. Słowo miało interesujące brzmienie. Czarnoksiężnik. A czarnoksiężnicy Czarnej Skały będą pierwszymi wybranymi.

– Blackhandzie z Klanu Czarnej Skały, jaka jest twoja odpowiedź na mą propozycję?

Blackhand wolno odwrócił się w stronę Gul'dana.

– Powiem: chwała Hordzie… i chwała Radzie Cienia.

*

U stop świętej góry zebrał się rozgniewany tłum. Durotan wysłał wiadomości do tych, którym ufał, i otrzymał potwierdzenie. Żywioły odepchnęły szamanów. Szczególne bolesne doniesienia pochodziły od Klanu Przeżuwaczy Kości. Cała drużyna poległa z rąk draenei, aczkolwiek o ich tragicznym losie orkowie dowiedzieli się dopiero kilka dni później, gdy jeden z szamanów próbował uleczyć dziecko.

Teraz przybywali i wodzowie, i ich szamani, by spotkać się z Ner'zhulem i otrzymać wyjaśnienie.

Ner’zhul wyszedł im na spotkanie, machając rękami i prosząc o ciszę.

– Wiem, dlaczego tu przybyliście – powiedział.

Durotan zmarszczył brwi. Szaman był tak daleko, że wydawał się kropką zaledwie, a jednak Durotan był w stanie doskonale go usłyszeć. Wiedział, że zazwyczaj Ner’zhul prosił wiatr, by poniósł jego słowa do uszu słuchaczy, a jeśli żywioły nie chciały poddawać się woli szamanów, to jak dokonał tej sztuczki tym razem? Durotan i Draka wymienili wymowne spojrzenia, ale żadne z nich się nie odezwało.

– W rzeczy samej, prawdą jest, że żywioły nie odpowiadają na prośby szamanów. Nie spieszą im z pomocą – mówił Ner’zhul, ale słowa jego utonęły w gniewnych okrzykach.

Szaman opuścił głowę, a Durotan, podchodząc bliżej, wytężył wzrok i przyjrzał się uważniej Ner’zhulowi. Duchowy przywódca orczego ludu zdawał się bardziej kruchy, bardziej zmarnowany niż kiedykolwiek dotąd. Oczywiście – pomyślał wódz Mroźnych Wilków.

Po kilku chwilach krzyki ucichły. Zgromadzeni orkowie byli rozeźleni, ale chcieli otrzymać odpowiedzi, bardziej niż dać upust swojej złości.

– Niektórzy z was, odkrywszy to, uznali, że dzieje się tak dlatego, że źle postępujemy. Ale to nieprawda. Właśnie zyskujemy moc, jakiej nigdy dotąd nie widzieliście. Mój uczeń, szlachetny Gul’dan, studiował ową moc. Pozwolę jemu odpowiedzieć na wasze pytania.

Ner’zhul odwrócił się i wspierając się ciężko na kosturze, odsunął się. Gul’dan głęboko pokłonił się swemu mistrzowi, ale Ner’zhul chyba tego nie zauważył. Stał z zamkniętymi oczami i wyglądał na bardzo starego i słabego.

W przeciwieństwie do Gul’dana, co od razu zauważył Durotan, młodszy z szamanów przepełniony był jakąś nową energią, pewnością w gestach i w tonie, słyszalną gdy tylko się odezwał.

– To, co zamierzam wam powiedzieć, może być trudne do przyjęcia, ale tuszę, że mój lud ma otwarte umysły, gdy chodzi o to, jak stać się lepszy. – Głos miał silny i donośny. – Tak jak ze zdumieniem i zachwytem dowiedzieliśmy się, że istnieją potężne istoty inne niż duchy żywiołów i przodków, tak teraz odkryliśmy, że możemy używać magii innej niż ta pochodząca od współpracy z żywiołami. Odkryliśmy moc, która nie jest

zależna od próśb i błagań… moc, która przychodzi, bowiem jesteśmy na tyle silni, by wymagać od niej przybycia na nasze żądanie. I kontrolować, kiedy przychodzi. Zmusić ją do posłuszeństwa, do tego, by nagięła się do naszej woli, a nie odwrotnie.

Gul’dan zamilkł, pozwolił, by jego słowa zapadły w umysły zebranych orków. Durotan zerknął na Drek’Thara.

– Czy to możliwe…? – spytał.

Szaman wzruszył ramionami bezradnie. Sprawiał wrażenie ogłuszonego słowami Gul’dana.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Ale powiem ci, po tej ostatnie bitwie… Durotanie, szamani wykonywali wolę przodków! Jakże żywioły mogły nam odmówić wsparcia w tych okolicznościach? I jak przodkowie mogli do tego dopuścić?

Z każdym jego słowem w jego głosie słychać było więcej goryczy. Wciąż był wstrząśnięty, wciąż przejęty wstydem. Durotan rozumiał, że szaman czuł się niczym wojownik, który pewną ręką sięgnął po topór i nagle broń zmieniła mu się w dym, broń, którą podarował mu zaufany przyjaciel, broń, której miał zawsze używać w słusznej sprawie.

– Tak! Tak, wiedzę ze rozumienia wartości tego, co ja… co ten najwspanialszy, który wziął nas pod swoje skrzydła, nam oferuje – mówił Gul’dan, kiwając głową. – Uczyłem się pod kierunkiem tej wspaniałej istoty, ja i tych kilku szlachetnych szamanów.

Odsunął się i kilku szamanów w najpiękniej wykonanych skórzanych zbrojach wystąpiło do przodu.

– Wszyscy są z Klanu Czarnej Skały – mruknęła Draka, a jej brwi zbiegły się.

Durotan też zwrócił uwagę na przynależność szamanów.

– Czego oni się nauczyli – kontynuował Gul’dan – będą mogli się nauczyć wszyscy szamani, którzy tylko zechcą. To wam przyrzekam. Chodźcie za mną na otwartą ziemię, gdzie od niepamiętnych czasów odprawialiśmy rytuał Kosh’harg. Pokażą wam te niezwykłe umiejętności.

Z jakiegoś powodu, którego nie mógł sobie do końca uświadomić, Durotan nagle poczuł się chory. Draka ścisnęła jego ramię, zauważywszy tę

niespodziewaną bladość policzków swego partnera.

– Co się dzieje, kochany? – spytała cicho, gdy wraz ze resztą zebranych przeszli na wskazane przez Gul’dana miejsce.

Potrząsnął głową.

– Nie wiem – odparł równie cicho. – Tylko… tylko mam wrażenie, że zaraz stanie się coś strasznego.

– Ja mam takie wrażenie od bardzo dawna – mruknęła.

Z pewnym wysiłkiem Durotan zdołał zachować obojętny wyraz twarzy. Był odpowiedzialny za los Mroźnych Wilków, a już jego pozycja w oczach Ner’zhula i zapewne Gul’dana nie była zbyt mocna. Miał świadomość, że jeśli któryś z dwóch szamanów zechce zdyskredytować jego albo Klan Mroźnego Wilka, przyjdzie mu to łatwiej niż w przeszłości. Teraz wszyscy dążyli do zjednoczenia i Klan Mroźnego Wilka mógł zostać wygnany albo odcięty od zaklęć. Durotanowi nie podobał się kierunek, w jakim zmierzały sprawy, ale nie mógł zbyt mocno protestować. Nie martwił się o siebie, ale nie wolno mu było dopuścić, by ucierpiał jego klan.

A jednak. Tętno huczało mu w skroniach, serce drżało, a całym ciałem wstrząsały dreszcze złych przeczuć. Pomodlił się szybko do przodków, by nadal mądrze prowadzili jego plemię.

Dotarli do płaskiej doliny, która od wieków była miejscem dla obchodów Kosh’harg, i gdy stopy jego dotknęły świętej ziemi, odrobinę się rozluźnił. Napłynęły doń wspomnienia i uśmiechnął się, gdy dotknęły jego myśli. Wspomniał tę noc, kiedy on i Orgrim zdecydowali się sprzeciwić tradycji i szpiegowali dorosłych; jak byli rozczarowani, gdy usłyszeli jedynie zwyczajne, nudne rozmowy. Teraz był już mądrzejszy i wiedział, że choć on i Orgrim wykazali się wtedy śmiałością, niezwykłą, jak sądzili, nie byli pierwszymi, którzy to zrobili, i pewnie nie ostatnimi.

Wspomniał, jak pierwszy raz zobaczył kobietę, która stała się jego towarzyszką życia; polowanie w tych obfitych trawach; taniec wokół ognia do rytmu bębnów tętniącego w jego żyłach i śpiewanie księżycowi. I pomyślał sobie, że jak długo jego lud zachowa to wszystko, tak długo będzie się miał dobrze. Podniesiony nieco na duchu spojrzał w stronę miejsca, gdzie zwykle odbywały się tańce. Wzniesiono tam niewielki namiot

i Durotan zastanawiał się, w jakim celu.

Zatrzymali się z Draką kilka kroków od namiotu, zakładając, że miał on służyć do pokazu. Pozostali poszli w ich ślady. Słońce jasno świeciło na gromadzących się orków. Durotan widział, że w większości tłum stanowili wodzowie i szamani, więc święte miejsce nie musiało pomieścić tylu orków co zwykle w trakcie święta.

Gul'dan poczekał, aż wszyscy się zbiorą, po czym stanowczym krokiem ruszył w stronę namiotu. Szamani wyszkoleni w nowej tajemniczej magii poszli za nim. Wszyscy maszerowali z dumą i pewnością siebie. Gul'dan zatrzymał się przed wejściem do namiotu i skinął stojącym na straży wojownikom z Klanu Czarnej Skały, którzy odstąpili posłusznie i znieruchomieli wyprężeni jak struny.

W tym momencie zmienił się wiatr i Durotan poczuł, jak nozdrza wypełnia mu znajomy zapach.

Draenei…

Niskie pomruki, które rozległy się wokół, utwierdziły go w przekonaniu, że nie on jeden to poczuł. Gul'dan skinął swym wojownikom, a ci na moment zniknęli w namiocie.

Wyprowadzono z niego ośmiu draenei z ciasno związanymi rękoma.

Mieli spuchnięte, obite twarze, szmaty wepchnięte w usta, na błękitnej skórze i resztkach odzienia grubą warstwę zaschniętej krwi.

– Kiedy Klan Czarnej Skały walczył, używając magii, którą chce wam przekazać, jego zwycięstwo było tak przytłaczające, że był w stanie pojmać kilku więźniów – rzekł Gul'dan z dumą. – Ci tutaj pozwolą mi pokazać wam, do czego zdolna jest nowa magia.

Durotan aż zagotował się z oburzenia. Zgładzenie wroga w zbrojnej walce to jedno. Ale zarżnięcie bezbronnego więźnia to coś zupełnie innego. Otworzył usta, ale w tym samym momencie ciężka ręka spoczęła na jego ramieniu i zdławił słowa. Durotan spojrzał z irytacją w chłodne oczy Orgrima.

– Wiedziałeś o tym – syknął, tak by jedynie przyjaciel go usłyszał.

– Ciszej – odpowiedział tak samo Orgrim, sprawdzając pospiesznie, czy ktoś zwraca na nich uwagę. Ale wszyscy wpatrywali się w Gul'dana

i draenei. – Tak, wiedziałem. Byłem tam, gdy ich pojmano. Tak to już jest na wojnie, Durotanie.

– Orkowie nigdy tak nie postępowali – odparł Durotan.

– Teraz postępują – uciął Orgrim. – To smutna konieczność. O ile ma to dla ciebie jakieś znaczenie, nie wierzę, że wszyscy zaczną tak postępować. Celem jest zgładzenie draenei, nie torturowanie ich.

Durotan wpatrywał się w starego przyjaciela. Przez chwilę Orgrim wytrzymał to spojrzenie, po czym krew napłynęła mu do policzków i odwrócił wzrok. Oburzenie Durotana trochę zelżało. Przynajmniej Orgrim rozumiał, jakim występkiem było takie działanie, nawet jeśli je popierał. Ale co innego właściwie mógłby zrobić? Był drugim po Blackhandzie. Przysięgał wspierać swego wodza, podobnie jak Durotan miał obowiązki wobec innych i nie mógł ich zwyczajnie odrzucić. Po raz pierwszy w życiu Durotan żałował, że nie jest zwyczajnym członkiem klanu.

Spojrzał w oczy swej partnerki. Patrzyła osłupiała, najpierw na niego, potem na Orgrima. A wtedy na jej twarzy na moment pojawił się smutek i rezygnacja. Draka opuściła głowę.

– W tej chwili istoty te mają dla nas wartość – mówił Gul’dan.

Durotan miał wrażenie, że ciało ma niczym z ołowiu. Z trudem skupił wzrok na szamanie.

– Użyjemy ich, by zademonstrować nasze nowe moce.

Skinął głową szamance Czarnych Skał, stojącej jako pierwsza w równym rzędzie. Szamanka ukłoniła się głęboko. Sprawiała wrażenie lekko zdenerwowanej, gdy zamknęła oczy i skupiła się. Szum, podobny do dźwięków, jakie wydawał wiatr, wypełnił uszy Durotana. Dziwaczny wzór wypisany filetowym światłem zabłysł wokół jej stóp. Ponad głową szamanki pojawił się sześcian tego samego koloru i powoli się obracał. Nagle niewielkie, skrzeczące stworzenie znalazło się u jej stóp. Błysnęło płonącymi czerwienią oczami, wywinęło koziołka i odsłoniło drobne, ale ostre zęby w grymasie, który przypominał uśmiech. Durotan usłyszał pomruki i kilka syknięć wyrażających strach.

Pozostali szamani zrobili to samo – stworzyli identyczne fioletowe kręgi i sześciany, a potem przywołali stworzenia znikąd. Niektóre, wielkie

i bezkształtne stwory w odcieniach niebieskości i fioletu, górowały nad szamanami złowieszczo.

Były też istoty całkiem urodziwe, jeśli nie liczyć ich kopyt i nietoperzych skrzydeł. Niektóre były wielkie, inne małe, wszystkie siedziały cicho u stóp tych, którzy je przywołali.

– Śliczne, małe zwierzaki – rozległ się ociekający sarkazmem charakterystyczny głos Groma Hellscreama. – Ale co potrafią?

Gul'dan uśmiechnął się wyrozumiale.

– Cierpliwości, Hellscreamie – powiedział niemal pobłażliwie. – Cierpliwość jest siłą, nie słabością.

Hellscream zmarszczył brwi, ale zmilczał. Durotan odgadł, że Grom był ciekaw jak wszyscy inni. Blackhand stał, uśmiechając się lekko. Wyglądał niczym dumny ojciec i Durotan uświadomił sobie, że Czarnoręki był już wcześniej świadkiem możliwości nowo wyszkolonych szamanów. Widział je i zaaprobował.

Jednego draenei odcięto od pozostałych i pchnięto do przodu. Wciąż miał związane ręce, zrobił kilka chwiejnych kroków na swych kopytach, a potem stanął wyprostowany. Niebieska twarz nie wyrażała niczego. Tylko ogon poruszający się powoli zdradzał, że więzień jest zdenerwowany.

Pierwsza szamanka wystąpiła z szeregu i poruszała dłońmi, szepcząc cicho. Małe stworzenie przy jej boku zaskrzeczało i podskoczyło, i nagle ze zbrojnych w pazury łap wystrzeliły płomienie prosto w bezbronnego draenei. W tej samej chwili kula… ciemności uformowała się na opuszkach szamanki i popłynęła prosto ku więźniowi. Draenei stęknął boleśnie, gdy jego niebieskie ciało poczerniało przypalone ogniem niewielkiej istoty, i osunął się na kolana w agonii, kiedy dotknęła go kula cienia.

Szamanka znowu coś mruknęła i płomienie wystrzeliły wprost z ciała torturowanego draenei. I choć dotąd starał się zachować spokój i milczenie, teraz krzyczał w męce i nie zagłuszył tych krzyków nawet gałgan wciśnięty w jego usta. Rzucał się i szarpał na ziemi niczym zdjęta z haczyka ryba, spojrzenie miał dzikie i obłąkane. A potem znieruchomiał. Powietrze cuchnęło spalonym ciałem.

Przez chwilę orkowie stali w całkowitej ciszy. I nagle Durotan usłyszał coś,

czego nigdy nie spodziewał się usłyszeć – okrzyki zachwytu i aprobaty na widok spętanego wroga, bezradnego i konającego w męce.

Durotan patrzył przerażony. Kolejny więzień został zgładzony dla celów demonstracyjnych. Tym razem został obłożony batem przez jedną z urodziwych sług. Stał skamieniały, gdy padł nań deszcz ognia i ciemności. Wyprowadzono trzeciego, jego magiczna esencja została wyssana przez potworną istotę, która wyglądała jak jakiś przerażający wilk z mackami strzelającymi z grzbietu.

Durotan czuł wzbierającą w gardle żółć, gdy krew i popioły raz jeszcze skalały świętą ziemię, ziemię, która zawsze była tak bogata, tak płodna, choć jej głęboki i wyjątkowy spokój został brutalnie zniweczony. Tutaj śpiewał i tańczył, tu knuł psoty przyjacielem z dzieciństwa, tu zalecał się do ukochanej. Tu pokolenia orków świętowały swą jedność – w miejscu tak świętym, że natychmiast przerywano wszelkie walki, a stronom konfliktu kazano zawrzeć pokój bądź odejść natychmiast. Durotan nie był szamanem. Nie wyczuwał ziemi, duchów, ale też nie potrzebował, by czuć ból.

Matko Kashur, nie tego chciałaś, jestem pewien – pomyślał. Radosne okrzyki wypełniły jego uszy, swąd zwęglonego ciała i popiołu wdarł się w jego nozdrza. Najgorszy ze wszystkiego był widok braci, nawet z własnego klanu, pochwyconych w to szaleństwo zadawania bólu i cierpienia istotom, które nie były w stanie choćby splunąć na swych oprawców.

Był mgliście świadom, że boli go dłoń. Oszołomiony spojrzał w dół i zobaczył, że Draka tak mocno ściska mu rękę, że niewiele brakuje, a połamie mu kości.

– Za szamanów! – krzyknął ktoś.

– Nie! – głos Gul’dana poniósł się nad okrzykami tłumu. – Oni nie są już szamanami. Zostali porzuceni przez żywioły, nie będą się więcej zwracać do nich ani żebrać o ich pomoc. Oto przed wami stają ci, którzy mają moc, którzy nie boją się nią władać. Oto… czarnoksiężnicy!

Durotan zdołał jakoś oderwać spojrzenie od splecionych palców swoich i Draki, by spojrzeć na świętą górę. Ta wznosiła się ku niebu spokojna, nieporuszona, jak zawsze jej zbocza chwytały i odbijały światło i przez długą chwilę Durotan zastanawiał się, dlaczego nie potrzaskała, nie pękła niczym

serce świadomej istoty, zdruzgotane przerażeniem na widok tego, co zostało uczynione w jej cieniu, niegdyś tak kojącym.

*

Tej nocy trwało dzikie świętowanie. Durotan nie brał w nim udziału, zabronił też tego innym Mroźnym Wilkom. Gdy szamani klanu usiedli przy niewielkim ognisku zgaszeni, jedli w milczeniu. Drek'Thar ośmielił się zadać Durotanowi pytanie, które, jak ten wiedział, ciążyło na sercu każdemu z szamanów.

– Mój wodzu – zaczął szaman cicho – zezwolisz nam nauczyć się tej nowej magii czarnoksiężników?

Zapadła cisza, którą przerywało jedynie trzaskanie ognia.

– Najpierw chcę ci zadać pytanie – odezwał się wreszcie Durotan. – Czy pochwalasz to, co stało się z więźniami?

Drek'Thar wyraźnie czuł się nieswojo.

– Było… byłoby lepiej, gdybyśmy zaatakowali ich w uczciwej walce – przyznał. – Ale oni są naszymi wrogami. Udowodnili to.

– Udowodnili, że zaatakowani, będą się bronić – odparł Durotan. – Tylko tyle zostało udowodnione. – Drek'Thar zaczął protestować, ale Durotan uciszył go machnięciem ręki. – Wiem, że to wola naszych przodków, ale dziś zobaczyłem coś, czego nie spodziewałem się nigdy zobaczyć. Zobaczyłem święte łąki, gdzie przez niezliczone lata lud nasz gromadził się w pokoju, skalane krwią tych, którzy nie mogli podnieść nawet palca w swej obronie. – Zauważył ruch na granicy światła i wyczuł zapach Orgrima. Nie przestał jednak mówić. – W cieniu samej Oshu'gun. A ci, którzy zabijali draenei, nie robili tego w obronie, w obliczu bezpośredniego zagrożenia. Zarżnęli więźniów, by pokazać swe nowe… zdolności.

Orgrim kaszlnął cicho i Durotan gestem zaprosił go do ogniska. Wszyscy obecni doskonale znali Orgrima, ten zasiadł więc przy ognisku ze swobodą stałego bywalca.

– Orgrimie. – Draka delikatnie dotknęła ramienia przyjaciela. – Ci pierwsi… czarnoksiężnicy… pochodzą z twojego klanu. Co o tym myślisz?

Orgrim patrzył w płomienie, jego ciężkie brwi zbiegły się w jedną kreskę,

gdy zmarszczył czoło w namyśle.

– Jeśli mamy walczyć z draenei, a nawet Mroźne Wilki rozumieją chyba tę konieczność, powinniśmy walczyć tak, by zwyciężyć. Żywioły odepchnęły szamanów. Są niestałe, w najlepszym razie nieprzewidywalne, nigdy nie były najpewniejszymi sojusznikami. Nie tak jak niektórzy przyjaciele.

Spojrzał na Durotana i uśmiechnął się lekko. Mimo ciężaru w piersi Durotan odpowiedział uśmiechem.

– Te nowe stworzenia, te dziwne moce, te wydają się bardziej pewne. I bardziej niszczycielskie.

– Było w nich coś… – Draka zamilkła w pół zdania.

– Drako, rozumiem twe obawy – odezwał się natychmiast Drek'Thar. – To z pewnością nie były naturalne moce, przynajmniej nie w tym sensie, jak rozumiemy to my, szamani. Ale kto mówi, że jest w nich coś złego? Istnieją, muszą mieć jakieś miejsce w porządku rzeczy. Ogień to ogień. Czy płynie z palców małego tańczącego stworzenia, czy z błogosławieństwem ducha ognia, pali tak samo. Zgadzam się z naszym szanownym gościem. Postanowiliśmy walczyć. Z pewnością nie po to, by przegrać!

Draka wciąż potrząsała głową, spojrzenie pięknych oczu było nieszczęśliwe. Poruszyła dłońmi, jakby w rzeczywistości szukała słów.

– Nie chodzi o przywoływanie ognia ani nawet o te dziwne pociski cienia – powiedziała. – Walczyłam z draenei. Zabijałam draenei. I nigdy nie widziałam, by wili się w takim bólu ani krzyczeli w takim cierpieniu. Te stwory wydawały się… wydawały się tym cieszyć!

– My też cieszymy się łowami – zwrócił jej uwagę Durotan. Nie lubił się kłócić ze swą partnerką, ale jak zawsze musiał wziąć pod uwagę każdą ze stron problemu, by zadecydować, co jest najlepsze dla jego klanu. – Wilki radują się, ucztując na ciepłym jeszcze zwierzęciu.

– Czy to źle, gdy się chce zwyciężyć? – zapytał wyzywająco Orgrim, mrużąc szare oczy. – Czy to źle znajdować przyjemność w zwycięstwie?

– W polowaniu, w zwycięstwie: nie. Ale ja mówię o cierpieniu.

Drek'Thar wzruszył ramionami.

– Być może wezwane istoty tym się karmią. Może to im niezbędne, by istnieć?

– Ale czy niezbędne i nam? – Oczy Draki zalśniły w blasku ognia i z bolesnym ukłuciem Durotan uświadomił sobie, że to nie łzy złości w nich lśnią, ale frustracji.

– Draenei zawsze nas przewyższali, gdy chodziło o magię, nawet gdy mieliśmy jeszcze pomoc żywiołów – zaoponował Drek’Thar. – Zawsze byłem szamanem. Urodziłem się do tego. A teraz, powiadam wam, ruszę drogą czarnoksiężnika, jeśli tylko mój wódz mi pozwoli. Bo rozumiem, czym może być dla nas ta moc, i mówię to po latach obcowania z żywiołami. I na twoje pytanie odpowiedziałbym, że tak, tak, Drako, są nam niezbędne. Skoro nie mamy mocy żywiołów, draenei zetrą nas z powierzchni ziemi.

Draka westchnęła i ukryła twarz w dłoniach. Cała grupa siedziała w milczeniu. Durotan pomyślał, że czegoś brakuje, i po chwili zrozumiał czego. Nie słyszał dźwięków wydawanych przez nocne stworzenia, ptaki, insekty czy inne zwierzęta, które dawniej wypełniały ciszę. Przepędziło je z tego miejsca to, co się tu wydarzyło. Starał się nie myśleć o tym jak o znaku.

– Pozwolę, by Klan Mroźnego Wilka nauczył się tej magii – powiedział z ciężkim sercem.

Drek’Thar pochylił głowę.

– Dziękuję, Durotanie. Nie pożałujesz swej decyzji.

Durotan nie odpowiedział.

Rozdział czternasty

Drek'Thar łka, opowiadając mi o tych wydarzeniach, łzy płyną z jego oczu, które nie mogą dostrzegać już teraźniejszości, ale przeszłość widzą aż nazbyt wyraźnie. Nie potrafię go pocieszyć. To, że żywioły ponownie odpowiadają na jego wezwanie – na moje wezwanie – na wezwanie każdego orczego szamana, jest świadectwem ich współczucia i zdolności przebaczania, ich pragnienia przywrócenia równowagi. Iglica, która wciąż kryje w sobie mrok, nie znajduje się na tym kontynencie. Jesteśmy daleko od jej wrogiego wpływu, lecz jeszcze nie wydostaliśmy się z jej cienia. Cienia, który padł na nas tak dawno temu, dzień po tym, jak zbezcześciliśmy nasze najświętsze dotychczas miejsce.
Cienia czarnej ręki.

Durotan nie mógł zasnąć. Ani, jak zauważył, Draka, która ciskała się na posłaniu, przewracała z boku na bok i wzdychała ciężko. W końcu poddał się i położył z otwartymi oczami, raz jeszcze odtwarzając w myślach wydarzenia minionego dnia. Wszystko w nim krzyczało, że nie powinni w żadnym razie wkraczać na ścieżkę tej magii, która w sposób tak oczywisty czerpała z cierpienia żywych istot. A jednak co innego można było zrobić? Żywioły opuściły szamanów, nawet jeśli to sami przodkowie wysłali orków na wojnę. Bez magii, której mogliby użyć w walce, orkowie zostaliby zmiażdżeni przez przewyższającą ich technologię i wiedzę draenei.
Wstał i wyszedł z namiotu. Rozpalił ogień, by odegnać chłód przedświtu, i po cichu zjadł zimne, surowe mięsiwo. Przerwał posiłek, by spojrzeć, jak rozjaśnia się niebo, i ujrzał zbliżającego się posłańca. Nie zatrzymując się,

jeździec rzucił Durotanowi zwój. Wódz Mroźnych Wilków rozwinął pergamin, wczytując się w zawartość. W ciągu dwóch dni odbędzie się kolejne zebranie. Wtedy wodzowie mieli wybrać przywódcę, który miał mówić w ich imieniu. Mieliby wybrać jednego, którego nazywaliby wodzem wojennym. Miękka dłoń pogładziła go po włosach. Uniósł wzrok i zobaczył, jak Draka czyta wiadomość ponad jego ramieniem.

– Równie dobrze możesz zostać w domu – powiedziała szorstko. – Rezultat i tak jest już przesądzony.

Uśmiechnął się smutno.

– Nie byłaś dotąd taka cyniczna, ukochana.

– Dotąd nie musiałam żyć w takich czasach – odpowiedziała tylko.

W głębi serca wiedział, że miała rację. Tylko jeden ork był wystarczająco znany i charyzmatyczny, by zebrać wystarczająco dużo głosów, by zdobyć tytuł wodza wojennego.

Grom Hellscream mógłby konkurować w tym względzie z Blackhandem, ale Hellscream był zbyt porywczy, by przewodzić wszystkim. Blackhand był wyróżniającą się postacią ostatnich wydarzeń – najpierw sprzeciwił się Ner’zhulowi, później go wsparł. To jego szamani zostali pierwszymi czarnoksiężnikami. Odniósł więcej zwycięstw w starciach z draenei niż ktokolwiek inny.

Draka, jak to zwykle bywało, miała rację także tym razem.

Dwa dni później Durotan patrzył beznamiętnie, jak po podliczeniu głosów wodzów Blackhand z Klanu Czarnej Skały został wybrany na wodza wojennego Hordy. Czuł na sobie spojrzenia innych, gdy Gul’dan wykrzyknął imię Czarnorękiego, a wielki ork wstał i z fałszywą skromnością przyjął nominację.

Durotan nie próbował się nawet sprzeciwić. Bo i po co? Już i tak podejrzewano go o nielojalność, miał świadomość, że obserwowano go nieustannie. Nie mógł powiedzieć niczego, co zmieniłoby cokolwiek.

W pewnym momencie spojrzał na Orgrima. Dla wszystkich drugi po wodzu klanu Czarnej Skały wyglądał na opanowanego i pełnego poparcia dla Blackhanda. Jednak Durotan znał Orgrima lepiej niż ktokolwiek inny i zauważył napięcie warg przyjaciela, nieznacznie zmarszczoną brew, oznaki

tego, że Orgrim był równie niezadowolony z wyników głosowania co Durotan. Lecz on także nie miał możliwości wyrażenia sprzeciwu. Durotan miał nadzieję, że któregoś dnia Orgrim, będąc tak blisko Blackhanda, pomoże naprawić szkody, które Czarnoręki niewątpliwie wyrządzi – co do tego Durotan nie miał wątpliwości.

Blackhand stał teraz przed wszystkimi wodzami, machał i uśmiechał się w podziękowaniu za wiwaty i okrzyki gratulacji. Durotan nie mógł zaprotestować, lecz nie mógł też zmusić się do wiwatowania na cześć orka, który uosabiał wszystko, czym Durotan gardził.

Orgrim stał za swoim wodzem, bliżej jego prawej strony. Gul’dan, który niewątpliwie manipulował biegiem wydarzeń, czego Durotan był pewny, aczkolwiek nie mógł udowodnić, stanął z tyłu i wpatrywał w Blackhanda z szacunkiem.

– Moi orczy bracia i siostry! – wykrzyknął Blackhand. – Uczyniliście mi wielki zaszczyt! Zostanę godnym wodzem wojennym tych nieprzebranych szeregów szlachetnych wojowników. Dzień po dniu ulepszamy nasze zbroje i oręż. A teraz odrzucamy kapryśne żywioły i przyjmujemy prawdziwą moc, moc, którą czarnoksiężnicy potrafią kontrolować i dzierżą bez płaszczenia się przed nikim i niczym. To jest wyzwolenie! To jest siła! Mamy jeden cel: zmieść draenei z naszych ziem! Nie zdołają oprzeć się tej fali wojowników i czarnoksiężników. Jesteśmy ich najgorszym koszmarem. Do walki! – Wzniósł ramiona i ryknął: – Za Hordę!

I tysiące żarliwych głosów podjęło jego wezwanie.

– Za Hordę! Za Hordę! Za Hordę!

*

Durotan i Draka wrócili do domu krótko po wyborze Blackhanda, zbyt zniesmaczeni, by pozostać dłużej. Szamani zostali, chcąc rozpocząć naukę. Gdy wrócili kilka dni później, Durotan zauważył, że znów wypełnia ich duma i trzymają głowy wysoko. Ta nowa magia przywróciła im wiarę w siebie, która zniknęła niczym mgła poranna w słońcu w chwili, gdy opuściły ich żywioły. Za to jedno Durotan był wdzięczny losowi. Kochał swój klan i wiedział, że to dobrzy orkowie. Nie mógł patrzeć na ich

zwątpienie i przygnębienie.

Swoje nowe umiejętności ćwiczyli wpierw na zwierzynie, dołączali do polowań i wysyłali swoje dziwaczne potwory za raciczniками i talbukami. Durotan był wciąż zaniepokojony męką atakowanych zwierząt. Z czasem jednak cierpiały coraz mniej, nie dlatego jednak, że ból zelżał, ale ponieważ czarnoksiężnicy nauczyli się zabijać szybciej i skuteczniej. Ci dodatkowi „pomocnicy” lub „ulubieńcy”, jak niektórzy czarnoksiężnicy nazywali kontrolowane istoty, stanowili zasadniczą różnicę.

Blackhand zdawał się cieszyć swą nową pozycją. Niemal codziennie przychodziły zwoje przywożone przez posłańców, ci zaś, tak jak ich wierzchowce, zdawali się nosić coraz bardziej ozdobne zbroje za każdym razem, gdy pojawiali się w obozie.

Durotan musiał przyznać, że wieści o tym, co się działo z innymi klanami, były bardzo przydatne.

Jednakże pewnego dnia do obozowiska przybył ktoś inny zamiast posłańca. Durotan rozpoznał jego strój; zbliżający się na wilku ork w wyjątkowo lśniącej czarnej szacie był jednym z osobistych czarnoksiężników Blackhanda. Zwał się Kur’kul. Zatrzymał wierzchowca, zsiadł, po czym skłonił się przed Durotanem

– Wodzu, mam dla ciebie wieści od wodza wojennego – rzekł zaskakująco uprzejmie.

Durotan skinął głową i gestem wezwał czarnoksiężnika, by mu towarzyszył. Odeszli na tyle daleko, by mieć pewność, że nie zostaną podsłuchani.

– Co się stało, że Blackhand przysyła mi jednego ze swoich najbardziej zaufanych czarnoksiężników? – spytał.

Kur’kul uśmiechnął się.

– Posłano mnie do wodzów wszystkich klanów – odparł z wyraźnym zamiarem przywołania Durotana na właściwe mu miejsce.

Mroźne Wilki nie zostały szczególnie uhonorowane. Durotan chrząknął i skrzyżował ręce na piersi w oczekiwaniu.

– Najważniejszym czynnikiem, który da nam ostateczne zwycięstwo nad draenei, jest liczebność – kontynuował Kur’kul. – Ich jest niewielu, nas jest

więcej. Lecz musimy stać się liczniejsi.

– Więc czego życzy sobie Blackhand? – warknął Durotan. – Powinniśmy zaprzestać walki na rzecz chędożenia?

Kur’kul nawet nie mrugnął.

– Nie zaprzestawać walki, lecz tak… zachęcić wojowników do rozmnażania. Otrzymacie nagrodę za każde dziecko zrodzone w waszym klanie. To powinno pomóc. Jednak potrzebujemy więcej wojowników teraz, nie za sześć lat.

Durotan wpatrywał się weń, zszokowany. Jego słowa miały być raczej ordynarnym żartem. Co tu się dzieje?

– Dzieci zaczynają trening w wieku sześciu lat – kontynuował Kur’kul. – Są na tyle silne, by stanąć do walki, gdy osiągają dwunasty rok. Wezwij wszystkie wasze młode.

– Nie rozumiem – zdumiał się Durotan. – Po co mam je wezwać?

Kur’kul westchnął, jakby miał do czynienia z niemądrym dzieckiem.

– Mam umiejętności, które pozwolą przyspieszyć ich wzrost. – powiedział. – Przyspieszymy… popchniemy je nieco do przodu. Jeśli weźmiemy wszystkie dzieci między szóstym a dwunastym rokiem życia i sprawimy, że osiągną dwunasty rok, zwiększymy liczbę wojowników gotowych do walki niemal o połowę.

Durotan nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Absolutnie wykluczone!

– Obawiam się, że nie masz wyboru. To rozkaz. Każdy klan, który odmówi, zostanie uznany za zdrajcę Hordy. Klan zostanie wygnany, a wódz i jego partnerka… straceni.

Durotan gapił się na czarnoksiężnika osłupiały. Kur’kul podał mu zwój. Wódz Mroźnych Wilków odczytał wiadomość, dygocząc wręcz z wściekłości, i przekonał się, że czarnoksiężnik mówił prawdę. On i Draka zostaliby skazani na śmierć, a Klan Mroźnych Wilków na wygnanie.

– Zamierzasz okraść je z dzieciństwa – powiedział lodowato.

– By zapewnić im przyszłość? Owszem. Zabiorę im odrobinę z ich życia, nie więcej niż sześć lat. Nie doznają przez to żadnej krzywdy. Dzieci Klanu Czarnej Skały nie doznały. Blackhand obstawał, by troje jego własnych

dzieci jako pierwsze dostąpiło tego zaszczytu. A w zamian za to będą mogli walczyć o chwałę Hordy, teraz, kiedy mogą coś zmienić.

Durotan nie był ani trochę zaskoczony tym, że Czarnoręki pozwolił zrobić to własnym dzieciom. Po raz pierwszy w życiu Durotan cieszył się, że w jego klanie było tak niewiele dzieci. Zaledwie pięcioro mających więcej niż sześć i mniej niż dwanaście lat. Jeszcze raz odczytał wiadomość, rozwścieczony i pełen odrazy jednocześnie. Te dzieci powinny mieć możliwość po prostu być dziećmi.

Czarownik czekał w milczeniu.

– Rób, co musisz czynić – powiedział wreszcie Durotan specjalnie ostrym tonem, by ukryć swój ból.

– Za Hordę! – rzekł Kur'kul.

Durotan nie odpowiedział. To, co wydarzyło się potem, było czystym okrucieństwem.

Durotan zmusił się do zachowania niewzruszonego spokoju, gdy Kur'kul rzucił zaklęcie na piątkę młodych Mroźnych Wilków. Dzieci wiły się w bólu, krzyczały, miotając się po ziemi, gdy ich kości się rozciągały, a mięśnie i skórę zmuszono do nienaturalnego wzrostu. Wstrętnie zielona nić łączyła dzieci z czarnoksiężnikiem, jakby w ten sposób wysysał z nich samo ich życie. Na jego twarzy malowała się ekstaza. Podczas gdy dzieci cierpiały, to on zdecydowanie miał inne doznania. Przez jedną koszmarną chwilę Durotan obawiał się, że Kur'kul nie przestanie, gdy dzieci osiągną wiek dwunastu lat, że będzie wysysał z nich życie tak długo, aż zasuszą się ze starości.

Na szczęście jednak Kur'kul przerwał. Młodzi orkowie, już nie dzieci, leżeli tam, gdzie padli, gdy zaklęcie zaczęło działać. Przez długą chwilę żaden nie był w stanie się podnieść, a gdy już dźwignęli się na nogi, łkali cicho, chrapliwie, jakby nie zostało w nich sił na nic więcej.

Durotan zwrócił się ku czarnoksiężnikowi.

– Zrobiłeś to, po coś tu przybył. Precz.

Kur'kul wyglądał na urażonego.

– Wodzu Durotanie, ty…

Durotan chwycił go za przód szkarłatnej szaty. Przez twarz czarnoksiężnika przemknął cień strachu.

– Wynoś się. Natychmiast.

Durotan pchnął go mocno i Kur’kul zatoczył się do tyłu, prawie upadając. Spojrzał na Durotana ze złością.

– Blackhand nie będzie zadowolony, gdy się o tym dowie – warknął.

Durotan nie ośmielił się odezwać; gdyby otworzył usta, zgubiłby swój klan, nie miał co do tego wątpliwości. Odwrócił się, trzęsąc się z wściekłości, i podszedł do dzieci, które już nie były dziećmi.

Przez pewien czas po tym wydarzeniu Klan Mroźnego Wilka nie musiał robić nic więcej, jak tylko intensywnie ćwiczyć, co przepełniało Durotana ulgą, ale i budziło w nim niepokój. Wiedział, że gdy Blackhand i Gul’dan znów sobie o nim przypomną, zadanie, jakie mu przydzielą, nie będzie łatwe.

Nie pomylił się.

Durotan właśnie oglądał nowy wzór zbroi skreślony przez kowala, gdy do obozu Mroźnych Wilków wpadł jeździec na grzbiecie wilka. Nie zwalniając nawet na chwilę, rzucił Durotanowi pergamin, po czym zawrócił zwierzę i odjechał równie szybko. Durotan rozwinął wiadomość i zaczął czytać, a oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Szybko spojrzał za oddalającym się jeźdźcem. To nie był żaden z kurierów przynoszących oficjalne wieści.

Stary przyjacielu,

jestem pewien, że nie jest dla ciebie niespodzianką fakt, że jesteś obserwowany. Wyznaczą ci zadanie – takie, któremu będziesz w stanie podołać, czego mają świadomość. Musisz to zrobić. Nie wiem, co zrobią, jeśli odmówisz, lecz obawiam się najgorszego.

Nie było podpisu; ale i nie był potrzebny. Durotan znał zamaszyste pismo Orgrima. Zmiął pergamin i wrzucił w ogień, patrzył, jak list skręca się i zwija niczym żywa istota, gdy pożerają ją płomienie.

Orgrim w porę wysłał ostrzeżenie. Jeszcze tego samego popołudnia nadjechał jeździec noszący oficjalny tabard posłańców i wręczył wodzowi Klanu Mroźnych Wilków pergamin z wiadomością. Durotan skinął głową, wziął list, ale odłożył go na bok.

Nie chciał czytać wiadomości od razu.

Jednak posłaniec sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Nie zsiadł

z wierzchowca, ale też nie odjechał.

– Nakazano zaczekać na odpowiedź – powiedział po chwili niezręcznej ciszy.

Durotan ponownie skinął głową i rozwinął pergamin. Po wyrobionym, ozdobnym piśmie poznał, że Blackhand dyktował treść wiadomości. Wódz wojenny, choć sprytny i przebiegły, ledwie potrafił pisać.

Treść była gorsza, niż Durotan się spodziewał. Starannie utrzymywał beznamiętny wyraz twarzy, jednak kątem oka widział, że Draka przygląda się mu uważnie.

Blackhand, wódz wojenny Hordy, pozdrawia Durotana, syna Garada, wodza Klanu Mroźnych Wilków.

Miałeś możliwość sprawdzenia umiejętności naszych nowo wyszkolonych czarnoksiężników w bitwie. Nadszedł czas, by natrzeć na naszych wrogów. Miasto draenei Telmor znajduje się niedaleko granic twych ziem. Twoim zadaniem jest skrzyknięcie drużyny i atak na miasto. Orgrim wspomniał, że za młodu obaj przekroczyliście bramy tego miasta. Powiedział, że poznaliście sekret i wiecie, w jaki sposób draenei pozostali niewidoczni. Orgrim nadmienił także, iż masz doskonałą pamięć i niewątpliwie będziesz wiedział, jak odsłonić miasto przed naszymi wojownikami.

Jestem pewien, że nie muszę tłumaczyć, ile dla Hordy znaczyłoby zniszczenie tego miasta. Dla Klanu Mroźnych Wilków także. Odpowiedz na ten list bezzwłocznie, a rozpoczniemy przygotowania do ataku.

Ku chwale Hordy!

Zamiast podpisu był odcisk prawej dłoni Blackhanda, umoczonej w atramencie.

Durotan był wściekły. Jak Orgrim mógł zdradzić Czarnorękiemu tę informację? Czyżby jednak naprawdę popierał wodza wojennego na tyle, by opowiedzieć mu o tym wydarzeniu, a tym samym zwrócić uwagę na Durotana? Jego gniew minął nieco, gdy Durotan uświadomił sobie, że informacje, do których Blackhand odnosił się z swym liście – wizyta młodych orków w mieście draenei przed wielu laty, sekret ukrycia miasta,

niemalże niezwykła pamięć Durotana – mogły pojawić się w różnych rozmowach na przestrzeni lat. Blackhand był dość inteligentny, by zebrać każdy okruch informacji i zachować go do czasu, gdy będzie potrzebny.

Durotanowi przemknęło przez myśl, by skłamać, zaprzeczyć, jakoby potrafił sobie przypomnieć słowa użyte przez Restalaana do rozproszenia iluzji, ukrywającej miasto draenei przed wzrokiem ogrów… a teraz także przed wzrokiem orków. Minęły lata od tamtej chwili i Durotan raz tylko słyszał tę formułę. Ktokolwiek inny z pewnością zapomniałby te słowa. Jednak groźba zawarta w liście była tak słabo zamaskowana, że zakrawało to na żart. Jeżeli Durotan zgodziłby się wziąć udział w ataku na miasto draenei, udowodniłby swoją lojalność Hordzie, Blackhandowi i Gul’danowi, nawet jeśli tylko na chwilę.

Gdyby odmówił, nawet choćby oświadczył, że po prostu nie może sobie przypomnieć słów formuły, których wypowiedzenia oczekiwał Blackhand… cóż, tak jak Orgrim, Durotan obawiał się najgorszego.

Posłaniec wciąż czekał na odpowiedź.

Durotan podjął jedyną decyzję, którą mógł podjąć.

– Zrobię to, czego oczekuje ode mnie wódz wojenny – oznajmił z obojętnym wyrazem twarzy. – Ku chwale Hordy!

Dosiadający wilka ork sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło, ale też jakby był zaskoczony taką odpowiedzią.

– Wódz wojenny ucieszy się, słysząc te słowa. Polecono mi coś ci przekazać. – Sięgnął do skórzanego plecaka, wyciągnął zeń niewielką sakiewkę i podał ją Durotanowi. – Twoi wojownicy i czarnoksiężnicy będą musieli ćwiczyć, używając tego.

Durotan kiwnął głową. Wiedział, co dostał.

Serce Gniewu i Gwiazdę Olśnienia. To dzięki tym niesamowitym klejnotom udało mu się uniknąć gniewu Ner’zhula. Teraz miał użyć ich przeciw istotom, którym je odebrał.

– Wódz wojenny niedługo się z tobą skontaktuje. – Posłaniec skłonił się i zawrócił wilka.

Durotan patrzył, jak odjeżdża. Draka podeszła do niego w ciszy. Podał jej list i ruszył do ich namiotu.

Dołączyła do niego kilka chwil później, obejmując go ramionami za plecy, podczas gdy on ukrył twarz w dłoniach i rozpaczał nad wydarzeniami, które doprowadziły do podjęcia przezeń tak straszliwej decyzji.

*

Kilka dni później do obozu Mroźnych Wilków przybyli wojownicy i czarnoksiężnicy, gotowi dołączyć do ataku na miasto. Większość pochodziła z Klanu Czarnej Skały, lecz Durotan dostrzegł niejedną wymalowaną twarz wojowników z Klanu Wojennej Pieśni i kilku ze Strzaskanej Dłoni. Nawet najmniej bystrzy spośród Mroźnych Wilków wyczuwali nieufność i pogardę gości. Durotan wiedział, że ci nie przypadkiem pochodzili z najchętniej walczących klanów. Byli tu, by upewnić się, że Mroźne Wilki nie wycofają się w decydującym momencie. Durotan zastanawiał się, kto z nich otrzymał rozkaz poderżnięcia mu gardła, gdyby zawahał się choć przez chwilę. Miał tylko nadzieję, że nie Orgrim. Dwóch przyjaciół wymieniło raptem kilka słów i Durotan dostrzegł smutek malujący się na obliczu Orgrima. To przynajmniej było coś, co go ucieszyło.

Gości poprzedziło przybycie posłańca, więc w obozie nie brakło ognisk, jadła i napitku dla głodnych. Wielu Mroźnych Wilków oddało odwiedzającym swoje domostwa, aby ci, którzy następnego poranka wyruszą do bitwy, mogli odpocząć tak dobrze, jak to tylko możliwe. Wódz klanu spotkał się z Orgrimem i innymi przywódcami – przygotowali szkic planu miasta tak wierny, jak pozwalała pamięć Durotana i Orgrima.

O świcie wojownicy – niewielka armia orków – byli już w drodze. Zostawili za sobą łąki otaczające puszczę Terokkar, gdzie przed laty ścigali się dwaj przyjaciele, gdzie zaskoczyło ich pojawienie się ogra. Żaden z niezdarnych olbrzymów nie zakłócił marszu rozległej rzeki orków. Durotan jechał na Nocarzu na przedzie, tuż obok Orgrima. Jechali w milczeniu, lecz Durotan natychmiast zauważył, że spojrzenie szarych oczu przyjaciela zatrzymało się na miejscu, gdzie niegdyś uratowali ich wojownicy draenei.

– Lata minęły, odkąd podążaliśmy tą drogą – rzekł Durotan.

Orgrim przytaknął.

– Nie jestem nawet pewien, czy jedziemy w dobrym kierunku. Las i łąki

zmieniły się, rozrosły, a już wcześniej punktów orientacyjnych było niewiele.

– Pamiętam drogę – zapewnił go ponuro Durotan, choć pragnął, by było inaczej.

Sterta kamieni tu, dziwaczny głaz tam, tyle wystarczyło, by go poprowadzić. Nikt inny nie zwróciłby na to uwagi. Blackhand zapowiedział wojownikom, że draenei zamaskowali swoje miasto. Mimo to czuły słuch Durotana pochwycił szepty zaniepokojenia. Zmarszczył brwi.

– Zbliżamy się do celu – oświadczył. – Musimy być cicho. Jest spore prawdopodobieństwo, że już nas dostrzeżono.

Od tej chwili orkowie milczeli. Kilkoma gestami Orgrim rozesłał zwiadowców po okolicy. Durotan wrócił myślami do tamtego wieczora, kiedy sam martwił się o to, dokąd zmierzali i co planowali począć z nimi draenei.

Wstrzymał swojego wilka i zsunął się z jego grzbietu. Nocarz potrząsnął łbem i nieuważnie podrapał się w ucho.

To było tu… lub gdzieś blisko… . Durotana przepełniała rozpaczliwa nadzieja, że draenei zmienili miejsce ukrycia magicznego kamienia, od którego zależało ich bezpieczeństwo. Nie widział charakterystycznego kamienia, skrywającego zielony klejnot. Teraz wspomnienia nie zdały się na nic. Durotan skupił się, szedł powoli, słyszał podzwanianie uprzęży i ciche brzęczenie zbroi, wojownicy obserwowali go i czekali. Zamknął oczy, by móc się lepiej skoncentrować, znów ujrzał Restalaana klęczącego na ziemi, rozgarniającego liście i igliwie, by odsłonić…

Durotan otworzył oczy i przesunął się kilka kroków w lewo. Pomodlił się do przodków; ale sam nie potrafił powiedzieć, czy modli się o znalezienie kamienia czy wręcz przeciwnie. Opancerzone dłonie sięgnęły w dół i odgarnęły warstwy poszycia, po czym dotknęły czegoś chłodnego i twardego.

Nie ma już drogi odwrotu.

Durotan zacisnął palce na krysztale i podniósł go w dłoniach.

Nawet pogrążony w rozpaczy, wyczuwał krzepiącą energię emanującą z kamienia. Klejnot spoczął w dłoni Durotana, jakby tam było jego miejsce. Durotan przeciągnął palcem po jego powierzchni, ciesząc się tą chwilą,

zanim wszystko nieodwołalnie przepadnie.

– Znalazłeś go – wyszeptał Orgrim, cicho zbliżywszy się do przyjaciela.

Ogarnięty emocjami Durotan przez dłuższą chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa. Niemal niezauważalnie skinął głową, po czym oderwał wzrok od pięknego, pulsującego kamienia i spojrzał w górę, na pełne zachwytu twarze wpatrujące się w klejnot.

Orgrim dał znak gestem dłoni.

– Na pozycje – powiedział. – Mamy szczęście, że nikt nas nie wypatrzył.

Blask kamienia w jego dłoni był tak uspokajający, że Durotan nie chciał niczego innego, jak tylko móc stać i spoglądać w jego głębię, wiedział jednak, że już dokonał wyboru. Wziął głęboki oddech i powtórzył słowa, które Restalaan wypowiedział w tym samym miejscu tak wiele lat temu.

– *Kehla men samir, solay lamaa kahl.*

Chciał wierzyć, że jego ciężki akcent nie zdoła aktywować kamienia. Że uda mu się wypełnić obowiązek względem swego klanu bez konieczności szturmowania małego miasteczka pełnego zwyczajnych obywateli. Ale niestety – jakakolwiek siła kontrolowała zielony kryształ, najwyraźniej zrozumiała jego słowa.

Iluzja już się rozpraszała, drzewa i skały rozwiewały, migocząc, i przed oddziałem orków pojawiła się zachęcająco szeroka, brukowana droga.

Nie potrzebowali ponagleń. Wspaniałe miasto draenei stanęło przed nimi otworem. Z rykiem wydobywającym się z setek gardeł orkowie ruszyli do ataku.

Rozdział piętnasty

Drek'Thar łamanym głosem mówi o utraconej chwale, o zniszczonym pięknie, o rzezi dzieci. Jednak w jego opowieści pobrzmiewa ton usprawiedliwienia. „Wtedy wydawało się to słuszne". Mniemam, że w istocie wydawało się to właściwym postępowaniem. Że wyglądało na uzasadnione. Mogę jedynie modlić się do przodków o to, bym nigdy nie znalazł się w sytuacji, w jakiej wtedy był mój ojciec – rozdarty pomiędzy tym, co za słuszne uważało jego serce, a koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa swemu klanowi. To dlatego właśnie staram się utrzymać ten jakże kruchy pokój między nami a Przymierzem.

Ponieważ ledwie parę zniewag, parę uraz – w tym czy jakimkolwiek innym świecie – wystarczy, by doprowadzić do rzezi dzieci.

Jakiś czas później Durotan zastanawiał się, jakim cudem mieszkańcy miasta Telmor nie dostrzegli wcześniej fali orków pędzącej w ich kierunku na wilkach. Nie mógł wszak spytać o to żadnego draenei. Mógł tylko zakładać, że pokładali tak wiele ufności w ochronnej iluzji, że nie spodziewali się, by w jakichkolwiek okolicznościach mogła ich zawieść.

Powietrze nad miastem rozdarł odgłos bojowych okrzyków i ujadania wilków. Jeźdźcy wdarli się do miasta. Kilkoro nieuzbrojonych draenei zostało rozpłatanych chwilę po rozpoczęciu najazdu. Biały bruk spłynął błękitem przelanej krwi, lecz nie minęło dużo czasu, nim strażnicy odpowiedzieli na atak.

Durotan wcisnął kamień do sakwy, gdzie klejnot dołączył do kamieni czerwonego i żółtego odebranych Velenowi. Durotan wskoczył z powrotem

na wilka i pocwałował z ponurą determinacją, trzymając topór w gotowości. Choć sam sobie złożył przysięgę, że nie skrzywdzi żadnego bezbronnego ani dziecka, to zarazem dokonał już wyboru – teraz był gotów zabić lub umrzeć z tego powodu.

Pierwsza fala zalała miasto. Rzeka orków rozdzieliła się na mniejsze strumienie, które wlały się do wielkich kulistych budynków po przeciwległych stronach ulicy, popłynęły w górę po szerokich kamiennych stopniach. Czarnoksiężnicy szli na końcu. Przywołane przez nich istoty były ciche i posłuszne poza tymi najmniejszymi, te bowiem nie przestawały mamrotać pod nosem. Czekali na odpowiedni moment, by zesłać na draenei deszcz ognia, cienistych pocisków, różnorakich klątw powodujących cierpienie. Wojownicy wyłonili się pokryci krwią, ich buty zostawiały na stopniach krwawe odciski, gdy pobiegli do kolejnego budynku, a potem następnego.

Strażnicy draenei byli już na ulicy, rzucając własne zaklęcia. Durotan obrócił się w siodle i w ostatniej chwili zdążył odbić cios miecza spowitego błękitną energią. Klinga szczęknęła o ostrze jego topora, a siłę tego uderzenia Durotan poczuł aż w kości. Lecz ów wstrząs był niczym wobec szoku, którego wódz Mroźnych Wilków doznał, rozpoznając napastnika.

Po raz drugi on i Restalaan spotykali się w bitwie. Durotan oszczędził Velena i w zamian za to Restalaan oszczędził orka, gdy ten stracił możliwość obrony w starciu. Durotan ujrzał błysk rozpoznania w oczach draenei, który niemal natychmiast zmrużył je groźnie.

Wszystkie długi między nimi zostały spłacone. Tym razem żaden z nich nie okaże litości drugiemu.

Restalaan wykrzyczał coś w swoim melodyjnym języku. Jednak zamiast zaatakować, wyszarpnął orka z siodła. Durotan, wzięty z zaskoczenia, znalazł się na ziemi, nim zorientował się, co się dzieje. Restalaan uniósł miecz, a Durotan sięgnął po swój topór, jednak nawet gdy zacisnął palce na stylisku, czuł, że nie będzie dość szybki, by odeprzeć atak.

Jednakże Nocarz był wytrenowany niemal tak dobrze jak ork, który go dosiadał. Gdy wilk poczuł, że jeźdźca ściągnięto mu z grzbietu, obrócił się w kierunku Restalaana. Olbrzymie kły zacisnęły się na ramieniu draenei;

gdyby nie zbroja, Restalaan straciłby rękę. Jednak nacisk ogromnych szczęk był wystarczający, aby wytrącić draenei miecz.

Durotan stęknął i zamachnął się toporem tak mocno, jak tylko mógł. Ostrze wgryzło się w bok Restalaana. Draenei padł na kolana, jego ramię wciąż tkwiło w zębach Nocarza. Biały wilk zacisnął kły jeszcze mocniej, warcząc, po czym zaczął tarmosić ręką draenei, jakby to było niewielkie zwierzę. W ciągu chwili wilk oderwałby ramię Restalaana.

Krew trysnęła z rany w boku draenei, ale ten nawet nie jęknął, choć niewątpliwie straszliwie cierpiał.

Durotan dźwignął się i uderzył ponownie, tym razem wymierzając śmiertelny cios, cios łaski. Restalaan osunął się bezwładnie i Nocarz natychmiast puścił jego ramię. Dowódca straży Telmoru był martwy.

Durotan nie pozwolił sobie na żal. Wskoczył na wilka i rozejrzał za następnym celem. Tych nie brakowało. Miasto zdecydowanie było mniejsze niż stolica draenei Shattrath, lecz wystarczająco duże. Wokół roiło się od draenei, których można było mordować. Powietrze drżało od żądnych krwi okrzyków, wrzasków bólu i przerażenia, brzęków mieczy uderzających o tarcze i trzasków zaklęć. Zapachy wdarły się w nozdrza Durotana: odór krwi, uryny, fekaliów i wyraźny, charakterystyczny smród przerażenia.

Wspaniale było czuć gniew gotujący się w żyłach. Zmysły nigdy nie były tak wyostrzone i Durotanowi wydawało się, że porusza się bez żadnego zastanowienia. Kawałek dalej kolejny strażnik walczył z Orgrimem. Durotan spiął mięśnie, gotów pospieszyć na pomoc przyjacielowi, lecz w tej samej chwili Doomhammer świsnął w powietrzu, rozłupując hełm i czaszkę przeciwnika. Durotan uśmiechał się dziko. Orgrim nie potrzebował niczyjej pomocy.

Wyczuł obecność, zanim cokolwiek dotarło do jego uszu czy nosa, obrócił się, wznosząc okrzyk bojowy swego klanu. Dźwignął ociekający krwią topór, szykując się do ciosu.

Dziewczynka ledwie co wyrosła z dzieciństwa wrzeszczała w furii, wczepiając rączki w jego obleczoną w zbroję nogę. Łzy płynęły po jej bladej błękitnej twarzy, ząbki błyskały obnażone we wściekłym grymasie. Sukienkę miała przemoczoną błękitną krwią, zbyt mocno jednak, by była to jedynie jej

krew. Uderzała Durotana bezskutecznie, a jej pełne łez oczy płonęły bólem i uzasadnioną wściekłością.

Przez jedną okrutną sekundę wydawało mu się, że była tą samą dziewczynką, którą on i Orgrim spotkali lata temu, co przecież było niemożliwe, tamto dziecko było już z pewnością dojrzałą kobietą. Czy może jednak to była ona? Nieważne zresztą. To była dziewczynka, która niezmiernie odważnie, a zarazem głupio usiłowała walczyć z uzbrojonym orczym wojownikiem gołymi rękami.

Ogromnym wysiłkiem Durotan wstrzymał topór w pół ciosu. Nie miał zamiaru skrzywdzić dziecka, to byłoby wbrew wszelkim zasadom, orkowie tak nie postępowali.

Nagle dziewczynka znieruchomiała. Szeroko otworzyła oczy. Z rozchylonych ust bluznęła krew. Durotan opuścił wzrok na jej pierś, gdzie ujrzał czubek włóczni wybrzuszający przesiąknięty krwią materiał. Nim zareagował w jakikolwiek sposób, ork z Klanu Strzaskanej Dłoni, który zgładził dziecko, szarpnął włócznią w bok, rzucając ciało na ziemię. Ciężkim butem docisnął dziewczynkę do ziemi i ze stęknięciem uwolnił grot. Posłał Durotanowi szeroki uśmiech.

– Masz u mnie dług, Mroźny Wilku – rzekł, po czym zniknął w tłoczącym się w pobliżu tłumie zabójców i ich ofiar.

Durotan odrzucił do tyłu głowę i wykrzyczał przodkom swe cierpienie.

Orkowie parli do przodu, pozostawiając za sobą tylko trupy. Ogromną większość poległych stanowili draenei, lecz gdzieniegdzie można było dostrzec brunatne ciało orka. Niektórzy wojownicy nadal żyli i wzywali pomocy, jednak ich błagania pozostawały bez odpowiedzi.

Szamani potrafiliby uleczyć ich rany zaklęciami, lecz najwyraźniej magia czarnoksiężników nie obejmowała sztuki uzdrawiania. Ranni leżeli więc tam, gdzie padli, niektórzy konali, wydając ostatnie tchnienie tuż obok draenei, których zaszlachtowali, podczas gdy niepowstrzymana fala parła dalej przez miasto.

Podążyli ścieżką wiodącą przez podnóże góry, wchodząc do każdego budynku po drodze i mordując wszystkich napotkanych mieszkańców. Bez wątpienia część draenei zdołała się ukryć – pomyślał Durotan, modląc się, by

nie zostali znalezieni. Nie liczył jednak na to, że jego modlitwy zostaną wysłuchane. Po pierwszej fali rzezi przyjdzie czas na plądrowanie i rozprawianie się z niedobitkami. Wiedział to. Taki był plan.

Dotarli do największego budynku tkwiącego najwyżej na wzgórzu i Durotan rozpoznał go w jednej chwili. To była siedziba magistra, to tam zostali z Orgrimem podjęci posiłkiem przez Proroka. Z goryczą pomyślał, że Velen nie był aż takim prorokiem, za jakiego go uważano, skoro nie był w stanie przewidzieć tej czarnej godziny. Gdy Nocarz wbiegał po schodach, Durotan nie mógł się powstrzymać. Spojrzał w dół za siebie, na miasto, tak jak uczynił to za pierwszym razem, gdy wchodził po tych stopniach.

Wtedy miasto draenei przypominało rozrzucone po łące klejnoty. Teraz wyglądało dokładnie jak to, czym się stało – miejsce zrujnowane, podbite, spływające krwią, cuchnące śmiercią nie tylko mieszkańców, ale wszelkiej nadziei na pokój lub negocjacje. Durotan zacisnął powieki w przypływie bólu.

„Jestem dumny z mego ludu i naszego miasta – powiedział niegdyś Restalaan Durotanowi. – Bardzo ciężko tu pracowaliśmy. Kochamy Dreanor. Nigdy nie sądziłem, że będę miał okazję podzielić się tym z orkiem. Zaiste, przeznaczenie prowadzi nas dziwnymi drogami”.

Dziwniejszymi niż młody ork i strażnik draenei potrafili sobie wówczas wyobrazić.

Pomieszczenia, które niegdyś wydały się dwóm młodym orkom nieco zbyt ciasne, teraz wypełnione orkami, były niczym klatki albo nawet i dziuple. Większość była pusta. Draenei mieli dość czasu, by wyprowadzić stąd wszystkich poza tymi, którzy przysięgli oddać życie w obronie miasta. I oddawali je. Strażnicy, którzy zaatakowali orków, ginęli jeden po drugim. Piękne, ozdobne meble przemieniły się w broń roztrzaskiwaną na głowach draenei, ogólne zniszczenie czyniło walkę jeszcze bardziej emocjonującą. Orkowie tylko dla przyjemności wybijali dziury w gładkich, łukowatych ścianach. Cięli łóżka mieczami, młotami i toporami, tłukli misy z owocami i misternie kute posążki.

Durotan miał dosyć.

– Stać! – wykrzyknął, lecz nikt go nie posłuchał.

Istoty przywołane przez czarowników wyraźnie radowały się ich działaniami. Jednak czas na destrukcję dobiegł końca i ta dzicz, to sianie zniszczenia nie mogło już przysłużyć się orkom, gdy wszyscy mieszkańcy Telmor zostali zabici lub zbiegli.

– Stać! – wrzasnął ponownie.

Tym razem Orgrim usłyszał go i podjął okrzyk. Ork z Klanu Wojennej Pieśni potrząsał głową, jakby chciał się otrząsnąć, odzyskać wzrok przesłonięty jakąś mgłą, po czym on także zaczął uspokajać wojowników. Drek'Thar pozostawał w tyle pośród innych czarowników, więc żądza krwi nie pozbawiła go zmysłów i bez trudu powstrzymał ich od rzucania kolejnych zaklęć.

– Posłuchajcie mnie! – ryknął Durotan.

Większość z nich dotarła już do komnaty, w której Velen przyjmował ich przy swoim stole. Pokój był pusty, stoły i krzesła powywracane, draperie porwane na strzępy i ciśnięte na podłogę.

– Zdobyliśmy miasto; teraz nadszedł czas, by wziąć zeń to, co nam potrzebne!

Słuchali go, wciąż dysząc ciężko, co wypełniło pomieszczenie głośnym świstem. Ale przestali wymachiwać bronią i nie próbowali atakować wszystkiego, co się ruszało… A także tego, co nie ruszało się wcale.

– Najpierw zajmiemy się rannymi – rozkazał Durotan. – Nie pozwolimy naszym braciom dogorywać na ulicach.

Na te słowa niektórzy orkowie wzdrygnęli się nagle przygnieceni poczuciem winy. Durotan z obrzydzeniem zdał sobie sprawę z tego, że wielu z nich całkowicie zapomniało o tym, że niektórzy wili się w mękach na zewnątrz, podczas gdy oni tutaj rozkoszowali się niszczeniem posiadłości magistra. Odepchnął te uczucia i skinął w stronę Drek'Thara. Czarnoksiężnicy nie mogli już korzystać z uzdrawiającej magii, lecz wiedzieli, jak obchodzić się z rannymi. Drek'Thar skinął na kilku orków i zawrócił w stronę wyjścia z budynku.

– Miasto posiada zasoby, których nigdy jeszcze nie widzieliśmy. Jest tu w bród jedzenia, nieznane nam zbroje i oręż, rzeczy, które pomogą Hordzie wypełnić jej misję… – Nie potrafił wypowiedzieć słów, które zamierzał:

„wypełnić jej misję i zmieść draenei z powierzchni ziemi”. Zamiast tego zakończył trochę niezręcznie: – …jej misję. Mamy armię. Armia maszeruje z pełnymi brzuchami. Musi dobrze jeść, móc zaspokoić pragnienie, mieć czym opatrzeć rany, wypocząć i się chronić. Orgrimie, ty i grupa wojowników zaczniecie przeszukiwanie z tej strony. Guthor, ty z kolejną grupą zawróć do bram, stamtąd wracaj, krok po kroku, póki nie spotkasz się z grupą Orgrima. Ktokolwiek choć trochę zna się na leczeniu, ma się zgłosić do Drek’Thara i zrobi dokładnie to, co ten mu nakaże.

– A co, jeśli znajdziemy jakichś żywych draenei? – zapytał ktoś.

Co w istocie? Nie mieli gdzie przetrzymywać więźniów, w dodatku jeńców można by wykorzystać jedynie przy negocjacjach. Jednakże skoro jasne było, że jedynym celem Hordy pozostaje wybicie wszystkich draenei, nie było sensu przetrzymywać więźniów.

– Zabijcie ich – polecił ochryple Durotan. Miał nadzieję na to, że szorstkość jego głosu zostanie uznana za przejaw furii, a nie straszliwego cierpienia, jakie odczuwał. – Zabijcie ich wszystkich.

Gdy orkowie ruszyli wykonywać przydzielone im zadania, Durotan jakby wbrew sobie pomyślał, że żałuje, iż Nocarz w porę go obronił. Wolałby zginąć tego dnia z ręki Restalaana, niż wypowiedzieć ostatnie słowa.

Jeśli dopisze mu szczęście, w tej straszliwej wojnie mającej na celu wybicie rasy, która nigdy nie podniosła na nikogo ręki, śmierć odnajdzie Durotana raczej prędzej niż później.

Rozdział szesnasty

Rada Cienia.

Nawet teraz, po tylu latach, niewiele wiemy o tym, kim byli jej członkowie i co dokładnie zrobili. Gul'dan ogrom sekretów zabrał do grobu. I niechaj gnije tam w męczarniach. I bez tego jest mi ciężko pojąć, jak jeden czy dwóch osobników może być tak głęboko zepsutych, że są w stanie skazać kolejne pokolenia na zagładę w zamian za władzę, jaką sami cieszyć się będą za życia. A że było ich tak wielu – nie znamy nawet dokładnej liczby – to już całkowicie przerasta możliwości mej ograniczonej w tym względzie wyobraźni.

Jednak nawet i ich liczebność nie miałaby znaczenia, gdyby nie demony, które trzymały ich w swoich szponach. Cieszę się z każdej chwili ich bólu za to, co uczynili innym, którzy byli im posłuszni, darzyli ich zaufaniem. Przeklinam ich każdą cząstką mej istoty.

– To był wspaniały test – pochwalił Kil’jaeden, uśmiechając się do swych poddanych.

Gul’dan kłaniał się z oczyma lśniącymi radością. Ner’zhul też się schylił, wbijając spojrzenie w podłogę, ale mimo to słuchał.

– Przyznaję, jestem zaskoczony, że Durotan wykonał nasze rozkazy – odezwał się młodszy z orków. – Spodziewałem się oporu albo przynajmniej ostrych ograniczeń odnośnie poczynań wojowników. Ale miasto zostało zdobyte, mój panie. I nie ma już draenei, którzy tam żyli, większość z nich zginęła.

– Większość to nie dość, Gul’danie. Wiesz o tym.

Gul’dan skulił się nieznacznie, słysząc te słowa krytyki. Nie po raz pierwszy zastanawiał się nad tym, co łączyło draenei i Kil’jaedena, i dlaczego ten najwspanialszy tak ich nienawidził.

– To była nasza pierwsza próba przeniesienia bitwy na ich terytorium, wcześniej atakowaliśmy jedynie myśliwych, o najwspanialszy – odparł czarnoksiężnik, zaskoczony własną śmiałością.

Kil’jaeden przechylił rogatą głowę, rozważył ten argument i przytaknął:

– To prawda. I wciąż mamy czas.

Od upadku Telmoru minęło już kilka dni. Gul’dan, będąc pod wrażeniem dokonań Durotana, chciał oddać Mroźnym Wilkom miasto jako nagrodę, jednak Durotan odmówił. Oświadczył, że Mroźne Wilki nadal będą żyć na ziemiach swych przodków.

Czarne Skały nie były równie głupie. Blackhand i jego rodzina spali teraz w łóżkach domu magistra. Początkowo orkowie nie bardzo wiedzieli, co począć z tym, co znaleźli w domu draenei, ale zaczynali przyswajać sobie styl życia swoich ofiar. Siadali na ich krzesłach, jedli przy ich stołach, badali ich broń i uczyli się jej używać, przystosowywali zbroje do potężniejszych sylwetek orków. Niektóre kobiety, a bywało, że i mężczyźni, zaczęli nosić ubrania draenei, łącząc je z tradycyjnymi tunikami i wąskimi spodniami.

Gul’dan wiedział, że wielu zastanawiało się, dlaczego nie on – albo Ner’zhul – zamieszkał w mieście. Gul’dan uważał tę opcję za kuszącą, ale jego pan dobrze mu poradził. Proste codzienne przyjemności i wygody miały

swój urok, lecz władza była słodsza. Im mniej Gul’dan zagarniał dla siebie publicznie, tym większe będą jego potajemne bogactwa. Kil’jaeden go nie zawiedzie, tak długo, jak długo Gul’dan wykonywał polecenia. Do miejsca, które teraz nazywał domem, trafiły: ogromny i okrągły stół z drewna wyłożony lekko lśniącymi muszlami i kamieniami wraz z równie pięknymi krzesłami.

Gul’dan podszedł do stołu i przesunął dłońmi po wypolerowanej powierzchni. Wystarczyło tylko wezwać tych, którzy, jak wierzył, odpowiedzą na to wezwanie. Kilka imion przyszło mu do głowy natychmiast. Inne dopiero po długim namyśle. Ale w końcu ułożył listę na tyle długą, by była wyczerpująca, i na tyle krótką, aby można ją było… opanować.

Szybciej, o wiele szybciej niż śmiałby marzyć, powstanie Rada Cienia. Podczas gdy na zewnątrz Gul’dan pracował nad rozwojem całej rasy, obdarzał ją mocą i pozwalał wyeliminować wroga, jakim uczynił draenei, to w tajemnicy garstka orków niemal tak skorumpowana, tak samo spragniona władzy jak on sam będzie pociągać za sznurki.

Nie chodziło wcale o orków jako rasę.

Nigdy nie chodziło o orków jako o rasę.

Chodziło o władzę, potęgę, o jej zyskanie, używanie i zachowanie. Ner’zhul nigdy tego nie rozumiał. Lubił władzę, ale nie chciał karmić jej tym, czego chciała. Nie chciał zakończenia, jakiego żądał Kil’jaeden.

Kłamstwa, oszustwa, manipulacje… Nawet Blackhand, który sądził, że Gul’dan wtajemniczył go w swoje plany, nie uświadamiał sobie ogromu ambicji szamana. A ta była równie wielka jak pragnienie Kil’jaedena, by zniszczyć draenei. Sięgała granicy nieba, była tak głęboka jak oceany i tak ostra jak najstraszniejszy głód.

Gul’dan gardził Ner’zhulem, gdy starszy szaman będący kiedyś jego mentorem siedział skulony w kącie. Jego spojrzenie powędrowało do płonących ślepi Kil’jaedena i wielka istota skinęła głową.

– Wezwij ich – powiedział ten najwspanialszy z uśmiechem, który odsłonił białe ostre zęby. – Przyjdą, jeśli ty ich wezwiesz, i zatańczą, jak im zagrasz. Już ja tego dopilnuję.

*

Sojusznicy.

Potrzebowali sojuszników.

Gul’dan zastanawiał się, dlaczego Kil’jaeden nie zdołał tego przewidzieć. Orkowie byli potężni, szczególnie gdy odpowiednio ich kontrolowano i prowadzono. Długie miesiące, a teraz już ponad rok, gdy trwała ta wojna, uczyniły ich jeszcze potężniejszymi. Najtęższe umysły pracowały nad zrozumieniem technologii draenei. Rozpoczęto budowę fortecy, którą Gul’dan nazywał Cytadelą, gdzie można będzie zakwaterować całą armię i tam ją szkolić i wyposażać. Nigdy wcześniej orkowie nie próbowali czegoś takiego i Gul’dan nie posiadał się z dumy, że oto on coś takiego zaproponował. Wśród orków byli wojownicy, szamani, to znaczy teraz oczywiście czarnoksiężnicy, byli i uzdrowiciele, i rzemieślnicy. Zadania trzech pierwszych grup były raczej oczywiste i stwarzały niejedną okazję, by praktykować swe umiejętności. Rzemieślnicy przykładali rękę do potęgi orków w inny sposób, tworzyli zbroje i broń, wznosili budynki, by wesprzeć tych, którzy w chwale zabijali draenei, póki ich ciała nie stały się lepkie od krwi.

Niektórzy nazwaliby rzemieślników orkami niższej klasy. Gul’dan też tak uważał w głębi ducha. Ale był na tyle mądry, by doceniać ich pracę. Chociaż nie przynosiła im chwały ani nawet uznania, była równie niezbędna co chęć wojowników do walki albo czarnoksiężników do opanowywania kolejnych klątw. Zatem Gul’dan zrobił całe przedstawienie z nagradzania i chwalenia rzemieślników, czego pozytywnym efektem był ich zapał do pracy.

Ale mimo że każdy członek każdego klanu pracował tak ciężko, jak mógł, a Gul’dan miał szpiegów w każdej społeczności, czarnoksiężnik wiedział, że to nie dość. Zajęcie Telmoru okazało się zaskakująco proste i niesamowicie poprawiło morale w orczej armii. Jednakże Gul’dan rozumiał, że zwycięstwo Horda zawdzięczała głównie szczęśliwemu przypadkowi. Nikt w tym ukrytym mieście nie spodziewał się ataku. Uważali, że są całkowicie bezpieczni, chronieni magią zielonego kamienia, który Gul’dan nazwał Cieniem Liści. Nie mieli szans na kolejne równie łatwe zwycięstwo. Jak mogliby…

– Ogry… – powiedział z namysłem. Postukał paznokciem w wystający podbródek. – Ogry…

*

– Nigdy! – krzyknął Blackhand.

Dopadł do Gul’dana w dwóch susach i pochylił się wściekły nad mniejszym orkiem. Gul’dan potrzebował całej swej odwagi, by się nie cofnąć, gdy olbrzym zbliżył wykrzywioną z wściekłości twarz do twarzy czarnoksiężnika.

– No, dajże spokój, Blackhandzie – mitygował go Gul’dan. – Nie złość się, tylko posłuchaj, co ci powiem. Bowiem to ty odniesiesz największą z tego korzyść.

To dotarło do wojownika. Balckhand warknął, prychnął i cofnął się o krok. Gul’dan robił, co mógł, by ukryć ulgę, jaką poczuł.

– To plugastwo – mruknął wojownik. – Od dawna byliśmy wrogami ogrów. Dłużej niż draenei i z istotniejszych przyczyn. Jak mam mieć z tego korzyści?

Przechodzi od razu do sedna – zauważył Gul’dan z satysfakcją. Właściwie ocenił Czarnorękiego.

– Wciąż słychać pomruki, że nie zostałeś wybrany uczciwie – odparł Gul’dan. – Jeśli w tym wypadku odniesiesz sukces, doda to chwały twemu imieniu.

Blackhand zmrużył oczy.

– Może i tak – przyznał. – Ale czy orkowie się na to zgodzą?

Gul’dan pozwolił sobie na uśmieszek.

– Zrobią to, co im powiem – zapewnił.

Blackhand odrzucił głowę i ryknął śmiechem.

*

Orgrim niepewnie przestąpił z nogi na nogę, popatrując na swego wodza. Gdy Blackhand wyjaśnił, co zamierza zrobić, Orgrim zaprotestował żywiołowo. Niezliczoną ilość razy dołączał do łowców walczących z ogrami, próbujących wyeliminować zagrożenie ze strony tych potworów. Orgrim polował na nie częściej niż inni orkowie, dla niego bowiem była to wręcz

sprawa osobista. Nigdy nie zapomniał, że przed laty uciekł przed jednym z tych ogromnych stworów o grubych czaszkach.

A teraz Blackhand proponował coś takiego.

Ale Orgrim wiedział, że bez względu na to, jaki był jego wódz – a ten prezentował sobą cały szereg cech i poglądów, które nie podobały się Orgrimowi – to jednak był naprawdę dobrym strategiem. Plan był jak najbardziej przemyślany i miał szansę powodzenia, o ile tylko dało się go ocenić bez emocji. I w końcu Orgrim zgodził się go poprzeć.

Uzyskanie informacji było jednak niełatwe. Czarne Skały pochwyciły trzech ogrów i spędziły sporo czasu na rozmowę z użyciem stosownie niewielkiego zasobu słów, by wyłożyć swój punkt widzenia tym zwodniczo kluchowatym stworzeniom, zanim te zrozumiały, w czym rzecz, i zaczęły współpracować. Teraz każdy wojownik, czarnoksiężnik i uzdrowiciel stał gotowy do bitwy.

Ogry powiedziały orkom, gdzie znajdowali się ich władcy, i zaprowadzili wojowników do tego miejsca u podnóża łańcucha Ostrogrzbietów. Nie próbowali się nawet ukryć. Okolicę zaśmiecały odpadki, wśród których dało się dostrzec liczne ślady bosych ogrzych stóp. Niewątpliwie gronnowie uważali, że są bezpieczni jak draenei w Telmore, i jeszcze rok wcześniej mieliby rację. Ale wiele zmieniło się w tym czasie. Orkowie nie stanowili już odrębnych klanów, lecz zjednoczoną siłę gotową zapomnieć o dawnych urazach na rzecz nowej nienawiści.

Blackhand znajdował się na przedzie między trzema ogrami. Za nim stali jego synowie, Rend i Maim, którzy prowadzili cichą rozmowę od czasu do czasu przerywaną chrapliwymi śmieszkami. Początkowo Orgrim był przeciwny temu, by chłopcy stanęli do walki, ale okazali się silniejsi i lepsi, niż przypuszczał. Brakowało im przebiegłości ojca, choć niewątpliwie odziedziczyli jego żądzę krwi. Griselda też szkoliła się do walki, ale nauka nie przychodziła jej równie łatwo co chłopcom. Otrzymali odpowiednie imiona: Rend i Maim. Rwij i Rań. Ojciec rzucił im gniewne spojrzenie i natychmiast spoważnieli.

Orgrim zastanawiał się, czy Blackhand wygłosi przemowę. Miał nadzieję, że nie. Blackhand najlepszy był w działaniu, nie w przemawianiu, a jego klan

okazał się bardziej niż gotowy, by ruszyć za jego przewodnictwem. Ku uldze Orgrima Czarnoręki spojrzał przez ramię na morze wojowników, skinął głową raz i dał rozkaz do ataku.

Pierwsza fala ruszyła z dzikim wrzaskiem i pomknęła w dół zbocza. Początkowo ogry były tak skonfundowane na widok trzech swych pobratymców w sojuszu z orkami, że tylko stały i właściwie pozwoliły, by je zarżnięto. Wtedy ich powolne mózgi zaczęły przyswajać, że oto ich kryjówka została zaatakowana. I ruszyły do walki. Jednak nie tykały swych pobratymców, którzy przedarli się przez szeregi, by porozmawiać z dowództwem straży, znajdującym się gdzieś w głębi jaskini.

Orgrim zamierzał cieszyć się ostatnim zabijaniem ogrów i wywijał Doomhammerem niemalże z radością. Jego wilk był szybki i błyskawicznie skakał pomiędzy grubymi jak pnie drzew nogami ogra, który ryczał bezradnie i wściekle machał maczugą. Orgrim pamiętał, jak wielkie wydawały mu się te istoty z perspektywy dziecka – nadal były ogromne, ale on już nie był mały i władał legendarną bronią z ogromną wprawą i umiejętnością. Ukruszył ogrowi piszczel, a stwór zaryczał boleśnie. Wilk Orgrima odskoczył z gracją, gdy wielki ogr uderzył w ziemię z takim impetem, że ta aż zadrżała. Próbował się dźwignąć, odepchnąć od ziemi wielkimi tłustymi łapskami, ale wtedy zaroiło się wokół od innych Czarnych Skał. Ogr pożegnał się z życiem szybciej, niż Orgrim był w stanie to zaobserwować. Truchło krwawiło z tuzina ran.

Orgrim obrócił się błyskawicznie – w samą porę, by zobaczyć, jak jeden z orczych wojowników szybuje w powietrzu, wyrzucony jednym ciosem potężnej ogrowej maczugi. Warcząc wściekle, Orgrim rzucił się do ataku na morderczego potwora, jednak okrzyk: „Stać! Stać!”, powstrzymał go w pół kroku.

Był to widomy dowód na to, jak potężną osobowość miał Blackhand, że nawet w takiej chwili, gdy wojownicy znajdowali się w mocarnych szponach żądzy krwi i pochłonęło ich zabijanie odwiecznych wrogów, zdołali powstrzymać swój oręż. Ogry nie, przynajmniej nie od razu. Orgrim błyskawicznie oddalał się od pola bitwy, czekając, aż do powolnych ogrzych mózgów dotrze, że walka się skończyła. A ta świadomość była bardzo

bolesna. To wszystko dla dobra ogółu, Orgrimie – powiedział sobie w duchu.

Zerknął przez ramię i zobaczył, że te ogry, które w pewnym sensie zaprzyjaźniły się z Czarnymi Skałami, rozmawiają ze swoimi pobratymcami. Czy raczej na nich ryczą, od czasu do czasu waląc potężną łapą jednego czy drugiego. Ale przynajmniej tamte zaniechały pogoni za uciekającymi orkami i zdawały się słuchać. Jeden z nich, roślejszy od pozostałych, obleczony w coś, co można było uznać za oficjalny strój, wydawał się posiadać mózg większy niż reszta. Orgrim nie był w stanie zrozumieć plugawych stworów, wykorzystał zatem przerwę w starciu, by zaczerpnąć oddechu i napić się wody.

– Nie mogę się doczekać, kiedy znów będziemy ich zabijać – oświadczył Rend.

Orgrim zerknął na najstarszego syna Czarnorękiego.

– Jeśli nam się uda, to będą walczyć po naszej stronie – odparł Orgrim. – Nie wolno wam będzie ich zabijać.

Maim tylko splunął.

– He, jasne. Zabijemy po cichu.

Orgrim się skrzywił. Sam nie pragnąłby niczego innego, ale…

– Kilku naszych już poległo, próbując urzeczywistnić plan waszego ojca. Nie spodoba mu się, że działacie wbrew jego wysiłkom.

Rend uśmiechnął się pogardliwie.

– A kto mu powie?

– Ja. Jeśli to się uda, jeśli nas posłuchają, a potem znajdziemy któregoś martwym, to od razu mu wspomnę o was.

Rend rzucił mu wściekłe spojrzenie spode łba. Na razie był tak młody, że wyglądało to jak dziecięce dąsy, ale Orgrima natychmiast tknęły złe przeczucia. Nigdy nie lubił Blackhanda, jego dzieci jeszcze mniej, może z wyjątkiem Gryzeldy. Nie wiedział, czy to z powodu ich wychowania, czy wymuszonej dorosłości, ale w obu wyczuwał ciemność. Kiedyś, gdy dojrzeją i nauczą się używać umysłu tak jak potężnych mięśni, Rend i Maim będą jeszcze bardziej niebezpieczni niż ich ojciec.

– Mówiłem, że on nie posłucha, Rendzie – stwierdził naburmuszony Maim. – Stary zapomniał już, jak to jest, gdy żądza krwi szumi w żyłach. Chodźmy.

Rend posłał Orgrimowi ostatni grymas odrazy i poszedł za bratem. Orgrim westchnął. Miał teraz większe problemy niż dwóch zbuntowanych młodzików. Skupił się na negocjacjach, choć był pewien, że żaden z ogrów nie wiedział, co to słowo znaczy. Przestały atakować. Blackhand, który uciekł z pola walki tak jak jego wojownicy, teraz zawrócił wilka i zbliżył się do zebranych ogrów. Orgrim podjechał do wodza, akurat by usłyszeć, jak przywódca ogrzej straży oznajmia:

– My nie lubią gronn. Gronn krzywdzi.

Skinął na innego ogra, który odwrócił się, by zaprezentować orkom swój grzbiet. Orgrim zobaczył liczne przecinające się blizny. Poczuł ukłucie litości dla tej istoty. Ogry przez dekady czyniły orkom o wiele większą krzywdę. Jednak była to użyteczna informacja. Pojmane ogry mówiły coś podobnego, teraz kiwały głowami, jakby wykazały się wielką mądrością.

– Co wy dają my, gdy my dołączają? – zapytał dowódca straży.

Balckhand uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zęby.

– No cóż, przede wszystkim nie zabijemy was. – Orgrim natychmiast pomyślał o rodzonych synach Blackhanda, ale nic nie powiedział. – Dopilnujemy, byście mieli pełne brzuchy i broń – mówił dalej Czarnoręki, a Orgrim poczuł ulgę, że wódz nie obiecał im zbroi. Na jednego ogra trzeba by materiałów, z których można było sporządzić zbroje dla trzech orków. I na szczęście strażnik, choć należał do tych bardziej inteligentnych ogrów, wciąż nie był na tyle bystry, by samemu o zbroi pomyśleć.

– Dostaniecie jedzenie i schronienie i będziecie mogli mieć tę przyjemność i rozgniatać draenei na małe mokre plamy w trawie.

Inne ogry słuchały uważnie i teraz jeden z nich podskoczył absolutnie zachwycony.

– Ja rozgniatać! – zaryczał radośnie.

Inne podchwyciły tę prostą, ale wyraźnie wybitnie zabawną frazę. Blackhand odczekał, aż ich entuzjazm osłabnie nieco.

– Czy się zgadzacie?

Dowódca ogrów kiwnął głową.

– Więcej nikt nie krzywdzi ogry! – zadudnił i odwrócił się do tych, którym przewodził. Jego maleńkie oczka lśniły łzami i gdy teraz Orgrim spoglądał na

ogry o grzbietach poznaczonych bliznami, czuł dla nich odrobinę litości. Odrobinę.

– Jak masz na imię? – zapytał nieoczekiwanie przywódcę ogrów.

Stwór skupił na nim uwagę.

– Krol – odparł.

– A zatem, Krolu – wtrącił Blackhand, zanim jego przyboczny zdołał powiedzieć coś jeszcze. – Kiedy powinniśmy poprowadzić wspólny atak?

– Teraz – powiedział i nie czekając na dalsze słowa Orgrima i Blackhanda, ryknął coś do ogrów w ich ohydnym języku.

Ogry zaczęły skakać, aż się ziemia trzęsła. Po czym wszystkie ruszyły z powrotem do jaskini. Blackhand spojrzał na Orgrima, ten zaś tylko wzruszył ramionami. Jego zdaniem łatwiej byłoby powstrzymać powódź niż tych durnych, prostych gigantów.

– Wezwij ich – polecił Blackhand.

Orgrim wyciągnął róg z kości racicznika. Orkowie zakrzyknęli radośnie i ruszyli do szarży.

Nie było czasu, by przypominać Czarnym Skałom o planie. Orgrim miał nadzieję, że wojownicy będą pamiętać, co mają zrobić, szczególnie nadgorliwi Maim i Rend. Czekało ich zabijanie ogrów – oby tylko zabijali te właściwe.

Bo jeśli nie, jeśli dadzą olbrzymim stworom powody do zwątpienia w ten szczególny sojusz, to dzieci, starcy i kobiety pozostawieni w obozie będą wszystkim, co zostanie z Klanu Czarnej Skały.

Orgrim wdział przyszłość w ciemnych barwach. Czarne Skały stawały się nieustępliwe w trakcie polowania, Blackhand był zasadniczo niewiele więcej jak przebiegłym dzikusem, a do tego Orgrim zaobserwował, że jakaś szaleńcza furia zaczynała brać we władanie wszystkie klany. Gdy zawrócił wilka, by ruszyć w głąb jaskini z innymi członkami klanu, pomyślał, że chyba wzrok go zawodzi.

Zielonkawy odcień skóry orków pędzących obok musiał być jedynie sztuczką światła.

Rozdział siedemnasty

Dom.
Bez względu, do jakiej należysz rasy, to słowo, ta idea sprawia, że serce tętni ci tęsknotą. Domem mogą być ziemie twoich przodków albo nowe miejsce, które tym domem się uczyniło. Dom można odnaleźć w oczach ukochanej osoby. Jednak wszyscy za nim tęsknimy, wszyscy go pragniemy, bez niego bowiem jesteśmy niekompletni.

Przez wiele lat każdy z klanów miał własny dom. Własne święte ziemie, własnego ducha ziemi, powietrza, wody, ognia i dziczy. Wyrywanie korzeni zaczęło się i trwało coraz bardziej gwałtownie, coraz bardziej dojmująco, póki nie trafiliśmy do Kalimdoru. Tutaj znalazłem dom dla błąkającego się ludu. Miejsce odpoczynku, sanktuarium. Miejsce, gdzie moglibyśmy odpocząć, przegrupować się i odbudować.

Dom dla mnie został nazwany po moim ojcu: Durotar.

Durotan uniósł głowę i powęszył w powietrzu. Jego nozdrza wypełniła woń jakby kwaśna, podobna do zapachu kurzu i wysuszenia, nie woń spalenizny, choć podobna. Kiedyś Drek'Thar był w stanie wyczuwać zapachy lepiej od swego wodza, ale te dni minęły. Teraz nie był już szamanem, ale czarnoksiężnikiem. Wiatr nie zawieje na jego prośbę, niosąc zapachy i informacje tak czytelne, jakby zapisane na pergaminie. Co gorsza, zarówno Drek'Thar, jak i inni czarnoksiężnicy klanu zdawali się tym zupełnie nie przejmować.

Deszcz nie spadł od dłuższego czasu, lato było wyjątkowo upalne. To już drugie lato z rzędu, gdy opadów było jak na lekarstwo, o ile w ogóle zdarzał

się jakikolwiek deszcz. Durotan wiedziony kaprysem schylił się i przegarnął glebę palcami. Z łatwością zagłębiły się w pyle. Ziemia kruszyła się pod jego dotykiem, w mgnieniu oka zmieniając się w piach, który nie wyżywiłby żadnej trawy, nie utrzymałby żadnego zboża. Uciekała z dłoni niczym woda.

Durotan wyczuł zbliżającą się Drakę, ale nie odwrócił się w jej stronę. Jej ramiona owinęły się wokół jego talii, a Draka przycisnęła się do jego pleców. Trwali tak przez długą chwilę, wreszcie uścisnąwszy go mocno, wypuściła go z objęć i stanęła obok. Durotan otrzepał dłonie.

– I tak nigdy nie polegaliśmy tak bardzo na tym, co możemy wyhodować – powiedział cicho.

Draka spojrzała na niego ciemnymi, pełnymi zrozumienia oczami. Serce go bolało, gdy na nią spoglądał. Pod wieloma względami była od niego lepsza, ale była jedynie partnerką wodza, nie wodzem, nie musiała podejmować trudnych decyzji, które stały się jego udziałem. Decyzji, które sam podjął.

– Zawsze żywiliśmy się głównie tym, co upolowaliśmy – przyznała mu rację. – Ale zwierzęta, na które polujemy, żyją z tego, co wyrośnie na glebie. Wszyscy jesteśmy połączeni. Szamani o tym wiedzieli.

Zamilkła, gdy spiesznie minął ich jeden z młodszych czarnoksiężników, za nim podążała, podskakując, niewielka istota. Gdy minęła parę orków, odwróciła się, by spojrzeć na Drakę, i uśmiechnęła się, pokazując liczne ostre zęby. Draka nie zdołała powstrzymać wzdrygnięcia.

Durotan westchnął i podał jej zwój pergaminu.

– Właśnie to dostałem. Musimy przygotować się do długiego marszu. Musimy opuścić nasze ziemie.

– Co?

– Rozkazy Blackhanda. Przeniósł się do tej nowej Cytadeli, którą dla niego zbudowali, i chce tam mieć swoją całą armię. Nie wystarczy już, żebyśmy łączyli się przed wyprawą czy bitwą. Musimy żyć razem i być gotowi ruszyć za Czarnorękim tam, gdzie on nas poprowadzi.

Draka stała, wpatrując się weń z niedowierzaniem, wreszcie spojrzała na zwój, przeczytała szybko list, po czym zwinęła pergamin i oddała Durotanowi.

– Lepiej się zatem przygotujmy – powiedziała cicho, po czym wróciła do

ich namiotu.

Popatrzył za nią, zastanawiając się, dlaczego na ten widok pęka mu serce.

*

Cytadela nie została jeszcze ukończona, ale gdy Durotan ją zobaczył, zatrzymał się jak wmurowany. Słyszał rozlegające się za jego plecami pomruki.

– Tak potężna!

– Taka wielka!

– Godna wodza wojennego!

Gdyby Durotan się odezwał, jego słowa brzmiałyby: „Bluźniercza skaza na ziemiach tej krainy. Zaprzeczenie wszystkiego, czym jesteśmy”.

Klan Mroźnego Wilka miał jeszcze trochę do celu swej podróży, ale Cytadela już była widoczna na horyzoncie jak siedzący sęp. Nic w jej zarysach nie przypominało orczych budynków. Budowla, ten wzniesiony z kamienia koszmar, obraza dla oka i duchów, większa była nawet niż budynki draenei. Oczywiście Durotan znał jej przeznaczenie i zdawał sobie sprawę, że musi być wielka, skoro miała stać się domem elity orczych wojowników. Niemniej jednak i tak spodziewał się czegoś innego.

Zamiast miękkich, gładkich linii charakterystycznych dla budynków draenei, forteca straszyła ostrymi zębami i poszarpanymi krawędziami. Nie współistniała z krajobrazem, ale nad nim dominowała. Wzniesiona z czarnego kamienia, poszarpanego drewna i metalu, zdawała się wygrażać niebu. Durotan wiedział, że na razie z uwagi na odległość zobaczył jedynie główną wieżę, ale i tak miał dość. Stał jak wrośnięty w ziemię, wszystko w nim bowiem wzdragało się przeciwko uczynieniu kolejnego kroku w stronę tej potworności.

Wymienili z Draką wymowne spojrzenia. Czy tylko oni to dostrzegli?

Mroźne Wilki szły naprzód, mijając swego wodza, w końcu on również niechętnie ścisnął kolanami boki wierzchowca i do nich dołączył.

Z bliska Cytadela nie wyglądała ani odrobinę bardziej zachęcająco. Teraz Durotan widział już inne budynki: koszary, magazyny do przechowywania jedzenia, rozległą płaszczyznę terenów treningowych, gdzie tłoczyły się wielkie machiny wojenne, jakich Durotan dotąd nie widział. One również sprawiały wrażenie mrocznych, niebezpiecznych i grożących śmiercią.

Przedstawiciele Klanu Czarnej Skały i kilku innych powitali Durotana niedbale i skierowali Mroźne Wilki ku płaszczyźnie w zachodniej części, gdzie mogli rozbić swe namioty. Zbliżał się już zmierzch, gdy Durotana wezwano, by stawił się na dziedzińcu Cytadeli wraz z kilkoma innymi Wilkami. Grupa około dwudziestu orków przeszła na wskazane miejsce i czekała.

Najpierw usłyszał odległe bicie bębnów. Spiął się cały. Poinstruowano ich z naciskiem, by nie przynosili broni, tylko przyszli i czekali… nie

powiedziano im na co. Draka spojrzała na swego partnera niespokojnie. Ale Durotan nie mógł jej pocieszyć. Sam nie miał pojęcia, co ich czeka.

Bębnienie coraz bardziej się zbliżało. Durotan czuł, jak wibruje ziemia pod jego stopami. Nie było to nic dziwnego, gdy stanęło się w kręgu utworzonym przez bębny, ale z takiej odległości? Usłyszał niespokojne pomruki swych towarzyszy i wiedział, że nie tylko on poczuł ukłucie obawy.

Ziemia nadal drżała Wibracje przybierały na sile. Nagle Durotan zobaczył dwóch zbliżających się jeźdźców z Klanu Czarnej Skały. Wyglądali na rozradowanych.

– Nie obawiajcie się, dumni członkowie Hordy! – zakrzyknął jeden z nich. – Oto nadchodzą nowi sojusznicy, którzy dołączą do naszych szeregów za sprawą mocarnego Blackhanda! Powitajcie ich!

Było coś znajomego w tym drżeniu ziemi. Czegoś podobnego Durotan doświadczył raz, gdy walczył…

– Ogry! – krzyknał ktoś.

I w istocie, wódz Mroźnych Wilków mógł je już zobaczyć. Dziesiątki wielkich stworów maszerowały zdecydowanie ku zebranej grupie orków. Pojawiło się też więcej Czarnych Skał na wilkach – nie przestawały krzyczeć i triumfująco dąć w rogi. Tłum szalał z zachwytu, wrzeszczał, tańczył i wiwatował radośnie.

To byli ci nowi sojusznicy? Durotan nie mógł uwierzyć własnym oczom. I gdy tak stał i gapił się osłupiały i oniemiały, pojawił się największy ogr, jakiego dane mu było oglądać w życiu. Obok potwora jechał sam Blackhand, a jego ruchy były tak przepełnione dumą, jakby gigant nie czynił Czarnorękiego małym jak dziecięca zabawka.

– Zgnieciemy draenei! – zaryczał i jakby był to umówiony znak, maszerujące ogry podjęły okrzyk.

– Zgnieciemy! Zgnieciemy! Zgnieciemy!

Oszołomionemu Durotanowi przez chwilę wydało się, że jest dzieckiem, które umyka co sił przed potworem. Mrugnął niepewnie i nagle przed oczyma znów miał mocarne ramiona ojca, połamane i zgniecione, krew spływającą z jego zmiażdżonych piersi, czaszkę rozkruszoną z łatwością niczym orzech jednym ciosem ogrzej maczugi.

Orkowie będą walczyć ramię w ramię z tymi potwornymi stworami o słabym umyśle, by zniszczyć inteligentną i pokojową rasę.

Świat oszalał.

*

Velen zadrżał. Jego asystent znalazł się przy nim natychmiast, oferując ciepły, kojący napój, ale Prorok zbył go gestem. Żaden napój nie mógł poprawić jego samopoczucia. Chyba nic nie mogło sprawić, by poczuł się lepiej.

Opłakiwał upadek Telmoru, gdy tylko dotarły doń wieści o tej tragedii. Opłakiwał Restalaana, drogiego przyjaciela, który zginął wraz z miastem. Ból był tym dotkliwszy, gdy usłyszał, jak dokonano ataku. Velen dostrzegł coś wyjątkowego w Durotanie, gdy ten jeszcze był dzieckiem. Potem utwierdził się w tym przekonaniu. A teraz doszło do czegoś takiego. Durotan i Orgrim byli jedynymi orkami, którzy poznali tajemnice zielonego kamienia i ochrony, jaką roztaczał nad miastem. Jeden z nich musiał zapamiętać. Uratowała się zaledwie garstka draenei, którzy uciekli do Świątyni Karaboru. Opatrzono ich rany, ale Velen nie mógł uczynić nic, co uleczyłoby ich strzaskanego ducha.

Ale to był dopiero początek złych wiadomości. Uciekinierzy opowiadali, że zniszczenia miasta dokonano nie tylko za pomocą prostych łuków, toporów i włóczni. Cichymi, pełnymi obaw głosami opowiadali o zielonoczarnych pociskach niosących straszliwe cierpienie i mękę poza wszelkim wyobrażeniem. Dotąd szamani nie byli w stanie tak dręczyć i torturować swych wrogów. Mówili o istotach bełkoczących, podskakujących u stóp tych, którzy władali magią splecioną z agonii i tortur.

Mówili o man’ari.

I nagle wiele kawałków układanki zaczęło pasować do siebie z przerażającą logiką. Niespodziewane i nieracjonalne ataki orków. Ich nieoczekiwane postępy technologiczne i nowe umiejętności. A nawet fakt, że odrzucili szamanizm, religię opartą na relacji między żywiołami a tymi, którzy władali ich mocą. Ci, którzy władali man’ari, nie szukali równowagi ani harmonii – ich celem była dominacja.

Tak jak celem Archimonde’a i Kil’jaedena.

Orkowie byli jedynie pionkami w rękach eredarów. Velen wiedział, że to on i reszta draenei, reszta wygnanych byli jego prawdziwym celem. Orcza Horda została teraz wzmocniona istotami o niesamowitej potędze, stała się narzędziem Kil’jaedena do zniszczenia dawnego przyjaciela. Przez krótką chwilę Velen rozważał, czy nowy przywódca Hordy nie posłucha głosu rozsądku i nie stanie u boku draenei w walce przeciwko Kil’jaedenowi. Szczególnie gdy dowie się, jak został wykorzystany. Jednak zaraz odrzucił tę myśl. Istniało spore prawdopodobieństwo, że ci, którzy byli wykorzystywani przez Kil’jaedena, znali prawdziwą naturę i cel eredara, a obietnica władzy okazała się dla nich wystarczająco wiarygodna i kusząca. Już Archimonde i Kil’jaeden jej ulegli, a byli o wiele starsi, silniejsi i mądrzejsi niż jakikolwiek ork.

I jakby tego było mało, Velen miał wizję. Wizję wielgachnych ogrów sprzymierzonych z orkami. Jeszcze niedawno uznałby tę wizję za koszmar po zbyt obfitym posiłku. Teraz wiedział, że to prawda. Coś zmieniło się w samej naturze orków tak drastycznie, tak nieodwracalnie, że teraz zawiązali sojusz ze stworzeniami nienawidzonymi przez wieki, przeciwko draenei, z którymi łączyła ich ostrożna przyjaźń niemalże równie długo.

Gdyby to stało się gdzie indziej, reakcja byłaby prosta. Velen zebrałby swych ludzi i uciekł pod ochroną naaru. Ale statek się rozbił. K’ure konał i przed Hordą nie było ucieczki, trzeba było stanąć do walki i modlić się, że jakimś sposobem, jakimś cudem zdołają przetrwać.

K’ure, mój drogi przyjacielu. Jak bardzo brak mi twej mądrości i jakże gorzka jest świadomość, że znajdujesz się w rękach wroga, który nie zdaje sobie sprawy z tego, że istniejesz.

Trzymał kamień nazwany Pieśnią Ducha blisko swego serca i czuł delikatne, najdelikatniejsze drgnienia myśli umierającego naaru. Zamknął oczy i skłonił głowę.

*

Gul’dan rozglądał się po pomieszczeniu z pełną satysfakcją. Wszystko rozwijało się tak, jak to sobie zaplanował. Rada Cienia spotykała się już od jakiegoś czasu i jak na razie Gul’dan pozostawał przekonany, że dobrze wybrał jej członków. Wszyscy byli gotowi – nie, nie gotowi, pełni chęci, by odwrócić się plecami do swego ludu dla zaspokojenia własnych korzyści i ambicji. Tyle już zdołali osiągnąć dzięki swej marionetce, orkowi głupiemu na tyle, że uwierzył, iż stanowi część Rady Cienia, podczas gdy był tylko wykonawcą i przekaźnikiem jej woli. Bez trudu zdołali uczynić go wodzem wojennym i póki kiwali głowami z aprobatą i uśmiechali się do niego przez tych kilka chwil, gdy brał udział w spotkaniach, nie miał żadnych wątpliwości co do swej pozycji. Jednak prawdziwe spotkania zaczynały się dopiero po tym, jak Blackhand je opuszczał, wysłany na jedną czy drugą misję, od czego jego wielka pierś wydymała się dumą.

– Witajcie – rzekł Gul’dan, zajmując swoje miejsce na szczycie stołu. Jak zawsze Ner’zhul czaił się w kącie. Nigdy nie zapraszano go, by usiadł z członkami Rady, ale pozwalano mu słuchać ich dyskusji. Działo się tak na wyraźne życzenie Kil’jaedena i podczas gdy sam Gul’dan nie był pewien, dlaczego jego dobroczyńca tak zarządził, niczego nie pragnął więcej jak łaski Kil’jaedena, spełniał więc rozkazy co do joty.

Członkowie Rady wymruczeli pospieszne pozdrowienia i Gul’dan przeszedł do rzeczy.

– Jak rozmaite klany reagują na nasz sojusz z ogrami? Kargath, zacznijmy od ciebie.

Wódz Klanu Strzaskanej Dłoni uśmiechnął się szeroko.

– Pragną przede wszystkim rozlewu krwi, nie dbają o to, kto pomaga im podrzynać gardła draenei.

Chrapliwy śmiech wypełnił jaskinię, gdy wielu członków Rady potakiwało, słysząc słowa Kargatha. Gul’danowi wydało się, że w przyćmionym świetle pochodni ich oczy płoną pomarańczowo. Jednak na niektórych twarzach odmalowało się niezadowolenie. Kilku orków nie dołączyło do tego wybuchu wesołości.

– Słyszałem protesty wśród wojowników Klanu Białego Szpona – rzekł jeden z nich. – Durotan z Mroźnych Wilków nadal przygląda się wszystkiemu wyjątkowo uważnie, choć to on poprowadził atak na Telmor.

Gul’dan uniósł dłoń.

– Bez obaw. Już od jakiegoś czasu to ja przyglądam się jemu.

– Dlaczego nie można go wyeliminować? – warknął gniewnie Kargath. – Nietrudno byłoby zastąpić go kimś, kto bardziej odpowiada naszym planom. Durotan zaczyna słynąć z tego, że nie zgadza się z pozycją Blackhanda, no i twoją.

– I dlatego właśnie chcę, by pozostał przy życiu – odparł Gul’dan, uważnie obserwując zebranych, by dowiedzieć się, kto pojął jego zamysły bez dalszych wyjaśnień. Dostrzegł zrozumienie na kilku twarzach, inne zaś wciąż krzywiły się ze złości. – Ponieważ wszyscy wiedzą, że jego entuzjazm jest umiarkowany – podjął Gul’dan, rozczarowany, że musi tę kwestię wyjaśniać – kiedy w końcu na coś się godzi, każdy, kto mógłby jeszcze wyrażać jakiś sprzeciw, idzie w jego ślady. On jest głosem wielu, którzy nie ośmielają się sami mówić, za to myślą tak: skoro Durotan się na to zgadza, znaczy wszystko w porządku. A jak wspomniał Kargath, Klan Mroźnego Wilka nie jest jedynym, który ma jakieś obiekcje.

– Ale… co, jeśli przyjdzie taki moment, że się nie zgodzi? Granica, której nie zechce przekroczyć?

Gul’dan uśmiechnął się lodowato.

– Wtedy rozprawimy się z nim tak, jak najlepiej się to nam przysłuży i nie narazi naszych wpływów na żadne ryzyko. – Uznał, że najwyższy czas zmienić temat. Pochylił się, kładąc obie dłonie na stole. – A skoro mówimy o tych, którzy mają jakieś zastrzeżenia: słyszałem, że wciąż są tacy, którzy próbują nawiązać kontakt z żywiołami i przodkami.

Jeden z członków Rady sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Próbowałem ich zniechęcić, ale nie wiem, jak miałbym ich karać. W końcu to przekonanie, że właśnie przodkowie chcą, byśmy zaatakowali draenei, to w ogóle umożliwiło – odparł nieco obronnie.

Gul’dan uśmiechnął się, dodając mu otuchy.

– W rzeczy samej, to była przynęta, którą połknęli tak głęboko. – Spojrzał

na Ner’zhula.

Starszy szaman spuścił oczy. To była przynęta, którą i on połknął, za to Gul’danowi wcale nie wydawała się atrakcyjna.

– Jednak nie ma już dłużej takiej potrzeby – orzekł Gul’dan. – Musimy się upewnić, że nikt nie wróci do tego, co było kiedyś. Jak dotąd nasza kampania była zwycięska, a z ogrami najpewniej taka pozostanie, ale jeśli staniemy w obliczu niepowodzeń, jakaś bitwa zakończy się naszą klęską, ci, którym nadal bliski jest szamanizm, mogą znaleźć chętnych słuchaczy i naśladowców. – Z namysłem postukał się po brodzie. – Musimy zrobić coś więcej, niż tylko wspierać czarnoksiężników. Musimy zniechęcić do szamanizmu. Jeśli przodkowie byliby rzeczywiście w stanie kontaktować się ze swymi potomkami, byłoby to dla nas wyjątkowo niefortunne.

Po raz kolejny spojrzał na Ner’zhula. Ten mógł porozmawiać z przodkami dopiero wtedy, gdy pojechał do świętej góry, i dopiero wówczas odkrył, że został oszukany. Do tego momentu nawet tak potężny szaman jak Ner’zhul został oszukany iluzjami.

*

Zanurzone głęboko w niematerialnym śnie unosiły się istoty stworzone ze światła. Miały wspomnienia tego, co było, czasem widziały przebłyski tego, co będzie. Od dawna tu mieszkały karmione przez Innego, który był jak oni, a zarazem nie był, i który, jak to wyczuły, znajdował się już daleko na drodze do powolnej śmierci. Do niedawna istnieli w tym stanie bycia i niebycia spokojni i cisi. Ale teraz nadeszły nienawiść, skażenie i niebezpieczeństwo. Nie mogli dotrzeć do śpiących bliskich. A śpiący nie przychodzili tu jak dawniej, by napełnić święte jezioro i nieświadomie utrzymywać Innego przy życiu. Tylko Wielce Oszukany przybył, szlochając i płacząc, ale zbyt głęboko został zwiedziony, by można mu było pomóc.

Nagle ich głęboki sen został zakłócony. Przeszyło ich drżenie. Ból ich rozdzierał, zakrzyknęli zatem, prosząc o pomoc Innego, który nie mógł im pomóc, albowiem nie mógł pomóc i sobie. Mroczne, przeklęte istoty, które kiedyś były ucieleśnieniem piękna, nadchodziły. Przodkowie wyczuli ich nadejście. Przybyli niepowstrzymani, złączyli swe siły i stworzyli pierścień

ciemności i oderwania wokół podstawy góry. Wyraźna ciemność biła od spaczonych istot, które poszły za wezwaniem Sargerasa, skuszone obietnicą władzy, karmione teraz obietnicą unicestwienia wszystkiego. Przodkowie wyczuli palącą, skupioną nienawiść, która przejawiała się jako zielonoczarna energia. Jej bicze chłostały wszystko niczym wściekłe macki szukające ohydnego przymierza. Wreszcie niepowstrzymane zacieśniły swój uścisk, aż sznur utkany z cieni nie zdławił góry, nie zamknął jej, uniemożliwiając wejście jakiemuś zagubionemu orkowi, wyjście jakiejś zabłąkanej duszy.

I teraz Inny zakrzyczał z żalu, gdy pierścień się zamknął. Albowiem bez szamanów i przynoszonej przez nich wody nie mógł nawet próbować się uleczyć. A bez Innego wkrótce nie będzie też przodków.

Dlatego tych kilku orków, którzy wciąż uważali się za szamanów, zadrżało, zaszlochało we śnie, który zmienił się w koszmar o nieuniknionej zgubie i nieskończonym cierpieniu.

Rozdział osiemnasty

Jestem przedstawicielem drugiej fali szamanów, tak jak jestem przywódcą drugiej i, o co się modlę, lepszej i mądrzejszej Hordy. Rozmawiałem z żywiołami i duchami i czułem, jak pracują w harmonii ze mną.

Ale nigdy nie widziałem duchów przodków, nawet we snach. Moja dusza tęskni za takim połączeniem. Do niedawna ci, którzy kroczą ścieżką szamanów, nie marzyli nawet o tym, że dane im będzie podążyć tą drogą, a jednak się udało.

Być może pewnego dnia bariera pomiędzy nami a naszymi ukochanymi zmarłymi również zostanie unicestwiona.

Być może.

Zastanawiam się jednak, czy gdyby wiedzieli, jak daleko odeszliśmy od tego, czego nas uczyli, cośmy uczynili w Draenorze, cośmy uczynili Draenorowi… może nawet teraz odwróciliby się od nas i zostawili własnemu losowi. I gdyby tak uczynili, nie mógłbym ich za to winić.

– Nie rozumiem – oznajmił Ghun.

Był najmłodszym z czarnoksiężników klanu i wciąż, jak stwierdził Durotan z zaskoczeniem i goryczą zarazem, idealistą. Wódz Mroźnych Wilków widział, jak Ghun marszczy nos na widok dziwnych stworów, które musiał wykorzystywać w walkach z draenei. Widział, jak twarz młodego czarnoksiężnika kurczy się z żalu, gdy patrzy na wroga wijącego się przed nim. Drek’Thar przyprowadził chłopca przed oblicze wodza, gdy Gul’dan ogłosił swoją deklarację.

– Co jest złego w nadziei, że pewnego dnia żywioły do nas wrócą i znów

będą z nami współpracować? I dlaczego nie mogę pójść do Oshu’gun?

Durotan nie miał dla niego odpowiedzi. Dekret głoszący, że nie wolno nikomu praktykować sztuk szamańskich, inaczej łamiących zakaz spotka surowa kara – wygnanie lub śmierć – wziął się jakby znikąd. Prawda, że wielu z tych, którzy kiedyś kroczyło szamańską ścieżką, porzuciło ją, gdy żywioły się od nich odwróciły. Ale co z przodkami? Dlaczego w chwili kryzysu i potrzeby Gul’dan zakazał orkom wypraw do ich najświętszego miejsca?

Ponieważ Durotan nie miał odpowiedzi dla młodzika, który na nie zasługiwał, ogarnęła go złość. Jego głos stał się chrapliwy i głęboki.

– Żeby pokonać draenei, nasz wódz wojenny zawarł rozmaite sojusze, a te dały naszym czarnoksiężnikom moc, którą i ty władasz. Nie łżyj, wiem, że cieszą cię rezultaty.

Długie, zaopatrzone w ostre szpony palce Ghuna nieustannie grzebały w ziemi. Czarnoksiężnik znalazł kamień i zaczął go podrzucać. Tymczasem Durotan zmarszczył brwi, przyglądając się skórze chłopaka. Suchość tego miejsca, trudne warunki, w jakich przebywali już blisko dwa lata, zaczynały się na nich odbijać. Zwykle gładka brązowa skóra okrywająca mocno zaznaczone mięśnie zrobiła się sucha i poczęła łuszczyć. Ghun podrapał odruchowo wysuszone miejsce. Durotan spoglądał na nową skórę, którą odsłonił ten gest.

Miała zielonkawą barwę.

Przez chwilę bezmyślna, czysto zwierzęca panika pochwyciła Durotana w swoje sidła. Zmusił się do spokoju i spojrzał raz jeszcze. Nie było mowy o pomyłce – skóra naprawdę była lekko zielona. Nie miało znaczenia, co to znaczyło, ale było dziwne i Durotan poczuł instynktowną niechęć. Ghun nie zauważył niczego. Cisnął kamień ze stęknięciem i patrzył, jak ten znika w oddali.

Gdyby Ghun był starszy, niewątpliwie zauważyłby ostrzegawczy ton głosu swego wodza, ale był młody, pochłonięty własnymi zmartwieniami i nie dotarło doń to ostrzeżenie.

– Czary… stworzenia, które są mi posłuszne… tak, podoba mi się ich skuteczność. Ale nie to, w jaki sposób są skuteczne. Czuję w tym… czuję coś

złego, wodzu. Zabijanie to zabijanie, żywioły pozwalały mi uczynić wrogów równie martwymi, ale nigdy się tak nie czułem, gdy użyczały mi swej mocy. Prowadzimy tę wojnę, ponieważ przodkowie powiedzieli nam, że mamy zabić draenei – mówił dalej Ghun. – Dlaczego zatem Gul’dan zabrania mi teraz z nimi rozmawiać?

Coś pękło w Durotanie. Ryknął wściekle. Złapał chłopaka za odzienie i szarpnięciem postawił na nogi. Po czym zbliżył swoją twarz do zastygłej w szoku twarzy młodego czarnoksiężnika.

– To nie ma znaczenia! – wrzasnął. – Zrobię to, co najlepsze dla Mroźnych Wilków, a teraz oznacza to robienie wszystkiego, co nakaże mi Gul’dan i Blackhand! Przestrzegaj nowego rozkazu!

Ghun gapił się na wodza oniemiały. Rozpalona nagle do białości furia ogarnęła Durotana i szybko zgasła, zostawiając jedynie smutek.

– Nie będę w stanie cię ochronić, jeśli się nie zastosujesz do tych zasad – szepnął ochryple, by tylko chłopak mógł go usłyszeć.

Ghun spojrzał nań, jego oczy zalśniły na chwilę dziwnym pomarańczowym blaskiem, ale chłopak tylko westchnął i spuścił wzrok.

– Rozumiem, mój wodzu. Nie zhańbię Klanu Mroźnego Wilka.

Durotan puścił czarnoksiężnika. Ghun cofnął się o krok, poprawił odzienie, skłonił się i odszedł. Durotan patrzył za nim rozdarty. Ghun też wyczuł, że sprawy podążają w bardzo złym kierunku. Ale jeden młodzik próbujący skontaktować się z żywiołami nie może tego zatrzymać.

Ani – pomyślał z bólem Durotan – nie mógł tego uczynić samotny wódz klanu.

*

Święte miejsce miało być następnym, które padnie przed potęgą Hordy.

Zaraz po ogłoszeniu zakazu praktykowania sztuk szamańskich draenei mieli wyruszyć do miejsca nazywanego Świątynią Karaboru. Żaden z orków go dotąd nie widział, choć znajdowało się w pobliżu Doliny Cienistego Księżyca, ziemi klanu Ner’zhula, który zresztą od niej wziął swe imię. To było miejsce święte i orkowie to szanowali. Przynajmniej do chwili, gdy Blackhand stanął przed swą armią i pomstował długo i z zacięciem na tak

zwaną duchowość draenei.

– Dotychczasowe zajmowanie miast było jedynie ćwiczeniem – oznajmił. – Niedługo zniszczymy ich stolicę, ale zanim zniszczymy to najważniejsze miejsce, zniszczymy ich jako lud. Spadniemy niczym burza! Rozbijemy ich posągi! Zniszczymy wszystko, co ma dla nich jakieś znaczenie! Zarżniemy duchowych przywódców! Stracą serce, a wtedy… wtedy zajęcie ich miasta będzie równie łatwe jak zabicie ślepego szczenięcia.

Durotan, który stał wraz z innymi wojownikami, zerknął na Orgrima. Jego przyjaciel jak zawsze trwał u boku Blackhanda. Orgrim stał się mistrzem utrzymywania beznamiętnego wyrazu twarzy, ale nie potrafił całkowicie ukryć swych uczuć przed Durotanem. On też wiedział, co znaczyła ta wyprawa. Świątynia była domem Velena. Prorok jedynie odwiedzał Telmor tego dnia, gdy Orgrim i Durotan siedli przy jego stole. Na stałe przebywał w świątyni, gdzie się modlił, medytował i służył swemu ludowi jako prorok. Jeśli tam będzie, przyjdzie im go zabić. A już wystarczająco ciężko było zabić Restalaana. Durotan pomodliłby się, żeby nie przyszło mu zabić też Velena… gdyby było się do kogo pomodlić.

Sześć godzin później, gdy stał na stopniach prowadzących do wielkiej świątyni draenei, niemal się dławił od odoru, który wciskał mu się w nozdrza. Znajomy już zapach krwi draenei. Odór uryny i fekaliów, ciężka, ohydna woń strachu. Pot mieszający się z aromatem kadzidła. Jego podeszwy pokryte były krwią, gniotły rozrzucone sitowie, uwalniając czystą woń trawy, która w jakiś sposób sprawiała, że wszystkie inne zapachy były jeszcze gorsze…

Durotan zgiął się wpół i zwymiotował. W ustach miał kwaśny smak. Dławił się i wyrzucał z siebie zawartość żołądka, aż ten stał się całkiem pusty. Wtedy wytarł drżącą dłonią usta, wypłukał wodą i splunął. W uszach zazgrzytał mu ochrypły śmiech i Durotan poczuł, jak ciemnieją mu policzki. Obejrzał się i zobaczył dwóch smarkaczy Blackhanda. Rend i Maim naśmiewali się z niego.

– To właściwe podejście – powiedział Rend, krztusząc się z rozbawienia. – To wszystko, na co zasługują nasze wymioty i plwociny.

– Taa – rzekł Maim mało oryginalnie. – Nasze wymiociny i plwociny!

Maim kopnął trupa kapłana odzianego w jasnofioletowe szaty i napluł na ciało. Durotan odwrócił się z odrazą i przerażeniem, ale nie zdołał umknąć przed koszmarnym widokiem. Gdziekolwiek spojrzał, widział orków traktujących ciała w taki sam sposób. Bezcześcili je, okradali, zakładali na siebie zakrwawione szaty i paradowali w nich, szyderczo naśladując draenei. Inni metodycznie napełniali torby rzeźbionymi misami, tacami, kandelabrami, depcząc po słodkich owocach, jakie zostały z ofiar dla bóstw, których orkowie ani nie rozumieli, ani nie chcieli zrozumieć. Blackhand, dodawszy do swej chwały kolejne zwycięstwo, znalazł jakiś alkoholowy napój i pił go łapczywie, rozlewając zieloną ciecz na zbroję.

Tym się staliśmy? Mordercami bezbronnych kapłanów, złodziejami tego, co było dla nich święte, bezcześcicielami ich ciał? Matko Kashur…. Jednak rad jestem, że zakazano nam rozmów z tobą… Nie chciałbym, byś o tym wiedziała.

*

– Zdobyliście świątynię – rzekł Kil’jaeden. – Ale nie znaleźliście mojej nagrody.

Głos Kil’jaedena słodki był jak zawsze, ale jego ogon poruszał się niespokojnie. Gul’danowi żołądek ścisnął się ze strachu.

– Velen Zdrajca musiał jakoś to przewidzieć – powiedział szybko. – W końcu nazywają go Prorokiem.

Ogromna głowa Kil’jaedena zwróciła się błyskawicznie ku Gul’danowi i czarnoksiężnik musiał naprawdę wysilić się, by nie odskoczyć. Jednak Kil’jaeden powoli przytaknął.

– Masz rację – stwierdził. – Gdyby był głupim i łatwym przeciwnikiem, już dawno bym go znalazł.

Gul’dan odetchnął. Po części aż płonął z chęci zapytania, co takiego Velen uczynił Kil’jaedenowi, jednemu ze swego rodzaju. Ale był na tyle bystry, by trzymać język za zębami. Mógł żyć z ciekawością w tej kwestii niezaspokojoną.

– Skoro przejęliśmy świątynię do własnych celów, o wielki, ci, którzy przeżyli, musieli uciec do miasta. Będą tam, przekonani, że są bezpieczni, ale

w ten sposób znajdą się w naszej pułapce.

Kil’jaeden zetknął ze sobą opuszki swych szkarłatnych placów.

– Tak – przyznał. – Tak. Świątynia powinna być twoja. Blackhand urządził się całkiem wygodnie w swojej Cytadeli. Ale zanim poślesz swoje kukiełki do ataku na fortecę draenei, mam dla nich… mały prezent.

*

Ner’zhul czekał, póki Gul’dan nie skończył. Spod wpół przymkniętych powiek patrzył, jak Gul’dan pisze list za listem, jak jego grube paluchy pokrywają się plamami atramentu, jak tymi samymi paluchami co rusz wrzuca owoc albo kawałek mięsiwa do ust. To były ważne listy, w przeciwnym razie Gul’dan kazałaby swoim skrybom sporządzić wiadomości.

Świątynia została… oczyszczona – takiego słowa użył Gul’dan. Kapłani, którzy odważnie, a zarazem głupio stawili czoła fali orków, zostali zabici z absolutną bezwzględnością, szybko i skutecznie. Ner’zhul słyszał, że ciała zbezczeszczono, i odkrył, że wciąż jeszcze zostało w nim dość współczucia, że myśl ta przyprawiła go o mdłości. Te ciała dawno już zniknęły, tak jak wszelkie święte przedmioty. Większość pomieszczeń świątyni zamknięto. Rada i jej słudzy nie potrzebowali zbyt wiele miejsca. Zabrali trochę mebli na swoje potrzeby. Pozostałe zniszczono albo usunięto, zastąpiono mrocznymi, złowieszczymi dekoracjami, które coraz szybciej stawały się nierozerwalnie związane z Hordą. Święte miejsce draenei przemianowano na Czarną Świątynię i teraz miasto kapłanów i proroków stało się domem kłamców i zdrajców. A Ner’zhul, co sam stwierdzał z goryczą, niewątpliwie się do nich zaliczał.

Wreszcie Gul’dan skończył. Obsypał listy pyłem, by zapobiec rozmazywaniu się inkaustu, i odchylił się na oparcie. Popatrzył na swego dawnego mistrza z nieledwie skrywaną odrazą.

– Zaadresuj je i oddaj posłańcom. Tylko szybko.

Ner’zhul skinął głową. Nie mógł, nie potrafił kłaniać się swemu dawnemu uczniowi, a Gul’dan, wiedząc, jak bardzo Ner’zhul był zżłamany, nie naciskał. Teraz stary szaman siadł na krześle, które zwolnił czarnoksiężnik,

i gdy tylko ciężkie kroki Gul’dana ucichły w oddali, zaczął czytać.

Gul’dan spodziewał się oczywiście, że Ner’zhul przeczyta listy. Nie było w nich nic, czego nie usłyszałby wcześniej. Był przecież obecny na wszystkich spotkaniach Rady Cienia – choć musiał siedzieć na zimnym kamieniu podłogi, a nie przy wielkim kamiennym stole z tymi, którzy posiadali prawdziwą władzę. Nie był pewien, dlaczego mu na to pozwalano, wiedział tylko, że z jakiegoś powodu Kil’jaeden pragnie, by jego więzień był tam obecny. W przeciwnym razie, szaman nie miał co do tego wątpliwości, Gul’dan już dawno by się go pozbył.

Jego spojrzenie mknęło po słowach, a każde przyprawiało Ner’zhula o mdłości. Czuł się absolutnie bezradny niczym mucha pochwycona w lepką pułapkę żywicy, która płynie po korze drzewa olemba. A przynajmniej kiedyś płynęła. Z tego, co Ner’zhul słyszał, drzewa dające ów słodki nektar zostały albo wycięte i przeznaczone do produkcji broni, albo umierały. Szaman odepchnął ten ponury obraz i zaczął zwijać wiadomości, gdy spojrzenie jego padło na czyste arkusze pergaminów i wciąż pełen kałamarz.

Myśl była tak zuchwała, że serce zamarło mu na chwilę.

Rozejrzał się szybko. Był całkowicie sam, jego dawny uczeń nie miał powodu wracać. Gul’dan, Kil’jaeden i Rada uznali, że Ner’zhul został złamany, widzieli w nim straszliwie starego, bezzębnego wilka, który grzał swe kości przy ogniu, póki cicho nie zabierze go śmierć. I w znacznej mierze uważali słusznie.

W znacznej mierze.

Ner’zhul pogodził się z tym, że odebrano mu moc. Moc, ale nie wolę. Gdyby to też zostało mu zabrane, nie zdołałby się oprzeć Kil’jaedenowi. Ner’zhul sam nie mógł niczego uczynić, ale może zdoła się skontaktować z kimś, kto może.

Drżącymi palcami ujął arkusz pergaminu. Musiał poczekać długą chwilę, żeby się uspokoić, zanim zdołał napisać cokolwiek, co będzie można przeczytać. Wreszcie skreślił krótką wiadomość, osypał atrament i zwinął arkusz.

Wilk może i był bezzębny, ale nie zapomniał jeszcze, jak walczyć.

*

Kolejny rozkaz do wymarszu. Durotan miał już ich serdecznie dość. Nie było już czasu na odpoczynek, tylko bitwa, naprawianie zbroi, jedzenie coraz twardszego i bardziej żylastego mięsa, spanie na gołej ziemi i kolejna bitwa. Czasy bębnów, uczt i rytuałów bezpowrotnie minęły. Idealny trójkąt góry na horyzoncie zastąpił mroczny i ponury zarys iglicy, od czasu do czasu wypuszczającej strumienie dymu. Niektórzy mówili, że głęboko w górze śpi jakaś istota, i pewnego dnia się zbudzi. Durotan nie wiedział już, w co wierzyć.

Kiedy pojawił się posłaniec, Durotan wziął wiadomość i zaczął czytać znudzony. Ale zaraz oczy mu się rozszerzyły i zanim doczytał do końca, pocił się i drżał cały. Podniósł wzrok, obłąkanym spojrzeniem szukając kogoś, kto był w stanie choćby zobaczyć poruszenie Durotana. Jednak orkowie mijali go obojętnie, kurz osiadał na ich szorstkiej, łuszczącej się skórze i poobijanych zbrojach. Nikt nawet na niego nie spojrzał.

Pospieszył do Draki, jedynej osoby, z którą ośmielił się podzielić otrzymaną informacją. Ona też szeroko otworzyła oczy, czytając.

– Kto jeszcze o tym wie? – szepnęła, starając się ze wszystkich sił zachować twarz bez wyrazu.

– Tylko ty – odparł równie cicho.

– Powiesz Orgrimowi?

Durotan pokręcił głową. W sercu miał ból.

– Nie ośmielę się. Przysięga nakazuje mu powiedzieć Blackhandowi.

– A myślisz, że Blackhand o tym wie?

– Nie mam pojęcia, kto wie i co – Durotan wzruszył ramionami. – Wiem tylko, że muszę chronić swój klan. I tak zrobię.

Draka obrzuciła go twardym spojrzeniem.

– Jeśli cały klan odmówi zrobienia tego… zwrócimy na siebie uwagę. Ryzykujesz karę. Może nawet wygnanie. Lub śmierć.

Durotan dźgnął palcem pergamin.

– Jedno i drugie lepsze jest niż to, co czeka nas, gdy posłuchamy. Nie. Przysięgałem bronić swego klanu. Nie oddam go… – Niejasno uświadomił sobie, że podniósł głos i głowy zaczęły odwracać się w jego kierunku. – Nie

oddam go temu…

Oczy Draki wypełniły się łzami, gdy złapała go za ramię. Jej paznokcie wbiły mu się w ciało.

– Dlatego – powiedziała z mocą – zostałam twoją partnerką. Jestem z ciebie dumna!

Rozdział dziewiętnasty

Dumny jestem z mojego dziedzictwa. Dumny jestem, że mogę nazywać Drakę i Durotana moimi rodzicami. Dumny jestem, że Orgrim Doomhammer nazwał mnie przyjacielem i powierzył mi prowadzenie ludu, który ukochał.

Dumny jestem z odwagi mych rodziców… ale zarazem chciałbym, żeby uczynili coś więcej. Lecz nie byłem na ich miejscu. Łatwo mi patrzeć wstecz z bezpiecznego miejsca, z mojej pozycji, życia pełnego udogodnień, dziesiątki lat po tych wydarzeniach i mówić: „Trzeba było zrobić to" albo „Trzeba było zrobić tamto".

Nie osądzam nikogo poza garstką osób, które w pełni świadome były tego, co robią, które wiedziały, że sprzedają życia i przeznaczenie swego ludu dla własnej chwilowej korzyści, i zrobiły to z radością.

Jeśli zaś chodzi o innych… mogę tylko potrząsnąć głową i cieszyć się, że nie musiałem dokonywać takich wyborów.

Gul'dan był tak podekscytowany, że ledwie nad sobą panował. Wyczekiwał tej chwili od momentu, gdy Kil'jaeden wspomniał o tym po raz pierwszy. Spieszyło mu się do tej chwili bardziej niż jego panu, ale Kil'jaeden śmiał się w kułak i zalecał cierpliwość.

– Widziałem ich i nie są jeszcze gotowi. Wybór właściwego momentu jest kluczowy. Ten sam cios zadany zbyt szybko lub zbyt późno nie zabija, jedynie rani.

Gul'dan uważał, że to dziwaczna metafora, ale zrozumiał przesłanie. Jednak teraz nareszcie Kil'jaeden uznał, że orkowie są gotowi, by uczynić ostatni krok.

Centralny dziedziniec w Czarnej Świątyni za dach miał jedynie niebo. Kiedy świątynia należała do draenei, ów obszar był kwitnącym ogrodem z kwadratowym zbiornikiem wody pośrodku. Zdobywcy wypili słodką i czystą wodę w ciągu kilku tygodni i nie napełnili zbiornika ponownie, i teraz był on jedynie dziurą wyłożoną kamieniem i kaflami. Otaczające go drzewa i krzewy umarły, schnąc w zaskakującym tempie. Teraz Kil'jaeden nakazał Gul'danowi i Ner'zhulowi stanąć na brzegu zbiornika. Żaden z orków nie wiedział, czego powinni się spodziewać.

Przez długie godziny stali w całkowitej ciszy. Gul'dan zastanawiał się, czy przypadkiem w jakiś sposób nie uraził swego pana, czy nie zawiódł. Ta myśl sprawiła, że oblał się lodowatym potem. Nerwowo zerkał na Ner'zhula. Pomyślał, że być może tego wieczoru to oporny szaman zostanie zgładzony za swoje nieposłuszeństwo, i trochę się pocieszył.

Zaczął błądzić myślami, wyobrażać sobie rozmaite tortury, jakim można by poddać Ner'zhula, gdy ogłuszający trzask pioruna sprawił, że obaj gwałtownie nabrali powietrza. Gul'dan spojrzał na niebo. Tam gdzie wcześniej były gwiazdy, teraz widział jedynie czarną pustkę. Przełknął ślinę z wysiłkiem, nie odrywając oczu od ciemności.

Nagle czerń zaczęła się gotować. Przypominało to czoło nadciągającej burzy, absolutnie czarne i pulsujące. A wtedy ciemność zaczęła skręcać się i wirować. Coraz szybciej i szybciej… Wiatr zmierzwił Gul'danowi włosy, szaty, wpierw delikatnie, ale z chwili na chwilę szarpał mocniej, aż w końcu czarnoksiężnikowi zdało się, że kolejne podmuchy obdzierają go ze skóry. Ziemia pod jego stopami zadygotała. Kątem oka Gul'dan widział, jak poruszają się wargi Ner'zhula, ale nie słyszał ani słowa. Wiatr wył za głośno, ziemia dygotała za mocno.

Niebo otworzyło się z hukiem.

Coś jasnego i płonącego z wrzaskiem pomknęło do miejsca przed Ner'zhulem i Gul'danem. Uderzyło w ziemię z taką siłą, że zbiło czarnoksiężnika z nóg. Przez długą, przerażającą chwilę nie mógł odetchnąć, leżał na ziemi i spazmatycznie chwytał powietrze niczym ryba wyciągnięta z wody, póki jego płuca nie przypomniały sobie, jak funkcjonować.

Dźwignął się na nogi, dygocząc, i oddech znów uwiązł mu w gardle, gdy

zobaczył, co stoi przed nim.

Istota znacznie przewyższała go wzrostem. Kawałki ziemi wzlatywały w powietrze, gdy stwór przebierał czterema nogami zakończonymi wielkimi kopytami i machał skórzastymi ogromnymi skrzydłami, dając upust swej irytacji. Włosy opadały na kark i plecy zielonymi mackami. Zielone oczy płonęły niczym ogniste gwiazdy, a przyćmione światło odbijało się w ogromnych zębach, gdy tylko istota otwierała paszczę. Tych ostrych zębów zdawała się mieć mnóstwo, rząd za rzędem, a ryk, jaki się spomiędzy nich dobywał, sprawiał, że Gul'dan miał ochotę paść na ziemię i szlochać z przerażenia. Jakoś udało mu się utrzymać na nogach i stał milczący przed tą potwornością. Stwór zacisnął pięści, potrząsnął nimi z wściekłością, po czym pochylił głowę i popatrzył na dygocących orków.

Co to jest?! – krzyczał w duchu Gul'dan.

Nagle tuż obok pojawił się Kil'jaeden i spoglądając w dół, uśmiechał się do orka.

– Oto mój porucznik, Mannoroth. Dobrze mi służył i nadal służyć będzie. W innych światach zwą go Niszczycielem. Ale tu jest zbawicielem, Gul'danie – zamruczał Kil'jaeden i nagle Gul'dan znów poczuł się słaby i chory. – Wiesz, co oferuję twemu ludowi.

Gul'dan przełknął z trudem, gardło miał bowiem zaciśnięte. Nie ośmielił się spojrzeć na Ner'zhula, choć czuł, że spojrzenie szamana wbija mu się w plecy.

Tak, wiedział doskonale, co oferuje Kil'jaeden. Potęgę ponad wszelkie wyobrażenie… i niewolę na wieki. Oferował i Ner'zhulowi to pierwsze w zamian za to drugie, a Ner'zhul, ten tchórz, wycofał się. Nie chciał zagłady swego ludu.

Gul'dana nie dręczyły takie skrupuły. Jedyne, o czym mógł myśleć, to o nagrodzie, jaką obiecał mu Kil'jaeden.

– Wiem, o wielki – odparł i sam był zaskoczony mocą i pewnością swego głosu. – Wiem i przyjmuję jakże hojną propozycję mego pana.

Kil'jaeden uśmiechnął się.

– Wspaniale. Jesteś mądrzejszy od poprzednika.

Podniesiony na duchu i zadowolony Gul'dan odwrócił się do Ner'zhula, by

napawać się swym triumfem. Starszy szaman patrzył na swego ucznia błagalnie. Nie ośmielił się przemówić, ale i nie musiał, wyraz jego twarzy był aż nadto czytelny, nawet w tym przyćmionym świetle gwiazd.

Gul’dan uśmiechnął się i odwrócił, by raz jeszcze spojrzeć na Mannorotha. Stwór nadal był przerażająco imponujący, ale strach Gul’dana począł wycofywać się w obliczu obezwładniającego pragnienia władzy. Popatrzył na straszliwą istotę, wiedząc, że zarówno ona, jaki on cieszy się łaską tego, któremu służyli. Byli jak bracia.

– Tylko wyjątkowe ostrze może dokonać tego, co masz uczynić, Gul’danie – zadudnił Kil’jaeden i wyciągnął dłoń.

Sztylet wydawał się niewielki w zestawieniu z ogromną dłonią, na której spoczywał, ale okazał się całkiem duży, kiedy Gul’dan ujął jego rękojeść.

– Wykuto to ostrze w ogniu odległej góry – powiedział Kil’jaeden, wskazując na dymiący szczyt. – Moi słudzy pracowali długo i ciężko, by je wykonać. Wiesz, co do ciebie należy, Mannorocie.

Stwór skinął wielką głową. Poruszając wielkim ogonem dla zachowania równowagi, klęknął na dwóch przednich nogach i wyciągnął ramię. Odwrócił dłoń, ukazując jej stosunkowo miękkie wnętrze i skórę nadgarstka.

Na jedno uderzenie serca Gul’dan się zawahał. A co, jeśli to był jakiś podstęp? Albo test? Co, jeśli Kil’jaeden tak naprawdę nie chciał, by Gul’dan to uczynił?

Co, jeśli zawiódł?

Co, jeśli Ner’zhul miał rację?

– Gul’danie – odezwał się Kil’jaeden. – Mannoroth słynie z wielu rzeczy, ale cierpliwość do nich nie należy. – Mannoroth warknął cicho, a jego oczy zalśniły. – Chętnie zobaczę, co się stanie. Z całym twoim ludem… Zrób to!

Gul’dan podniósł broń i skierował lśniące ostrze w stronę odsłoniętego nadgarstka Mannorotha, po czym opuścił je, jak mógł najmocniej.

I poleciał w tył uderzony przez Mannorotha, gdy ten ryknął z bólu. Oszołomiony, podniósł głowę i zamrugał, próbując odzyskać ostrość widzenia.

Płynny ogień wylewał się z rany, połyskiwał chorobliwie zielonkawą żółcią i płynął do zbiornika kapłanów draenei. Rana była niewielka w porównaniu

z ogromem ciała Mannorotha, ale krew płynęła nieustannie niczym wodospad. Do Gul’dana dotarło, że słabeusz Ner’zhul szlocha, sam jednak nie oderwał spojrzenia od widoku tej przeklętej, plugawej krwi lejącej się nieustanie z ciała istoty, która nie przestawała ciskać się i miotać z bólu. Gul’dan wstał, podszedł do krawędzi zbiornika bardzo ostrożnie, by w żaden sposób nie zetknąć się z płynem lejącym się z rany.

– Oto krew Niszczyciela – promieniał Kil’jaeden. – Wypali wszystkich tych, którzy nie będą ci służyć. Zmyje wszelkie wahania, niepewności i zmieszanie. Zrodzi głód, który będziesz mógł skierować tam, gdzie zechcesz. Twoja kukiełeczka może myśleć, że rządzi Hordą, ale się myli. Rada Cienia może myśleć, że rządzi Hordą, ale też pozostaje w błędzie.

Gul’dan oderwał spojrzenie od jeziorka płynnej zieleni, która wciąż spływała ze zranionego ramienia Mannorotha, by z zachwytem spojrzeć na Kil’jaedena.

– Gul’danie, to ty będziesz wkrótce tym, który będzie rządzić Hordą. Są gotowi. Pragną tego, co im dasz. – Gul’dan znów spojrzał na ciecz. – Wezwij ich. Ugaś ich pragnienie… obudź w nich głód.

*

Doskonale wszystkim znany dźwięk rogu obudził Hordę i wezwał orków na dziedziniec jeszcze przed nastaniem świtu. Durotan nie spał. Od dawna sypiał coraz gorzej. Wstali z Draką bez słowa i zaczęli się ubierać.

Nagle usłyszał, jak Draka gwałtownie wciąga powietrze. Odwrócił się i zobaczył, że wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Co się dzieje? – spytał.

– Twoja… skóra – szepnęła.

Spojrzał na swą nagą pierś. Skórę miał łuszczącą się i suchą, a gdy się podrapał, ta pod spodem zdawała się… zielona. Pamiętał, że niedawno zaobserwował coś takiego u Ghuna.

– To tylko światło – stwierdził, próbując pocieszyć ich oboje.

Draka podniosła rękę i również się podrapała. Jej nowa skóra też była zielona. Popatrzyła na Durotana pociemniałymi oczami. Oboje to wiedzieli, to nie sztuczka światła.

– Co się z nami dzieje? – spytała.

Nie potrafił odpowiedzieć. Dokończyli się ubierać w milczeniu i wyszli na dziedziniec. Jego spojrzenie wciąż niemal samowolnie biegło do jej ramienia, do tej dziwnej zielonkawej skóry, ukrytej teraz pod pogiętą zbroją.

Ogłoszenie dotyczące zgromadzenia przyszło poprzedniego dnia wieczorem, w trakcie czasu przeznaczonego na trening z młodszymi orkami. Durotan wciąż nie zdołał przyzwyczaić się do widoku dzieci, które jeszcze wczoraj ledwie były w stanie chodzić, a dziś już wywijały toporami i mieczami. Wydawały się zadowolone z takiego obrotu spraw. Ale Durotan musiał się powstrzymywać, by nie potrząsać głową za każdym razem, gdy je widział.

Uświadomił sobie, że nie jest nawet ciekaw ich kolejnego celu. Będzie tak samo jak w przypadku poprzednich – rzeź, wściekłość, bezczeszczenie ciał. Ostatnio nawet ciała poległych członków Hordy zostawiano tam, gdzie upadły, zabierano tylko broń i zbroję, by oddać żywym. Czasami przyjaciel albo członek rodziny przez chwilę pochylał się nad zwłokami, ale i to zdarzało się coraz rzadziej. Minęły czasy, gdy ciała poległych godnie niesiono do domu i składano w trakcie rytuału na stosie pogrzebowym, a duchy wysyłano, by dołączyły do przodków. Teraz nie było czasu na rytuały, na stosy ani nawet na przodków. Nie było czasu dla umarłych. Nie było czasu na nic innego poza zabijaniem draenei i naprawianiem zbroi i broni.

Stał, pustym wzrokiem patrząc przed siebie i czekając kolejnych rozkazów. Blackhand podjechał do bram Cytadeli, gdzie był doskonale widoczny dla wszystkich. Wiatr wiał mocno. Nic nie mogło ochronić orków przed jego podmuchami i sztandary łopotały zajadle.

– Mamy przed sobą długi marsz! – zakrzyknął Czarnoręki. – Kazano wam zapakować zapasy. Mam nadzieję, że posłuchaliście. Wojownicy, wasza broń musi być gotowa, wasze zbroje solidne. Uzdrowiciele, zadbajcie o wasze balsamy, eliksiry i mikstury. Ale zanim pomaszerujemy na wojnę, pomaszerujemy po chwałę.

Podniósł rękę i wskazał odległą górę dźgającą niebo, która wypuszczała kłęby czarnego dymu.

– To nasz pierwszy cel. Staniemy na tej górze… i co tam się stanie, zostanie zapamiętane na tysiące lat. Tam bowiem rozpocznie się dla orków czas potęgi, jakiej dotąd nie zasmakowali.

Zamilkł, pozwalając, by słowa te zapadły głęboko w serca słuchaczy. Ucieszyły go wyraźnie pomruki, które podniosły się wśród zebranych.

Durotan stężał. A więc to stanie się dziś…

Blackhand nie należał do tych, którzy mówili więcej, niż trzeba było, zatem zakończył głośnym:

– Ruszajmy!

Horda popłynęła do przodu, zaciekawiona, podekscytowana słowami swego wodza. Durotan zerknął na Drakę, ta zaś skinęła krótko głową na znak poparcia dla jego planu. Durotan zmusił swe oporne nogi do ruchu i dał się ponieść fali.

*

Wąska, stroma ścieżka prowadziła do dymiącej góry na rozległym płaskowyżu. Dla Durotana wyglądało to tak, jakby kawał góry odcięto jednym ciosem ostrego miecza, tak nienaturalny był to widok. Wzdrygnął się na tę myśl. Ostatnio niewiele rzeczy w jego życiu można było określić jako naturalne. Trzy wielkie płyty czarnego, wygładzonego kamienia leżały jedna przy drugiej, częściowo zagłębione w ziemi. Były piękne, ale zarazem złowrogie. Orkom doskwierało zmęczenie, mieli za sobą wspinaczkę w palącym słońcu, w pełnej zbroi i z zapasami i bronią na grzbietach. Durotan zadawał sobie pytanie, gdzie w tym był sens. Bo niby po co doprowadzać do wyczerpania wojowników przed bitwą. No, chyba że atak ma mieć miejsce później, kolejnego dnia, gdy już wypoczną.

Ku zaskoczeniu Durotana, gdy orkowie ucichli, to nie Blackhand do nich przemówił, ale Gul’dan.

– Nie tak dawno temu – rzekł – kiedy nasz lud był rozproszony, zbieraliśmy się raz do roku tylko po to, by śpiewać, tańczyć, bębnić i polować.

Powiedział to z pogardą. Durotan opuścił wzrok. Przez wieki klany spotykały się na święto Kosh’harg. I nie było to nic głupiego, jak teraz sugerował ton Gul’dana, ale świętego i potężnego. Powstrzymywało klany

przed atakowaniem się nawzajem. I chyba działo się przed wiekami, sądząc po reakcji otaczających go orków. Orkowie pomrukiwali z dezaprobatą, potrząsali bronią i sprawiali wrażenie głęboko zawstydzonych. Nawet ci, którzy kiedyś byli szamanami.

– A teraz spójrzcie na nas! Stajemy ramię przy ramieniu, klan przy klanie. Roześmiana Czaszka obok Smoczych Paszczy, Władcy Gromu obok Wojennej Pieśni, wszyscy razem pod silnym i mądrym dowództwem Blackhanda, którego wybraliście, by was zjednoczył. Za Blackhanda! – Huknęły wiwaty. Durotan i Draka nie brali w nich udziału. – Mając tak przenikliwego przywódcę i błogosławieństwo istot, które zechciały się z nami sprzymierzyć, urośliśmy w siłę. Urośliśmy w dumę. Zyskaliśmy więcej umiejętności i nowych technologii w ciągu ostatnich dwóch lat niż w ciągu ostatnich dwóch stuleci. Pozbyliśmy się zagrożenia, które nad nami wisiało. Trzeba jedynie ostatecznego ciosu, by zniszczyć je na zawsze. Ale najpierw…. Najpierw zobowiążemy się do tej walki i w zamian otrzymamy błogosławieństwo.

Schylił się i podniósł dziwny kielich, który wyglądał jak zrobiony z rogu jakiejś istoty, ale Durotan nigdy nie widział, by racicznik miał tak gigantyczne rogi. Nadto ten był zakręcony i pożółkły, pokryty dziwnymi glifami i w miarę jak zapadała noc, glify te zaczynały lekko świecić. To, co było w kielichu, również połyskiwało. Gdy Gul’dan trzymał naczynie przed sobą, niesamowity żółtozielony blask oświetlał jego twarz od dołu, rzucając groteskowe cienie.

– To jest Kielich Zjednoczenia – powiedział czarnoksiężnik głosem pełnym szacunku. – To Kielich Odrodzenia. Oferuję go każdemu wodzowi klanu, a on może podać go tym członkom swego klanu, dla których pragnie szczególnego błogosławieństwa istot, które były dla nas tak bardzo, bardzo dobre. Kto pierwszy wystąpi, by przysiąc lojalność i otrzymać błogosławieństwo?

Gul’dan obrócił się lekko w stronę Blackhanda, który już otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy dziki, znajomy głos przeszył powietrze.

Nie – pomyślał Durotan – Nie… nie on…

Dłoń Draki zacisnęła się mocno na ramieniu Durotana.

– Ostrzeżesz go?

Durotan próbował, ale nie mógł dobyć z siebie głosu. Potrząsnął tylko przecząco głową. Uważał tego smukłego, ale imponującego orka za swego przyjaciela. Ale nie mógł ryzykować ujawnienia swojej wiedzy. Nie, nawet dla Groma Hellscreama.

Wódz Klanu Wojennej Pieśni wyszedł z tłumu i stanął przed Gul'danem. Blackhand sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Najwyraźniej zarówno Czarnoręki, jak i Gul'dan spodziewali się, że to wódz wojenny napije się pierwszy.

Czarnoksiężnik wykrzywił się w uśmiechu.

– Zawsze gotów pochwycić okazję – powiedział do Groma z lekkim ukłonem, wręczając mu kielich pełen wirującej zielonej cieczy.

Z głębi kielicha żar i światło obmyły twarz Hellscreama ozdobioną tak, by budziła strach w przeciwnikach. Teraz wyglądał jeszcze bardziej niepokojąco.

Grom się nie wahał. Podniósł kielich do ust i pił. Durotan przyglądał mu się, ze wszystkich sił starając się dostrzec reakcję. Może mimo wszystko list nie został wysłany przez kogoś, kto dobrze im życzył, może to była pułapka…

Gul'dan ledwie zdążył wyjąć kielich z dłoni Groma, zanim ten zesztywniał, a potem wzdrygnął się potężnie. Zgiął się wpół i przez moment przez tłum poniosły się zaniepokojone pomruki. Durotan patrzył przerażony, jak ciało zgiętego Groma pulsuje i dygocze. Na jego oczach barki Hellscreama, który był raczej smukły jak na orka, stały się szersze. Zbroja zatrzeszczała, zanim ułożyła się na tym nowym, potężnym ciele. Powoli Grom się wyprostował. Zawsze był wysoki, teraz od zielonego płynu otrzymał mocniejszą i bardziej muskularną sylwetkę. Popatrzył po zebranych orkach.

Jego twarz, zdrowa i gładka – z wyjątkiem wytatuowanej szczęki – była całkowicie… zielona.

Grom odrzucił głowę i zakrzyczał przenikliwie. Głośniej niż Durotan kiedykolwiek słyszał. Jak ostrze uczynione z dźwięku, zdolne przeniknąć ciało i pozostawić je strzaskanym i skrwawionym. Durotan zakrył uszy jak niemal wszyscy obecni, ale nie oderwał spojrzenia od twarzy Groma.

Oczy Hellscreama płonęły czerwienią.

– Jak się czujesz, Gromie Hellscreamie z Klanu Wojennej Pieśni?

Na twarzy Groma malowała się ekstaza tak dojmująca, że graniczą z bólem. Wyraźnie nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Czuję się… wspaniale! Czuję… – Przerwał i raz trzeci zakrzyknął, jakby tylko ten prymitywny wrzask mógł oddać jego doznania. – Dajcie mi ciało draenei, bym mógł je rozerwać na strzępy! Żeby krew draenei zmyła mi twarz…. Będę ją pił, póki nie zdołam już nic przełknąć! Dajcie mi ich krwi!

Jego pierś podnosiła się wypełniona pasją i emocjami. Pięści zaciskały się i otwierały. Sprawiał wrażenie gotowego do ataku na miasto z gołymi rękami… i zdaniem Durotana wygrałby tę bitwę. Hellscream ruszył do swego klanu.

– Wojenne Pieśni! Wystąpcie! Żadnemu z was nie będzie odmówiona ta ekstaza!

Wojenne Pieśni ruszyły do przodu chętne poczuć to, czego doświadczał ich wódz. Każdy przez chwilę skręcał się w bólu, każdy z bólu przechodził do rozkoszy. Ich siła została zwielokrotniona, a oczy wszystkich, którzy upili z pucharu, płonęły czerwienią.

Blackhand obserwował to wszystko spod zmarszczonej brwi. Kiedy ostatni z Wojennych Pieśni upił z kielicha, chwycił naczynie z gniewnym pomrukiem.

– Ja się napiję – oznajmił stanowczo i pociągnął spory łyk.

Na ułamek chwili złapał się za gardło, ale milczał, gdy mroczna magia zawarta w kielichu dokonywała w nim piekielnych zmian. Zdjął zbroję i teraz wszyscy widzieli mięśnie prężące się pod jego zieloną skórą. Oczy płonęły mu czerwienią, gdy wreszcie podniósł spojrzenie na zebranych. Gestem wezwał swych synów. Maim i Rend, rozepchnąwszy pogardliwie otaczających ich orków, ruszyli do ojca. Durotan zobaczył, jak Griselda, jedyna córka Blackhanda, waha się przez moment, by ruszyć za braćmi. Blackhand wykrzywił się z niesmakiem, obnażając zęby.

– Ty nie – warknął.

Dziewczyna cofnęła się jak uderzona. Durotan, który zawsze darzył ją sympatią, odetchnął z ulgą. Blackhand chciał ją zawstydzić, zamiast tego,

nieświadom zupełnie, dał jej wielki dar. Czarnoręki skinął teraz na Orgrima.

– Chodź, przyjacielu Orgrimie! Napij się ze mną!

Nawet teraz, gdy jego najlepszy, najdawniejszy z przyjaciół został wezwany, by skosztować mrocznego napoju, Durotan nie mógł przemówić. Ale na szczęście nie musiał. Orgrim skłonił głowę.

– Mój wodzu, nie odbiorę ci tej chwały. Jam jest drugi po tobie, nie, wodzu, nie pragnę tego zaszczytu.

Durotan niemal osłabł z ulgi. Zatem Orgrim widział to, co Durotan. Nie był głupcem. Miał duszę i nie zamierzał oddać jej za moc, która wypaczała ciało i sprawiała, że oczy płoną złowieszczo.

Teraz inni wodzowie ustawili się w szeregu chętni otrzymać błogosławieństwo, które tak podekscytowało dwóch najsłynniejszych i najbardziej szanowanych wodzów. Durotan ani drgnął.

– Mój wodzu – szepnął Drek’Thar, przysunąwszy się do niego – nie pragniesz błogosławieństwa?

Durotan potrząsnął głowa.

– Nie. Ani nie pozwolę, by ktokolwiek z mego klanu się tego napił.

Drek’Thar zamrugał niepewnie zszokowany.

– Ale… Durotanie, przecież widzisz, że napój ten daje wielką siłę i budzi ogromną pasję! Byłbyś głupcem, odmawiając.

Durotan potrząsnął głową, wspominając treść listu. Początkowo był sceptyczny, teraz zyskał pewność.

– Byłbym głupcem, gdybym to zrobił – powiedział cicho, a gdy Drek’Thar próbował protestować, uciszył go groźnym spojrzeniem.

Nieoczekiwanie pamięć nieproszona podsunęła Durotanowi słowa proroka Velena: „Nie chcieliśmy sprzedać naszego ludu w niewolę i za to zostaliśmy wygnani”. Durotan wiedział w głębi ducha, że gdy tylko orkowie wypiją z tego kielicha, ich wola zostanie im odebrana. Gul’dan robił dokładnie to, co uczynili przywódcy w ojczystym świecie draenei – sprzedał swój lud w niewolę. Historia się powtarzała. Tym razem Durotan sprzeciwiał się swym przywódcom dla dobra swego ludu. Być może on i jego klan, tak jak draenei, zostaną wygnanymi. To nie miało jednak znaczenia. Postępował słusznie. Uświadomił sobie nagle, że wszyscy wodzowie poza nim napili się

z kielicha. A więc moment, którego się obawiał, właśnie nastał.

Gul’dan przywołał go gestem.

– Mocarny Durotanie. Bohaterze Telmoru!

Twarz Durotana pozostała niezmieniona.

– Chodź, dołącz do innych wodzów. Napij się z kielicha!

– Nie, Gul’danie. Nie uczynię tego.

W świetle pochodni Durotan mógł dostrzec mięsień drgający koło prawego oka czarnoksiężnika.

– Odmawiasz? Myślisz, że jesteś lepszy niż inni? Myślisz, że nie trzeba ci błogosławieństwa?

Inni wodzowie teraz marszczyli zroszone potem brwi, oddychali ciężko, jakby właśnie ukończyli bieg.

Durotan nie połknął przynęty.

– To mój wybór.

– Być może inni w twoim klanie są innego zdania. – Gul’dan rozłożył ramiona, jakby chciał zagarnąć ku sobie Mroźne Wilki. – Pozwolisz im pić?

– Nie. Ja jestem wodzem Klanu Mroźnego Wilka. I to jest mój wybór.

Gul’dan zszedł z obsydianowej płyty i podszedł do Durotana.

– Co wiesz i jak się tego dowiedziałeś? – szepnął, pochylając się do ucha wojownika.

Bez wątpienia miało to zastraszyć Durotana, ale zamiast tego zachowanie Gul’dana dało mu nadzieję. Gul’dan poczuł się zagrożony. Lecz zamiast posłać zabójcę, by nocą pozbył się niewygodnego wodza, próbował zmusić Durotana do posłuszeństwa. Potwierdził właśnie zawartość tajemniczego listu jak i to, że nie miał pojęcia, kim jest autor wiadomości. Durotan uświadomił sobie, że może przeżyć i ochronić swój klan.

– Wiem dość – odpowiedział równie cicho. – A ty nigdy nie dowiesz się skąd.

Gul’dan odsunął się i zmusił do uśmiechu.

– To w istocie twój wybór, Durotanie, synu Garada. I skoro odmówiłeś sobie błogosławieństwa, będziesz musiał ponieść tego konsekwencje.

Słowa te miały podwójne znaczenie, ale Durotan się nie przejął. Następnego dnia może będzie musiał martwić się tym, co Gul’dan dlań

przyszykował.

Ale nie dziś.

Czarnoksiężnik wrócił na obsydianową płytę.

– Wszyscy, którzy pragnęli błogosławieństwa wszechmocnego Kil’jaedena, naszego dobrodzieja, już je otrzymali! – krzyknął. – Myślcie o tym miejscu jako uświęconym, albowiem to tutaj orkowie poczynili kroki, by stać się lepsi, niż zostaliśmy zrodzeni. Myślcie o tej mocarnej górze jak o tronie Kil’jaedena, gdzie zasiada, obserwuje i błogosławi nas, gdy wykonujemy pracę, która oczyści nas jeszcze bardziej, byśmy osiągnęli wszystko, do czego jesteśmy zdolni.

Cofnął się o krok i skinął głową Blackhandowi. Temu oczy płonęły czerwienią, a zbroja połyskiwała w świetle pochodni, gdy podniósł obie ręce.

– Dziś wieczorem będziemy tworzyć historię. Dzisiaj zaatakujemy ostatnią twierdzę naszego wroga. Będziemy odrywać kończyny. Kąpać się we krwi. Pomkniemy ulicami ich stolicy niczym w najgorszym z koszmarów. Krew i grom! Zwycięstwo dla Hordy!

Durotan gapił się na Czarnorękigo osłupiały.

Dzisiaj?

Nie omówili żadnej strategii. Tu nie chodziło o niewielką osadę czy wioskę, ale o stolicę draenei. Ich ostatni azyl. Durotan był pewien, że draenei będą walczyć zacieklej niż kiedykolwiek, jak zwierzęta zapędzone w róg. Przypomniał sobie ogromne machiny wojenne. Blackhand kazał je przemieścić, ale dokąd, tego ani Durotan, ani pozostali nie wiedzieli.

Szaleństwo. To było szaleństwo.

I gdy rozejrzał się po wrzeszczących wokół orkach o oczach niby punkciki czerwonego światła, zdał sobie sprawę, że słowo to było prawdziwsze, niż początkowo sądził.

Ci, którzy pili z kielicha, w rzeczy samej oszaleli. Grom Hellscream tańczył przy ogniu, machając swymi nowymi, muskularnymi ramionami, odrzucał głowę w tył i światło ognia tańczyło na jego skórze kiedyś brązowej, a teraz zielonej. Przerażenie oszołomiło Durotana i przyprawiło o mdłości. Patrzył na płonące czerwienią oczy niemalże takie same jak u stworów przywoływanych przez czarnoksiężników. Na zieloną skórę tej samej barwy,

jaka zdążyła już naznaczyć tych parających się nową magią, gorzej nawet, znaczyła już skórę Durotana i tej, którą ukochał całym swym sercem.

Pomyślał o słowach listu, skreślonych w archaicznym języku, znanym jedynie kilku najlepiej wykształconym szamanom i przywódcom klanów.

Poproszą cię, byś się napił. Odmów. To krew istot o wypaczonych duszach, wypaczy i twoją, i wszystkich, którzy jej skosztują. Uczyni z ciebie niewolnika na wieki. Na miłość tego, co kiedyś było nam drogie, odmów.

Starożytny język określał wypaczone dusze jednym słowem.

Były to istoty kontrolowane przez czarnoksiężników, a jednak w niewielkim stopniu. Ci, których Durotan nazywał przyjacielem i wrogiem, zmoczyli usta w płynie, będącym krwią takiej istoty. Durotan patrzył, jak wypaczone dusze, jakimi teraz stali się orkowie, zostały zmuszone, by tańczyć obłąkańczo w świetle pochodni, a potem pognać na łeb na szyję napędzani straszliwą wściekłością i energią do ataku na najbardziej ufortyfikowane miasto na tym świecie.

Wypaczone dusze.

Dae'moni.

Demony.

Rozdział dwudziesty

Rozmawiałem z tymi, którzy brali udział w zniszczeniu Shattrath. Kiedy pytam ich o wydarzenia tamtej nocy, niewiele pamiętają, a ich umysły wydają się zasnute mgłą.

Nawet Drek'Thar, który pamięta tak wiele z zaskakującą jasnością, jąka się i plącze, kiedy proszę, by opisał szczegóły. Zupełnie jakby mając smak świeżo wypitej demoniej krwi, pamiętali jedynie furię, jaka ich opętała, a nie to, co czynili pod jej wpływem. I nawet ci, którzy nie pili, ta garstka z Drek'Tharem włącznie, nie potrafią przypomnieć sobie szczegółów. Jakby ta potworność chciała zostać zapomniana.

To, że jacyś draenei przeżyli atak, nie ulega wątpliwości. Widziałem na własne oczy żałosne stworzenia, które kiedyś były wspaniałymi draenei, błąkające się po Azeroth, miękkie, rozbite, rozpaczające za domem. Ci zagubieni zasługują jedynie na litość.

Zatem relacje są bardzo niejasne i żałuję tego szczerze. Takie wydarzenie, bez względu na to, jak mroczne, nie powinno być zapomniane ani zatuszowane. Ale to należy do kronikarza.

Orkowie pędzili w dół szlaku, płonąc dziką żądzą niszczenia. Niektórych tak rozpierała nienawiść i wściekłość, że uderzali mijane kamienie. Niektórzy ryczeli w furii. Inni zachowali ponure, śmiertelne milczenie, kontrolując buzującą w nich energię, by uwolnić wszystko w odpowiednim momencie.

W czasie tego biegu Durotan bardziej obawiał się własnych pobratymców, tych, których niedawno jeszcze nazywał przyjaciółmi, niż jakiegokolwiek ogra machającego maczugą albo stada talbuków… czy jakiegokolwiek

rozeźlonego i atakującego draenei. Oblewał go lodowaty pot, nogi się pod nim trzęsły, ale nie z obawy o siebie. Z obawy przed tym, co stanie się teraz. Nie z draenei – ich los był już przesądzony – ale z orkami. Biegnąc ku Shattrath, nie był w stanie nazwać ich Hordą.

W pewnym momencie straszliwy rumor zwalił ich wszystkich z nóg. Gdy dźwigali się z ziemi, odwrócili się, by spojrzeć za siebie.

Wydawało się, że góra eksplodowała. Wyrzucała w niebo płynny ogień, który potem spadał i spływał po ostrym szczycie. Płonęła i świeciła niczym krew demonia, aczkolwiek barwę miała pomarańczowożółtą, a nie upiornie zieloną. Góra wypluwała stopioną skałę. Widok był wspaniały, hipnotyzujący i zarazem straszny.

Orkowie uznali to za znak i zaczęli wiwatować. Po kilku radosnych minutach na górze, na Tronie Kil’jaedena, który najwyraźniej błogosławił ich przedsięwzięciu, obrócili się i podjęli swój bieg ku rzezi.

Kiedy została im mila do miasta, zwolnili. Tutaj teren był oczyszczony, i to niedawno, teraz orkowie spoglądali na to miejsce skołowani. Tutaj kazano im się zgromadzić, tutaj powinny znajdować się ich machiny wojenne.

I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, coś pojawiło się tuż przed nimi. Orkowie cofnęli się, sycząc. A potem, wbrew zdrowym zmysłom i logice, zaczęli warczeć na ogromną istotę, która górowała nad nimi, trzykrotnie większa od największego ogra, czerwona od kopyt po końcówkę bijącego niespokojnie ogona, od długich szponów po końcówki wielkich rogów. Nie widzieli jeszcze żywej istoty takich rozmiarów, co do kształtu natomiast… Durotan wpatrywał się w niesamowitą istotę, myśląc, że wygląda ona niczym gigantyczny, szkarłatnoskóry draenei. I nagle zrozumiał, że orkowie zostali wciągnięci w jakiś osobisty konflikt, który nigdy nie powinien ich dotyczyć, a jednak przetoczył się po nich niczym fala przypływu.

– Nie ma się czego obawiać, a za to wiele jest powodów, by się radować, jako że przysięgliście wierność mnie! – zahuczał czerwonoskóry, a jego głos przeszywał słuchających do samej głębi. – Jam jest Kil’jaeden, najwspanialszy, ten, który prowadził was od samego początku. I jestem z wami w chwili, gdy zmierzacie do najbardziej chwalebnej z bitew. Kiedyś plugawi i podstępni draenei knuli przeciwko wam, ukrywając całe miasto

przed waszym wzrokiem. Ale wy zniszczyliście to miasto i wiele innych, zniszczyliście ich świątynię. Została tylko ta jedna, ostateczna bitwa i zagrożenie zostanie zażegnane raz na zawsze. Zielony kamień, który kiedyś ukrył miasto Telmor, teraz ukrył nadciągającą zagładę. *Kehla men samir, solay lamaa kahl!*

Iluzja została zdjęta. Przed orkami pojawiły tuziny katapult, taranów, machin oblężniczych wszelkiego rodzaju. Obok nich stały ogry, nieruchome i milczące, a na ich głupich mordach malowała się determinacja. Mieli broń stosowną do ich rozmiarów. Durotan szybko przeliczył, że było ich ponad trzy dziesiątki, gotowych ruszyć do walki. Przy nich wielkie machiny wyglądały jak niegroźne zabawki.

– To nie wszystko… – Kil'jaeden machnął rękami. Czarnoksiężnicy zakrzyczeli boleśnie i ścisnęli dłońmi skronie, po czym wszyscy jak jeden zamrugali i uśmiechnęli się szeroko. – Nowe zaklęcia znalazły się w waszych umysłach. Użyjcie ich dobrze. Zniszczcie draenei. Teraz!

I jakby otworzył niewidoczną bramę – przepełnieni żądzą krwi orkowie zerwali się do biegu. Niektórzy dopadli machin oblężniczych i popychali je przed sobą z siłą, jakiej Durotan nigdy u nich nie zaobserwował. Ogry złapały za wielkie i niesamowicie ciężkie maszynerie i ruszyły z nimi żwawo. Orkowie zbyt głęboko pogrążyli się w żądzy krwi i po prostu pędzili przed siebie, kierując się w stronę miasta. Co zrobią, gdy tam dotrą, tego Durotan nie potrafił powiedzieć. Ale zarówno on, jak i jego klan podążyli ich śladem, jak wymagał tego obowiązek.

Machiny wojenne dudniły popychane wciąż dalej i dalej, ale zanim jeszcze znalazły się na właściwych pozycjach, mury miasta zostały zaatakowane. Gigantyczne, płonące zielenią kamienie posypały się z nieba prosto na miasto. Wieże, które wznosiły się ponad krawędzią muru, teraz pękały i waliły się z hukiem, sam mur zaczął kruszyć się w wielu miejscach. Ale to nie głazy z nieba stanowiły główną siłę ataku, ale to, co powstawało z nich, gdy dotknęły ziemi.

Poruszając się z wyraźną celowością i oszołamiającą szybkością, stwory, które zdawały się uczynione z tego właśnie płonącego zielenią kamienia, dźwigały się z ziemi i ruszały do ataku. Waliły pięściami w mury wspierane

przez deszcz zwyczajnych kamieni wyrzucanych przez katapulty i ogromne tarany walące w bramy miasta. Dwa ogry okładały wrota swoimi maczugami, aż dygotało drewno. Durotan słyszał dobiegające zza murów okrzyki furii i przerażenia, gdy draenei próbowali walczyć ze stworami z kamienia, infernalami, jak określił je jeden z czarnoksiężników. Większość byłych szamanów korzystała ze wsparcia tych nowych sług, ale kilku nadal wydawało rozkazy mniejszym, znanym już istotom.

Miasto nie było w stanie oprzeć się tym atakom zbyt długo. Z ogłuszającym hukiem zawaliła się cała część muru. Fala obłąkanych orków i ryczących ogrów wdarła się do miasta przez wyłom, wrzeszcząc i wywijając bronią. Durotan stał niczym wrośnięty w ziemię, patrząc, jak orkowie walczą, zabijają i giną.

Gniew, furia, jakie wcześniej obserwował w trakcie bitew, były niczym w porównaniu do tego, co teraz pokazywali jego pobratymcy. Nie było tu żadnej strategii, żadnych prób utworzenia obrony, żadnych rozkazów wycofania się, gdy zachodziła taka konieczność. Nic poza mordowaniem, rzezią, zadawaniem śmierci i umieraniem, wpadaniem głupio w ślepe uliczki i czekające tam pułapki. Czegoś takiego można się było spodziewać po ograch, którzy padali z impetem, brocząc obficie krwią. Durotan ich nie opłakiwał. Ale orkowie… Ci nie dbali o nic poza uczuciem, że krew śpiewa w ich żyłach, a krzyki bitewne wylewają im się z gardeł.

Dziesiątki, nie, setki polegną tej nocy. Ofiary sprawią, że w mieście nie da się żyć. Gdy wstanie słońce, błękitne i zielone ciała zaścielą wszystkie ulice. Ale na razie panował chaos i nieskończone szaleństwo. Durotan zawinął toporem, bowiem przyszedł czas, by walczyć albo zginąć, a nawet teraz, gdy wiedział, że jego lud znalazł się na prawdziwie mrocznej drodze, nie chciał umierać.

*

Kil’jaeden i Mannoroth stali razem, obserwując, jak zielone meteory niosące infernali padają na ziemię.

– Mrowią się jak robaki – mruknął Mannoroth.

Kil’jaeden kiwnął głową zadowolony.

– W rzeczy samej. Piękny widok. Raduje mnie.

– Co dalej?

Kil’jaeden spojrzał na Mannorotha z wyrazem łagodnego zdziwienia w oczach.

– Dalej? Nie ma żadnego dalej. Przynajmniej nie tutaj. Orkowie dokonali to, czego od nich oczekiwałem. Płoną za sprawą twojej krwi, mój przyjacielu. I w końcu strawi ich ten płomień, o ile nie znajdą dla niego ujścia. A ujście dlań znajdą, zabijając ostatniego z draenei na tym świecie.

Patrzył, jak w oddali czerwień ognia dołączyła do zielonej poświaty.

– Dobrze, żeś tu skończył – stwierdził Mannoroth. – Archimonde mruczy, że marnujesz czas, a nasz pan życzy sobie naszej obecności gdzie indziej.

Kil’jaeden westchnął.

– Słusznie mówisz. Sargeras jest głodny, a i tak okazał mi cierpliwość ponad miarę. Żałuję jednego tylko: że nie będę mógł patrzeć, jak wypatroszą Velena. No cóż. Wystarczy mi wiedzieć, że do tego doszło. Odejdźmy stąd.

Skinął dłonią i obaj zniknęli.

*

– Jak to nie było go tam?! – zaskrzeczał cienko Gul’dan. – To niemożliwe.

– Jak powiedziałem – zawarczał Blackhand. – Przetrząsnęliśmy miasto. Nie znaleźliśmy Velena.

– Być może jakiś nadgorliwy siepacz znalazł go pierwszy i okaleczył ciało – Gul’dan snuł nerwowe przypuszczenia. To nie była dobra wiadomość. Poinstruował Blackhanda, by ten znalazł ciało Proroka i przyniósł głowę Gul’danowi. Miała być darem dla Kil’jaedena.

– Możliwe. A nawet prawdopodobne – orzekł Balckhand. – Ale z tego, co mi mówiłeś, nawet jeśli jego ciało zostało porąbane na kawałki, nie można było go wziąć za zwykłego draenei.

Gul’dan potrząsnął głową, czuł, jak ze zdenerwowania narastają w nim mdłości. Draenei mieli niebieską skórę i czarne włosy. Velen, ich prorok, miał białą skórę i włosy. O ile kawałek tej skóry uchował się w całości, można było rozpoznać, do kogo należała.

– Przetrząsnąłeś miasto?

Blackhand zmarszczył gęste brwi.

– Powiedziałem ci, że tak – odpowiedział ponuro. Oddech mu przyspieszał, a oczy robiły się coraz czerwieńsze, w miarę jak rozbuchał w nim gniew.

Gul’dan skinął głową. Orkowie, nawet ogarnięci żądzą krwi, nie zapomnieliby o znalezieniu najbardziej ukochanego przywódcy draenei. Nagroda była zbyt wielka, a gniew, gdyby Velen został przeoczony i znaleziony później, zbyt potężny.

Jakimś sposobem zdołał więc uciec. A to znaczyło, że prawdopodobnie gdzieś tam są i inni draenei. Nagły przypływ paniki przyspieszył bicie jego serca. Ilu z nich prześlizgnęło mu się przez palce… i dokąd się udali w tym niezmierzonym świecie?

*

Kiedyś Velen miał na swe medytacje i modlitwy całą świątynię pełną akolitów, kapłanów i sług. Teraz znajdował się w niewielkim pokoju i był jednym z niewielu, którzy aż tyle mieli do swojej dyspozycji. Trzymał w dłoniach fioletowy kryształ, a łzy spływały niepowstrzymane po jego

twarzy.

Patrzył na upadek miasta. Chciał zostać, chciał użyczyć obrońcom własnej magii, bynajmniej niemałej, ale ta ścieżka mogłaby oznaczać śmierć, nie tylko jego śmierć, ale całego jego ludu. Nie trzeba im było dowódcy ani przewodnika. Orkowie skażeni krwią demona płonęli żądzą zbijania, która nie zostanie ugaszona, nawet jeśli zgładzą ostatniego z draenei na Draenorze; nie zostanie ugaszona, póki śmierć nie unieruchomi ich ciał. Teraz należeli już do Płonącego Legionu Kil'jaedena i Sargerasa. Orkowie mieli przewagę liczebnością ogrów, czarnoksiężników i furii, która emocjonalnie i umysłowo prowadziła ich w miejsca, gdzie nie trafiłby nikt o zdrowych zmysłach. Velen nie mógł uczynić niczego więcej, jak tylko pozwolić miastu upaść. Nic, cokolwiek by zrobił, nie byłoby w stanie go uratować.

Ani uratować orków. Jedyny okruch nadziei na odkupienie Hordy stanowił klan, który nie wypił krwi, nie zawarł paktu i zachował wolność umysłu i serc. Osiemdziesięciu orków. Osiemdziesięciu przeciwko tuzinowi innych klanów, o wiele liczniejszych. Orków trzeba było teraz traktować jak tknięte szaleństwem zwierzęta za każdym razem, gdy któryś z draenei się na nich natknie. Trzeba było dobijać ich szybko i litościwie ze świadomością, że choć nie mieli pojęcia, co tak naprawdę zrobili, i tak muszą zginąć.

Velen chciał opuścić miasto, zostawił je puste nadciągającym orkom. Ale Larohir, inteligentny generał, który zastąpił Restalaana, przekonał Velena, że zostawienie miasta niczego nie zmieni.

– Jeśli nie zabiją dość draenei, żądza, która ich spala, nawet na chwilę nie zostanie zaspokojona – w głosie Larohira dźwięczało współczucie, ale był też twardy jak stal. – Wciąż będzie ich trawić głód i natychmiast pochwycą nasz zapach, i ruszą naszym tropem, gdy ten będzie jeszcze świeży. Wszyscy, którzy uciekną, zginą. Muszą wierzyć, że zgładzili większość z nas. A żeby w to uwierzyli… to musi być prawda.

Velen spoglądał na generała przerażony.

– Chcesz, bym wysłał swych ludzi na rzeź?!

– Wszyscy poza garstką wiemy, przed czym umknęliśmy z Argusa – odpowiedział Larohir. – Pamiętamy. Pamiętamy, co uczynił Kil'jaeden, co stało się z naszym ludem. Zginęlibyśmy… zginiemy szczęśliwi, jeśli to

uratuje choćby garstkę przed zepsuciem.

Velen spuścił oczy. Serce szarpał mu ból.

– Jeśli orkowie uwierzą, że nas wybili poza żałosną garstką, Kil'jaeden będzie usatysfakcjonowany. I odejdzie.

– Orkowie będą cierpieć straszliwie – powiedział Larohir i nie wyglądał na zasmuconego tym faktem. I po tym, co orkowie uczynili draenei, Velen nie mógł go winić.

– Zaiste, będą. I nie mam najmniejszych wątpliwości, że będą nas tropić.

– Ale sposoby, jakimi ruszą za kilkudziesięcioma zbiegami, będą inne niż te wykorzystywane do tropienia setek – powiedział Larohir. – Żeby zyskać jakąś przewagę nad nimi, musimy wydawać się tak bezradni i tak rozproszeni, jak to tylko możliwe.

Velen spoglądał na Larohira. Na jego twarzy malował się wyraz udręki.

– Łatwo ci to mówić. Ale decyzja nie należy do ciebie. Należy do mnie. To ja muszę być tym, który powie, ty… ty i twoja rodzina pójdziecie ze mną i przeżyjecie. Ale ty, ty i ty zostaniecie tutaj, żeby opętani przez demony orkowie rozerwali was na kawałki i zaspokoili swe pragnienie waszą krwią.

Larohir milczał. Nie było nic do powiedzenia.

Velen rozmawiał ze wszystkimi, których skazał na śmierć. Obejmował ich i błogosławił, brał przedmioty, które miały dla nich jakieś znaczenie, i obiecywał dopilnować, by przetrwały. Patrzył, jak ze stoickim spokojem i suchymi oczami ci żywi umarli naprawiali swe zbroje i ostrzyli miecze, jak gdyby mieli jakieś szanse wygrać walkę. I patrzył, jak odchodzą, śpiewając starożytne pieśni, by zamknąć się za murami miasta i czekać, aż korbacz, topór lub włócznia odbierze im życie.

Velen nie mógł pójść z nimi. Jego zdolności były absolutnie wyjątkowe i jeśli lud draenei miał przetrwać, to i on musiał. Ale użył kryształu, by obserwować każdą chwilę bitwy, a cierpienie, jakiego doznawał, było nieopisane, ale zarazem oczyszczające. Nikt z jego ludzi nie zginie na marne.

Orkowie nie wiedzieli o Moczarach Zangar, nie wywęszyli tamtej kryjówki i jeśli tylko Velen miał tu coś do powiedzenia, nigdy nie wywęszą. Tam najlepsze z umysłów draenei będą nadal pracować nad odkryciem sposobu użytkowania i kierunkowania energii, by zapewnić bezpieczeństwo tym

nielicznym, którzy uszli rzezi. Tam przegrupują się, dojdą do siebie, uleczą i będą czekać w nadziei, że przynajmniej oszukali Kil’jaedena Zwodziciela i umknęli przed jego straszliwym wzrokiem.

Orkowie pochwycili trzy z kamieni, ale Velen wciąż miał cztery: Uśmiech Losu, Oko Burzy, Tarczę Naaru i, oczywiście, Pieśń Ducha. I choć jego połączenie z naaru było słabe, to K’ure wciąż żył.

I chociaż łzy płynęły po białej twarzy i spadały na powierzchnię fioletowego kryształu, chociaż opłakiwał tragiczną utratę tak wielu, Velen, prorok draenei, czuł, jak w jego piersi budzi się nadzieja.

Rozdział dwudziesty pierwszy

To był ten moment, gdy straciliśmy wszystko.
Odrzuciliśmy równowagę i harmonię naszego świata, dlatego opuściły nas żywioły. Demony strzegły wejścia do Oshu'gun, odcinając nas od przodków. Nasze fizyczne ciała, a nawet nasze dusze zostały skażone zepsuciem od krwi, którą pragnący potęgi i siły orkowie chętnie przyjęli. I wtedy, gdy już uczyniliśmy sobie samym to wszystko pod przewodnictwem Gul'dana, Kil'jaeden nas opuścił. Wtedy nadszedł okres naszej historii zwany Czasem Umierania.

Oby nigdy nic takiego nie przytrafiło się nam ponownie.

– Co mam zrobić? – Gul'dan sam nie mógł uwierzyć, że to on wypowiedział te słowa, ale był tak przerażony, że ta rada, jakakolwiek rada od kogokolwiek, zdawała się lepsza niż życie w tak obłędnym strachu.

Ner'zhul spoglądał na niego z pogardą.

– To ty dokonałeś tego wyboru.

– I ty nie jesteś całkiem bez winy! – warknął czarnoksiężnik.

– Oczywiście, że nie. Ja podjąłem własne decyzje, by samemu stać się lepszym. Ale nigdy nie oddałbym za to przyszłości mego ludu, mego świata. Gdzie ta moc, którą ci obiecano Gul'danie? Moc, za którą upodliłeś nasz lud?

Gul'dan odwrócił się, dygocąc. Nie było żadnej mocy, Ner'zhul to wiedział, dlatego jego słowa kąsały tak dotkliwie.

Zamiast nagrodzić swego wiernego sługę chwałą i niemal boską mocą, Kil'jaeden po prostu zniknął. Wszystko, co pozostało po jego obecności w tym świecie, to czarnoksiężnicy i ich demony, oszalała Horda

i wyniszczona ziemia.

Nie – pomyślał. – Nie, nie tylko to zostało.

Wciąż istniała Rada Cienia. Wciąż był jeszcze Blackhand, marionetka doskonała. I chociaż Horda przesycona była teraz krwią demonów i pragnęła okrucieństwa i zniszczenia bardziej niż mięsa i napitku, to nadal nie wydostała się spod kontroli. Przynajmniej jeszcze nie.

Wezwie Radę na spotkanie w ich pięknej Czarnej Świątyni. Niewątpliwie i oni będą poszukiwać sposobu na ocalenie tej władzy, która im została.

Tak. Wciąż jeszcze istniała Rada Cienia.

*

– Ziemia jest martwa – powiedział cicho Durotan, gdy wraz z przyjacielem oglądali dawniej żyzne i bujne łąki. Przegarnął glebę czubkiem buta. Pod wyschniętą martwą trawą były tylko piach i naga skała. Wiatr, którego nie powstrzymywały już drzewa, dął przenikliwie.

Orgrim milczał przez długą chwilę. Patrzył na koryto rzeki, gdzie kiedyś pływali z Durotanem w trakcie jednej ze swych niezliczonych prób, i nie widział żadnych oznak, że kiedyś płynęła tędy woda. Ta, która pozostała w okolicy, była mulista, zanieczyszczona truchłami zwierząt i osadem. Picie jej groziło chorobą, niepicie – śmiercią z pragnienia.

Nie było wody. Nie było traw. Tu i ówdzie natura zdołała przetrwać, na przykład puszcza Terokkar, tylko przodkowie wiedzą jakim cudem. Orkowie chudli, bowiem brak trawy oznaczał brak zwierzyny. Przez ostatnie trzy lata więcej ich umarło z głodu i chorób niż w trakcie bitew z draenei.

– Nie tylko ziemia jest martwa – powiedział wreszcie Orgrim. Głos miał gruby i ponury. Zwrócił się ku Durotanowi. – Jak wyglądają zapasy ziarna Mroźnych Wilków?

We własnych oczach obaj z Durotanem byli zieloni. Przy innych, takich jak Grom i Blackhand, ich skóra wciąż była bardziej brązowa niż zielona. Zdaniem Durotana to moce czarnoksiężników zmieniały świat i orków. Niewątpliwie ci, którzy wypili to, co Gul’dan im uwarzył, mieli skórę o intensywniejszym odcieniu niż inni. Dziwne – myślał Orgrim. Była w tym jakaś ironia, ziemia stawała się brązowa, podczas gdy powinna być zielona,

orkowie zielenieli, a powinni być brązowi.

– Kilka baryłek zostało skradzionych w trakcie ataków – skrzywił się Durotan.

– Który z klanów?

– Strzaskana Dłoń.

Orgrim kiwnął głową. Klan Mroźnego Wilka stał się ostatnimi czasy celem licznych napadów. Po tym jak Horda zajęła Shattrath, przestano widywać draenei. Upłynęło sześć miesięcy od czasu, gdy ktokolwiek doniósł, że choćby z daleka widział nieuchwytnych niebieskoskórych, a co dopiero którego zabił. Durotan uczynił ze swego klanu cel, gdy odmówił picia z kielicha w noc zdobycia Shattrath. A i wcześniejsza niechęć do atakowania draenei nie przeszła niezauważona. Teraz gdy draenei, jedyny cel orków, jedyne ujście dla ich narastającej żądzy krwi, zniknęli, wielu obwiniało o to Durotana. Nieważne, że równie prawdopodobne było, że draenei zostali wybici do nogi, że cel, jakim było starcie ich z powierzchni ziemi, został osiągnięty.

– Przyniosę coś następnym razem, gdy się spotkamy – obiecał Orgrim.

– Nie chcę jałmużny.

– Gdyby mój klan był w takiej sytuacji, ty spuściłbyś mi łomot, pobił do nieprzytomności i wepchnął jedzenie do gardła – odparł Orgrim niezrażony.

Durotan roześmiał się, co chyba jego samego zaskoczyło. Orgrim pozwolił sobie na szeroki uśmiech. Przez chwilę, gdyby tylko potrafi zignorować martwą ziemię wokół i nienaturalny odcień ich ciał, mogłoby się wydawać, że potworności minionych lat nie miały miejsca.

Śmiech Durotana ucichł i teraźniejszość znów ich dopadła.

– Przyjmę dla dobra dzieci.

Popatrzył na rozległe pustkowie. Teraz kraina zyskiwała nowe, mroczniejsze, twardsze nazwy. Cytadela stała się Cytadelą Piekielnego Ognia, cała zaś okolica – Półwyspem Piekielnego Ognia.

– Zniszczenie draenei doprowadzi do zniszczenia orczej rasy, jeśli czegoś nie zrobimy – oświadczył Durotan. – Zwracamy się przeciwko sobie. Posuwamy się do wykradania jedzenia dzieciom, bowiem ziemia nie jest w stanie nas dłużej wykarmić. Demony biegające za czarnoksiężnikami

potrafią sprowadzić zniszczenie i cierpienie, ale nie mogą leczyć ani wykarmić głodujących.

– Czy ktoś… ktokolwiek próbował rozmawiać z żywiołami? – spytał Orgrim cicho. Takie działania nadal były zabronione, ale Orgrim wiedział, że desperacja zwracała niektórych ku starym sposobom.

Durotan kiwnął głową.

– Bezskutecznie. Odpowiedziała nam kamienna cisza. Demony strzegą Oshu'gun. Nie znajdziemy tam nadziei.

– No to jesteśmy skończeni – szepnął Orgrim.

Spojrzał na swój młot, stylisko opierało się o jego nogę. Zastanawiał się, czy przepowiednia dotycząca broni właśnie się nie spełniała. Może był ostatnim z rodu. Czy już doprowadził do zbawienia, a potem do zagłady, niszcząc rasę draenei do ostatniego z nich? Jak miał teraz użyć młota, by nieść sprawiedliwość?

Kiedy wszystko wokół konało… jak mógł wszystko zmienić raz jeszcze?

*

Wola przetrwania to potężna siła – myślał Gul'dan, kładąc się do snu. Nabrał zwyczaju sypiania w Czarnej Świątyni w pomieszczeniu, które dostosował specjalnie dla siebie. Umieścił tu wszystkie drobiazgi i narzędzia, jakie potrzebne mu były odpowiednio rozkazywać demonom, które przywoływał: okruchy dusz draenei, odpowiednie kamienie dla większych istot, mikstury pozwalające mu zachować energię. No i oczywiście czaszki, kości i inne oznaki dominacji. W specjalnych pojemnikach płonęły mieszanki ziół, a ich cierpki albo słodki zapach miał przywoływać wizje.

Właśnie opróżnił cały słoik takich ziół, zapalił niewielki ogień pod kociołkiem i pozwolił, by drewno wypaliło się do żaru. Rozpoczął cichą inkantację, wrzucił wysuszone liście do ognia i nie pozwolił sobie zakaszleć, gdy woń ziół wypełniła powietrze. Podszedł do łóżka. Lubił myśleć, że w tym samym sypiał znienawidzony Velen, gdy przebywał w świątyni. Zasnął szybko.

Gul'dan śnił, co nie zdarzyło mu się od momentu odejścia Kil'jaedena. I kiedy we śnie znalazł się w dziwnym i mrocznym miejscu, wiedział, że było

ono prawdziwe.

W tej wizji była istota przypominająca kształtami orka, spowita długim płaszczem, z kapturem osłaniającym twarz. Istota była smukła, smuklejsza i drobniejsza nawet od orczej kobiety, ale Gul’dan jakimś sposobem wiedział, że ma do czynienia z mężczyzną. I choć czarnoksiężnikowi wydawał się on delikatnej budowy, to moc odeń emanująca niemal zwaliła Gul’dana z nóg. Czarnoksiężnika przeszył dreszcz. Kiedy tamten się odezwał, jego głos był niewątpliwie męski, dziwnie przyjemny i niesamowicie fascynujący.

– Czujesz się opuszczony i samotny – rzekł obcy.

Gul’dan skinął głową, ostrożny, ale pełen chęci.

– Kil’jaeden obiecał ci moc… siłę… boskość. Rzeczy, jakich twój świat dotąd nie widział – płynął gładki głos spod kaptura.

Słowa pieściły Gul’dana, kołysały go, a zarazem przerażały. Ale gdy odpowiedział, czuł głównie złość, nie strach.

– Porzucił mnie. Sprawił, że zniszczyliśmy nasz świat, a potem zostawił nas w nim na śmierć. Jeśli przybywasz od niego, to…

– Nie, nie… – uspokoił czarnoksiężnika obcy swym dziwnie frapującym głosem. – Przybywam od kogoś potężniejszego. – W głębi kaptura zalśniły oczy. – Przybywam od jego pana.

Gul’dan poczuł, jak mrowi go skóra.

– Jego… pana?

I upadł, gdy umysł jego zaatakowały obrazy. Kil’jaeden, Velen i Archimonde przed wiekami. Widział transformacje istot, które były eredarami, w potwory i półbogów.

– Sargeras!

Nadal nie widział twarzy obcego ze snu, ale wiedział, że tamten uśmiechnął się.

– Tak. Ten, który włada wszystkim. Ten, któremu służymy. Niedługo zrozumiesz, Gul’danie, że zniszczenie i unicestwienie są piękne i czyste. Że w tym kierunku powinno zmierzać wszystko, co istnieje. Możesz się mu opierać i zostać zniszczonym albo je wspomóc i zostać nagrodzonym.

Gul’dan wciąż był ostrożny względem istoty w płaszczu i jej słodkich słów.

– Czego się ode mnie oczekuje?

– Twój lud umiera – stwierdził obcy bez ogródek. – Nie zostało w twoim świecie nic, co mogliby zniszczyć. Nie zostało nic, by utrzymać ich przy życiu. Muszą udać się gdzie indziej. Gdzie będą mieli pod dostatkiem jedzenia, picia i ofiar. Bowiem orkowie pragną teraz zabijania bardziej niż jedzenia. Daj im krwi, której pragną.

Gul’dan zmrużył oczy.

– To brzmi jak nagroda, a nie zadanie do wykonania – rzekł.

– To jedno i drugie… ale nie tylko taką nagrodę oferuje ci mój pan. Rządzisz Radą Cienia, zasmakowałeś we władzy. Jesteś największym czarnoksiężnikiem swego ludu i wiesz doskonale, jakim uczuciem cię to wypełnia. A wyobraź sobie, że jesteś… bogiem.

Gul’dan zadrżał. Obiecano mu to już wcześniej, ale tym razem był przekonany, że było bardziej prawdopodobne, iż ten Sargeras dotrzyma owych jakże niezwykłych obietnic. Pomyślał o tym, że wystarczy mu wyciągnąć rękę, by zadrżała ziemia, zacisnąć pięść, by zatrzymać serce. Pomyślał o tysiącu oczu wlepionych w niego z podziwem, o gardłach zdartych od skandowania jego imienia. Pomyślał o smakach, doznaniach, których nie mógł sobie nawet wyobrazić, i usta wypełniła mu ślina.

– Mamy wspólnego wroga – mówił obcy. – Ja chcę zobaczyć jego śmierć. Ty chcesz zaspokoić swój lud rzezią. – Teraz Gul’dan zobaczył zarys twarzy obcego, bladą skórę, wąskie wargi otoczone czarnymi włosami i wygięte w lekkim uśmiechu. – To przymierze przyniesie korzyść nam obu.

– W rzeczy samej – szepnął Gul’dan. Uświadomił sobie, że zbliża się do tamtego, jakby przyciągany. Zatrzymał się zatem. – Ale nie wierzę, że chcesz ode mnie tak niewiele.

Obcy westchnął.

– Sargeras da ci to i jeszcze więcej. Ale… leży w niewoli. Potrzebuje pomocy, by uciec. Jego ciało uwięzione jest w starożytnej krypcie zaginionej pod falami ciemności. Pragnie odzyskać wolność i moc, która była jego, tak jak twój lud pragnie przelewać krew, a jak ty pragniesz władzy. Sprowadź orków do tego żyznego, nieskażonego świata. Daj im miękkie ciała, w których mogą zatopić swe topory. Pokonaj mieszkańców tego miejsca,

wzmocnij swój lud, a potem wraz z niepowstrzymana falą zielonych wojowników dołącz do mnie, by wyzwolić naszego pana. Jego wdzięczność… – Kolejny szelmowski uśmiech, błysk białych zębów wśród brody. I kolejne uderzenie mocy, okiełznane jedynie wolą obcego. – … no cóż, najpewniej nie potrafisz jej sobie nawet wyobrazić, Gul’danie.

Czarnoksiężnik rozważał te słowa. I nagle obraz obcego zafalował i zbladł. Gul’dan gwałtownie wciągnął powietrze, znalazł się bowiem na pięknej łące. Wiatr przegarnął jego splecione włosy. Zwierzęta, jakich dotąd nie widział, pożywiały się spokojnie. Na horyzoncie widać było strzeliste, zdrowe drzewa. Dziwne istoty, podobne nieco do orków, ale o bladej różowej skórze i smukłych sylwetkach jak ta należąca do obcego, pracowały na polach i doglądały zwierzyny.

Doskonale.

Obraz znów się zmienił. Nagle Gul’dan był pod wodą i płynął, ale nie brakło mu oddechu mimo głębokości. Wodorosty kołysały się poruszane prądem, przesłaniając widok zwalonych kolumn i płyt z dziwnym napisem, zniszczonych nieco przez czas i nieustanną delikatną pieszczotę wody. Dreszcz nim wstrząsnął, gdy zrozumiał, że to tu spoczywa Sargeras. Wyzwolić go z tego więzienia, a wtedy… wtedy…

To przymierze, zaiste, wydawało się dobre. Zresztą wszystko lepsze było niż życie w tym świecie i powolna śmierć. Piękna, dojrzała kraina była gotowa, by ją splądrować – już to samo wystarczyłoby, żeby Gul’dan dobił targu. A miał otrzymać więcej, o wiele więcej.

Popatrzył na obcego.

– Powiedz mi, co mam zrobić.

Gul’dan obudził się, rozciągnięty na podłodze. Obok leżał pergamin zapisany jego ręką, pełen instrukcji. Przebiegł wzrokiem jego treść.

„Portal. Azeroth. Ludzie”.

„Medivh”.

Gul’dan uśmiechnął się lekko.

Rozdział dwudziesty drugi

Czy coś może być błogosławieństwem i przekleństwem zarazem? Zbawieniem i zagładą? Bo tak właśnie widzę to, jak potoczyła się historia mojego ludu. Nie ulega wątpliwości, że demoniczna energia wykorzystywana swobodnie, bez najmniejszego zwracania uwagi na koszt, wyssała ze świata Draenor wszystko to, co było zdrowe, co dawało życie. Kil'jaeden chciał zwiększyć liczbę orków, żeby stali się potężną armią, i dokonał tego, wymuszając rozwój młodych, odzierając je z ich dzieciństwa. Teraz populacja orków większa była niż kiedykolwiek i nie było sposobu, by nakarmić głodnych. Widzę wyraźnie, tak jak zapewne widzieli ci, którym przyszło żyć w tamtych straszliwych czasach, że gdybyśmy pozostali na Draenorze, nasza rasa wkrótce by wyginęła.

Ale jak stamtąd odeszliśmy… dlaczego odeszliśmy… Ten świat wciąż jeszcze krwawi od rany, jaką to spowodowało. Robię, co w mej mocy, by ją uleczyć, jednocześnie zabezpieczając interesy tej nowej Hordy, którą stworzyłem, ale zastanawiam się, czy kiedykolwiek nadejdzie ten dzień, że owe rany się zabliźnią.

Życie dla mego ludu to błogosławieństwo. Jak już je otrzymaliśmy – przekleństwo.

Radę Cienia trawił niepokój. Z powodu odejścia Kil'jaedena jej członkowie byli niemal chorzy ze zdenerwowania tak jak Gul'dan. Ale teraz zyskali nowy kierunek. Zwołał posiedzenie Rady i podzielił się z nimi tajemniczymi słowami obcego, który nazywał się Medivhem. Mówił o żyznych polach, czystej wodzie, zdrowej zwierzynie, okrytej lśniącym futrem. I jeszcze

bardziej entuzjastycznie opowiadał o istotach zwanych ludźmi, którzy będą walczyć wystarczająco dzielnie, by stanowić wyzwanie, ale którzy nieuchronnie będą musieli ulec potędze Hordy.

– Woda, jedzenie, zabijanie. I potęga dla tych, którzy zgodzą się pomóc w tym przedsięwzięciu – mówił Gul’dan uwodzicielskim tonem, niemalże mrucząc z zachwytu. Dobrze ich ocenił. Ich oczy, u niektórych płonące czerwienią, u innych wciąż brązowe, spoglądające z natężeniem i uwagą, wpatrywały się weń i dostrzegał w nich nadzieję… i chciwość.

Praca się rozpoczęła.

Najpierw musiał skierować gdzieś indziej uwagę głodującej Hordy. Gul’dan był świadom tego, że przy malejących zapasach i płonącej potrzebie przelewania krwi orkowie zaczęli atakować się nawzajem. Nakazał więc Balckhandowi ogłosić wszystkim klanom, żeby wystawili swych wojowników do publicznych pojedynków jeden na jednego albo niewielkich grupek. Zwycięzcy otrzymają jedzenie od przegranego klanu, zapas czystej wody oraz sławę i honor. Gorączkowo spragnieni czegokolwiek, co pozwoli im złagodzić ból, o jaki przyprawiał ich głód dwojakiego rodzaju, orkowie dobrze przyjęli tych propozycję i Gul’dan poczuł ulgę. Medivh chciał armii zdolnej zaatakować ludzi, a nie tego, by orkowie wybili się nawzajem, zanim przyjdzie czas na inwazję.

Durotan nadal sprawiał mu kłopoty. Wódz Klanu Mroźnego Wilka, najwyraźniej ośmielony tym, że Gul’dan nie zabił go w noc ataku na Shattrath, zaczął coraz częściej odzywać się publicznie. Spostponował ustawione starcia, nazywając je poniżającymi. Nawoływał, by szukać sposobu uzdrowienia ziemi, niewiele brakowało, a otwarcie oskarżyłby czarnoksiężników o zniszczenie ich świata. Innymi słowy, cały czas tańczył na granicy, a bywało, że ją przekraczał.

I, jak to zawsze bywało, niektórzy go słuchali. I choć Klan Mroźnego Wilka był jedynym, którego wódz nie skosztował krwi Mannorotha, znalazło się sporo orków niższej pozycji, którzy również odmówili. Tym, który niepokoił Gul’dana najbardziej, był Orgrim Doomhammer. Ten mógł spowodować kłopoty. Orgrim nigdy nie lubił Blackhanda i kiedyś mógł się posunąć do tego, by coś zrobić z tą antypatią. Ale na razie jeszcze nie

opowiedział się po stronie Mroźnych Wilków i, w rzeczy samej, był jednym z najczęstszych zwycięzców w pojedynkach.

Wizje trwały. Medivh dokładnie wiedział, czego chciał. Portalu między dwoma światami, który po jednej stronie stworzyłby Gul’dan z Radą Cienia i czarnoksiężnikami, a po drugiej – Medivh i ta magia, którą władał w swoim świecie.

Nie mogli pracować w tajemnicy. Portal musiał być wielki, z uwagi na to, że Medivh chciał przeprowadzić przezeń armię. Poza tym orków Hordy ogarnęło poczucie porażki. Ekscytacja i wyzwanie, jakie niosły ze sobą walki na arenie i konstruowanie tego portalu w odpowiednio ceremonialny sposób, pozwolą im na czymś skupić uwagę.

Medivh był zadowolony z tej koncepcji. W jednej wizji przybrał postać wielkiego ptaszyska siedzącego na ramieniu Gul’dana. Szpony ptaka zatonęły w ciele czarnoksiężnika, upuszczając brązowoczerwonej krwi, ale ból był… przyjemny. Wokół jednej łapy ptaka zawinięty był kawałek pergaminu. W swej wizji Gul’dan rozwinął papier i to, co zobaczył, odebrało mu dech. Gdy tylko się obudził, skreślił rysunek na większym arkuszu.

Patrzył na swe dzieło, a oczy płonęły mu radosnym zainteresowaniem.

– Piękne – powiedział.

*

– Nie rozumiem twojego niezadowolenia – oznajmił Orgrim pewnego dnia, gdy z wysokości wilczych grzbietów nadzorowali budowę tego, co Gul’dan nazywał portalem.

Gdziekolwiek by Durotan spojrzał, pracowali orkowie. Mężczyźni obnażeni do pasa, kobiety prawie tak samo. Zielona skóra lśniła od potu, palona promieniami bezlitosnego słońca, które zmieniało te ziemie w pustynię. Niektórzy skandowali rytmicznie okrzyki wojenne, inni pracowali w skupieniu i ciszy. Droga na ten płaskowyż prowadziła niemalże w linii prostej z miejsca, które teraz nosiło nazwę Cytadeli Piekielnego Ognia, wybrukowano ją starannie, by bez trudu transportować sprzęt do budowy.

Kształt czterech dużych platform został oparty na wzorach draenei. Ironia

tego faktu nie umknęła Durotanowi. Oryginalny projekt zmieniono, ukoronowano jakże znajomymi kolcami, przydano mu ostrych krawędzi, które stały się charakterystyczną cechą budownictwa orków. Durotan pamiętał, jak szedł po podobnych stopniach jako chłopiec i jako dorosły już ork, gdy wspinał się na nie z zamiarem zabicia wszystkiego, co znajdzie na ich szczycie. Dwa obeliski wznosiły się ku niebu niczym ostre włócznie, a na szczycie jednej z nich stanął posąg Gul'dana.

Ale najbardziej posępna była czwarta platforma, umiejscowiona nieco dalej niż pozostałe trzy. To miała być rama dla właściwego portalu, gdy miał się im objawić zgodnie z obietnicą Gul'dana. Dwie ogromne kamienne płyty stały, górując nad wszystkim wokół, a na nich spoczywała trzecia, tworząc zarys prymitywnych drzwi. Powoli kamień nabierał kształtów, tworząc posępne, zakapturzone postacie po każdej ze stron i coś w rodzaju skulonego węża na szczycie.

– Czy to nie jest lepsze niż rajdy na twój obóz i twoich współplemieńców? – kontynuował Orgrim.

– Owszem, w pewien sposób – skinął głową Durotan. – Ale nadal nie wiemy, dokąd prowadzi ten portal.

Orgrim szerokim gestem wskazał jałową ziemie. Półwysep Piekielnego Ognia był jednym z najbardziej zniszczonych regionów, ale nie jedynym.

– Czy to ma jakieś znaczenie? Wiemy, skąd prowadzi.

W mruknięciu Durotana dało się słyszeć nutę rozbawienia.

– W tym wypadku chyba masz rację.

Poczuł badawcze spojrzenie Orgrima.

– Durotanie… od jakiegoś czasu powstrzymywałem się przed zadaniem ci tego pytania, ale… dlaczego odmówiłeś swemu klanowi napoju, który zaoferował Gul'dan?

– A ty, dlaczego sam nie wypiłeś? – odpowiedział Durotan pytaniem na pytanie.

– Było coś… niewłaściwego, nie w porządku – odparł Orgrim po chwili. – Nie podobało mi się to, co ów napój robił z innymi.

Durotan wzruszył ramionami.

– I ja podobnie.

– Ciekawe – rzekł Orgrim, ale nie drążył dalej.

Durotan nie widział potrzeby wyjawiać, co było mu wiadome. Sprzeciwił się Gul’danowi i jak na razie nie spotykały go żadne konsekwencje. A Orgrim, dzięki niech będą przodkom, miał dość rozumu, by zdać sobie sprawę, że coś tu jest nie w porządku i również odmówić. I jak na razie to całkowicie wystarczało Durotanowi, synowi Garada, wodzowi Klanu Mroźnego Wilka.

– Dziś będę walczył – Orgrim zmienił temat. – Przyjdziesz?

– Wiem, że nie robisz tego dla chwały, tylko dla twego klanu – odparł Durotan. – Walczysz, by wygrać dla niego jedzenie i wodę. Ale moja noga nie postanie na tych… przedstawieniach. Orkowie nie powinni walczyć z orkami. Nawet w rytualnej walce.

Orgrim westchnął.

– Nie zmieniłeś się, Durotanie. Zawsze się obawiałeś, że cię pokonam – powiedział z nutą wesołości w głosie.

Durotan obrócił się i po raz pierwszy od wielu długich miesięcy uśmiechnął się szeroko i ciepło.

*

Nadszedł ten dzień.

Całą noc pierścień czarnoksiężników pilnował, by nikt nie dojrzał mrocznego rytuału, kilku kamieniarzy ciężko pracowało, by wykonać ostateczną pieczęć, która miała spocząć u podstawy portali. Kiedy skończyli i ocierali pot z twarzy, uśmiechając się do siebie nawzajem, zostali błyskawicznie zgładzeni. Krew tych, którzy stworzą pieczęć, doda jej mocy. Gul’dan nie wątpił w głęboką wiedzę swego nowego sojusznika. Ale pechowi kamieniarze nie mieli być ostatnimi, którzy zginą.

Świt wstał płomienisty, karmazynowopomarańczowy. Powietrze było ciężkie i nieruchome. Przez ostatnie kilka dni wykańczano budowę portali, ale nie tylko. Machiny oblężnicze, które tak straszliwie zniszczyły Shattrath kilka miesięcy wcześniej, teraz znów miały służyć armii orgów, były oliwione, naprawiane i testowane. Polerowano też porzucone zbroje, ostrzono miecze, likwidowano wgniecenia w hełmach i napierśnikach.

Wielka armia, która wybiła draenei, została przekształcona. Niektóre z klanów miały zostać. Gul’dan zrobił, co mógł, by przekonać wodzów Strzaskanej Dłoni, Cienistego Księżyca, Władców Gromu, Krwawiącego Oczodołu i Roześmianej Czaszki, że byli potrzebni na Draenorze. Najciężej było przekonać Groma i jego Wojenne Pieśni. Gdy Hellscream wściekał się na Gul’dana, ten przez chwilę zastanawiał się, czy słusznie uczynił, pozwoliwszy wodzowi Wojennej Pieśni napić się demoniej krwi. On zdawał się mieć najmniej kontroli nad swoimi emocjami, i choć Gul’dan przekonywał Groma, że zostawia go tylko dlatego, że widzi w nim wyjątkowo cennego wojownika, który niezbędny był w starym świecie, to tak naprawdę dzikość i nieprzewidywalność Hellscreama skłoniła czarnoksiężnika do pozostawienia go na Draenorze. Nie mógł ryzykować, że Gromowi przyjdzie do głowy jakiś szalony pomysł i skłoni go do zlekceważenia rozkazów. Medivhowi by się to nie podobało, wcale by mu się to nie podobało.

Blackhand domagał się, by cała Horda zgromadziła się w murach Cytadeli Piekielnego Ognia. Przez kilka ostatnich dni ci, którzy powrócili na ziemie swych przodków, jak Klan Mroźnego Wilka, wracali. Posłuchali rozkazu, by się uzbroić, jakby szli do walki, aczkolwiek zaledwie kilku wiedziało, co się dzieje.

Zebrali się. Klan stanął obok klanu. Wszyscy nosili swe barwy na ozdobnych sakwach albo mieli kolorowe pasy założone na zbroje. Tego gorącego, wietrznego dnia sztandary łopotały dumnie.

Gul’dan i Ner’zhul patrzyli na zebranych. Gul’dan odwrócił się do swego byłego nauczyciela.

– Ty i twój klan będziecie wśród tych, którzy pozostaną – powiedział krótko.

– Tak przypuszczałem – powiedział Ner’zhul niemalże potulnie.

Ostatnimi czasy niewiele się odzywał, z czego Gul’dan był zadowolony. Podejrzewał do pewnego momentu, że stary szaman spróbuje sięgnąć po władzę, po tym jak Kil’jaeden opuścił orków. Ale najwyraźniej Ner’zhul był zbyt zdruzgotany, by się do tego posunąć. Gul’dan pełen pogardy wspominał czasy, gdy idealizował Ner’zhula i mu zazdrościł. Jakimż był wtedy

głupcem! Teraz dojrzał już i wiele się nauczył – nawet z goryczy, jaką niosło ze sobą oszustwo. Aczkolwiek były takie momenty, że wydawało mu się, iż widzi nieznaczny błysk w oczach szamana, tak jak w teraz. Spojrzał uważniej na starszego orka i doszedł do wniosku, że to tylko sztuczka światła. Znów skupił swą uwagę na zebranych i uśmiechnął się.

I choć jego plany wykraczały daleko poza zwyczajne upuszczanie krwi, nie mógł nie czuć poruszenia na ten widok. Byli wspaniali! Płonące słońce połyskiwało w ich zbrojach, ich sztandary powiewały na wietrze, zielone twarze promieniały oczekiwaniem. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak obiecał to Medivh, to mógł być punkt zwrotny na drodze do wielkości.

Rozległo się bicie bębnów. Głębokie, pierwotne. Ich rytm wstrząsnął ziemią, popłynął przez kamień do kości Hordy. Wielu orków odrzuciło głowy do tylu i wyło przenikliwie, gdy podjęli marsz, odruchowo równając krok, ponownie zjednoczeni.

Gul’dan nawet się nie ruszył. Kiedy już zbiorą się przed portalem, on zostanie tam magicznie przeniesiony przez jednego z czarnoksiężników. Mógł cieszyć oczy paradą, patrzeć, jak jego armia maszeruje szeroką, brukowaną drogą wprost ku portalowi.

*

Przed portalem stało dziecię draenei.

Gdzie je znaleźli? Durotan nawet z daleka nie widział żadnego z niebieskoskórych, nikt inny też nie. Musieli mieć mnóstwo szczęścia, że w ogóle znaleźli jakiegoś draenei, co dopiero młodego.

Mroźne Wilki stały z przodu, obok Władców Gromu i Smoczych Paszcz. Brama portalu została ukończona i wyglądała i pięknie, i przerażająco. Dwie zakapturzone postaci o oczach płonących czerwienią, czy to za sprawą magii, czy jakieś sprytnej technologii, strzegły jej po obu stronach. Wyrzeźbiony niby-wąż pokazywał wyrzeźbione zęby. Miał długie pazury i łuski na całym ciele. Durotan nigdy nie widział czegoś podobnego i przez chwilę zastanawiał się, skąd rzeźbiarzom przyszedł do głowy taki stwór. Z koszmaru może? Skrzywił się. Cokolwiek by powiedzieć, konstrukcja była imponującą.

Jednak ledwie odnotował artyzm, z jakim wykonano bramę, nie mógł

bowiem oderwać spojrzenia od dziecięcia draenei. Stojąc obok ogromnego łuku, zdawało się takie małe, chude i poobijane. Patrzyło na morze ryczących nań orków i już dawno przekroczyło granicę wszelkiego przerażenia. Najwyraźniej malec nic już nie czuł.

– Co oni z nim zrobią? – zastanawiała się głośno Draka.

– Obawiam się najgorszego – Durotan potrząsnął głową.

Spojrzała nań szeroko otwartymi oczami.

– Widziałam, jak niektórzy zabijają dzieci w trakcie bitwy – powiedziała. – Całkowicie opanowani żądzą krwi. Nie akceptuję takiego postępowania, choć rozumiem, jak mogło do niego dojść, ale nie zrobią przecież rytualnej ofiary z dziecka!

– Mam nadzieję, że masz rację – rzekł Durotan, ale nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia dla obecności małego draenei. A jeśli malec rzeczywiście miał być złożony w ofierze, Durotan nie zamierzał na to pozwolić. Nie chciał jednak ryzykować bezpieczeństwa swego klanu, modlił się więc, by okazało się, że nie ma racji.

Czarnoksiężnicy rozpoczęli melodyjną inkantację i ku zdumieniu Durotana Gul’dan pojawił się tuż przed nimi. Wśród wojowników Hordy poniosły się pomruki, a Gul’dan uśmiechnął się do nich łagodnie.

– Nadszedł wielki dzień dla orków! – krzyknął. – Widzieliście wszyscy, jak budowano portal, podziwialiście umiejętności rzemieślników i to, jak stawał się pomnikiem chwały Hordy. Teraz odkryję przed wami moje wizje. – Wskazał na kamienną bramę. – Daleko, daleko stąd, w świecie zwanym Azeroth, znalazłem sojusznika. Zaoferował nam swoją ziemię. Jest zielona i żyzna, znajdziecie tam czystą wodę do picia i tłustą zwierzynę do polowania, a co najważniejsze, nadal będziemy mogli radować się, przelewając krew. Rasa nazywana ludźmi, wróg naszego sojusznika, spróbuje powstrzymać nas przed zajęciem ich ziem. Zniszczymy ich. Ich mroczna krew popłynie po naszych ostrzach. Zniszczyliśmy draenei, a teraz zniszczymy ludzi!

Rozległy się głośne wiwaty. Draka potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Jak to możliwe, że oni wciąż tak czują. Potrzebujemy jedzenia, wody, musimy przejść przez portal – westchnęła, widząc konieczność, ale nie

zgadzając się z nią.

– W tej chwili nasz sojusznik pracuje nad otwarciem portalu od jego strony. A teraz i my zaczniemy. – Wskazał na dziecko. – Krew jest najczystszą ofiarą dla tych, którzy dali nam te ogromne moce. A krew dziecka jest jeszcze czystsza. Życiem wypływającym z żył naszego wroga otworzymy portal i wkroczymy do wspaniałego nowego świata. To będzie nowa karta w historii Hordy!

Podszedł do spętanego dziecięcia, które patrzyło nań pustymi oczyma. Gul'dan uniósł wysadzany klejnotami sztylet. Słońce zatańczyło na ostrzu.

– Nie!

Okrzyk wyrwał się z ust Durotana. Wszyscy odwrócili się, by na niego spojrzeć. Wódz Mroźnych Wilków ruszył do przodu. Skoro owa wyprawa zaczynała się od przelania krwi dziecka, nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć. Nie zdołał uczynić trzech kroków, gdy powalono go na wysuszoną ziemię. W tej samej chwili usłyszał bitewny okrzyk Draki i szczęk metalu, gdy rzuciła się do ataku. Wybuchło zamieszanie. Durotan dźwignął się na nogi i zobaczył skulone ciałko dziecka. Krew płynęła wartko z poderżniętego gardła.

– Gul'danie, coś ty nam uczynił! – krzyknął przejmująco, ale jego protest zaginął wśród ryku wściekłego tłumu.

Mroźne Wilki natychmiast rzuciły się do bitwy w obronie swego wodza i odgłosy starcia były ogłuszające. Uderzenie wyrwało Durotanowi oddech z płuc, gdy jego napastnik, nie wiedzieć z którego klanu, podjął walkę. Durotan uniósł topór i zawinął nim w obronie. Tamten uchylił się, przyskoczył i…

Ton okrzyków zmienił się nagle, gdy ziemia pod stopami orków zadygotała i długi przeszywający dźwięk zawibrował im w kościach. Walka ustała i orkowie jak jeden odwrócili się w stronę portalu. Chwilę wcześniej można było spojrzeć przez jego ramy i za nim zobaczyć dalszą część Półwyspu Piekielnego Ognia. Teraz widzieli czerń i wir gwiazd, jakby spoglądało się prosto w obłąkane niebo. Nawet Durotan nie mógł oderwać wzroku. I gdy patrzył, czerń zamigotała i przemieniła się w obraz, który zaskoczył go i zdumiał zarazem.

Wcześniej Gul’dan mówił o pięknej krainie, bogatej w tłustą zwierzynę, o żyznych polach i błękitnym niebie. I rzeczywiście, Durotan spoglądał na miejsce, jakiego dotąd nie widział, ale dalekie było od sielankowego opisu Gul’dana. Tak. Było tak wilgotne, jak Draenor był wyschnięty. Wyraźna mgła unosiła się nad mętnawą wodą i kołyszącymi się bagiennymi trawami. W powietrzu rozbrzmiało brzęczenie i ćwierkanie, zatem było życie w tym dziwacznym miejscu, doszedł do wniosku Durotan.

W tłumie podniosły się głosy niezadowolenia. Tam chciał ich wysłać Gul’dan? Na pierwszy rzut oka okolica wyglądała nie lepiej niż ich własny świat. Z drugiej strony jednak, uświadomił sobie Durotan, woda oznaczała życie. I choć niebo tam było pomarańczowe, a nie niebieskie, a kraina podmokła, a nie pełna kwietnych łąk, to podtrzymywała życie.

Durotan spojrzał na Gul’dana, gdy głosy protestu przybierały na sile. Czarnoksiężnik wyraźnie próbował ukryć własny szok. Machał rękoma, prosząc o ciszę.

– Azeroth jest światem tak wielkim jak nasz! – krzyknął. – Sami wiedzie, jak bardzo jedno miejsce może różnić się od drugiego! Jestem pewien, że tu jest tak samo. To miejsce nie wygląda tak zapraszająco jak byłe… – zamilkł, a potem otrząsnął się, zbierając w sobie. – Ale patrzcie, to jest inny świat! Prawdziwy! Wy! – Wskazał pazurem dwie dziesiątki uzbrojonych orków stojących tuż przy portalu, którzy wyprężyli się natychmiast. – Wy zostaliście wybrani, by jako pierwsi zbadać ten nowy kraj. Idźcie zatem w imię Hordy!

Orkowie zawahali się przez mgnienie oka, a potem z ponurymi minami pobiegli do portalu.

Obraz zniknął.

Durotan obrócił się błyskawicznie, by wbić spojrzenie w Gul’dana. Ten zaś najwyraźniej robił, co mógł, by zachować spokój, choć wyraźnie był wstrząśnięty.

– To nasi zwiadowcy – powiedział Gul’dan. – Wrócą z wieściami o nowym świecie.

I zanim zebrani orkowie zdążyli się naprawdę zaniepokoić, obraz bagna znów pojawił się w kamiennej ramie bramy, a wysłani orkowie powrócili na

Draenor. Tym razem uśmiechali się jednak od ucha do ucha. Więcej niż połowa z nich niosła zabite zwierzęta. Jedne gady, pokryte łuskami, o długich ogonach, krótkich mocnych nogach i wielkich szczękach. Inne czteronogie, pokryte futrem, ze szponami na łapach, długimi ogonami i niewielkimi okrągłymi uszami i niezliczonymi kropkami na żółtym futrze. Jedne i drugie były wyraźnie zdrowe.

– Jedliśmy mięso obu tych zwierząt – powiedział dowódca zwiadu. – Ich mięso jest zdrowe. Woda tam jest czysta. Nie trzeba nam pięknej krainy. Trzeba nam takiej, która nas nakarmi i napoi. A Azeroth tego dokona bez trudu, Gul’danie.

Znów pomruk poniósł się przez tłum. Wbrew sobie Durotan spoglądał na zwierzęta przyniesione przez zwiadowców i zaburczało mu w brzuchu. Od dwóch dni niczego nie jadł.

Gul’dan odprężył się wyraźnie. A potem spojrzał na Durotana, mrużąc groźnie oczy. Durotan poczuł smak strachu, ostry i gorzki.

Zarówno on, jak i jego klan byli potrzebni. Wiedział to. Ale wiedział też, że jego obrona dziecka, reakcja, jaką sprowokował wśród wojowników innych klanów, z których wielu ruszyło na pomoc Mroźnym Wilkom, nie zostanie zapomniana. Podejrzewał nawet, że Gul’dan rozkaże go wygnać albo stracić, ale najwyraźniej Durotan i Mroźne Wilki wciąż mieli jakąś wartość dla Gul’dana i Blackhanda.

Niech i tak będzie. Na razie będzie walczył u boku swych braci. Jutro przyniesie, co przyniesie. Jednak cokolwiek by to było, Durotan wiedział, że umrze, zachowawszy swój honor.

Gul’dan popatrzył na tłum pełnych oczekiwania orków i odetchnął głęboko.

– To chwila przeznaczenia – powiedział. – Po drugiej stronie czeka nas nowy początek. Nowy wróg, by go zgładzić. Czujecie to, prawda? Budzi się w was żądza krwi? Idźcie za Blackhandem! Słuchajcie jego rozkazów, a zapanujecie nad tym nowym światem, który wam się należy! To wasz świat po drugiej stronie portalu. Weźcie go!

Okrzyki huknęły ogłuszająco. Tłum popłynął do przodu. Nawet Durotan dał się pochwycić podnieceniu. Oto przed nimi otwierał się nowy świat, taki żyzny, dojrzały, czekał, by nad nim zapanowali. Być może niepotrzebnie się

martwił. Być może w istocie czeka ich nowy początek. Durotan kochał swój klan, kochał swój lud, chciał widzieć, jak ten kwitnie w dobrobycie. I on, jak wszyscy orkowie, kochał walkę.

Być może wszystko będzie dobrze.

Z toporem w dłoni i nadzieją kwitnącą w sercu Durotan dołączył do innych i pędził wraz z nimi do portalu, do tego nowego świata o nazwie Azeroth. Podniósł ramiona i wykrzyczał słowa będące na ustach każdego orka, gdy parli naprzód:

– Za Hordę!

Epilog

I tak rozpoczęła historia mego ludu w świecie Azeroth. Wypadliśmy z portalu jak wcielenie samej śmierci, rzeka opętanych krwią zabójców pragnących jedynie rzezi. Nic dziwnego, że ludzie tak bardzo nas nienawidzą – wielu do dziś. Ale być może na tej kronice spocznie kiedyś spojrzenie ludzkich, elfich, gnomich i krasnoludzich oczu. Być może zrozumieją choć trochę, że my też wiemy, co znaczy cierpienie, co znaczy stać się ofiarami.

Przeczucie mego ojca, że on i jego klan zostaną skazani na wygnanie, okazało się słuszne. Krótko po tym jak Klan Mroźnego Wilka wkroczył na ziemie Azerothu, Gul'dan uczynił ich banitami. Zmuszeni byli obrać za swój dom surowe góry Alterac. Białe wilki, które tam polują, pochodzą od Mroźnych Wilków, które przeszły z mym klanem przez portal i których lojalność nie została zachwiana przez słowa kogoś, kto żywił urazę.

Kiedy się urodziłem, mój ojciec zrozumiał, że musi powiedzieć innym orkom to wszystko, co wiedział na temat tego, co im uczyniono. Udał się do swego starego przyjaciela, Orgirma Zgładziciela, który mu uwierzył i sprzymierzyłby się z moim ojcem, gdyby ten nie został podstępnie zamordowany. Kiedy dorosłem, stałem się przyjacielem Orgrima jak mój ojciec przede mną, i to ja wypełniłem proroctwo związane z Doomhammerem.

Na ich cześć ten kraj zwie się Durotarem, a jego największe miasto Orgrimmarem. I żywię nadzieję, że…

– Wodzu! – głęboki szorstki głos należał do Eitrigga.

Thrall przerwał pisanie w pół zdania i odsunął pióro, by nie kapało z niego

na pergamin.

– O co chodzi? – spytał starszego orka, który był jednym z jego najbardziej zaufanych doradców.

– Są nowe wieści, wieści z Przymierza. Jeden z naszych zbieraczy informacji dowiedział się czegoś i upiera się, że musi cię o tym zawiadomić.

Thrall nie lubił określenia „szpieg”, ale mimo to miał swoich szpiegów. Był pewien, że Jaina Proudmoore też ma swoich na jego ziemiach. Należało się tego spodziewać, jako że opłacało się tak czynić. Rzadko jednak jego zbieracze nalegali w ten sposób na spotkanie. Zaiste musiało wydarzyć się coś bardzo ważnego.

– Wprowadź go – zadecydował.

Eitrigg skłonił się i chwilę później mały, obszarpany, niewyróżniający się niczym szczególnym człowiek został wprowadzony do pomieszczenia. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, niedożywionego i przerażonego.

Thrall odruchowo wyprostował się na całą swą imponującą wysokość i uświadomił sobie, że może onieśmielać człowieka.

– Chcesz coś jeść, pić? – spytał, pilnując, by jego głos brzmiał łagodnie.

Szpieg potrząsnął głową, po czym zmienił zdanie.

– Www… wody, jeśli łaska – poprosił łamiącym się głosem. – Wódz Hordy osobiście napełnił puchar i podał człowiekowi, ten zaś począł pić łapczywie. Wreszcie otarł usta grzbietem dłoni. – Mój wodzu – brzmiał już nieco spokojniej.

– Jakie masz wieści?

Człowiek zbladł. Thrall westchnął w duchu. Nigdy nie był tak okrutny ani tak głupi, by zabić posłańca za złą wiadomość. Takie zachowanie skończyłoby się tym, że nikt nie chciałby być posłańcem. Uśmiechnął się, mając nadzieję, że wypadło to pokrzepiająco.

– Nie obawiaj się. Wieści, złe czy dobre, zawsze są mile wdziane, jeśli tylko pomogą mi chronić mój lud.

Człowiek jakby uspokoił się nieco. Odetchnął głęboko.

– Panie – zaczął, zawahał się, ale zaraz podjął ponuro: – Draenei przybyli do Azeroth.

Tharll stał zdumiony. Spojrzał na Eitrigga. Ten wzruszył ramionami.

– Jacyś draenei przebywali w Azeroth przez lata – powiedział wódz. – Przezywają ich zagubionymi. Wiemy o nich. To nie są żadne nowe informacje, przyjacielu.

Człowiek sprawiał wrażenie dotkniętego.

– Nie rozumiesz – powiedział z naciskiem. – Nie te żałosne istoty… a draenei! Przyleciał statek. Z nieba. Uderzył w ziemię dwie noce temu niczym infernal.

Thrall gwałtownie wciągnął powietrze. Wszyscy zauważyli dziwny obiekt na nocnym niebie, który wyglądał niczym gwiazda spadająca na ziemię. A więc nie była to gwiazda ani nawet infernal. To był okręt…

– Proudmoore zgodziła się im pomóc – mówił tymczasem człowiek. – Wśród nich jest jeden, blady, szlachetny, przytłaczający, choć nie silny fizycznie. Nazywają go Velenem.

Thrall patrzył na posłańca, wytrzeszczając oczy. Ten draenei? Prorok Velen? Tutaj?

Gdy znaczenie tego faktu dotarło doń w pełni, osunął się na swój fotel.

Najgorszy wróg, jakiego znali orkowie, przybył do Azeroth. I został powitany w szeregach Przymierza.

Jak teraz może zapanować pokój między Hordą a Przymierzem?

– Przodkowie, miejcie nas w opiece – szepnął Thrall.